



Joanna Kupniewska
Gdy Bóg zmrużył oczy

NOVAE RES

Joanna Kupniewska

Gdy Bóg zmrużył oczy



NOVAE RES

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Od autorki](#)

Rozdział 1

Śniło jej się, że biegnie boso po łące. Trawa była aksamitnie miękka i przyjemnie chłodna. Pod palcami stóp czuła każde, najmniejsze nawet źdźbło. Czubki traw łaskotały jej palce, a pięty miękko odbijały się od zbitych, wypukłych kępek. Delektowała się ruchem. Podczas odbicia czuła wyraźnie, jak mięsień brzuchaty łydki napina się na całej swej długości, mięsień czworogłowy uda stabilizuje kolano, a pośladek staje się twardy jak kamień. Faza lotu oszałamiała magią. Niczym ptak w przestworzach napawała się uczuciem nieważkości. Miała wrażenie, że wystarczy skoczyć odrobinę mocniej, a poszybuje w niebo i zostawi na ziemi wszystkie troski i zmartwienia. Lądowanie było równie fascynujące. W momencie kontaktu pięty z podłożem czuła, jak jej nogi amortyzują uderzenie. Mięśnie ponownie napinały się, automatycznie kurczyły i rozkurczały w skomplikowanym schemacie stworzonym przez matkę naturę.

Po chwili, jak to w snach, znalazła się nad morzem. Gorący piasek parzył jej bose stopy. Każde ziarenko miało idealnie okrągły kształt i fakturę grubego cukru. Dużym palcem wykopała dołek, mokry dotyk wody w szybkim tempie

napływającej do wgłębienia wywołał na jej twarzy szeroki uśmiech. Wolnym krokiem weszła do morza. Kontrast pomiędzy gorącą plażą i lodowatą wodą wywołał gęsią skórkę na ramionach, a z krtani wyrwał zduszony okrzyk. Stała przez chwilę, napawając się pieśczośliwym dotykiem wody obmywającej jej stopy. Szykowała się właśnie do przeskoczenia całkiem sporej fali, gdy jakiś dźwięk wyrwał ją ze snu.

- Nie... nie...

Z całych sił zacisnęła powieki, chcąc powrócić do krainy marzeń. Do trawy, piasku, wody... Chciała za wszelką cenę jeszcze choć przez chwilę czuć oparcie pod stopami, napięcie i drzenie zmęczonych biegiem nóg, zapach morskiej bryzy i to dudnienie w piersiach, gdy z wysiłkiem wciągała powietrze do płuc.

Niestety, Morfeusz na dobre zabrał swe ramiona, w których miłosiernie ją kołysał. Beata otworzyła oczy i spojrzała w biały sufit. Dwa rzędy lamp zimnym, trupim blaskiem jarzeniowych żarówek obdarły ją z resztek snu. Wzrok dziewczyny zsunął się w dół, na ściany wyłożone zielonymi kafelkami, białe parawany oddzielające od siebie poszczególne łóżka i na sprzęt medyczny, do którego była podłączona. Jej uszy nie chciały słuchać monotonnych pisków aparatów, stukotu drewniaków dobiegających z korytarza ani przyciszonych rozmów pielęgniarek. Jeszcze bardziej nie chciała słyszeć dobiegających zewsząd jęków i narzekań, cichych szlochów czy przerażających krzyków, które rozdzierały zarówno martwą ciszę, jak i jej serce.

Zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Szósta pięćdziesiąt. Do jej nosa dotarły poranne zapachy. Woń chorych ludzi, odór krwi i moczu, smród umęczonych nocą ciał, czekających, aż ktoś się zlituje i zmieni przepocone prześcieradła. Nad wszystkim górował wszechobecny, gryzący zapach kreoliny i chloru. Poczowała zbierające się w oczach łzy. Wciąż się dziwiła, że mimo wylanych już hektolitrów jej kanaliki łzowe niestrudzenie produkują nowe słone strumyki, które płyną z oczu na policzki i szyję, moczą dekolt szpitalnej koszuli nocnej. Obojętnie spojrzała w ciemne oczy pochylającej się nad nią pielęgniarki.

- Dzień dobry, pani Beatko. Wypała się pani? Gotowa na nowy dzień?

Mruknęła tylko niechętnie. Nie chciało jej się wysilać, aby odpowiedzieć na te idiotyczne pytania. Jakim cudem mogła się wypaść? Na niewygodnym łóżku, w towarzystwie obcych ludzi i z nieustającym bólem całego ciała? Jak mogła być gotowa na nowy dzień po takim przebudzeniu? Kolejna łza spłynęła miękko po policzku.

- Proszę nie płakać. Żyje pani...

A wcale nie chcę... - pomyślała Beata. Pielęgniarka zajęła się jej toaletą. Przemyła jej ciało gąbką, którą zanurzała w miednicy z mydlaną wodą, po czym wysuszyła je papierowymi ręcznikami. Pachwiny posmarowała sudocremem. - *Boże jedyny... Anka smaruje nim swoje bliźniaki...*

Po dwóch tygodniach przyzwyczała się już do obojętnego dotyku gumowych rękawiczek na swojej skórze,

ale w głębi duszy wciąż czuła zażenowanie i złość.

Pielęgniarka odstawiła miskę z brudną wodą i zajęła się opróżnianiem worków wiszących po obu stronach łóżka. Do nerki spłynęły ropa i krew z drenów tkwiących w plecach, a z drugiego worka - kwaśno pachnący mocz.

- No i gotowe. Jest już pani czyściutka i pachnąca. Za chwilę będzie śniadanie - dodała, odchodząc w stronę kolejnego pacjenta.

Po kilku chwilach do zapachów zanieczyszczających powietrze dołączyła woń spalonego mleka i podgrzanych parówek. Beata z niechęcią skrzywiła nos. Nie miała apetytu. Nie miała chęci ani na paskudną owsiankę, ani na żadne inne jedzenie. Wciąż za to chciało jej się pić. Pragnienie męczyło ją nieustannie, usta były suche jak wiór, a wysuszone gardło piekło gorącym żarem. Całymi litrami piła wodę, soki i herbatę. *W końcu i tak nie czuję, czy sikam, czy nie.* - Bez powodzenia próbowała śmiać się sama z siebie. - *Cofnęłam się w rozwoju do etapu niemowlęctwa...*

Pielęgniarka wmusiła w nią trzy łyżki zupy mlecznej. Stała obok łóżka, smarując masłem kromkę.

- Pani Beato. Nie wyzdrowieje pani, jeśli nie będzie pani jeść.

Na chleb położyła plasterek jakiejś nieciekawie wyglądającej wędliny.

- Proszę. Chociaż tę jedną. Nie chciałabym znów tłumaczyć się na wizycie z pani uporu.

Beata westchnęła i dla świętego spokoju podniosła do ust uszykowaną kanapkę. Smakowała jak papier. Długo żuła

niewielki kęs, a i tak zakrztusiła się, gdy przemielona papka wpadła do gardła. Zaniepokojona pielęgniarka podniosła jej głowę i pochyliła podbródek do mostka. Beata kaszłała dobrą minutę. Po uspokojeniu się otarła łzy i poprosiła siostrę o herbatę. Piła ostrożnie, małymi łydkami, choć jej organizm domagał się szybkiego, łakomego haustu. Oddała pusty kubek i spojrzała na stojącą obok kobietę.

- Nie potrafię jeść na leżąco - odezwała się ze złością. - Ciekawa jestem, jak pani udałaby się ta sztuka.

- Trening czyni mistrza, pani Beatko. - Niezrażona pielęgniarka się uśmiechnęła. - Jeszcze kęs?

Beata odepchnęła rękę z kanapką.

- Ja nie chcę być mistrzem w jedzeniu na leżąco. Nie chcę być najlepsza w sikaniu do wora ani w zużywaniu pampersów na czas!

Wściekłość zabuzowała w jej głosie. Ręce zacisnęły się w pięści, a twarz wykrzywiła w nieprzyjemnym grymasie. Pielęgniarka postąpiła jeszcze chwilę, nic nie mówiąc, po czym zabrała prawie nieruszone śniadanie i poszła przygotować się do wizyty lekarskiej. Beata poczuła wyrzuty sumienia. Zdawała sobie sprawę z irracjonalności wybuchu i własnej niesprawiedliwości względem Bogu ducha winnej kobiety, ale nie potrafiła powstrzymać emocji. Nie umiała walczyć z własnym gniewem, poczuciem bezsilności i niesprawiedliwością losu, a nade wszystko - ze strachem o jutro.

- Dzień dobry.

Ordynator szczecińskiej kliniki był przystojnym

mężczyzną. Miał szpakowate włosy i bujną brodę. Zza grubych szkieł patrzyły zmęczone oczy, które widziały już niejedno ludzkie nieszczęście. Mimo słusznego wieku jego sylwetka była wyprostowana, a biały kitel nie miał ani jednego zagniecenia. Razem z nim, oprócz stałego zespołu lekarzy i pielęgniarek, na salę weszła grupa rezydentów. Młodzi lekarze z ciekawością patrzyli na młodą kobietę o smutnych oczach.

- Pani Beata uległa wypadkowi komunikacyjnemu trzy tygodnie temu - odezwał się ordynator, biorąc do ręki jej kartę chorobową. - Doznała złamania kręgosłupa lędźwiowego i uszkodzenia rdzenia kręgowego.

Rezydenci pochylili się nad dokumentacją.

- Później pokażę państwu na monitorze wyniki prześwietlenia RTG. Wykazało ono zgięciowe złamanie kręgów L1 i L2. Nastąpiła paraplegia oraz porażenie zwieraczy odbytu i układu moczowego. Nie udało się wywołać odruchów kolanowych ani skokowych.

Rezydenci pokiwali głowami, jak marionetki, którymi sterował niewidoczny lalkarz.

- Zastosowaliśmy stabilizację DERO.

Beata obojętnie patrzyła na zasłuchany i potakujący tłum ludzi w białych fartuchach. *Tik-tak... Tik-tak...*

- Kończyny górne mają prawidłowy wygląd i ruchomość, bez patologicznych objawów. Odruchy fizjologiczne są żywe i równe - kontynuował ordynator beznamiętnym tonem.

- Jakie są rokowania? - zapytał jeden z młodych lekarzy.

Szef oddziału spiorunował go wzrokiem i uciął krótko:

- O tym porozmawiamy później.

Uśmiechnął się do pacjentki i skierował całą grupę w stronę nieszczęśliwca leżącego na sąsiednim łóżku. Beata odprowadziła ich wzrokiem.

O rokowaniu porozmawiamy później... To chyba nie rokuje dla mnie najlepiej. Z tonu lekarza starała się wychwycić medyczne niuanse, znaleźć jakieś pocieszenie lub choćby nadzieję, ale na razie misja skończyła się niepowodzeniem. Szukała otuchy pomiędzy wersami, przypatrywała się mimice, dokładnie analizowała każde wypowiedziane słowo i każdy grymas na twarzy doktora. Przy każdej wizycie czekała na informację, że będzie zdrowa, że istnieje cudowny lek, który postawi ją na nogi, że się pomylili i tak naprawdę jej stan jest całkiem błahy. Czekwała na cud, który wciąż nie chciał nadejść. Zamiast niego nadchodziły: zwątpienie, depresja i coraz większe przerażenie.

Po wizycie znów zapadła w drzemkę. Męczącą i niedającą ukojenia. Tym razem nie biegała po łące ani nie przeskakiwała nad morskimi falami. Jechała do Stargardu na przymiarke swej ślubnej sukni. Jej mózg pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami poprzedzające wypadek dni. Widziała złote liście drzew i ostatnie jabłka czerwieniące się w sadzie. Czowała na twarzy delikatne muśnięcia jesiennego wiatru i zapach kawy, którą piły z dziewczynami na tarasie „Rapsodii”. Słyszała beczenie kóz dobiegające zza stodoły, brzęczenie krajzegi, na której Jerzy i Grzegorz cięli drzewo na zimowy opał, i srebrzysty śmiech maluchów Anny,

siedzących na kolanach ciotek.

- Październik jest idealnym miesiącem. - Mariola była etatową romantyczką. - Nazwa długa, więc i małżeństwo długie i udane. R w nazwie obecne, a do tego jaka piękna pogoda...

- Nie bądź taka pewna - zaśmiała się Anna, w odróżnieniu od Mariolki etatowa wariatka. - Ślub dopiero za tydzień. Przez ten czas pogoda może się zmienić i zamiast obrzucać się jesiennymi liśćmi, Beti i Grzesiek będą w siebie rzucać plackami z błota. Ale by były oryginalne foty... A suknia jak by nabrała wyrazu...

- No, ale r w nazwie zostaje nadal, więc szczęście w małżeństwie pewne - pogodziła je Aleksandra, etatowa matka, kucharka i przyjaciółka całego świata.

- No właśnie. A wy kiedy?

Beata była szczęśliwa i chciała, aby to szczęście ogarnęło również jej przyjaciółkę. Aleksandra była od lat zadowoloną z życia mężatką. Jej mąż - brat Anki - również nie miał powodów do narzekań. Związek Marioli i Jerzego przechodził pewne perturbacje, ale od trzech lat przeżywali kolejny miodowy miesiąc, więc nie martwiła się o ich przyszłość. Anna już prawie dwa lata mieszkała z Arkiem, mieli dwójkę cudownych dzieciaków, ale niespieszno im było do ślubnego kobierca.

- Przed śmiercią zdążymy - zapewniła ją Anka. - Po co nam papier? Jesteśmy ze sobą, bo chcemy, a nie dlatego, że tak wypada. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Więcej jest

rozwodów niż ślubów, więc nie mogę jeszcze bardziej pogarszać statystyk. A wiesz, jaka ja jestem. Gdybyśmy zalegalizowali nasz związek, rozwodzilibyśmy się dwa razy w miesiącu.

Jej wesoły śmiech wyraźnie dawał do zrozumienia, że tak samo często pobieraliby się z powrotem. Beata

spojrzała na swojego narzeczonego. Grzegorz był marynarzem. Poznali się w noc sylwestrową dwa lata temu i zaiskrzyło od pierwszego spojrzenia. Grzesiek był członkiem załogi statku, na którym bawiła się ze swoim ówczesnym partnerem. Pod koniec stycznia znów była wolna i z rozpalonymi od emocji policzkami czytała maile i esemesy od zakochanego marynarza. Miesiąc później zostali parą i jej życie w końcu zaczęło układać się tak, jak powinno już dawno temu. Jej marynarz był dowcipny i inteligentny. Pływał tylko po Bałtyku, jako oficer statku wycieczkowego. Najczęściej na Bornholm lub do Szwecji, więc co drugi weekend mogli się spotkać i spędzać ze sobą niezapomniane chwile. Pół roku temu zabrał ją w bajkowy rejs szlakiem bałtyckim. Gdzieś w okolicach Helsinek padł na kolana i wręczając obłędnie piękny pierścienek z trzema brylantami, poprosił ją o rękę. Zgodziła się oczywiście, tryskając fontannami łez szczęścia, i oto już za tydzień powiedzą sakramentalne tak przed ołtarzem choszczeńskiego kościoła, a obrączka połączy ich na zawsze.

- To straszne, ale musimy zmienić kosmetyczkę na ten dzień. - Słowa Anki wyrwały ją z zamyślenia.

Zaśmiała się głośno.

- Prawda. Na mnie nie liczcie. Od rana mam zaplanowaną i maksymalnie wykorzystaną każdą minutę.

- Nie wiem, czy komuś oprócz ciebie mogę zaufać. - Przyjaciółka się nachmurzyła. - Chociaż paznokcie mogłabyś nam zrobić.

- Rany, Anka! Kiedy niby?

- Możesz kilka dni wcześniej - zgodziła się łaskawie Anna, a Beti nie miała innego wyjścia, jak kiwnąć głową na zgodę.

Była kosmetyczką, a Anna i pozostałe obecne kobiety były jej najwierniejszymi klientkami. Od czterech lat malowała im paznokcie, robiła makijaże na gale lub rodzinne imprezy. Dbała o ich twarze, ciała i dobre samopoczucie. Uwielbiała swoją pracę. Miała całkiem spory salon w centrum miasta i liczne grono stałych klientek. Zatrudniała znakomitą fryzjerkę - Elę - we dwie doskonale uzupełniały się w zawodowych zmaganiach o piękno i szyk pań w każdym wieku. Nie opływała w luksusy, ale jej sytuacja finansowa była całkiem niezła. Prawda, że czasem wracała do swego mieszkania na ostatnich nogach, wykończona wielogodzinną, ciężką pracą, jednak zadowolenie i wdzięczność w oczach klientek w pełni rekompensowały jej wszystkie niedogodności. Wlokąc się na czwarte piętro jednego z choszczeńskich bloków, często uśmiechała się do siebie na wspomnienie jakiejś wybitnie spektakularnej metamorfozy.

We wtorek była umówiona na odbiór sukni. Wybierała ją, konsultując się z Anną i Mariolą. Po każdym kolejnym

kieliszku martini przyjaciółki zmieniały zdanie, więc w końcu przestała ich słuchać i zdecydowała się na piękną, długą suknię w kolorze kości słoniowej, z gorsetową górą i długim trenem. Beata miała jasną karnację i biały kolor ślubnej kreacji powodował, że jej blada cera zdawała się jeszcze jaśniejsza. Brązowe, lekko kręcone włosy opadały tuż za ramiona, a niebieskie oczy świeciły jasno na samą myśl o zachwycie w szarych oczach Grzegorza, który z pewnością zaniemówi na widok swej przyszłej żony, wyglądającej niczym prawdziwy anioł. Po kilku wizytach w salonie sukien ślubnych „Podwiązka” w centrum Stargardu niezbędne poprawki zostały wykonane i gotowa suknia czekała na odebranie. Nie doczekała się.

Pogoda była fatalna. Tak jakby Anka miała proroczą moc przepowiedni i wykrakała zmianę złotej jesieni w typową październikową pluchę. Od rana siąpiło, a niebo zasnuwała gruba warstwa nisko wiszących chmur. Mimo to w sercu Beaty świeciło letnie słońce. Nic nie mogło zmącić jej szczęścia. Włączyła głośno radio i prowadząc swojego nissana, podśpiewywała szlagiery. Gdy utwór był mniej znany, słowa przechodziły w dziwne mruzcando, lecz na szczęście obok nie było żadnych uszu, które mogłyby uciepieć od nie zawsze trafionych linii melodycznych. Wycieraczki miarowo zgarniały krople deszczu z przedniej szyby. Czasem nawet udało im się dopasować do rytmu brzmiącej właśnie piosenki, co wzbudzało w Betti niezrozumiałą radość. Tak jakby wszystko dopasowywało się do tempa bicia jej serca. Melodie, krople deszczu malujące

na bocznych szybach falujące zygzaki, kilometry drogi pokonywane kołami żółtego samochodu i liście spadające z drzew w hurtowej wręcz ilości. Tak samo dopasowało się stłumione wycie karetki po nagłej ciszy i ciemności, w której znalazła się nie wiadomo kiedy ani dlaczego.

Nie miała pojęcia, co się stało. Jej mózg w obronnym odruchu wymazał wszystkie fragmenty wypadku. Śpiewała piosenki i przyciskała pedał gazu, a chwilę później słyszała przerażający sygnał nadjeżdżającego pogotowia, ktoś pytał o jej grupę krwi, a przez zamknięte powieki przedzierały się ostre błyski. Kolejne wspomnienie to ucisk kołnierza ortopedycznego na szyi i ciepły dotyk czyjejś ręki. Wiedziała, że jedzie na sygnale, miała wrażenie, że z ogromną prędkością. Czuła każdy podskok auta i każdą dziurę na drodze. Nie czuła za to swojego ciała...

Gdy ocknęła się na dobre, było już po operacji. Leżała naga pod szpitalną pościelą, na twarzy miała aparat tlenowy, z nosa wystawała jakaś dziwna rurka, a dookoła krzątało się pełno ludzi w białych i zielonych fartuchach. Ze wszystkich stron dobiegało denerwujące pikanie różnych aparatów. Jej ręce były pokłute i podrapane. Z worka, wiszącego na stojaku obok łóżka, wprost do jej żyły kapała wolno jakaś mikstura. Nie mogła głębiej odetchnąć. Podniesienie głowy choćby na milimetr było rzeczą niewykonalną. Czaszka rozpadała się na milion drobnych kawałeczków, a język odmówił posłuszeństwa, nie chcąc odkleić się od podniebienia. Czuła, że jeśli za chwilę nie zwilży warg, to nigdy już nie uda jej się otworzyć ust.

Dwie kolejne doby były wyrwane z życiorysu. Obrazy przeplatały się ze sobą niczym w makabrycznym kalejdoskopie. Słyszała głos Grzegorza i płacz mamy. Anna i Mariola coś do niej mówiły, ale słowa przelatwały, nie zatrzymawszy się w głowie. Widziała Arka rozmawiającego z widmowymi sylwetkami w białych kitlach i czuła na swym ciele obce ręce, szarpiące i macające jej obolałe ciało. A może to wszystko tylko jej się śniło...? Może śpi głęboko w swoim własnym łóżku i obudzi się za chwilę? Włoży ślubną suknię, na stopy wsunie białe szpilki, a Grzegorz, przy akompaniamencie organów grających „Marsz Mendelssohna”, nałoży na jej serdeczny palec złotą obrączkę...

Rozdział 2

- Panie doktorze, mija już prawie miesiąc. Czy ona nie powinna poczuć się lepiej? - Grzegorz Tomaszewski nie mógł opanować drżenia głosu.

Przez ten koszmaryny czas schudł pięć kilogramów i postarzał się o dziesięć lat. To miał być ich miesiąc miodowy. Powinni teraz wygrzewać się na Fuerteventurze. Leżeć na białym piasku, którym wysypana jest Playa de Sotavento de Jandía, i podziwiać surferów zmagających się z falami Oceanu Atlantyckiego. Pić kolorowe drinki z palemką i kochać się namiętnie do utraty tchu. Zamiast tego on pił olbrzymie ilości mocnej kawy, a jego narzeczona leżała pod kroplówkami, bledsza od prześcieradeł okrywających jej ciało.

Gdy zadzwoniła do niego matka Beaty, w pierwszej chwili nie zrozumiał jej słów. Kilka razy spojrzął na wyświetlacz komórki, aby upewnić się, że nie jest to jakaś koszmaryna pomyłka. Gdy spomiędzy szlochu i spazmów wyodrębnił poszczególne słowa swej przyszłej teściowej, usiadł na podłodze i długą chwilę nie mógł się podnieść. Zamiast wracać ze Stargardu i mierzyć suknię, Beata

znalazła się w Szczecinie i walczyła o życie.

Nie był w stanie prowadzić samochodu. Zadzwoił do Jerzego, przyjaciel zawiózł go do szpitala. Nie pamiętał drogi, nie rozumiał słów, jego świat stanął na głowie, a najbardziej skrywane lęki wypłynęły na wierzch.

- Panie Grzegorzu, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Ordynator oddziału ortopedii pourazowej nie pierwszy raz przeprowadzał taką rozmowę. Nie pierwszy raz słyszał drżący głos i patrzył w pełne nadziei oczy członków rodzin. Nienawidził momentu, gdy nadzieja ta umierała, zastąpiona bólem, rozpaczą i przerażeniem.

- Pańska narzeczona potrzebuje czasu i bliskości rodziny. Jej życie zamieniło się w piekło i trzeba miesięcy, jeśli nie lat, żeby nauczyła się w tym piekle funkcjonować.

- Lat!?! - W głosie Grzegorza narastała panika.

Ordynator przestawił monitor komputera w kierunku załamane go mężczyzny.

- Proszę spojrzeć. To jest kręgosłup pani Beaty. Na poziomie pierwszego i drugiego kręgu lędźwiowego doszło do złamania. Ostre krawędzie poszarpały rdzeń kręgowy, który uległ całkowitemu przerwaniu. Przykro mi, ale nie było jeszcze w historii medycyny pacjenta, którego rdzeń zregenerowałby się, umożliwiając powrót funkcji nóg.

Grzegorz zbladł i głośno przełknął ślinę, patrząc z niedowierzaniem na lekarza.

- Czy to znaczy... - Straszne słowa nie chciały mu przejść przez usta.

Lekarz stłumił westchnięcie.

- Nie jestem Bogiem. Nie mogę panu powiedzieć, co będzie. Wciąż prowadzone są badania nad komórkami macierzystymi. Naukowcy osiągnęli obiecujące wyniki u laboratoryjnych zwierząt, ale to wciąż jest etap prób, błędów i doświadczeń. Może już jutro dojdzie do fantastycznego odkrycia. Może pana narzeczona okaże się wyjątkiem i jej organizm wytworzy nową drogę dla bodźców neurologicznych. Może stanie się cud. Nie wiem.

Obaj mężczyźni opuścili głowy. Zdawali sobie sprawę, że szansa na ten cud jest mniejsza niż na znalezienie igły we wszystkich stogach siana na całym świecie. Grzegorz podniósł się i skierował do drzwi. Nie był w stanie pójść do pokoju Beti. Musiał wyjść choć na chwilę. Dusił się szpitalnym powietrzem, usłyszane słowa odbierały mu rozum, na widok leżących bez ruchu ludzi miał ochotę biec do przodu i nie oglądać się wstecz. Nie widzieć, nie słyszeć, nie przyjmować do wiadomości... Po kilkunastu minutach bezcelowego wałęsania się dookoła szpitalnych budynków wziął się w garść i wrócił na oddział ortopedii. Wysiłkiem całej woli przywołał na twarz uśmiech i otworzył drzwi.

Beata nie spojrzała na niego. Nie widziała nikogo. Leżała nieruchomo, patrząc w sufit. Wyglądała, jakby tylko ciało znajdowało się na wyciągnięcie jego ręki. Jej dusza, serce, perlisty śmiech i błysk w oku zniknęły bezpowrotnie. Jego narzeczona, którą kochał całym sercem, odeszła, zostawiając tylko wspomnienia i ogromny żal. Współczuł tej biednej kobiecie, która leżała bez ruchu i której świat zawalił się

w jednej sekundzie. Życzył jej siły, szczęścia i tego cudu, o którym mówił lekarz, ale tak bardzo tęsknił za swoją ukochaną...

Przypomniał sobie ich pierwszą po wypadku rozmowę.

- Nic kompletnie nie pamiętasz?

Trzymał w dłoniach jej zimną rękę. Beata leżała płasko na szpitalnych prześcieradłach. Usta miała spękane, a z oczu nieprzerwanie płynęły łzy.

- Nic. Pamiętam, jak nuciłam do wtóru radia, a później już tylko sygnał zbliżającej się karetki. Ordynator powiedział, że na drogę wybiegło stado saren... Jakiś facet jechał z naprzeciwka i wszystko widział. To on zawiadomił pogotowie... Gwałtownie zahamowałam, straciłam panowanie na śliskiej, mokrej drodze i walnęłam w drzewo... Poduszka nie wystrzeliła. Okazało się, że była to tylko atrapa...

Z oczu mężczyzny również pociekły łzy.

- Ale wiem to wszystko wyłącznie z opowiadań. Nie pamiętam nic...

Delikatnie dotknął ustami jej suchych warg i odsunął z jej czoła wilgotny kosmyk włosów.

- Będzie dobrze... Najważniejsze, że żyjesz...

W jego słowach brzmiała żarliwa prośba do wszelkich mocy. Oddałby duszę wszystkim diabłom, żeby tylko móc cofnąć czas.

- Jak się teraz czujesz? Boli cię coś?

Beti z wysiłkiem pokręciła przecząco głową.

- Cały czas jestem na silnych lekach przeciwbólowych.

Tylko te nogi... Są takie ciężkie. Mam wrażenie, że przygniata je jakiś olbrzymi ciężar, choć leży na nich przecież tylko lekka kołdra. Nie mogę nimi ruszyć, nie czuję ich... Tak jakbym kończyła się gdzieś w okolicy pępka. Nie mogę odkaszląć ani wziąć głębszego oddechu i wciąż chce mi się pić.

Pomny ostrzeżeń medycznego personelu namoczył chusteczkę w szklance wody i zwilżył jej usta.

- Daj jeszcze - poprosiła Beti słabym głosem.

- Nie mogę, kochanie. - Boże, jak trudno było jej odmówić. - Lekarze mówili, że mogłabyś zacząć wymiotować...

Jego łza spadła na dłoń Beaty i zmieszała się z łzami spływającymi z jej niebieskich oczu.

Z uśmiechem na twarzy, który nie obejmował jego oczu ani nie ogarniał serca, podszedł do łóżka.

- Już jestem. Potrzebujesz czegoś?

Beti za pomocą pilota podniosła zagłówek łóżka i spojrzała na narzeczonego.

- Tak. Nowych nóg.

- Te stare są całkiem zgrabne - odpowiedział, siadając obok niej.

- Ale do dupy.

- No, do dupy. A dokąd byś chciała? Do szyi? - zażartował, choć wcale nie było mu do śmiechu.

Beti leciutko uniosła kąciki ust.

- Mów. Co powiedział ci doktorek?

Grzegorz milczał. Jak miał przekazać wiadomość o kalectwie? Jak powiedzieć jej, że nigdy już nie pobiegnie, nie założy nogi na nogę, nie poczuje ciepła ani zimna? Że już nigdy nie obejmie go nogami w pasie podczas kochania się? Beata obserwowała go uważnie, odczytując wyrok z jego twarzy.

- Mów.

Z jednej strony chciała żyć w niewiedzy. Chciała ludzi się, że to stan przejściowy i za jakiś, choćby bardzo długi, czas jej nogi odżyją i znów poczuje pod stopami trawę i piasek. Ale była dorosła. Umiała czytać i wyciągać wnioski. Umiała surfować po sieci i znajdować interesujące ją informacje. Przygnębiające informacje...

- Doktor mówi, że potrzeba czasu...

- Ile?

- Dużo... I walki. Musisz walczyć, Beti. Nie możesz się poddawać. Nawet jeśli nigdy już nie staniesz na nogi, to przecież nie jest to koniec świata.

- Nie jest? - Głos Beaty zadrżał. - Chciałbyś do końca życia gnić w łóżku? Nie widzieć więcej nieba ani wody? Być uzależnionym od pomocy innych i zamiast stringów nosić pampersy? Chciałbyś obserwować, jak twoje nogi zmieniają się w martwe, bezużyteczne bądyle? Zazdrościć wszystkim dookoła i znosić pełne litości spojrzenia dawnych przyjaciół?

- Jej głos był pełen gniewu i bezsilności. Okrutne słowa raniły męczyznę prawie do krwi.

- Nie chciałbym. Nikt by nie chciał, ale nie zawsze mamy to, co chcemy. Czasem dostajemy to, czego nie życzylibyśmy

najgorszemu wrogowi, i musimy to zaakceptować. Współczuję ci, Beti. Z całego serca... Ale wierzę w ciebie. Jesteś silna. Przetrawisz to...

Nie umknęło jej uwadze, że Grzesiek użył liczby pojedynczej. Nie powiedział, że to przetrwają, że dadzą radę i zwyciężą. Mówił o niej, nie o nich... Tak. To było do przewidzenia. To było pewne. Nie może mu tego zrobić. Nie może go skazać na życie z kaleką.

Wolnym, lecz stanowczym ruchem ściągnęła zaręczynowy pierścionek. Przez chwilę obracała go w palcach i patrzyła na grę światła odbijającego się w diamentach. Podniosła wzrok na Grzegorza i wyciągnęła w jego stronę dłoń.

- Nie chcę - skłamała.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem i zgrozą w oczach.

- Zabierz go.

Głos Beti był spokojny, jej oczy błyszczały zimnym lodem.

Mężczyzna poczuł pięść zaciskającą się na jego sercu. Poczul wstyd, odkrywając w zakamarku ściśniętego organu obrzydliwą ulgę. Poczul wstręt, gdy zdał sobie sprawę, że oddech zaczyna wracać do jego płuc, a panika opuszcza jego członki. Poczul nienawiść do siebie, gdy zrozumiał, że jedyne, czego pragnie, to wyjść i nie wrócić nigdy więcej. Gardząc sobą z całej duszy, podszedł do wyjścia i nacisnął klamkę. Drzwi nie stawily żadnego oporu. Nawet nie zaskrzypiały.

Wieczność później, choć wskazówki zegara stały prawie w tym samym miejscu, spokój Beaty zamienił się

w armagedon, a lód spłynął oceanem rozpaczy. Patrzyła na drzwi, za którymi zniknęła jej przyszłość, miłość i wiara w człowieka. Za którymi zniknęła jej nadzieja.

Jak urwą mi nogi, to wcale nie będę płakać.

Po tygodniu jej stan wcale się nie poprawił. Stan psychiczny, bo fizycznie było zdecydowanie lepiej. Wciąż leżała w łóżku, ale zamiast obrzydliwej szmaty, którą pielęgniarki nazywały koszulą nocną, miała na sobie własny dres, przywieziony z domu przez mamę. Dwie rehabilitantki stały po obu stronach łóżka i szarpały jej nogami. Zgodnie z zaleceniem lekarskim były to ćwiczenia bierne, ale według Beaty to raczej jakaś kpina. Jedna szarpała prawą nogę, a druga – lewą. Czasami udało im się pracować w równym tempie, ale zazwyczaj podrygiwały niesymetrycznie, miotając łóżkiem na wszystkie strony.

- No mówię ci, jak się wkurzyłam...

Pani Monika pracowała nad prawą nogą. Obiema rękami trzymała łydkę i odchyłała się całym ciałem w tył i z powrotem. Z punktu widzenia Beti wyglądało to, jakby kobieta miała ciężki atak choroby sierocej.

- Wracam do domu, a tam syf. Nieodkurzone, ziemniaki niewstawione, a stary śpi na kanapie...

Pani Jola ćwiczyła nogę lewą. Jej chwyt i ruch były podobne, ale ponieważ ważyła dobre dwadzieścia kilo więcej od koleżanki, kąt odwiedzenia lewej nogi był prawie dwukrotnie większy niż prawej.

- Myślisz, że u mnie inaczej? - Jola ze złością szarpnęła

nogą. - Maciek znowu dostał dwóję z niemieckiego, a na korepetycje wydają połowę pensji.

Fajnie - pomyślała Beti, całkiem bez związku z wypowiedzianą przez Jolę kwestią, w ścisłym za to związku z wyczynami swego ciała. - *Jeszcze ze dwa dni i będę mogła zrobić szpagat...*

Panie zmieniły chwyt i zaczęły naprzemiennie zginać jej nogi w kolanach i biodrach. Czasami im się pomyliło i obie nogi równocześnie wędrowały do góry, a Beata miała uczucie, że zaraz robi przewrót w tył, wprost na podłogę.

- Z mojej pensji to możemy co najwyżej studenta jakiegoś wynająć - żaliła się dalej Jola. - Bierze pięć dych za godzinę, a Maciek jak był głąbem, tak jest dalej...

- Nic nie mów o wypłacie... Ja ubieram się wyłącznie w lumpeksach. A żarcie kupuję, biegając po marketach z gazetkami w ręku. Tu masło, tam wędlinę... Do dupy z takim życiem.

Prawe kolano Beaty dotknęło jej czoła.

Super. Oprócz szpagatu nauczę się jeszcze zakładać stopy za głowę... Po wyjściu ze szpitala mogę się starać o posadę w cyrku...

Oczekiwała z utęsknieniem finiszu rehabilitacji. Terapeutki skończyły gimnastykę nóg i wzięły się za kończyny górne.

- Pani Beatko. Proszę dziesięć razy podnieść i opuścić rękę. Przy unoszeniu wdech nosem, przy opuszczaniu wydech ustami - zakomenderowała Monika, idąc w stronę zlewu. Szorowała ręce mydłem antybakteryjnym, a Jola

w tym czasie siedziała na krześle i patrzyła przez okno. Beti westchnęła i z niechęcią wykonała polecenie.

- Świetnie. Teraz usiadziemy.

To była najgorsza część. Podczas zmiany pozycji w ciele Beaty zaczynały szaleć jakieś dzikie wiry i tornada. Po minucie zaczynało się jej kręcić w głowie, obraz rozmywał się i falował, a w uszach narastał nieprzyjemny szum. Rehabilitantki siedziały po jej obu stronach, przytrzymując plecy i nie przestając gadać.

- Michał to jest jednak świnia - stwierdziła Jola zde gustowanym tonem. - Prosiłam go jak człowieka, żeby poszedł do tego amputowanego dziadka na czwórkę. Doskonale wie, jak nienawidzę zakładania protez. Już tysiąc razy wolę machnąć bierne, niż użerać się z tym cholerstwem. A on, że nie! Powiedział, że ma swoją salę i nie będzie mnie wyręczał.

Jedną ręką oklepywała plecy pacjentki. Po wyjątkowo silnym klepnięciu między łopatki Beti ujrzała wszystkie gwiazdki.

- No, świnia - potwierdziła Monika. - Ja go wczoraj prosiłam, żeby skoczył na parter po kawę, i też odmówił. A nawet kasę mu dałam. Powiedział, że jesteśmy w pracy, a nie w kawiarni. Służbista cholerny. Sama musiałam iść.

Beata poczuła sympatię do nieznanego Michała. Nie znała się na rehabilitacji, podejrzewała jednak, że oklepywanie nie ma na celu odbicia nerek ani połamania żeber. Stwierdziła, że dłużej nie wytrzyma. Zbierało jej się na wymioty, paplanie rehabilitantek działało na nerwy, a widok

bezwładnie wiszących nóg przygnębiał doszczętnie.

- Możemy już skończyć? - zapytała z nadzieją. Oberwała jeszcze kilka razy po plecach i panie fizjoterapeutki łaskawie pozwoliły jej się położyć. Odetchnęła z ulgą, gdy nakryły ją kołdrą i zebrały się do wyjścia.

- Jutro zacznie pani ćwiczenia na sali gimnastycznej - obiecała Monika.

- Z Michałem - zagroziła Jola.

Dzięki Bogu, że nie z wami. - Beata uśmiechnęła się do obu pań. Miała szczerą nadzieję, że te biedne, zapracowane i słabo opłacane kobiety już więcej nie będą musiały się z nią użerać.

Na ekranie laptopa, postawionego na małym, przenośnym stoliku, leciała jakaś komedia. Przez kilka pierwszych minut usiłowała oglądać. Mama i dziewczyny tak się starały... Anka wgrała niezliczoną ilość komedii i filmów fantasy, a Mariola - jakieś romantyczne bzdurki. Aleksandra uszczęśliwiła ją tysiącem logicznych i strategicznych gierek oraz linkami do przeróżnych blogów. Gdyby chciała wszystko obejrzeć i przeczytać, musiałaby zostać w szpitalu jeszcze co najmniej z dziesięć lat. Migające przed oczami obrazy i słuchawki w uszach oddzielały ją od szpitalnej rzeczywistości. Została przeniesiona na dwuosobową salę, jej warunki nieco się polepszyły, ale szpital wciąż napawał ją lękiem i niepewnością. Dzięki staraniom Jurka miała dostęp do Internetu i wieczorami długo rozmawiała na GG z Anną.

Wyciągnęła z szuflady swój pierścionek. Na jej palcu wciąż odznaczał się cienki, biały ślad. W słuchawkach rozległ

się głośny śmiech, a na ekranie jakaś parka obrzucała się poduszkami. Beata podniosła wyżej lśniący krążek i przypomniała sobie wymianę zdań z przyjaciółką.

„Pozwoliłam mu odejść”.

„Jak to: odejść?”

„Zwróciłam mu wolność. Anka... ja już nigdy nie będę chodzić”.

Zapłakane emotikony zapełniły kilka linijek.

„Wiem. Mówiłaś to już sto razy. Moje dzieci też jeszcze nie chodzą, a to nie znaczy, że ich nie kocham”.

Wykrzykniki zajęły dwie linijki.

„To chyba nie to samo, nie?”

W eterze zaległa cisza.

„Nie rozumiem tego. On kochał ciebie czy twoje nogi? Jak mógł się tak nagle odkochać?”

Anka nie rozumiała, ale Beata potrafiła wczuć się w sytuację Grzegorza. Oczywiście, że bolało... Wylała kolejne morze łez. Buntowała się przeciwko losowi i bezsilności. W myślach wyzywała byłego narzeczonego najgorszymi inwektywami. Gardziła jego słabością i tchórzostwem. Potępiała za wygodnictwo i odwrócenie się plecami w momencie, w którym najbardziej potrzebowała jego miłości i pomocy.

Trudno. Widocznie w chmurach zapisano mi, że będę żyła samotnie. Że spędzę żywot w łóżku, oglądając stare komedie, gapiąc się w sufit i robiąc pod siebie.

Nie zabrał pierścionka. Resztki jego dumy nie pozwoliły

na ostateczne zhańbienie męskiego honoru. Wiedziała, że mu wstyd. Po jakimś czasie nawet mu współczuła. Nie takie życie planowali. Oświadczając się pięknej, zdrowej kobiecie, Grzegorz nie miał w planach wnoszenia wózka inwalidzkiego na czwarte piętro ani zmieniania pampersów swojej żonie. Nie myślał o wizytach lekarskich, rehabilitacji ani środkach opatrunkowych. Nie marzył o długich, bezsennych nocach ani o zimnych, martwych nogach żony leżących bezwładnie obok jego silnych, umięśnionych kończyn.

Nie zgodziła się na odwiedziny, pogaduszki telefoniczne czy maile. Postanowiła pozbyć się tego wrzodu natychmiast i do końca. Wycisnąć, odkazić i zapomnieć. Poprosiła Arka, żeby sprzedał diamenty, a pieniądze przeznaczył na schronisko dla psów, w którym od kilku lat pracuje charytatywnie. Pracowała... Arek, który również za darmo oferował biednym czworonogom swoje weterynaryjne usługi, z pewnością dobrze wykorzysta fundusze.

Odłożyła pierścionek i usiłowała skupić się na filmie.
Jutro kolejny dzień. Tak samo beznadziejny...

Rozdział 3

Po porannej wizycie zakuto ją w jakiś koszmarny pancerz. Dolna część cisnęła ją w brzuch, a górna - w żebra.

- To jest gorset Jewetta - wytłumaczyła pani Monika, szarpiąc się z paskami. - Stabilizuje kręgosłup w płaszczyźnie strzałkowej i odciąża odcinek piersiowo-lędźwiowy.

Po kilku próbach zdołała dopiąć tylną pelotę. Zadowolona z siebie spojrzała z dumą na Jolę.

- No, udało się. To co? Na łóżku ją wieziemy czy na wózek?

Jola chwilę się namyślała.

- Na łóżku. Niech się z nią Michał później szarpie.

Halo! Ja tu jestem! - Beti miała dziwne wrażenie niewidzialności.

Monika odblokowała hamulce i obie kobiety z cichym sapnięciem pochyliły się nad Beatą. Jedna złapała za przednią ramę łóżka, druga za tylną i Beata po raz pierwszy od ponad miesiąca wyjechała ze swojej sali. Mimo lekkiego strachu i obawy co do kolejnych godzin jej przesranego życia z ciekawością wodziła oczami dookoła siebie. Co prawda nie

za bardzo było na co patrzeć. Korytarz wyglądał jeszcze gorzej niż jej pokój. Poobdzierane ściany w beżowym kolorze gryzły się z zabójczo fioletową podłogą. Wisiało na nich pełno plakatów, a każdy straszył groźną chorobą, jeśli nie kupi się leku polecanego przez producenta. Mijające ją w pośpiechu pielęgniarki nie zwracały najmniejszej uwagi na drobną kobietę wywożoną nie wiadomo dokąd.

Trzyosobowa procesja zatrzymała się przed windą. Jola przycisnęła guzik, otworzyły się masywne drzwi i przy akompaniamencie zgrzytów i jęków wszystkie kobiety wtarabaniły się do środka.

Oddział rehabilitacji mieścił się na trzecim piętrze. Beata miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w innym świecie. Cicho, nikt nie biegał ani nie krzyczał. Ściany pomalowane ciepłym, jasnym pomarańczem, chcąc nie chcąc, poprawiały nastrój. Wzdłuż nich ciągnęły się poręcze. Na końcu korytarza zauważyła coś w kształcie długiego wybiegu. Obok stało dziwne podwyższenie, kojarzące się jej z podium, na którym dekorowano zwycięzców sportowych zmagania. Na parapetach okien stało nawet kilka kwiatów. Kobiety popchnęły ją do szerokich drzwi. Monika otworzyła je na oścież, a Jola wciągnęła łóżko do środka.

- To jest ta Beata. Od dziś ty ją przejmujesz - odezwała się z ulgą rehabilitantka.

- I nie myśl, że codziennie będziemy ci ją tu przywoziły. Sam sobie radź - dodała druga. Widocznie Beti nadal była przezroczyta.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, obie panie wyszły,

trzaskając drzwiami. Beata poczuła się nagle bardzo osamotniona. Nie lubiła ani jednej, ani drugiej, ale były jakimiś stałymi elementami w jej nudnej wegetacji. Nie odczuwała żadnej satysfakcji ani przyjemności z pracy z nimi, ale przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać. A teraz? Denerwowało ją, że nic nie widzi. Leżała płasko na łóżku, gorset uwierał ją cholernie, a do tego nie słyszała żadnych głosów, z wyjątkiem cicho brzęczącego radia. W polu jej widzenia znajdowały się jakieś nieznane narzędzia tortur. W kącie, niczym w zoo, stała okratowana klatka, z sufitu zwisały linki z ciężarkami, a jedna ze ścian obudowana była drewnianymi drabinkami. Poleżała jeszcze kilka minut, po czym wymacała dłonią pilota i coraz bardziej zaniepokojona dziwną ciszą oraz brakiem jakiegokolwiek zainteresowania ze strony personelu postanowiła podnieść zagłówek. Szum mechanizmu zabrzmiał jak wycie orkanu. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła wpatrującego się w nią faceta w błękitnym kitlu.

- No, nareszcie - odezwał się głośno. - Już myślałem, że całą godzinę będziesz tu leżeć jak zwłoki.

Beata oniemiała.

Wieczorem nadal nie mogła dojść do siebie. Po kolacji, na którą podano jajko i dwie kromki chleba oraz kosteczkę margaryny udającą masło, rozpoczął się zwykły rozgardiasz, towarzyszący wieczornemu obchodowi.

- No - ucieszyła się siostra Renia. - W końcu odzyskała pani apetyt.

Beata ze zdziwieniem popatrzyła na swój pusty talerz. Nawet nie zauważyła, że zjadła wszystko, co do ostatniego okruszka. Machinalnie podnosząc do ust kanapkę, myślała o wariacie, w mocy którego znalazła się dzisiejszego dnia. *Boże... Ja chcę z powrotem Jolę i Monikę...* - pomyślała w panice.

Wieczorna wizyta lekarska nie była tak oficjalna, jak poranna. Lekarz przychodzący na nocną zmianę w towarzystwie pielęgniarki odwiedzał pacjentów i zapoznawał się z bieżącą sytuacją. Dzisiejszej nocy dyżur miał doktor Gerard, jeden z jej ulubionych lekarzy. Właśnie wchodził na salę, poprzedzany przez siostrę Renię.

- Dobry wieczór, pani Beatko. - Podszedł do jej łóżka i uśmiechnął się mile. - Jak się pani czuje po dzisiejszych zmaganiach z własnym ciałem?

- Ma pan na myśli moją rehabilitację? - upewniła się Beti. Gerard skinął głową. - Więcej tam nie pójde - oświadczyła stanowczo.

Lekarz wcale nie wydawał się zdziwiony. Wręcz przeciwnie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, jakby dokładnie takich słów się spodziewał.

- Nasz rehabilitant dał pani popalić?

Beti podniosła na niego wzrok.

- To nie rehabilitant - orzekła z całą stanowczością. - To jakiś sadystyczny psychopata.

Oboje przedstawiciele służby zdrowia zachichotali zgodnie.

- Taa... - Uśmiech nie schodził z lekarskiej twarzy. -

Często to słyszę... Ale to jest naprawdę doskonały specjalista.

- Od czego? - Beti nie dała się przekonać. - Od wyśmiewania się z chorych i doprowadzania ich do pasji?

Doktor Gerard przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka.

- Magister Michał Szymaniuk jest naszym najlepszym fizjoterapeutą. Ma olbrzymie doświadczenie i osiąga doskonałe wyniki w rehabilitacji osób z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Ukończył wiele kursów kształcących. Pracuje głównie metodą PNF, czyli Proprioceptive Neuromuscular Facilitation, po naszymu to torowanie nerwowo-mięśniowe. Jest to metoda posiadająca własną koncepcję i filozofię pracy z pacjentem. Typowa, klasyczna fizjoterapia skupia się na wzmocnieniu siły mięśni i zwiększeniu zakresu ruchomości stawów - tłumaczył wyczerpująco. - Koncepcja PNF polega na tym, że terapeuta pomaga pacjentowi odkryć, jak funkcjonować w świecie pomimo swoich ułomności. Michał nie patrzy na skalę Lovetta ani Ashwortha. Jest mu obojętne, do jakiego kąta zgina się kończyna w stawie. Interesuje go za to, czy pacjent umie się ubrać, przemieszczać, podrapać po nosie... Nauczy, jak robić zakupy, zbierać grzyby, tańczyć...

- Tańczyć? To jakiś żart? - Nie była w dobrym nastroju. Była wściekła. - Nie będę chodzić, a pan mi mówi o tańcu? Nie jestem w stanie założyć skarpetek, a rozmawiamy o zbieraniu grzybów? Dobranoc, panie doktorze. Mam złamany kręgosłup, ale mózg wciąż jeszcze funkcjonuje.

Odwróciła się tyłem do przemądrzałego doktora i udała, że nagle ogarnęła ją senność. Było jej obojętne, że zachowuje się niegrzecznie. Gerard, podobnie jak Michał, był zdrowy. Łatwo perorować o walce i niepoddawaniu się. Słowa nic nie kosztują! Poczekała, aż ubrani w uniformy żartownisie zamkną za sobą drzwi, i ponownie zanurzyła się w prywatnym bajorze żalu, bezsilności i strachu.

Płacz jej nie pomógł. Jak zwykle zresztą. Choćby nie wiadomo ile łez wylała, odmówiła miliony modlitw do świętych i potępionych, złożyła najdziwniejsze obietnice Bogu i diabłu, i tak rano budziła się w szpitalnym łóżku z martwymi nogami. Choć wysilała się ponad możliwości, zagryzała wargi do krwi, a paznokcie niczym szpony wbijała w swe dłonie, nie udało jej się poruszyć nawet najmniejszym palcem stopy. Nie potrafiła przesunąć kończyny ani o milimetr. Chcąc nie chcąc, wróciła myślami do swej rozmowy z piekielnym fizjoterapeutą.

- Nazywam się Michał Szymaniuk. Zwracaj się do mnie, jak sobie chcesz.

Nie zwróciła się do niego w ogóle, nie wiedząc, czego się spodziewać po nowym rehabilitancie, na dzień dobry porównującym ją do zwłok.

- Podobno wciąż masz problemy egzystencjalne? - Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.

- A ty nie masz? - wymknęło jej się.

Mężczyzna uśmiechnął się z satysfakcją.

- Mam. Wolałbym być smokiem. Ale nie jestem.

- Ogniem jednak umiesz zionąć - mruknęła pod nosem Beti.

Michał uśmiechnął się jeszcze szerzej. Stał na tle okna i niezbyt dobrze widziała jego twarz. Było słoneczne, wczesno grudniowe przedpołudnie. Zwinięte rolety nie zasłaniały okna i słońce świeciło jej prosto w oczy. Widziała wysoką, barczystą sylwetkę i szopę kręconych włosów.

Rehabilitant podszedł do łóżka i usiadł obok Beaty. Odwrócił się do niej twarzą w twarz i popatrzył uważnie. Jego oczy były równie niebieskie jak jej. Nawet włosy miały podobny odcień. Wbrew sobie poczuła cień sympatii do ubranego na niebiesko mężczyzny.

- Zacznijmy od tego, co już umiesz - zaproponował.

Beti spojrzała na niego, nie wiedząc, o co pyta. Nie spodobał jej się pełen wyższości ton jego wypowiedzi. Nic sympatii rozviała się niczym siwy dym.

- Umieć czytać i pisać - odpowiedziała ironicznie.

- Fantastycznie. Ale liczenie chyba jeszcze lepiej ci wychodzi. Szczególnie mnożenie i dzielenie - stwierdził równie ironicznie.

- Co masz na myśli? - Nastroszyła się jeszcze bardziej.

- Mnożysz problemy i dzielisz włos na cztery. Typowe dla bab.

Ponownie zaniemówiła. *Co za typ! Jak on może tak do mnie mówić? Czy ten kretyn nie widzi, że ja jestem sparaliżowana? Nie muszę mnożyć problemów. Same się namnożyły!*

- Ty na pewno nie minąłeś się z powołaniem? Twoja

praca to służba zdrowia. Słyszysz to? Służba!

Wyniosły uśmiezek wypełził na jego wargi.

- Służbą to będziesz na tej sali ty. Będziesz robiła, co ci każę, słuchała, czego mówię, i stosowała się do poleceń. Rozumiemy się?

- Jesteś bezczelny! Gdyby nie to, że jestem przykuta do tego cholernego łóżka, wyszłabym stąd natychmiast.

Nie mogła uwierzyć, że był tak bezduszny. Nikt z personelu tak jej nie potraktował. Nawet Jola i Monika były lepsze od tego cynicznego gnojka.

- Nieprawda. Podoba ci się to.

Z wściekłością podniosła rękę, aby go uderzyć, lecz męczyzna bez problemu ją unieruchomił. Popatrzył jej w oczy.

- Gdyby było inaczej, dążyłabyś do samodzielności. Podoba ci się, że wszyscy koło ciebie skaczą, podają do łóżeczka jedzonko... Możesz zwałać robotę i problemy na barki innych i roztkliwiać się nad swoim nieszczęściem. Nie musisz nic robić, podejmować żadnych decyzji, pchać pod górę ogromnego głazu z niepewnością, czy nie potoczy się za chwilę w dół. Masz luksus narzekania na podły los i obwiniania go o wszystko złe. Ty jesteś ofiarą. Wszyscy dookoła są źli.

Mogłaby powiedzieć mu, jak się myli. Mogłaby wykrzyknąć o Grzegorzu i o swojej samotności. O kroplach potu spływających po czole na skutek ogromnego, bezskutecznego wysiłku ruszenia stopą. Ale po co? Czy jest na świecie ktoś, kto mógłby ją zrozumieć? Czy syty zrozumie

głodnego lub zakochany samotnego? Czy lecący w przestworzach orzeł poświęci choć jedną myśl leżącemu bez ruchu, martwemu głazowi? Popatrzyła na pyszałka z urazą.

- Bądź pewny, że złożę na ciebie skargę u ordynatora.

- Będę zaszczycony.

W ogóle się nie przejął. Opuściła oparcie łóżka, bo w pólśiedzającej pozycji diabelny gorset uwierał ją jeszcze bardziej. Michał wstał i bezceremonialnie obrócił ją na bok. Odpiął tylną pelotę i skorygował długość pasków.

- Boże, co za idiotki... - mruknął pod nosem. Mimo złości poczuła odrobinę wdzięczności, gdyż jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki gorset przestał być zmorą tego dnia. - Lepiej? - zapytał normalnym tonem.

- Tak. - Poczuła się w obowiązku odpowiedzieć, choć zrobiła to bardzo cicho. - Dziękuję - dodała jeszcze ciszej.

Michał wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił, popychając przed sobą wózek inwalidzki. *O nie! Tylko nie to!* - pomyślała w panice. Wózek kojarzył się jednoznacznie. W łóżku wyglądała, jakby miała... na przykład grypę. Osoba poruszająca się na kółkach była zdecydowanie kaleką. *Przepraszam bardzo... osobą niepełnosprawną* - poprawiła sama siebie z gorzką ironią. - *Kaleka to słowo niepoprawne politycznie.*

- Spróbujesz czy jesteś za bardzo próżna?

Michał czytał w jej myślach.

Nie dam ci satysfakcji, dupku jeden - postanowiła. Jeszcze wyżej uniosła podgłówek i popatrzyła w oczy

mężczyźnie. Chyba spodobało mu się wyzwanie w jej oczach, bo jego uśmiech stał się całkiem szczery.

- Nie szalej. Po prostu cię przeniosę.

Złapał ją wpół i posadził na siedzisku wózka.

- Boże... Dziewczyno, ty nic nie ważysz - burknął z dezaprobatą.

Nie miała czasu odpowiedzieć. Napawała się szerokim polem widzenia, jakie nagle otworzyło się przed jej oczami. Kręciła głową na wszystkie strony, starając się odgadnąć przeznaczenie konkretnych, nieznanych jej przedmiotów. Nie nakręciła się za wiele, bo już po chwili, zgodnie zresztą ze swoimi przypuszczeniami, usłyszała znajomy szum w uszach i poczuła słodki smak w ustach.

- Kręci mi się w głowie. - Własna słabość doprowadzała ją do szału.

- Widzę. Jesteś blada jak ściana.

Stanął z tyłu wózka, pociągnął jakieś dźwignie i opuścił oparcie do pozycji poziomej.

- Minuta przerwy i jedziemy z powrotem.

- Nie dam rady. - Z całych sił powstrzymywała wymioty.

- Dasz - zapewnił ją Michał.

- Jasne... Wszystkowiedzący...

Po minucie posadził ją ponownie.

- Oddychaj normalnie. Nie wentyluj się za bardzo. Spróbuj zaangażować przeponę.

Złapał się za brzuch i zademonstrował oddychanie torem dolnożebrowym.

- Na wdechu wypinaj brzuch, na wydechu wciągaj.

Spróbowała. Po minucie mroczki przed jej oczami nabrały tempa miniwyścigówek. Nie musiała nic mówić. Michał błyskawicznie opuścił oparcie i obserwował ze spokojem jej twarz zmieniającą kolory. Gimnastykę tę powtarzali całą godzinę. Pod koniec wytrzymywała w pozycji siedzącej dobre pięć minut.

- To bez sensu - stwierdziła na koniec terapii, gdy Michał położył ją z powrotem do bezpiecznego i stabilnego łóżka. - Sam widzisz, że z tego nic nie będzie. Nie jestem małym dzieckiem, żeby przez godzinę bujać się na jakiejś koszmarnej huśtawce. Zostaw mnie w spokoju. Nie chcę z tobą ćwiczyć. Już lepiej niech Jola i Monika szarpią mnie za nogi.

Mimo że pozornie nic nie robiła, była wykończona. Bolały ją głowa i żołądek, wciąż miała odruchy wymiotne i marzyła tylko o tym, żeby wrócić na swoją salę i iść spać.

- No jasne. - Michał był niewzruszony. - Jaśnie pani będzie mogła znów się użalać, a inni niech machają biednymi nóżkami...

- Jesteś podły.

- Dziękuję za miłe słowo. - Uśmiechnął się wrednie i zadzwonił po pielęgniarki. - Tu sala gimnastyczna. Proszę przyjść i zabrać ode mnie ten leniwy worek kości...

Rozdział 4

Buntowała się przez cały ranek. Następnego dnia po śniadaniu zdecydowanie odmówiła włożenia spodni dresowych i nie zgodziła się na transport na salę gimnastyczną. Nie pomogły perswazje pielęgniarek ani nakazy lekarzy. Zapała się jak osioł. Po śniadaniu włączyła laptopa z zamiarem obejrzenia jakiegoś filmu. Widok Michała zaszokował ją kompletnie. Mężczyzna stanął w drzwiach, uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic, podszedł i wyłączył komputer.

- Chyba za dużo sobie pozwalasz. - Jej ton mógłby zmrozić Morze Śródziemne.

Spojrzał na prawie nieruszone śniadanie.

- Strajk głodowy tani i zdrowy. - Z ironicznym uśmiechem wskazał ręką znienawidzony wózek i znienacka odkrył kołdrę. Nie zdążyła jej złapać.

Z czerwonymi ze złości i wstydu policzkami zasłoniła swe nagie uda.

- Czyś ty zwariował!?

- Chyba ty zwariowałaś. Myślisz, że błysniesz gołymi nogami i już mnie masz? O moje względy musisz się postarać

trochę bardziej i całkiem innymi sposobami niż dieta i fanaberie.

Zatkało ją. Nie zważając na protesty, wciągnął na jej nogi dresowe spodnie, wpakował ją na wózek i wywiózł z sali. Kątem oka spostrzegła uśmiechy pielęgniarek, domyśliła się więc, że wołanie o pomoc będzie stratą czasu. Ze złości nie zauważyła nawet, że szумы ani mroccki nie zaatakowały jej zmysłów. Dopiero na sali gimnastycznej zrobiło jej się słabo.

- Będę rzygać - zagroziła.

- Rzygaj - zgodził się Michał i podał jej nerkę. Zlitował się jednak na widok jej pozieleniałej twarzy i opuścił oparcie.

Po dwóch minutach wróciła do siebie. Myślała, że znów będzie huśtał ją jak dziecko, ale podjechali do jednego ze stołów. Przełożył ją na blat i przypiął w talii oraz w kolanach skórzanymi pasami, a do jej ręki wsunął pilota.

- To jest stół pionizacyjny. Podnoś się na tyle, na ile dasz radę. Jak poczujesz mdłości, przyciśnij guzik „down” i stół się opuści.

Sam jesteś down - pomyślała z uczuciem Beti.

Mężczyzna usiadł za biurkiem i zaczął wypełniać jakieś dokumenty, tracąc zupełnie zainteresowanie jej osobą. Przysięgła sobie, że nawet nie dotknie cholernego guzika. Leżała jak nieżywa, nie zaszczycając Michała ani spojrzeniem, ani żadnym słowem. Za kilka chwil drzwi sali otworzyły się i wszedł jakiś pacjent. Miał około pięćdziesięciu lat i poruszał się przy pomocy kuli łokciowej. Jego chód był niepewny i ostrożny, ale twarz - uśmiechnięta.

- Cześć, Michał!

- Cześć, Antek!

Fizjoterapeuta odłożył papiery i ciepło przywitał się z przybyłym. Podeszli do zakratowanej klatki. Chory położył się na kozetce, a Michał przy pomocy specjalnego systemu linkowo-bloczkowego odciążył jego nogę i rozpoczęli ćwiczenia. Beata poobserwowała ich chwilę, po czym postanowiła jednak zaryzykować. Przycisnęła przycisk, rozległ się cichy szum i stół płynnie powędrował do góry. Ze strachem unosiła się do pionu.

Przy kącie około czterdziestu pięciu stopni zatrzymała mechanizm. Oddychała głęboko, tak jak nauczył ją pan przemądrzały, pewna, że zaraz zaczną się ortostatyczne rewelacje. Ku jej zdziwieniu nic się nie działo. Ostrożnie podniosła stół jeszcze wyżej. Przy siedemdziesięciu pięciu stopniach poczuła, że stoi. *Boże... Co za cudowne uczucie...* W jej oczach pojawiły się łzy. Nie widziała uśmiechu Michała. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest na dworze. Że słońce ogrzewa jej twarz, a wiatr rozwiewa włosy. Że wystarczy tylko oderwać stopę, zrobić krok i pójść przed siebie.

Bez celu, bez planu, bez wysiłku... po prostu iść.

Od tej pory coś zmieniło się w psychice Beaty. Nadal co rano kłóciła się z pielęgniarkami, nadal miała obrażoną minę, gdy wjeżdżała na salę gimnastyczną, ale bardziej chyba z przekory niż z przekonania. Gdy zapominała o obrazie majestatu, ćwiczenia przynosiły jej prawdziwą satysfakcję. Michał nie zwracał uwagi na jej humorki i robił swoje. Nie

było między nimi specjalnej zażyłości. Nie rozmawiali o niczym więcej niż o planie rehabilitacji, jej coraz większej samodzielności i celu poszczególnych ćwiczeń, ale Beti czuła, że jego stosunek do niej zmienił się diametralnie. Nie traktował jej już jak rozpieszczonego bachora ani rozwydrzonej paniusi, ale jak człowieka ciężko walczącego o poprawę losu.

Doceniał osiągnięcia i dopingował do kolejnych wyzwań. Nie mogła się nadziwić, jak cieszyły ją, nieczęste zresztą, pochwały z jego ust. Po wykonaniu jakiegoś szczególnie trudnego zadania patrzyła z dumą w jego oczy i na widok uśmiechu jej serce rosło w piersi.

Szybkimi krokami zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Na porannej wizycie ordynator wyszczerzył się do niej szczególnie serdecznie.

- No, pani Beatko. W Wigilię pojedzie pani do domu. Naładuje akumulatory i po Nowym Roku wróci na oddział z nowymi siłami i entuzjazmem. Wypiszemy przepustkę na dziesięć dni. Cieszy się pani?

- Bardzo - skłamała.

Tęskniła za domem. Chciała znaleźć się we własnym mieszkaniu. Usnąć i obudzić się w swoim łóżku, włączyć ulubiony kanał w telewizji i spotkać się z przyjaciółmi. Równocześnie panicznie się bała. Nie wyobrażała sobie Wigilii i świąt spędzonych w łóżku. *Boże, jak ja się dostanę na przekłętą czwarte piętro?* Wiedziała, że ktoś ją wniesie, ale wiedziała też, że upokorzenie będzie koszmarne.

Dwudziestego trzeciego grudnia miała straszną chandrę. Wykonywała zalecone czynności, ale bez entuzjazmu. Michał zerkał na nią co chwila, aż w końcu podszedł i zatrzymał rowerek, na którym jej nogi wykonywały równomierne obroty.

- Co z tobą, Beti? - zapytał niezadowolony. - Nic nie robisz.

- Przecież kręcę - oburzyła się.

Michał powątpiewająco pokręcił głową.

- Nie ty, tylko silnik rotora.

- A niby jak mam kręcić sama? Chciałam ci przypomnieć, że mam porażone nogi.

Znała odpowiedź, bo Michał tłumaczył jej to już sto razy. *A pogadaj sobie jeszcze raz* - pomyślała niechętnie.

Mężczyzna westchnął ciężko.

- Myśl o ruchu. Wysil się. Pracę mięśni wykonuje maszyna, ale twój mózg musi brać w tym udział. Mówiłem ci sto razy o propriocepcji!

- Wiem, wiem... Czucie ciała w przestrzeni, mechanoreceptory, ciała Paciniego, Golgiego... Mogłabym doktorat o tym napisać.

Michał uśmiechnął się mimo irytacji.

- No, skoro wiesz, to myśl.

- Nie mogę. Cały czas myślę tylko o domu i świętach. Jestem przerażona. - Poczula w oczach łzy. - Ty nie wiesz, jak to będzie. Mama będzie szczebiotać wesoło, chowając się co chwila w kiblu, abym nie widziała jej zapłakanych oczu. Koleżanki będą sztucznie się uśmiechać i udawać, że

wszystko jest tak jak kiedyś, przed wypadkiem. Ja będę robiła dobrą minę do złej gry, z utęsknieniem czekając, aż sobie pójdą i zostawią mnie w spokoju.

Strumyki łez płynęły po jej policzkach, ale Beata nawet nie próbowała ich powstrzymać.

- O północy wszyscy pójdą na Pasterkę i pod kościołem będą gadać o mnie z litością, wspominając być może zeszłe lata, gdy wszyscy razem świetnie się bawiliśmy. W kolejne dni będą się wzajemnie odwiedzać, pójdą na spacer, może na jakieś balety... A ja będę leżeć w łóżku i patrzeć w sufit.

Michał... Czemu to mnie spotkało? Co ja komu zawiniłam? Dlaczego ja?

Boże, czemu nie zginęłam w tym cholernym wypadku...

Wiedziała, że nie ma odpowiedzi na te pytania. Zdawała sobie sprawę, że Michał nie powie jej nic mądrego. Sam tylko Bóg byłby chyba w stanie oświecić ją w tej materii, ale już dawno przestała się do Niego modlić.

Michał dał jej chwilę na płacz, po czym podał pudełko chusteczek.

- Wytrzymaj nos. Jedziemy na spacer, chciałbym ci przedstawić kilkoro ludzi.

Nie pytając jej o zgodę, wyprowadził wózek na korytarz. Beata otarła oczy i wysmarkała nos.

- Puść mnie. Sama pojedę.

Manewrowanie znienawidzonym pojazdem nie sprawiało jej już trudności, pod warunkiem że podłoże było płaskie. Każde wzniesienie lub nierówność terenu stanowiły wyzwanie, ale zaciskała zęby, wyęczała mięśnie ramion i

kręciła kółkami z całych sił, nie pozwalając się wyręczać. Faktem jest, że Michał nie był do wyręczania zbyt chętny. Wręcz przeciwnie – celowo wybierał jak najtrudniejszą drogę, zmuszając Beatę do ciężkiej pracy. Nie oponowała, widząc efekty. Jej ręce nabierały sił, po zawrotach głowy nie było śladu, a po pokonaniu jakiejś trudności czuła olbrzymią satysfakcję.

Jechała obok, bez problemu dotrzymując mu kroku. Michał zatrzymał się obok drzwi jednej z nielicznych na tym piętrze sal chorych. Otworzył je i puścił przodem kobietę. Beata ujrzała młodego chłopaka leżącego w łóżku.

Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat.

- Cześć, Szymek. Przyprowadziłem ci gościa. To Beata – przedstawił ją Michał i podszedł do wysokiego łóżka. Wziął do ręki pilota zawieszzonego na bocznej ramie i podniósł zagłówek. Oczom Beaty ukazała się sympatyczna, piegowata twarz.

- Cześć – odezwał się młodzieniec. Leżał bezwładnie, przykryty lekkim kocem. Dłonie leżące na wierzchu były nieruchome i dziwnie zapadnięte.

- To jest Szymon. – W głosie Michała usłyszała ciepło i troskę. – W lipcu niefortunnie skoczył na główkę do jeziora w swojej miejscowości. Skakał tam nie pierwszy raz, doskonale znał brzeg i dno zbiornika. Nie przewidział, że głową trafi prosto w kamień. Złamał drugi kręg szyjny. Może samodzielnie oddychać i przelikać. Na tym na razie kończą się jego możliwości.

Uśmiechnął się do chłopaka.

- Aha. Może jeszcze rozmawiać, ale nie radzę ci go słuchać. Takich świńskich kawałów nie zna nikt inny.

Obaj mężczyźni, młody i starszy, zachichotali. W ich śmiechu Beti od razu wyczytała, że łączy ich prawdziwe męskie porozumienie. Spojrzała na Szymka ze współczuciem. *Boże... taki młody...*

Nie wydawało się jednak, aby chłopak był strasznie zdołowany. Spędzili kwadrans w jego sali i przez cały ten czas panowie rozmawiali wesoło i nabijali się z siebie nawzajem. Jediną ruchomą częścią ciała Szymka były mięśnie twarzy. Mimika chłopaka była tak wyrazista i przesadna, że zdawało się, iż próbuje nią nadrobić bezwład pozostałych mięśni. Życzyli sobie nawzajem wesołych świąt, Michał ujął szczupłą dłoń i uściśnił mocno, po czym ruszyli do kolejnego pokoju.

Tym razem Beti ujrzała dwa łóżka. Na jednym leżała mała, na pierwszy rzut oka całkiem zdrowa, kilkuletnia dziewczynka. Obok niej siedziała młoda kobieta i czytała na głos jakąś książeczkę. Na widok przybyłych umilkła i uśmiechnęła się do rehabilitanta.

- Cześć.

- Cześć, Doris.

Michał skinął głową kobiecie, podszedł do dziewczuszki i ucałował ją w policzek. Uśmiech na małej twarzyczce rozjaśnił całą salę.

- Witaj, księżniczko. Co słychać u mojej ulubionej pacjentki?

- Dzień dobry. Mama czyta mi o Dorotce, którą trąba

powietrzna przeniosła do krainy Oz. Spotkała tam lwa i stracha na wróble – rozentuzjzmowało się dziecko.

- Świetna książka – skomentował Michał.

- No – zgodziła się dziewczynka i spojrzała psotnie na mężczyznę. – Wydaje mi się, że ten strach na wróble był podobny do ciebie.

Oboje dorośli wybuchnęli śmiechem. Beata również nie mogła powstrzymać cichego chichotu, bo faktycznie, bujna czupryna Michała mogła wywołać takie skojarzenia.

- To jest Beata. Bardzo chciałyby zobaczyć, jak świetnie radzisz sobie z przemieszczaniem się. Pokażemy jej?

Mała spojrzała na Beatę i skinęła główką. Odkryła kołdrę, a Beti olbrzymim wysiłkiem powstrzymała jęk zgrozy. Tułów dziewczynki kończył się tuż pod pachwinami. Zamiast nówek miała dwa grubo obandażowane kikuty. Zerknęła na matkę. Dorota miała smutek w oczach, ale jej usta uśmiechały się zachęcająco, a w głosie wybrzmiewała duma.

- Dawaj, kochanie. Pokażemy pani Beacie i Michałowi, że byle co nas nie powstrzyma.

Ostrożnie podniosła córkę i posadziła na podłodze. Dziewuszka bez żadnego skrępowania pomknęła do drzwi. Podpierała się rączkami, ciągnąc za sobą resztę ciała. Beacie skojarzyła się z małą foczką, figlującą w fokarium i bawiącą tłumy różnymi sztuczkami. To dziecko nie było jednak foką i patrząc na jej zmagania, Beata nie czuła radości, tylko ogromne współczucie.

- Brawo! – Michał z całych sił klaskał w ręce. – Nie mam już szans, żeby cię dogonić. Na następnej rehabilitacji będę

musiał wymyślić coś trudniejszego.

Dorota również biła brawo i patrzyła z dumą na dzielną latorośl.

- Musiałyby pani zobaczyć ją trzy miesiące temu - odezwała się do Beaty. - Nie mogła się, biedulka, ruszyć z bólu. A teraz oboje z Michałem froterują podłogi aż miło.

Podniosła komórkę leżącą na szpitalnej szafce, odszukała odpowiedni plik i podała telefon Beacie.

- Proszę spojrzeć.

Beti pochyliła się nad wyświetlaczem. Dwie foczki, mała, piszcząc, i duża ze śmiechem, pełzały po sali gimnastycznej. Ścigały się przez całą długość podłogi. Dziewczynka była na pierwszym planie, Beata wyraźnie widziała pojawiający się co jakiś czas na twarzy dziecka grymas bólu. Gdy tylko zaczynało zwalniać, duża foka o kręconych włosach łapała je za kikut z okrzykiem „mam cię!” i maluch ponownie przyspieszał, nie chcąc dać się pokonać. Filmik się skończył i Beata oddała komórkę obserwującej jej reakcję Dorocie.

- Ma pani cudowną i dzielną córkę - powiedziała z uśmiechem Beti.

Naprawdę tak myślała. Podziwiała dziecko, które mimo tak niewielu lat z całych sił walczy o normalność.

- Wypadek rolniczy - wyjaśnił jej Michał, gdy wyszli na korytarz. - Bawiła się na polu. Zmęczona usnęła wśród wysokich kłosów pszenicy.

Rodzice byli zajęci orką, dziadek prowadził kombajn... Nie widział wnuczki, dopóki heder nie zabarwił się krwią. Zeskoczył w panice, ale było już za późno. Z jej nóg pozostała

tylko zmielona, krwista masa... Dziadek nie mógł sobie wybaczyć i następnego wieczoru powiesił się w stodole...

Łzy pociekły Beacie po policzkach.

- Nie chcę już więcej. Rozumiem. Wracajmy na salę gimnastyczną.

Michał był jednak nieugięty i otworzył drzwi następnej sali. Nie chciała wejść. Nie chciała patrzeć na kolejne ludzkie nieszczęście, lecz rehabilitant wepchnął jej wózek do środka i nie miała innego wyjścia niż spojrzeć na kolejną ofiarę bezlitosnego losu.

- Cześć, Kaśka.

Kobieta miała może z dziesięć lat więcej niż ona.

- To Beata.

Beti podjechała do leżącej i spojrzała prosto w jej poważne oczy.

- Kasia ma stwardnienie rozsiane. Jest wspaniałą kobietą. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Co tydzień proszę ją o rękę, a ona co tydzień posyła mnie do diabła.

Kasia zaśmiała się z wysiłkiem. Po chwili popatrzyła na Beatę.

- I ty też się nie zgadzaj, on jest bardzo niestały w uczuciach. Oświadcza się każdej pacjentce, na pewno czyha na nasze renty...

Obie zaśmiały się z obrażonej miny mężczyzny.

Kasia zmierzyła wzrokiem wózek Beaty. Jakby z... zazdrością?

- Jeszcze pół roku temu jeździłam na wózku tak jak ty - odezwała się cichym głosem. - Pięć miesięcy temu nastąpił

rzut choroby. Prawie całkiem straciłam władzę w rękach. Mam problemy z oddychaniem. Zamiast schabowych jem przecierane zupki, ale dziękuję Bogu choć za to, bo za miesiąc z pewnością będę karmiona sondą. Moje ciało się poddało...

- Ale nie duch - odpowiedział szybko Michał.

- Tak. Nie duch. Jak ja ci zazdroszczę, dziewczyno...

Zakasłała z wysiłku, jakim była dla niej ta długa przemowa. Michał uniósł jej głowę i przysunął do ust butelkę z wodą. Kobieta wzięła kilka łyków i spojrzała na mężczyznę.

- Nie wiem, czy nasze plany dojdą do skutku. Chyba nie dam rady...

- Dasz - zapewnił ją fizjoterapeuta.

Beata uśmiechnęła się pod nosem. *Skąd ja to znam...*

Pożegnali się i wrócili na salę ćwiczeń.

- Marzeniem Kasi jest jeszcze raz zobaczyć morze.

Michał usiadł na krześle i spojrzał uważnie na Beatę. Wciąż jeszcze była pod wrażeniem jego podejścia do pacjentów. Jego empatii i wrażliwości, a równocześnie normalnego traktowania ludzi, którzy na niejednym obliczu mogli wywoływać litość, strach, a nawet obrzydzenie.

- Mąż zostawił ją, gdy zachorowała, więc obiecałem, że ją tam zabiorę.

Nie z litości. Z podziwu, dla niej. Stwardnienie atakuje często tuż po trzydziestce i tak stało się w przypadku Kaśki. Etiologia choroby jest nieznana. Nie wiadomo, co powoduje degenerację komórek mielinowych w mózgu. Nie wiadomo, kiedy ani kogo zaatakuje. W jej rodzinie wszyscy byli zdrowi,

więc był to prawdziwy szok. I wyrok... Nie umiemy wyleczyć tej choroby. Jest podstępna i niestety mordercza.

Zamyślił się na chwilę. W jego oczach Beata zobaczyła szczery smutek, głos miał pełen powagi.

- Zaczęło się zawrotami głowy, zaburzeniami równowagi i wiotkością nóg. Teraz prawie nie widzi, nie czuje ciepła ani dotyku... A mimo to walczy.

Ciało ją zdradziło, ale psychika jest wciąż silna. Pomagała innym chorym, wspierała ich i dodawała otuchy. Teraz pomaga mi w przekonaniu takich ludzi jak ty, że ich nieszczęście nie jest jedyne. Rozmowa z Kasią postawiła na nogi wiele osób. Szymka, Dorotę i innych. I nie mam tu na myśli nogi jako części ciała. Mało ważnej części ciała. Bo żyjemy głową, Beti. Uczuciami, emocjami i marzeniami. Oni byli tak samo załamani i zdołowani jak ty. Nie chcieli żyć i mieli pretensje do niesprawiedliwego świata. Przyjęli cios i teraz walczą, aby go oddać. Aby znokautować swoją chorobę i żyć pełnią życia. Myślisz, że zdrowe nogi są tego gwarancją? Że każdy chodzący człowiek może powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwy?

Oboje wiedzieli, że z rehabilitacji już nic dzisiaj nie będzie. Beata zamyśliła się nad słowami Michała. Zastanowiła się nad własnym życiem i stwierdziła, że czas się otrząsnąć. Czas zapomnieć o przeszłości i zacząć nową przyszłość. Nie lepszą czy gorszą. Nie łatwiejszą czy trudniejszą. Po prostu całkiem inną.

Rozdział 5

Kolację wigilijną zjedli w atmosferze sztucznego ożywienia. Tak jak przewidywała, mama starała się zabawiać ją rozmową i opowieściami, lecz widmo choroby krążyło nad pięknie przybranym stołem. Wózek inwalidzki stojący w rogu pokoju był żywym i wymownym symbolem kalectwa. To była najsmutniejsza kolacja wigilijna w jej życiu. W ogóle cały dzień był dziwny.

Od razu po śniadaniu zapakowali ją w karetkę. Gdy Beata znalazła się za szpitalnymi murami, zachłysnęła się świeżym, mroźnym powietrzem. Mimo że było ono pełne spalin i innych miejskich woni, wydawało jej się zwykłe, niczym w samym środku sosnowego lasu. Droga była długa i pełna złych emocji. Zdawała sobie sprawę z bezsensu swojego lęku, ale miała wrażenie, że za chwilę stanie się coś strasznego. Że zderzą się z innym autem, walną w drzewo, lub jakieś inne nieszczęście nie pozwoli jej wrócić do domu.

Sanitariusze wnieśli ją na czwarte piętro dwupokojowego mieszkania, a sąsiad spod trójki wniósł na górę torby i jej nowy środek lokomocji. To Michał nalegał, aby pożyczyla ze szpitala wózek.

- Zamierzasz cały ten czas spędzić w łóżku? - zapytał z niesmakiem, kiedy oponowała przeciw temu zniechęconemu bagażowi.

- A gdzie? - odpyskowała. - Jak już mnie wniosą na górę, to jak sobie wyobrażasz transport z powrotem na dół? I znów do góry... i na dół...

Niestety, mój drogi. Taki mam właśnie plan. W łóżku.

- Ale ty jesteś oporna - zachnął się rehabilitant. - A chociażby z pokoju do pokoju. Do kuchni... Będzie księżniczka leżeć i wymagać obsługi? Cofamy się w rozwoju?

Nie chcąc słuchać wymądrzania, zgodziła się w końcu, pewna, że i tak nie skorzysta z wózka ani razu. I na razie tak właśnie było. Pan Dąbrowski położył ją do łóżka, gdzie spędziła czas na rozmyślaniach i napawaniu się znajomymi widokami.

Wieczorem zaniósł Beti na kanapę i posadził przy zastawionym smakołykami stole, a mama obłożyła ją ze wszystkich stron poduszkami, w obawie chyba, aby nie wpadła głową prosto w półmisek śledzi lub talerz barszczu. Po kolacji i wspólnym obejrzeniu wieczornego filmu Beata poczuła ogromne zmęczenie. Myślała, że padnie jak kamień, lecz długo jeszcze leżała, patrząc na światła okien sąsiedniego bloku i wsłuchując się w dobiegające zza cienkich ścian wesołe odgłosy świętujących sąsiadów.

Obudziła się po dziesiątej. Pewnie spałaby dłużej, gdyby nie hałasy i zapachy docierające z kuchni. Całkiem inne niż te, które otaczały ją przez ostatnie trzy miesiące. Smażona biała kiełbasa skwierczała na patelni, a zapach cebuli lekko

drażnił oczy. Przeciągnęła się, ziewając szeroko. *Jak cudnie byłoby teraz wstać i iść pod prysznic* – pomyślała. Zamiast tego zawołała matkę: – Mamo! Mogłabyś przynieść mi jakąś miskę z wodą i mydło?

I szczoteczkę do zębów.

– Oczywiście, córuś.

Za chwilę do pokoju wtarabaniła się drobna kobieta, dźwigając z wysiłkiem miednicę. Postawiła ją na podłodze, obok łóżka.

– Jak ci pomóc, kochanie?

Sama nie wiedziała jak. W szpitalu myły ją pielęgniarki. Na myśl, że miałyby się rozebrać i pozwolić mamie zająć się jej higieną, poczuła wstyd.

– Postaw wszystko na taborecie, tak żebym mogła dosięgnąć, a w nogach łóżka połóż mi ubrania i buty. Z resztą poradzę sobie sama.

– Na pewno?

W oczach kobiety była chęć pomocy, ale też błyskała niepewność, jak tej pomocy udzielić.

– Spokojnie. Robiłam to nie raz – powiedziała uspokajająco.

Tyle tylko, że wtedy miałam jeszcze zdrowe nogi – dodała w myślach.

Matka postąpiła jeszcze chwilę.

– Kocham cię, córuś. Jakby co, to wołaj.

Pogłaskała Beatę po włosach i wyszła z pokoju.

Super... i teraz co? Podniosła się do pozycji siedzącej i ściągnęła górę od piżamy. Jeden z ręczników położyła na

kołdrę i wzięła w dłonie gąbkę. Umycie się od pasa w górę nie było większym problemem. Odsunęła pościel.

Boże... co się stało z moimi nogami? – przeraziła się, patrząc na wychudzone kończyny. Pierwszy raz od wypadku przyglądała im się uważnie. Dotychczas była ubierana przez pielęgniarki, a idąc spać, nie obdarzała własnych nóg ani jednym spojrzeniem. Michał mówił, że odrzucenie faktu istnienia porażonych kończyn to jeden z najczęstszych objawów u pacjentów neurologicznych. Zarówno w porażeniach połowicznych, jak i uszkodzeniach rdzenia kręgowego. *Phi! Wszzechwiedzący!*

Uda były tylko kośćmi powleczonymi skórą. Kolana sterczały niczym u kilkuletniej, szczupłej dziewczynki, łydki spłaszczyły się jak naleśniki, a paznokcie stóp... *Matko jedyna... Po raz pierwszy od dziesięciu lat nie mam pomalowanych paznokci...* Zdawała sobie sprawę, że to prawdziwy idiotyzm, ale ten właśnie szczegół załamał ją najbardziej. Zawsze była elegancka i zadbana. Jako kosmetyczka uważała, że własny wygląd stanowi najlepszą reklamę firmy, i nigdy nie wychodziła z domu bez najdelikatniejszego choćby makijażu. A paznokcie były jej prawdziwą zawodową obsesją. Z ogromnym zaciekawieniem śledziła w prasie i Internecie najnowsze trendy w ich ozdabianiu i kształtowaniu. Uwielbiała robić manicure i pedicure. W swoim gabinecie lakierów, odżywek, utwardzaczy i innych specyfików miała więcej niż niejeden sklep kosmetyczny. Sprzęt do pielęgnacji był czysty i sterylny niczym w szpitalu.

Trudno. Założę najgrubsze skarpetki, jakie tylko znajdę – postanowiła po chwili namysłu.

Ze zbyt wielką energią odrzuciła gąbkę. Wypadła na podłogę z mokrym plaskiem. *Boże...* Nie da rady jej podnieść.

- Mamo!

Kobieta weszła prawie natychmiast, jakby czaiła się w pobliżu, w każdej chwili gotowa do udzielenia pomocy.

- Wypadła mi gąbka... Pewnie syfu narobiłam. Przepraszam cię za kłopot.

- Daj spokój.

Uśmiechnęła się do córki, podniosła upuszczoną myjkę i wytarła mokrą podłogę.

- Żeby to tylko takie kłopoty były... Jak będziesz gotowa, to wołaj. Pójdę po Dąbrowskiego, to zanieś cię do stołu.

Beata kiwnęła głową, choć wcale nie miała ochoty wołać sąsiada. Nie miała również chęci na kolejną szopkę przy stole. Najchętniej położyłaby się z powrotem spać, ale jej ciało nie chciało współpracować z głową i doskonale wypoczęte po nocy we własnym łóżku domagało się fizycznych wyzwań. Z niewielkimi problemami ubrała się i zawołała matkę.

Po obfitym świątecznym śniadaniu miała cały dzień do zagospodarowania. Problem tkwił w tym, że nie wiedziała, czym wypełnić długie godziny. Miała już dość oglądania wciąż tych samych świątecznych filmów. Na widok laptopa dostawała mdłości, a rozmowy z mamą jakoś się nie kleiły. Niespodziewanie zatęskniła za szpitalem i Michałem.

W telewizji leciał „Kevin sam w domu”. Jednym okiem oglądała idiotyczne i znane na pamięć przygody chłopca i skretyniałych bandytów, a drugim zerknęła za okno. Mama poszła do kościoła, upewniwszy się tysiąc razy, czy córka poradzi sobie sama.

- Mamo. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Nie martw się. Gdyby co, to zadzwonię.

Mama wciąż nie była do końca przekonana, ale uległa namowom. Beti westchnęła z ulgą, usłyszawszy trzaśnięcie drzwiami. *Masakra jakaś. Czy już do końca życia będę zdana na pomoc innych? Pewnie tak...* Właśnie miała zamiar się rozryczeć, gdy zadzwonił telefon. Z niechęcią spojrzała na wyświetlacz. Ela... Praca była ostatnią rzeczą, o której chciała myśleć.

- Halo?

- Cześć, Beti.

- Cześć.

W słuchawce zaległa krępująca cisza.

- Spotkałam twoją mamę, powiedziała mi, że wróciłaś do domu...

- Tak jakby. Przyjechałam na kilkudniową przepustkę. Zaraz po Nowym Roku wracam do szpitala.

Głos jej współpracownicy był niepewny. Pracowały razem od dwóch lat. Od kiedy Beata otworzyła swoją firmę, przez salon kosmetyczny przewinęło się wiele fryzjerek. Wszystkie dziewczyny były miłe i kompetentne, ale dopiero Ela okazała się prawdziwą mistrzynią nożyc. Tak jak Beti pasjonowała się skórą i paznokciami, tak Ela - włosami. Wspólnie tworzyły

doskonały team i dzięki ich połączonym staraniom wychodzące z gabinetu panie wyglądały jak swoje własne, młodsze o kilka dobrych lat, siostry.

Beata miała wyrzuty sumienia, że zostawiła koleżankę z całym tym bajzlem, ale równocześnie z utratą władzy w nogach straciła serce i głowę do pracy.

- Tak... To fajnie, że jesteś w domu... Jak się czujesz?

Ha! Jak kłoda drzewa.

- Dobrze, dzięki.

Beti westchnęła ciężko, dyskretnie zasłaniając dłonią słuchawkę. Wiedziała, w jakiej sprawie dzwoni Elżbieta, i wiedziała, że mimo niechęci musi podjąć temat.

- Co tam w robocie? Jak sobie radzisz?

W głosie Eli usłyszała ulgę.

- Dobrze, że pytasz, bo nie wiedziałam, jak zagaić... Za cholereę sobie nie radzę.

Beata poczuła się jeszcze gorzej. Zdała sobie sprawę, że zostawienie wszystkich spraw na głowie koleżanki było z jej strony egoistyczne. Przez pierwsze dwa miesiące pogrążona była w rozpacz, a połowę grudnia spędziła na wymyślaniu kwiecistych wyzwisk na Michała. Wieczorami zamartwiała się przyszłością, zarówno osobistą, jak i zawodową, ale szybko odganiała od siebie podobne refleksje. Skupiała się na przeżyciu dnia obecnego, z całych sił odpychając myśli o mających nadejść dniach, miesiącach i latach.

- Ela... Przepraszam cię. Wiem, że jest ci ciężko. Obiecuję, że od lutego to się zmieni. Jak wrócę już na stałe do domu, zajmę się wszystkim. Nie wiem jeszcze jak, ale się

zajmę.

- Bo wiesz... Najgorsze te sprawy organizacyjne. Rozmawiałam z twoją mamą, ale nie była w stanie zbyt wiele mi pomóc. Klientki przychodzą non stop i pytają, kiedy wracasz, a ja nie wiem, co mówić... To kiedy wracasz?

- Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle wrócę. Na razie mów, że do końca stycznia jestem w szpitalu.

W słuchawce zaległa pełna zdumienia cisza.

- Jak to: nie wiesz, czy w ogóle? Beti, co z tobą? Przecież kochasz tę robotę!

Beata przełknęła ślinę. Z wyjątkiem Anki z nikim nie rozmawiała o swoim kalectwie. Wiedziała oczywiście matka, Anka pewnie powiedziała reszcie ich przyjaciół, ale jej życie przez ostatni czas toczyło się jakby w równoległym świecie. Zamiast rodziny miała lekarzy i pielęgniarki, zamiast przyjaciół - Michała i współpacjentów, a zamiast narzeczonego - dziurę w sercu.

- Ela... Ja złamałam kręgosłup. Już nigdy nie będę chodzić. Mój stan jest beznadziejny, więc naprawdę nie mam pojęcia, co będzie dalej.

- Beti... - Eli zabrakło słów. Beata znów poczuła zbierające się w jej oczach łzy. *Nie! Nie będę znów ryczeć...*

- Nie panikuj. Już się z tym pogodziłam.

Akurat! Wzięła głęboki oddech i skupiła się na sprawach praktycznych.

- Umowa najmu lokalu kończy nam się w lutym. Czynnosc jest opłacony do końca roku. Zadzwoń do biura pracy, może mają jakąś stażystkę. Albo praktykantki poszukaj na ten

miesiąc. Za wiele nie zrobi, ale chociaż podstawowe zabiegi pielęgnacyjne. Nie martw się. Jakoś to będzie.

- Jak mam się, cholera, nie martwić?!

Beatę mimo woli rozbawił trochę ogrom emocji w głosie koleżanki. Oprócz zdumienia i współczucia usłyszała w nim również gniew i obrazę.

- Jak możesz mi to robić!

- Ela! Myślisz, że ja na złość tobie zламаłam kręgosłup?

- Masz rację - pokajała się natychmiast fryzjerka. - Idiotka ze mnie.

Zrobię, jak mówisz. A ty się kuruj i wracaj na tyle zdrowa, na ile się da. Nie myśl o robocie. Jakoś to ogarnę, dopóki nie wrócisz.

Beata poczuła wdzięczność. Poczuła również odpowiedzialność za los pracownika. W końcu była pracodawczynią, na której niestety już nie za bardzo można było polegać.

- Ela... Może rozglądaj się powoli za nową pracą... Przepraszam, ale ja naprawdę nie wiem, co dalej, a nie wybaczyłabym sobie, gdybyś została na lodzie.

Nie chciała tego mówić. Bardzo nie chciała, bo oprócz tego, że Ela była świetną fryzjerką, pracowało im się bezkonfliktowo i darzyły się wzajemną prawdziwą sympatią. Ela ponownie zamilkła na dłuższą chwilę.

- Dziękuję, Beti. Doceniam, że jesteś szczerą. Zobaczymy, co będzie. Na razie.

- Pa.

Zobaczymy, co będzie - powtórzyła w myślach Beata bez

większych nadziei na cudowne rozwiązanie wszelkich problemów. Ledwie zdążyła odłożyć komórkę, gdy rozległ się ponownie dźwięk dzwonka.

- Nie martw się. Jakoś to będzie, a fryzjerkę taką jak ty wszędzie przyjmą z pocałowaniem ręki - powiedziała do słuchawki pewna, że Ela znalazła kolejny problem. W odpowiedzi jej ucho zaatakowane zostało kakofonią licznych głośnych dźwięków. Odsunęła odrobinę aparat w obawie, że do jej problemów zdrowotnych dołączy głuchota. Uśmiechnęła się, gdy spośród jazgotu wielu głosów wyłowiła słowa kilku równocześnie śpiewanych kolęd. Rzut oka na wyświetlacz potwierdził jej przypuszczenia.

No oczywiście... Anka. Po minucie przeraźliwych jęków rozległ się zbiorowy krzyk:

- Wesołych świąt!

- Dziękuję wam wszystkim, kimkolwiek jesteście - zaśmiała się w odpowiedzi.

- Cześć, Beti!

- Cześć.

- Przepraszam cię za ten wrzask, ale nie mogliśmy się zdecydować, którą kolędę ci zaśpiewać. Każdy woli inną i nikt nie chciał ustąpić. Ale prawda, że najbardziej podobało ci się „Lulajże Jezuniu”?

- Domyślam się, że to twój ulubiony kawałek?

- No jasne.

- Hm... Słyszałam też coś, że we czterech wchodzili, a na czterech wychodzili z Betlejem.

- To oczywiście Ajron.

Śmiech Anki był zaraźliwy niczym wirus Ebola.

- A ten numer o malusieńkim jeżu?

Ebola zaatakowało Beti z pełną mocą.

- To Miśka i Hania. Mariola śpiewała „Cichą noc”, a Jerzy to samo, ale po niemiecku.

- Okej. To już wszystko mam rozgryzione.

Pośmiały się jeszcze chwilę i Beata poczuła się prawie jak za starych dobrych czasów.

- Dzwonię, żeby zapytać, gdzie wolisz się jutro najęść i napić. U nas czy u Mariolki? - Anna przeszła do rzeczy. Beata zamilkła, jakby nagle połknęła własny język. - Hej! Słyszysz mnie?

- Słyszę, słyszę... Ale mnie zatkało.

- To się odetkaj. Dziś damy ci jeszcze spokój, żebyś mogła nacieszyć się domem, ale jutro imprezka. To gdzie mamy przynieść żarcie i flaszki?

Wirus Ebola otorbił się, po czym znikł bezpowrotnie. Na myśl o minach przyjaciół patrzących, jak zмага się z własnym ciałem, jak nieudolnie próbuje się przemieszczać ciężkim, niezgrabnym wózkiem inwalidzkim, Beata poczuła autentyczne mdłości.

- Aniu... Dziękuję wam, ale jeszcze nie jestem gotowa.

- Boli cię coś? - zaniepokoiła się przyjaciółka.

- Właśnie - podchwyciła skwapliwie. - Głowa mi pęka. I kręgosłup...

- Czekał chwilę.

Sadząc po ciszy, jaka zapadła w tle, Anka wyszła do innego pomieszczenia.

- Beti, ściemniasz mi. - Anna była policjantką i nie dawała się zbyt łatwo nabrać na byle plewy. - Co jest?

Była też konkretną kobietą i nie lubiła owijać w bawełnę. Beata wiedziała, że przyjaciółka nie uwierzy w żadne ckliwe bajeczki ani nie da się zbyć byle czym. Poza tym miała nadzieję, że Anka zrozumie jej rozterki.

- Nie jestem gotowa psychicznie. Nie dam rady się bawić ani zachowywać, jakby nic się nie stało. Stało się. Mój świat runął w gruzach.

Nie pasuję już do waszego stylu życia. Nie chcę psuć nastroju, a wiem, że tak by było. Przepraszam, wiem, że chcieliście dobrze... Moja rzeczywistość to wózek, łóżko i cholerny cewnik, a nie balety i imprezy.

- A w jaki sposób jedno zaprzecza drugiemu? - W głosie Anny usłyszała tłumiony gniew. - Dlaczego nie możesz się bawić, siedząc na wózku? Masz porażone nogi, ale chyba nie głowę? Choć zaczynam się zastanawiać...

- Anka, zrozum mnie. Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Wiem, że dla ciebie pozostałam taka sama jak kiedyś, ale nie jestem już taka sama.

W moim sercu i psychice zaszły straszne zmiany. Wypadek, Grzegorz... ci wszyscy ludzie, których poznałam w szpitalu... To mnie zmieniło. Może tylko na jakiś czas, może na zawsze, nie wiem. Wiem, że na razie nie chcę wychodzić do ludzi. Nie zniosłabym litości i współczucia. Upokarza mnie moja niesamodzielność i zależność od innych.

Tak bardzo chciała, żeby Anka ją zrozumiała. Żeby nie potraktowała tych słów jako żalosego bredzenia

zrozpaczonej, zakompleksionej kaleki, tylko spróbowała postawić się w jej sytuacji. Anna była bardzo niezależna i energiczna. *Jeśli ona mnie nie zrozumie, to już chyba nikt inny* – pomyślała zgnębiona przedłużającą się ciszą.

- Ania... Nie obrażaj się...

- No, czy ty całkiem zdurniałaś? Jestem wściekła, ale na siebie. Nie pomyślałam, że możesz tak się czuć. Jak zwykle zachowałam się wybitnie egoistycznie.

- Proszę cię! - Ciężar z serca Beti spadł i dziewczyna odetchnęła z ulgą.

- Gdzie tu egoizm?

W odpowiedzi Anna sapnęła głośno.

- No wiesz... Stęskniłam się za tobą, za naszymi rozmowami i usiłowałam cię zmusić do spełnienia swojej zachcianki. Wykorzystałam całą rodzinę, żeby głupio ci było odmówić. A ty i tak odmówiłaś, mimo mojego emocjonalnego szantażu.

- Ja też stęskniłam się za tobą i za resztą - przyznała wzruszona Beti. - Ale mój lęk jest silniejszy...

Milczenie, jakie zapadło w telefonie, było z rodzaju tych oczyszczających. Nie niosło ze sobą zakłopotania ani wstydu, tylko ulgę i zrozumienie.

- Ale dasz mi znać, kiedy już się zdecydujesz? - zapytała Anna ciepłym, pełnym nadziei głosem.

- Jasne. - Pewność w głosie Beti nie współgrała z pewnością serca i obie kobiety doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

- A mogę cię odwiedzić? Sama?

- Jasne, że tak. W każdej chwili.

Tym razem obie pewności stały się kompatybilne. Beata usłyszała pełne ulgi westchnienie.

- To dobrze... bo moje paznokcie są już tragiczne. Pa.

- Pa.

Zaśmiała się do głuchej już słuchawki.

Rozdział 6

Okres międzyświęteczny wypełniony był odwiedzinami. Anna przychodziła każdego popołudnia. Popłakały sobie i pośmiały się od serca. Powyżalały jedna drugiej, choć Beti miała wrażenie, że Anna celowo rozdmuchuje swoje problemy, aby narzekania nie były tylko jednostronne. Jaś i Małgosia, roczne bliźniaki, dokazywały po całym domu, wprowadzając beztroski nastrój.

Małgosia stawiała już pierwsze, niepewne kroczki, co rusz lądowała na pulchnych poślądkach, a Jasia nie można było oderwać od stojącego w rogu pokoju wózka inwalidzkiego. Zapamiętałe próbował kręcić kołami i wpychał grubiućkie paluszki pomiędzy szprychy.

- Dobrze jednak, że wzięłam tę landarę ze szpitala - śmiała się Beti. - Przynajmniej dziecko ma zajęcie.

- Jak tatuńcio - wtórowała jej Anka. - Zawsze wpycha paluchy tam, gdzie nie powinien. Za to Małgonia - istna mamusia. Spójrz na nią. Pada na glebę i wstaje. Nawet przez myśl jej nie przechodzi, aby się poddać i do końca życia chodzić na czworaka.

Beti doskonale rozumiała aluzję. Anka wiedziała, że

przyjaciółka rozumie, lecz nie podejmowały więcej drażliwego tematu. Niezłomna policjantka usiłowała jeszcze raz namówić Beatę, tym razem na wspólnego Sylwestra, ale zobaczywszy zmieniającą się twarz przyjaciółki i strach w jej oczach, szybko odpuściła.

- W sumie masz rację. My też nie będziemy świętować w tym roku.

Posiedzimy przy telewizji, wypijemy szampana i pobalujemy na białej sali. Mariola z Jerzym jak zwykle w domu, podobnie jak mój brat... Starość nas chyba dopadła.

Trzydziestego grudnia w pokoju Beti odbyło się babskie posiedzenie. Wszystkie matki zostawiły dzieci ojcom, postanawiając solidarnie, że tego dnia zamiast dziećmi będą czule opiekowały się butelką martini. Każda z nich, oprócz butelki, przyniosła ulubiony lakier i Beti siłą oraz groźbą zapędzona została do piłowania i malowania zaniedbanych paznokci przyjaciółek. Na podręcznym stoliku ustawiły potrzebny sprzęt i każda po kolei podstawiła Beacie pod nos swe dłonie. Kosmetyczka bez szemrania wzięła się do tak dawno niewykonywanej pracy. Piłując zapamiętałe, z przyjemnością słuchała paplania kobiet.

- Mówię ci, Beti, ja tych świąt długo nie zapomnę... - Mariola zażyczyła sobie paznokcie w blad różowym kolorze.
- Najpierw była akcja opłatek.

Anka i Aleksandra zachichotały zgodnie.

- Mam teraz czwórkę dzieciaków.

Mariolka prowadziła wraz z mężem rodzinne pogotowie

opiekuńcze. Swojego czasu namówiła ją do tego Anka, szukając tymczasowego domu dla bitej przez ojca alkoholika dziewczynki. Mari doskonale sprawdziła się w roli zastępczej, choć chwilowej, matki. Kochała dzieci. Jej własny syn był już dwudziestotrzyletnim mężczyzną i miała nadmiar miłości oraz troski do rozdania. Słusznie postanowiła, że ten nadmiar odda potrzebującym, często bardzo pokrzywdzonym przez los dzieciom.

- Dwojkę maluchów i rodzeństwo. Jadzia ma dziesięć lat, a jej brat Sławek trzynaście. Jadzia to spokojna, zahukana nawet dziewczuszka. Sławek wręcz odwrotnie, ADHD to jego prawdziwe imię. Zaatakował nożem kuchennym konkubenta matki.

Przerażona Beti spojrzała na Mariolę ze strachem.

- Matko jedyna, Mari!

- Miał rację - uspokoiła ją przyjaciółka. - Facet usiłował zabawić się z Jadzią. Był nachlany, matkę walnął w brzuch i zaczął dobierać się do małej. Sławek złapał leżący na stole nóż i rzucił się na bydlaka. Wbił ostrze w gołe dupsko i zadzwonił na policję. Stał z tym nożem, broniąc dostępu do matki i siostry do samego przyjazdu radiowozu. Gościa zabrali do pierdła, matkę do szpitala, a dzieciaki trafiły do mnie.

- Boże!

Mariola pokiwała głową.

- Nie masz pojęcia, o jakich sprawach się nasłuchałam. Jakie biedaki do mnie trafiały. Pobite, nafaszerowane narkotykami przez własnych rodziców, wygłodzone... W pale

się nie mieści, ile patologii jest dookoła nas. No, ale do rzeczy.

Beti wróciła do paznokci, a Mariola opowiadała dalej: - Karmiłam właśnie kozy. Obie są kotne, więc trochę mi zeszło. Jerzy w sadzie lepił bałwana z maluchami, a rodzeństwo ubierało choinkę. Wróciłam do domu, wzięłam się za obiad, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Otwieram, patrzę - organista z opłatkiem. Już chciałam powiedzieć, że mamy, gdy ten zaczyna się produkować.

- Czekaj! - podnieciła się Anka. - My ci to z Olką odegramy. Będiesz miała szopkę na własny użytek.

Obie zaśmiały się wesoło.

- Znamy tę historię na pamięć. Mari opowiadała dwa razy, raz z płaczem, raz ze śmiechem, a Jerzy z dziesięć.

- Za każdym razem rycząc ze śmiechu - dodała Aleksandra. - Na stałe wejdzie do zestawu rodzinnych anegdotek.

- Dobra. Ja będę organistą, a Olka Mariolką - podzieliła role Anka i zastukała pięścią w stolik.

- Proszę - odezwała się Ola, komicznie modulując głos w niezbyt udanej parodii Marioli.

- Proszę pani. - Głos Anny zabrzmiał głębokim basem. - Postanowiłem wrócić i dać pani ten opłatek. Za darmo.

- Ależ ja mam już opłatek - zdziwiła się Ola-Mariola. Anna puściła oko. - Za darmo - powtórzyła z naciskiem. - Nic nie rozumiem - zapiszczała Aleksandra.

- Proszę pani. - Anka ujęła się pod boki. - Ubóstwo nie jest powodem do wstydu. Ja rozumiem, że nie ma pani

pieniędzy, ale opłatek to symbol ciała Boga i nie powinno go zabraknąć w żadnym katolickim domu. Proszę się nie unosić honorem, syn mi wszystko opowiedział. Kościół nie zbiednieje.

Poproszę nawet księdza proboszcza, żeby zrobił kwestę i przekazemy dla pani datki. Anna-organista skinęła głową w stronę zbaraniałej Oli i wyciągnęła do niej rękę z kartką papieru imitującą opłatek.

- Proszę poczekać... Lecę teraz w panice do pokoju po portfel - wyjaśniła Beacie chichocząca Olka. - Wezmę ten opłatek, skoro pan nalega, ale proszę przyjąć pieniądze - zapiszczała, ponownie zamieniając się w Mariolę.

- Jeszcze raz powtórzę - zagrzmiała Anna. - Biedy nie trzeba się wstydzić.

- Bierz pan tę kasę - wycedziła ze złością Aleksandra. Okropny zez miał być z pewnością odpowiednikiem groźnej miny. Anka przestępowała z nogi na nogę. - Bierz pan i spadaj albo psa spuszczyć.

Przerażona, lub może tylko zniesmaczona, wyglądem Oli-Marioli zdecydowała się wziąć łaskawie kopertę, popukała palcami w głowę i opuściła pokój przy wtórze chóralnego śmiechu.

- Boże... - odezwała się Mariolka, gdy już się uspokoiły. - To był najdroższy opłatek w moim życiu. Nie miałam drobnych i dałam mu ostatnią stówę z portfela. A Sławka to myślałam, że zamorduję.

- Ale o co chodzi? - Beti nie do końca zrozumiała.

- Jak byłam w oborze, to przyszedł pierwszy raz. Sławek

zapytał po ile, a on odpowiedział, że co łaska. Na to mój honorowy młody mężczyzna odparł, że my żadnej łaski nie potrzebujemy i poradzimy sobie sami. Facet wyjaśnił, że co łaska oznacza, że ma mu dać kasę, a Sławuś się oburzył i powiedział, że nie wyda ostatnich pieniędzy na jakieś tam opłatki, i zamknął organicznie drzwi przed nosem. No, i gość wyciągnął sobie wnioski.

Beti śmiała się jak szalona.

- Na początku to się wściekłam. Aż się poryczałam. No, do bogaczy nie należymy, ale żeby zaraz rękę po kościelne datki wyciągać, to przesada lekka... Pomyślałam, że zaraz fama po wsi pójdzie, że rodzina żebraków tu mieszka. Jak ja teraz ludziom w oczy spojrzę - panikowałam. Przyszedł z sadu Jerzy. Opowiadam mu z płaczem, co i jak, a ten jak nie ryknie śmiechem... Ledwie się powstrzymałam, żeby mu nie przywalić.

Mimo że słyszały to już nie raz, Anka i Ola śmiały się do łez.

Pobudzająco na poczucie humoru zadziałał też z pewnością kolejny kieliszek wyśmienitego wina. Beata skończyła Mariolę i zabrała się za paznokcie Aleksandry, a Mari kontynuowała swe wigilijne opowieści: - Organista pewnie szepnął księdzu do ucha to i owo, bo dzień przed Wigilią mieliśmy odwiedziny jego wielebności. I tutaj z kolei błysnęły maluchy. Wacuś ma pięć lat, a Gabrysia cztery. Bardzo podniecały się świątecznymi przygotowaniem. Mała szykowała ze mną pierniczki w kształcie mikołajów, a Wacuś wciąż prosił Jurka o opowieści o hojnym świętym. Mikołaj i

jego prezenty zdominował wszystkie ich myśli. Wszedł ksiądz w tej swojej sutannie, leje po ścianach wodą z kropidła, jakby samego szatana chciał wypędzić, a moje dzieci patrzą jak zaczarowane. „Czy wszedłeś przez komin?“, pyta Wacek. „Nie, przez drzwi“, odpowiada zdziwiony klecha. „To czemu, Mikołaju, masz takie brudne ubranie?“, dziwi się moja słodka Gabi.

Beata musiała zmyć cały lakier, bo oprócz paznokcia pomalowała pół palca, a stolik, na którym trzymała rękę Ola, przewrócił się z powodu gwałtownych, niekontrolowanych drgań.

- Czerwona jak burak tłumaczę bachorkom, że to nie Mikołaj, ale ksiądz.

- Mariola z niewzruszoną miną brnęła dalej. - Rozczarowały się trochę, ale przyjęły do wiadomości. „No to teraz się pomodlimy“, zaproponował zdegradowany do zwykłego księdza Mikołaj. „Umiecie?“ Miałam szczerą nadzieję, że umieją, ale nadzieja matką głupich... „W imię Ojca i Syna“, podpowiada klecha, wykonując znak krzyża. Dzieciaki powtarzają, ja też...

„I świętego Mikołaja“, wydarła się radośnie Gabryśka. Boże... Czułam, że jeszcze chwila i ksiądz eksploduje. A to nie koniec...

Anka spadła z krzesła.

- Beti, ja ci radzę, żebyś się trochę wstrzymała z robotą, bo ci zmywacza zabraknie - zaproponowała życzliwie Aleksandra na widok swoich paznokci. I palców.

- Chcąc się chyba wkupić w łaski dzieci, postanowił dać

im obrazki.

Pierwsza dostała Gabryś. „To jest święta Joanna, patronka matek i dzieci poczętych. Będzie o ciebie dbać”. Pogłaskał po głowie lekko zde gustowaną małą, która z pewnością wolałaby dostać obrazek z Mikołajem. Wacuś z niecierpliwością podszedł do księdza. „A ja też dostanę?”, dopominał się smarkacz jeden, jakby czegoś mu brakowało.

Mari miała prawdziwy talent do opowieści. *Pewnie dlatego, że hurtowo opowiada bajki dzieciakom* – domyśliła się Beata.

- „Oczywiście”, księżulo sięgnął do kajetu, wyciągnął obrazek i z dumą podał dziecku. Wacek popatrzył przez chwilę, po czym oddał mu z powrotem. Ksiądz zdębiał. Ja to samo. „Eee”, zde gustował się smarkacz.

„Jakiś facet. Myślałem, że to będzie chociaż lamborghini”.

Całe szczęście, że Anka siedziała już na podłodze, bo z pewnością połamałaby kolejne krzesło.

- Boże... Nie śmiałam się tak od miesiący – wysapała Beti.

Miejsce Aleksandry zajęła rozchichotana Anna, a Mariola jednym haustem wydoiła swoje wino i nałała kolejny kieliszek.

- *Sorry*, ale w gardle mi zaschło. Zresztą potrzebowałam alkoholu po tych świętach – zaśmiała się do przyjaciółek.

- Wigilia też była niezła. Spędziliśmy ją w tym roku u Mariolki. - Ola też nie żałowała sobie wina. - Jako że mieliśmy całą furę dzieciaków, któryś z facetów musiał być

Mikołajem. W związku z tym, że mój Piotrek ma największe brzuszysko, padło na niego. Hanka ma dziesięć lat, więc postać Mikołaja jest już dla niej nieco wątpliwa. Podejrzewam, że oprócz szkolnych kolegów twój Sławek ją uświadomił na ten temat - zwróciła się do Mari.

- Całkiem możliwe - zgodziła się zastępcza matka bandy czortów.

- Zajęłam dzieci wypatrywaniem pierwszej gwiazdki, a Piotrek poszedł do obory się przebrać - kontynuowała Olka. - Wrócił z workiem pełnym prezentów. Wszedł z rumorem i hałasem. Dzieci były zachwycone... w pierwszej chwili. Po sekundzie bliźniaki Anki zaczęły przeraźliwie ryczeć.

Po kilku następnych Wacek i Gabrysia, podjudzani przez starsze dzieci, zaczęli głośno dyskutować, że ten Mikołaj to chyba jakiś oszust, bo ma brodę z waty i sztuczne włosy. I na pewno przyszedł tu, żeby nas wszystkich pozabijać. Po tych słowach na biednego Mikołaja napadła Michalina. „Gdzie mój tatuś?! Zabiłeś go?” Ajron i Jerzy zwichli do kuchni i tarzali się po podłodze, my uspokajałyśmy dzieci, a biedny Piotrek tłumaczył się własnej córce. „No co ty, dziewczynko. Czemu miałbym zabić twojego tatę?” „Bo masz na swoich nogach jego kapcie!”, darła się Miśka, usiłując zedrzeć mu ze stóp bambosze ukochanego ojczulka.

Po dobrym kwadransie ogłuszającego śmiechu Beata wysłała Mariolę do sklepu, bo rzeczywiście zmywacz skończył się co do kropelki, a paznokcie i palce Anki wyglądały zdecydowanie gorzej niż przed manicure'em.

Aby ten dzień nie był za piękny, wieczorem Beata złapała doła. Wspominała poprzednie lata, wspólne wyjścia i wygłupy. Analizowała swoje życie i szukała grzechu, za który tak dotkliwie pokarał ją Bóg. Przypominała sobie romantyczne wieczory z Grzegorzem, ich rejsy, moment zaręczyn. I moment zerwania. Jeszcze raz przeżywała chwile szczęścia w jego ramionach i chwile rozpaczy, gdy te ramiona odepchnęła, a on skwapliwie z tego skorzystał. Zazdrościła przyjaciółkom życia. Ich radości i wspólnie spędzonego czasu. Ich mężczyzn, czasem wkurzających, ale pewnych i kochających. Zazdrościła im nawet problemów i kłótni, bo zawsze mogły włożyć buty, wyjść z domu i pobiec przed siebie, podczas gdy ona mogła tylko płakać i patrzeć w sufit.

Rozdział 7

Księżyc świecił widmowym, zimnym blaskiem. Na szczęście co chwilę zasłaniały go poszarpane zimowe chmury. Pierwszy oficer Grzegorz Tomaszewski stał na kapitańskim mostku i na siłę szukał zajęcia. Nazwa „mostek kapitański” była właściwie archaizmem. Wywodziła się z czasów bocznokołowców, gdy bezpośrednio do niego przylegała kabina nawigacyjna, Grzegorz lubił sobie jednak wyobrazać, że wciąż jest to serce statku, i wyznaczał w myślach kurs, patrząc w gwiazdy i porównując swe wyliczenia ze starym, zabytkowym kompasem. Na statku wycieczkowym „Siostra świtu” cały sprzęt był w pełni skomputeryzowany, a w gwiazdy patrzyli jedynie pasażerowie pijący szampana w oczekiwaniu na przyjście Nowego Roku.

- Właż do środka. - Drugi oficer, Jan Podlaski, stanął obok kolegi. - Ogłupiałeś do reszty. Po jaką cholere sterczysz na zimnie, skoro w mesie czeka szampan i ciepłe żarcie?

Kompletnie ignorując kumpla, Grzegorz spojrział na jedną z par na pokładzie statku. Kobieta w długiej, srebrnej sukni stała przy burcie i z wysoko zadartą głową podziwiała nocne niebo, a towarzyszący jej mężczyzna nie odrywał

zakochanych oczu od swojej partnerki. Jan spojrzał za wzrokiem kolegi. Westchnął ciężko, klepnął Grzeška po plecach i wrócił do ciepłego brzucha krypy, zastanawiając się po drodze, kiedy w końcu zniknie ten posepny nieznajomy i wróci normalny i wesoły Grzegorz Tomaszewski.

Pierwszy oficer spojrzał na zegarek. Wpół do dwunastej. Ostatnie pół godziny roku, który miał być najszczęśliwszym rokiem w jego życiu, a okazał się koszmarem z najstraszliwszych snów. Ponownie wrócił wzrokiem do kobiety w srebrnej sukni. Taką samą miała na sobie Beata, gdy ujrzał ją pierwszy raz. Tylko okoliczności były trochę inne. Owszem, również wtedy był mężczyzna w eleganckim garniturze, ale Beti nie podziwiała gwiazd, tylko niebezpiecznie wychylona za reling pozbywała się resztek uroczystej sylwestrowej kolacji. Uśmiechnął się lekko do wspomnień. Oprócz tego, że czuł wyższość i lekką pogardę dla lądowych szcurów, pozazdrościł wówczas stojącemu obok facetowi, bo kobieta była naprawdę piękna. Nie wierzył własnemu szczęściu, gdy około drugiej nad ranem zobaczył ją, stojącą samotnie przy barze, gdy mężczyźni gęsto tłoczyli się przy jednym ze stolików, rozmawiając o czymś z entuzjazmem i zaniedbując swoje partnerki. Zagadał i przez następną godzinę nie mogli się od siebie oderwać.

Mieli wspólne poglądy na prawie wszystkie tematy. Czuł się, jakby znał ją od lat, i wiedział, że nie pozwoli tej kobiecie zniknąć ze swojego życia. A jednak pozwolił. Mało tego, potraktował ją jak swą największą pomyłkę i zostawił w momencie, w którym najbardziej go potrzebowała.

Od tamtej pory prawie nie schodził z pokładu statku. Brał wszystkie wachty, łapał się każdej możliwej roboty, aby zająć czymś głowę i ręce. Aby nie myśleć o swoim tchórzostwie i nie gardzić sobą bezustannie. Miał wrażenie, że każdy mililitr tlenu wciąganego w płuca przy oddechu jest marnotrawstwem natury i sprawiedliwie by było, gdyby świat nagle się zbuntował przeciwko takiej kanalii jak on. Gdyby Grzegorz z kolejnym wdechem padł na ziemię, dusząc się i charcząc. Niestety, żył dalej i wciąż musiał patrzeć na obrzydliwego typa, którego widział co rano podczas golenia. Westchnął, wyciągnął z kieszeni telefon i po raz kolejny tego wieczoru nacisnął zieloną słuchawkę. Po raz kolejny usłyszał beznamiętny głos informujący, że abonent ma go głęboko w poważaniu.

Beata łyknęła wieczorem trzy tabletki forsenu, wyłączyła komórkę i miała nadzieję, że kolejnego Sylwestra nie dożyje. Sądziła naiwnie, że w ciągu kilku minut usnie snem długim i głębokim, lecz zanim leki nasenne zaczęły działać, jej głowę długo jeszcze zalewały obrazy minionych bezpowrotnie walców i tang oraz wizja wirującego na parkiecie Grzegorza, trzymającego w ramionach obcą kobietę w butach na wysokich do nieba szpilkach...

- Boże, wyglądasz jak śmierć na chorągwi! - przywitał ją Michał.

- Chyba na wózku - odburknęła pod nosem.

Michał nie skomentował ani jej wypowiedzi, ani podłego

nastroju. Dzień wcześniej wróciła do szpitala. Nie trafiła do swojej sali na oddziale ortopedii, lecz do jednoosobowego pokoiku na wprost sali gimnastycznej.

- Jak minęły święta?

- Mało świątecznie.

- Mikołaj nie przyszedł? Czy może różgę dostałaś?

Zignorowała go i podjechała do elektrycznego rotora.

- Ćwiczymy czy gadamy?

- Jedno nie przeszkadza drugiemu.

Michał poszedł za nią, przypiął jej nogi do pedałów, opasując łydki taśmami zakończonymi rzepami, i włączył maszynę. Rozległ się cichy, jednostajny szum, gdy rotor zaczął pracować, kręcąc i dając złudne wrażenie ruchu.

- Na Sylwka gdzieś byłaś? - dopytywał dalej upierdliwy rehabilitant.

- Taa... Balowałam z Morfeuszem.

- Przystojny jakiś?

- Prawdziwy Apollo - odpowiedziała kąśliwie, obserwując swoje nogi.

Michał postać chwilę, lecz zobaczywszy, że Beti ma „świetny” humor, darował sobie i jej dalszej wymuszonej rozmowy. Kwadrans później rozległ się brzęk sygnalizujący koniec jazdy.

- Dojechałam do mety - poinformowała Michała, gdyż mężczyzna w ogóle nie zareagował na dźwięk. Czekwała cierpliwie, aż podejdzie i odepnie jej nogi.

- Jak widoczki podczas jazdy? Ciekawe?

Popatrzyła ze zdziwieniem.

- Monotonne.

Michał skrzywił się z niesmakiem.

- Miałem cię za twardszą sztukę. A ty dalej tylko jęczysz i narzekasz. Co ci to da?

- A co mi da, jak będę szczerzyć zęby i udawać, że wszystko jest super?

- Beatę ogarnęła furia. - Święta były do dupy, Sylwester do dupy i w ogóle cała ta przepustka była do dupy.

- A co zrobiłaś, żeby nie było do dupy? Przecież widzę, że kompletnie nic. Leżałaś pewnie jak kłoda, użalając się nad sobą. A wózek służył jako wieszak na ciuchy. Identycznie jak u tych wszystkich leniwych grubasek, które wyciągają z piwnicy rower stacjonarny albo jakiś inny sprzęt i patrzą na niego, wcinając chipsy. A później marudzą, że dieta cud nie zadziałała...

- A skąd niby możesz to wiedzieć, panie doskonały?

- Wystarczy, że spojrzę na twoje tricepsy. Dyndają jak bombki na choince, tylko nie są aż tak miłe dla oka, wręcz przeciwnie.

- Myślisz, że tak łatwo wpakować się na to gównno na kólkach? - Oprócz złości Beata poczuła lekki wstyd. Próbowała się bronić. - A jeszcze gorzej manewrować pomiędzy wąskimi i zagraconymi pokojami w bloku.

Michał popatrzył na nią bez słowa, po czym odwrócił się i wyszedł z sali gimnastycznej. Wrócił po chwili, popychając przed sobą dziwny wózek inwalidzki. Beti spojrzała pytająco.

- Sugerujesz, że mam na to wsiąść?

- Jest węższy, lżejszy i łatwiejszy w użytkowaniu. Choć

musisz się nauczyć na nim jeździć. Tak jak tamten był wersją rodzinnego vana, tak ten jest całkiem niezłym wózkiem sportowym. To active, zaprojektowany i przeznaczony dla ludzi z uszkodzonym rdzeniem. – Spojrzał nieco krytycznie na przyproawdzony przez siebie sprzęt. – No, ten jest porządnie zdezelowany, bo służy do nauki. Użytkowali go różni pacjenci, czasami prawdziwi piraci drogowi. – Zaśmiał się cicho. – Z nim jest jak z autem do nauki jazdy. Sprzęgło styrane, blachy poobijane, w kierownicy luzy, ale dla początkujących szkoda lepszego. Spodoba ci się.

Beti szczerze wątpiła. W porównaniu z wózkiem, na którym siedziała, faktycznie wyglądał lepiej. Ale równocześnie niebezpieczniej. Oparcia toto nie miało prawie wcale, podobnie jak podłokietników. Tylne koła były wielkie, pochylone pod lekkim kątem, a pleksowe płyty pomalowane w trupie czaszki robiły za ekscentryczne kołpaki. Obrazu dopełniały resztki czerwonej farby, którą pokryte były kiedyś metalowe części pojazdu.

Przerażona Beata uniosła wzrok.

– Ja mam na to wsiąść? – W jej głosie zabrzmiały paniczne nutki.

– Najpierw ja – uspokoił ją Michał. – Pokażę ci, na czym polega wyższa szkoła jazdy.

Wsiadł na wózek i zakręcił kołami. Jednym energicznym ruchem rozpędził się i przejechał przez całą długość sali gimnastycznej. Zawrócił prawie w miejscu, podjechał do Beaty i stanął na dwóch kołach.

– To jest balans.

Lekko poruszał rękoma w przód i tył, utrzymując wózek w stałej pozycji i miejscu.

- I tego musisz się nauczyć przede wszystkim.

- W życiu się tego nie nauczę - odparła, patrząc z przerażeniem, choć równocześnie z podziwem, na ewolucje wykonywane przez rehabilitanta.

- W balansie pokonujesz wszystkie komunikacyjne przeszkody - kontynuował Michał, ani przez chwilę nie dotykając przednimi kółkami podłogi sali i, zdawałoby się, bez problemu utrzymując równowagę. - Krawężniki, nierówności, schody... A także zjeżdżając z jakiejś bardziej stromej powierzchni. Chodź za mną.

Wyjechali z sali. Michał skierował się do leżącego na końcu korytarza drewnianego podestu. Beti sapnęła z irytacją, widząc, że na jeden obrót kół active'a sama musiała zakręcić trzy razy. Mężczyzna pochylił się i przeciągnął podest na środek podłogi.

- Ustaw się obok i patrz - zakomenderował.

Odjechał na odległość kilku metrów, zawrócił, rozpędził się lekko i wskoczył sprawnie na podwyższenie. Zatrzymał się na chwilę, ponownie ustawił wózek na dwóch kołach i równie zgrabnie zeskoczył. Beti zaklaskała w ręce.

- Brawo, panie Michale.

Pan Michał uśmiechnął się skromnie.

- Ale zabawniejsze by było, gdybyś ucałował Matkę Ziemię - dodała złośliwie.

Michał zaśmiał się głośno.

- Całowałem nie raz i nie dwa, zanim się nauczyłem.

Wracamy na salę.

Po kilku minutach nie było jej już do śmiechu. Siedziała sztywno na siedzisku i bała się głębiej odetchnąć.

- Boże! Naprawdę nie wiem, jak ty to wszystko zrobiłeś. Mam wrażenie, że zaraz polecę na plecy.

- Bo za mocno się opierasz. To jest wózek aktywny, nie fotel na kółkach.

Pochyl się trochę do przodu i próbuj złapać środek ciężkości.

Po kilku podejściach udało jej się osiągnąć jaką taką równowagę.

Ostrożnie spróbowała zakręcić kołami. Wózek zareagował natychmiast i nagle znalazła się na przeciwnym końcu sali, piszcząc głośno ze strachu wywołanego niespodziewaną prędkością. Po piętnastu minutach śmigała już po sali, robiąc piruety i ciesząc się jak dziecko.

- Próbuje ten balans?

Michał zaśmiał się wesoło.

- Proszę, proszę. Jaka się pani nagle ambitna zrobiła.

Zza kozetki wyciągnął gruby materac i rozłożył go na podłodze.

- Podjedź i ustaw się tyłem.

Beti wykonała polecenie, a Michał podał jej pudełko wypełnione piłeczkami tenisowymi.

- Nie wszystko od razu - ostudził jej zapał. - Najpierw musisz popracować nad równowagą. Wyprostuj się teraz, weź mocny zamach i rzuć piłką najdalej, jak potrafisz. Tylko pamiętaj: to jest active.

- Wiem, wiem... - Zaaferowana i nagle pewna swoich możliwości zamachnęła się prawą ręką. - Jasna cholera! - Nie wiedziała, kiedy znalazła się na materacu, a wysypane piłeczki potoczyły się dookoła niej.

Michał chichotał rozbawiony jej upadkiem.

- Bardzo śmieszne - zasapała, bezskutecznie usiłując wrócić do pozycji siedzącej.

- Oto, proszę państwa, byliśmy świadkami pierwszego, choć nie ostatniego, pocałunku pani Beaty prosto w sam środek starego, zakurzonego materaca.

Przytrzymał jej nogi i podniósł wraz z wózkiem z materaca, po czym pozbierał piłki i ponownie umieścił pudełko na jej kolanach.

- Próba numer dwa.

Tym razem była ostrożniejsza. Powoli podniosła rękę i rzuciła piłką prosto w roześmianego terapeutę. Pewnie się tego spodziewał, bo złapał ją i mrugnął do Beti.

- Dobrze. Właśnie tak.

Półtorej godziny przeleciało zdecydowanie za szybko. Mogłaby ćwiczyć cały dzień, lecz nie była niestety jedyną pacjentką Michała. Pan Antoni cierpliwie czekał, gdy Beata niechętnie przesiadała się z powrotem na swój toporny fotel.

- Jutro ciąg dalszy - obiecał jej fizjoterapeuta, gdy pożegnawszy się, odjeżdżała niechętnie w stronę swojego pokoju.

Pobyty na oddziale rehabilitacji różnił się zdecydowanie od pobytu na ortopedii. Nikt się tu nad nią nie trząsał ani jej nie

usługiwał. Warunki socjalne też były o wiele lepsze. Wygodne i zautomatyzowane łóżko zaopatrzone w uchwyty pomagające przy wchodzeniu i schodzeniu. Pilotem ustawiała wysokość i kąty nachylenia poszczególnych jego części. Materac podłączony do buczonej cicho pompy zapobiegał powstawaniu odleżyn. Do pokoju przylegała niewielka łazienka, w pełni dostosowana do potrzeb i możliwości osób poruszających się na wózku.

- To wszystko jest zasługą pani doktor Matyldy, ordynatora oddziału - opowiadała leżąca kilka sal dalej Kasia, z którą Beti spędzała prawie każdy wieczór na rozmowie, grze w karty lub oglądaniu telewizji. - Jest może trochę oschła i mało przystępna, ale oddział to jej ukochane dziecko. Walczy o fundusze unijne, wyklóca się z dyrekcją, szuka sponsorów i robi, co może, żeby wszystko funkcjonowało na najwyższym poziomie. Musiałabyś widzieć, co tu było jeszcze dwa lata temu... Niestety, ten oddział to wciąż wyjątek.

Wiem, bo leczyłam się w wielu innych państwowych szpitalach. Dziesięcioosobowe sale, kibel jeden na piętro, braki personelu i ogólnie syf. Beti nie miała porównania, bo do tej pory udało jej się omijać szpitale szerokim łukiem. Była okazem zdrowia i witalności. *Teraz za to nadrabiam zaległości z nawiązką* - pomyślała ponuro.

- No i Michał - kontynuowała Kasia. - On też się udziela. Głównie sprzętowo. Załatwia wózki, kule, balkoniki i inne takie. Organizuje pokazy różnych firm, które w zamian za reklamę użyczają aparaty i sprzęt do testowania na oddziale.

Zajmuje się też konserwacją. Pompuje koła w wózkach, dokręca śrubki i tym podobne.

- Nie lubiłam go na początku - przyznała Beti. - Ale teraz rozumiem, że chciał mnie zmotywować. Wiem, że chce dobrze, ale nie może zrozumieć mnie do końca. Nikt, kto nie doświadczył tego samego, nie jest w stanie poczuć, jak to jest być przykutym do wózka.

Kaśka zamyśliła się na chwilę i spojrzała na Beti z uwagą.

- Michał to prawdziwy freak. Jak wiesz, pracuje głównie w neurologii.

Aby doświadczyć tego, co jego pacjenci, dał się znieczulić zewnątrzoponowo. Sam wyłożył kasę, podpisał oświadczenie, że zwalnia szpital z wszelkiej odpowiedzialności, i anestezjolog wstrzyknął mu w kręgosłup ropiwakainę, długo działający lek znieczulający, powodujący blokadę sensoryczną. Przez kilkanaście godzin czuł się dokładnie tak jak ty.

Beata zaniemówiła.

- Co ty mówisz?! - wydusiła po chwili. Jej podziw dla męczyzny wzrósł o kolejne kilka stopni.

- Co innego Jolcia i Monisia. - Kaśka zachichotała złośliwie. - Któregoś dnia przez piętnaście minut ćwiczyły nieboszczyka na internie, po czym pobiegły do Matyldy ze skargą, że pacjent jest tak sztywny, że nie są w stanie zgiąć jego nóg, a one są w końcu wykwalifikowanymi fizjoterapeutkami, a nie jakimiś pracownikami fizycznymi.

- No nie gadaj! - Beata wybuchła niekontrolowanym

śmiechem.

- Innym razem opierniczyły staruszka z zaawansowaną cukrzycą, że nie trzyma porządku. Miały go spionizować, a nie mogły znaleźć jednego kapcia.

Przeszukały, biedule, całą przestrzeń pod łóżkiem, przegrzebały szafkę, wybebeszyły torby... W końcu postanowiły mściwie, że jak dziadek taki syfiarz, to będzie stał tylko w jednym. Ze złością odsłoniły kołdrę, a tu: ups... jedna noga amputowana powyżej kolana.

- Boże! Chciałabym zobaczyć ich miny!

Kasia niezgrabnym ruchem podniosła kartę ze stosu ułożonego na małym stoliku.

- A ja chcę zobaczyć twoją. No, kochana. As pik. Leżysz i kwiczysz...

- Ręce trochę dalej. Energicznie przesuń je do przodu, staraj się utrzymać ciało w wyproście. Jak ustawisz się w balansie, ruszaj ciągami w przód i tył. To tak samo jak z jazdą na rowerze. Załapiesz i już nie zapomnisz.

Beti była z wysiłku czerwona na twarzy. Odgarnęła ręką spocone włosy i spróbowała po raz tysięczny. Udawało jej się oderwać przednie kółka, ale po sekundzie wózek z głośnym łoskotem opadał ciężko z powrotem.

- Jasna cholera.

Robiła wszystko według instrukcji Michała. Dawala z siebie, ile mogła, ale uparty pojazd wciąż się jej sprzeciwiał. Kilka razy przesiadała się na krzesło i obserwowała uważnie ruchy rehabilitanta, lecz po powrocie na wózek dalej

podskakiwała tylko niczym kauczukowa piłeczka.

- Dobra. Spróbujemy od dupy strony - postanowił Michał. Stanął za nią, przechylił wózek, ustawił go w balansie i asekurując, pomału puszczał tylne rączki.

- Rany boskie! - pisnęła Beti. - Tylko mnie nie puszczej.

- Spokojnie. Trzymam cię. Próbuj utrzymać koła w górze.

Próbowała. Michał przechylał wózek do kąta czterdziestu pięciu stopni, a Beti panicznie szarpała kołami w przód i tył. Po kilku próbach zaczynała jej się udawać.

- Trzymasz mnie?

- Trzymam, trzymam...

Po dwóch minutach wciąż nie opadała.

- Ej. To wcale nie jest takie trudne. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Mówiłem. Jazda na rowerze - odpowiedział z za jej pleców.

- Ale mnie trzymasz? - upewniła się jeszcze raz.

- Trzymam, trzymam.

Po czym z przerażeniem ujrzała jego dłonie tuż przed swoją twarzą.

Kółka z hukiem walnęły o podłogę.

- Czyś ty zdurniał? Miałeś mnie trzymać!

Wyszczierzony Michał stanął przed nią.

- No trzymałem cały czas. Kciuki, żeby ci się udało.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Sama stałam?

- Tak jest. Pomogłem ci tylko wbić się w balans, a równowagę trzymałaś całkiem sama. Potęga ludzkiego

umysłu nie ma sobie równych. - Zaśmiał się z jej miny. - Czulaś się bezpiecznie, nie myślałaś o pocałunkach z podłogą i ciało zareagowało tak, jak powinno. Musisz bardziej uwierzyć w siebie.

Beata wciąż była w szoku.

- Starczy na dziś tych sztuczek cyrkowych - zdecydował. Z szafki wyjął dwa nadmuchane podłużne balony. - Równowaga, równowaga i jeszcze raz równowaga. Który wolisz? Czerwony czy żółty?

- Czerwony.

Wzięła do ręki balona, zastanawiając się, na jaki znów pomysł wpadł nieobliczalny fizjoterapeuta.

- Możesz się teraz na mnie wyżyć - powiedział, waląc ją żółtym balonem prosto w głowę. - Tylko pamiętaj! To jest active! - wrzasnął jeszcze, odparowując wściekłe ciosy zadawane czerwonym dmuchanym mieczem.

Rozdział 8

Styczeń nie rozpieszczał. Powietrze było mroźne, wiatr z łatwością przenikał przez kurtkę, sweter i grubą flanelową koszulę. Mimo to czoło Beaty błyszczało od potu i tylko zdrowy rozsądek nie pozwalał jej zrzucić ciepłej czapki i rozpiąć zimowej, pikowanej kurtki. Jechała z opuszczoną głową i zaciśniętymi zębami. Niczym mały uparty czołg, ze wzrokiem wbitym w ziemię, pokonywała kolejne odcinki byle jak odśnieżonego chodnika. Nie słyszała warkotu przejeżdżających albo ostrożnie parkujących aut. Nie patrzyła na ślizgających się po oblodzonych krawężnikach ludzi. Parła naprzód, metr po metrze, jakby od tego zależało jej życie. Śnieg oblepiał koła, a ręce, mimo skórzanych rękawic, aż parzyły od lodowatych ciągów active'a. W pewnym momencie czołg zatrzymał się tak niespodziewanie, że Michał idący dwa kroki za nim nadział się boleśnie na tylne rączki.

- Koniec spaceru, proszę wycieczki.
- Czemu niby?
- Ślepy jesteś? Chodnik się skończył.
- No i co z tego?

Beata drżącą z wysiłku ręką otarła pot z czoła.

- Jak to: co? Dalej nie dam rady. Spójrz na ten cholerny krawężnik, przecież on jest nie do pokonania.

Michał spojrzał na nią z góry.

- Beti. Ten krawężnik to pryszcz. Na sali gimnastycznej pokonywałaś o wiele wyższe przeszkody.

- Ale to było na sali. Bez śniegu, bez mrozu i bez tych okropnych gapiów, którzy stoją i czekają tylko na przedstawienie.

Rehabilitant zmarszczył brew.

- Aaa. O to ci chodzi. Boisz się, że się zbłąznisz.

- To chyba oczywiste, że nie chcę stać się obiektem kpin i żartów.

A jeszcze mniej obiektem współczujących spojrzeń.

- I co? W związku z tym będziesz poruszać się tylko tam, gdzie nie ma ludzi? Gdzie nikt cię nie zobaczy, nie wyśmieje albo, nie daj Bóg, nie zaproponuje pomocy? To może na Saharę się wyprowadź?

- Za dużo piasku, mądralo.

Beata wciąż patrzyła w ziemię i coraz mocniej zagryzała dolną wargę.

Michał kucnął tuż przy wózku.

- Beti, podnieś głowę.

Na wardze ukazała się pierwsza kropla krwi.

- Przestań brudzić śnieg płynami ustrojowymi i podnieś głowę.

Niechętnie usłuchała.

- Rozejrzyj się.

W stronę SOR-u pomału jechała karetka. Jakaś kobieta prowadziła pod rękę mężczyznę idącego o kulach. Liczna grupa zmierzała w stronę posepnego, szarego budynku interny, mijając po drodze mężczyznę z dużym bukietem kwiatów, trzymającego za rękę podskakującą niecierpliwie dziewczynkę. Michał popatrzył w tę samą stronę i uśmiechnął się do Beti.

- Pewnie jakiś świeżo upieczony tatuś. - Po chwili spoważniał. - Widzisz? Nie jesteś pępkiem świata. Nikt na ciebie nie patrzy. Nikogo nie obchodzi specjalnie, co robisz, kim jesteś, a już z pewnością nie interesuje ich, co czujesz. I nie czekają niczym hieny na jakąś mrozącą krew w żyłach akcją. Być może ktoś spojrzy. Z ciekawością albo nawet z litością. I co z tego? Musisz się z tym oswoić. Nie zmienisz pewnych rzeczy. Co poradzisz na sztormy czy burze? Na choroby, narodziny, śmierć...? - Złagodził nieco ton. - No, dawaj. Jeden obrót w tył i na przeszkodę.

Beata cofnęła się, rozpędziła i w pięknym stylu pokonała krawężnik. Gdy bezpiecznie wylądowała po drugiej stronie, z satysfakcją uniosła głowę i nieco butnie zerknęła na Michała.

- Okej. - Nie wyglądał na wzruszonego jej niezwykłym aktem odwagi. - Ruszaj się, bo zmarłem. Przed nami jeszcze trzy krawężniki. - Zaśmiał się cicho w odpowiedzi na jej cierpiętnicze westchnienie. - No, i droga powrotna... A jutro supermarket. W tym moherowym kapeluszu średnio ci do twarzy.

Mimo szczerych chęci nie dane było Beti sprawdzić, jak w jej czapce wyglądałby Michał. Choć wycelowwała bardzo

dokładnie i rzuciła z całej siły, zamiast wylądować na bujnej szopie wrednego fizjoterapeuty, nakrycie głowy trafiło w sam środek kałuży, którą na szpitalnym parkingu wytworzył rozjeżdżony kołami samochodów śnieg.

Następnego ranka Michał znów ją zaskoczył. Gdy już ubrana czekała na niego przy wyjściowych drzwiach, zamiast tupotu po schodach usłyszała brzęk windy i ze szpitalnego dźwigu wyjechał wózek inwalidzki. Michał kilkoma zgrabnymi pociągnięciami silnych rąk rozpędził wózek i zrównał się z zaszokowaną Beti.

- Jedziemy. Gotowa? Kasę wzięłaś?

Wciąż milcząc i wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, Beata skinęła potakująco głową.

- Dobra. Pojedziemy sto szóstką. Ma specjalne platformy, więc nikt nie będzie musiał nas wnosić. Czy może wolisz starą osiemdziesiątkę? Chcesz się poczuć jak Kleopatra noszona w lektyce?

- Nie, dziękuję. Nigdy nie lubiłam starożytności. Lecimy na sto szóstkę.

Na przystanek tramwajowy dotarli po piętnastu minutach. Beata próbowała nie myśleć, że bez jej uciążliwego towarzystwa Michał pokonałby tę trasę w dwie minuty. Kilka razy musieli nadkładać drogi. Raz krawężnik okazał się zbyt wysoki, dziury w chodniku były nie do ominięcia, a idiotyczne trzy schodki przy zejściu do parku wykluczały możliwość skorzystania ze skrótu. Bez słów i szemrania podążała za wózkiem Michała. Nie miała ochoty na rozmowę również po dotarciu na przystanek. Jeden

tramwaj im uciekł, a kolejny miał nadjechać dopiero za kwadrans. Kolejny z platformą.

Pozostałe podjeżdżały i odjeżdżały ze stałą częstotliwością. Patrzyła, jak ludzie wysiadają, wsiadają i znikają w głębi wagonów. Bez wysiłku, bez problemu, bez najmniejszego nawet zawahania. Chciała wtopić się w tłum, być taka jak oni wszyscy – zdrowi, anonimowi...

Beata zaczynała marznąć, ale modliła się w duchu, aby tramwaj nie przyjeżdżał. *Pewnie się przewrócę, poślizgnę. Nie dam rady, nie wceluję w podjazd, będzie cyrk... Boże...* Gdy pojazd nadjechał, ze strachu zaschło jej w ustach, a wszystkie mięśnie, którymi jeszcze władała, zsolidaryzowały się ze swoimi zbuntowanymi koleżkami. Nie zważając na jej lęki, Michał ustawił active'a pod odpowiednim kątem i pchnął do przodu. Bety gładko i całkiem lekko wtoczyła się do środka. Sekundę później tuż obok zaparkował Michał.

- Opuść hamulce i trzymaj się uchwytów. Na zakrętach będzie trochę rzucać.

Czym prędzej zahamowała wózek i kurczowo złapała za lodowatą poręcz.

- Matko! Tylko jej nie wyrwij, bo szpital mi z pensji potrąci.

- Twoje dogryzki mnie nie ruszają. - Bety nie rozluźniła chwytu nawet o milimetr. - Nie puszcę poręczy za żadne skarby świata. I zostanę tu do końca życia, bo za nic nie wyobrażam sobie, jak mam zjechać z powrotem na dół.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

- Nie martw się. W dół zawsze leci się łatwiej, niż

wjeżdża do góry.

W markecie, jak chyba zawsze, był tłum. Tłumy ludzi. Młodych, starych, w grupkach lub samotnych. Każdy z własnym koszem, czasem wyładowanym po brzegi, czasem z kilkoma zaledwie produktami. Wszyscy oni byli dla Beaty przybyszami z kosmosu, z perspektywy wózka najniższy z nich mierzył co najmniej dwa metry. Choć może to raczej oni byli nie z tej planety?

Wydawało jej się, że każdy choćby kątem oka spogląda na dwóch małych ludzików z kartonami na kolanach, poruszających się za pomocą dziwacznych foteli na kółkach.

- Nie wiem, jak możesz to wytrzymać. - Poprawiła swoje pudło, które wciąż zsuwało się z kolan. - Przecież wyglądamy jak dziwolągi z objazdowego jarmarku.

- No mówiłem. W tej czapce podobna jesteś do yeti.

Zdawałoby się, że Michał nie ma żadnego problemu z otaczającym go tłumem. Sprawnie wymijał wolno idących alejkami klientów i manewrował pomiędzy regałami. Beti jechała za nim, uważając, żeby nikogo nie potrącić.

- Patrz. Tam jest stanowisko z zimowymi tekstyliami. Jedziemy.

Dojechali do półek, koszyków i wieszaków wypełnionych szalikami, czapkami, rękawiczkami i tysiącem innych, czasem dziwnych, elementów garderoby.

- Matko! A to do czego służy? - Michał wyciągnął z kosza długą, wełnianą tubę.

- To komin. - Beti zaśmiała się z jego miny. - Czapka i szalik w jednym.

- A to? Rękawiczki?
- Skarpetki, gamoniu.
- Z każdym palcem oddzielnie? Nie wierzę, że ktoś nosi coś takiego.

- Sama mam identyczne.

Fizjoterapeuta z udawanym obrzydzeniem trzymał skarpetkę dwoma palcami.

- Matko! Mam nadzieję, że nie w tej chwili. Jakby co, za nic nie ściągaj butów, bo naprawdę wezmą cię za durnego yeti, który założył rękawiczkę na swą wielką stopę.

- Nie przesadzaj. Mój numer buta to zaledwie trzydzieści osiem.

Przymierzając czapki i kapelusze, mieli naprawdę niezły ubaw. Beata zapomniała o swoich lękach i po prostu dobrze się bawiła. Do czasu.

- No i co teraz, panie mądraliński? Nie podoba mi się żadna z tych czapek. Chcę tę z górnej półki. I co? Podfrunąć mam? Wyjąć różdżkę i niczym Harry Potter zawołać „*accio* czapka”?

Michał nie spieszył się w najmniejszym stopniu.

- Nie. Wystarczy zawołać „*accio* obsługa”.

- Nie chcę żadnej łachy.

- Jakiej łachy? - zdziwił się. - Co masz do tych sprzedawców? Dlaczego nie pozwalasz ludziom wykonywać ich pracy?

Podjechał do ubranej w czerwony uniform kobiety. Beata obserwowała, jak rozmawiają, zawracają i kierują się w jej stronę. Czuła, że jej twarz czerwienieje, a żal spowodowany

własną bezsilnością za chwilę może zmienić się w nieopanowany płacz.

- W czym mogę pomóc?

Kobieta w czerwieni z uśmiechem spojrzała na Beatę.

- Coś pani sobie upatrzyła czy zaprezentować wszystkie modele czapek?

W jej głosie nie było wrogości ani zniecierpliwienia. W postawie nie było służalczości ani agresji, więc Beti nie rozumiała swoich emocji. Miała ochotę odwrócić się tyłem i odjechać jak najprędzej.

- Nie, dziękuję. Już znalazłam czapkę, którą chcę kupić. Przepraszam za mojego kolegę, niepotrzebnie panią fatygował.

Złapała pierwszą lepszą czapkę z pomponem i ruszyła w stronę kas. Czowała łzy napływające do oczu i nie wiedziała dlaczego. Z wściekłości? Z zażenowania? Ze złości na Michała, który postawił ją w tak niezręcznej sytuacji? Z żalu nad swoim przesranym życiem? Usłyszała za sobą szum kół. Ręka Michała zatrzymała jej sunący szybko do przodu wózek.

- Beti?

- Co: Beti?! Jestem zmęczona. Chcę wracać do szpitala. Mam dość zakupów, cholernych czapek, tramwajów, a przede wszystkim siebie.

- To wracaj. Połóż się do łóżka i dalej użalaj nad sobą. Wmawiaj sobie, jaka jesteś biedna, nieszczęśliwa i samotna.

- Bo jestem, do cholery!

- Jak to nikt nie chce ci pomóc, same potwory dookoła...

- Żebyś wiedział. A najgorszym potworem jesteś ty. Złożę

na ciebie skargę.

- Matko! Znowu?

Michał zaczął się śmiać. Ku rozpaczy Beaty śmiał się coraz głośniej. Ryczał jak durny i ludzie naprawdę zaczęli na nich patrzeć. Dookoła nich zaczęli zbierać się inni klienci. Zatrzymywali się, zerkali na rozbawionego mężczyznę na wózku inwalidzkim, rzucali okiem na piękną kobietę siedzącą na dziwnym fotelu w trupie czaszki i podświadomie łączyli się z ich nastrojem. Pod wpływem spontanicznego rechotu niepełnosprawnego mężczyzny na twarzach gapiów pojawiał się uśmiech. Za chwilę wszyscy chichotali, choć nikt nie wiedział, z jakiego powodu. Do idiotycznie chichoczącej grupki podeszła równie uśmiechnięta sprzedawczyni.

- Dzień dobry. Czy coś się stało? W czymś mogę pomóc?

Zerknęła na roześmianego mężczyznę. Tłum rozbawionych ludzi zaczął się rozchodzić, a Michał otarł łzy i spojrzał na kobietę.

- Owszem. Niech pani spojrzy, jaką czapkę wybrała moja koleżanka.

Trzeba znaleźć jej inną. Czy może coś pani zaproponować?

Pani Ewa - jak wynikało z plakietki - uśmiechnęła się do Beaty.

- Jasne. Do pani kurtki będzie pasowała popielata pilotka wykończona sztucznym futerkiem. Zapraszam za mną. Zaraz coś znajdziemy.

- Nie wierzę. Nie wierzę, że mogłeś zrobić ze mnie takiego

durnia. - Na terenie szpitalnego dziedzińca Beti czuła się jak we własnym domu. - Najpierw stałam się pośmiewiskiem dla tłumu ludzi. - Podjazd pod górkę pokonała jednym pociągnięciem rąk. - Później wyszłam na kompletne bezguście. - Rozległ się sygnał nadjeżdżającej windy. - A w końcu kupiłam czapkę za sto dziesięć złotych. - Szkoda, że drzwi windy zamykały się automatycznie, bo Beti miała wielką ochotę trzasnąć nimi z całej siły.

Najchętniej prosto w roześmianą twarz jej towarzysza. - I do tego szalik za pięćdziesiąt! - Droga na trzecie piętro minęła w kilka minut. - Ale wiesz co?

- Uśmiechnęła się do gnębiciela i skierowała wózek do swojego pokoju. - W sumie było fajnie.

Nie widziała już szerokiego, pełnego satysfakcji uśmiechu rehabilitanta, który postać jeszcze chwilę, patrząc na zamykające się za Beatą drzwi. Ściągając po drodze skórzane rękawiczki, poszedł na salę gimnastyczną.

Beata wzięła prysznic, wyciągnęła z szafki laptopa i położyła się do łóżka. Opracowała już całą strategię codziennych czynności. Prysznic nie był żadnym problemem, podobnie ubieranie i rozbieranie. Po części opanowała też fizjologię swojego organizmu. Michał pokazał jej, jak opukiwać pęcherz moczowy, regularne stosowanie tej metody pozwoliło na pożegnanie się ze zniechęcającymi pampersami.

Żenujące pieluchy ustąpiły miejsca dyskretnym wkładkom. Pracowała jeszcze nad dwójką, ale po napięciu brzucha i dziwnych bulgotach z głębi jelit rozpoznawała

sytuację alarmową i udawało jej się zapobiec katastrofie. No, nie zawsze niestety... Czasem tylko dziwiła się, że aby wciągnąć martwe nogi na łóżko, jej ręce muszą złapać za spodnie czy stopę i rzucić je bezwładnie na materac. Coraz rzadziej zapominała, że nogi odmówiły współpracy, lecz wciąż zdarzały się momenty, gdy siedziała na łóżku z opuszczonymi stopami, zrywała się gwałtownie, chcąc wstać, i padała bezwładnie na podłogę. Coraz szybciej udawało jej się z niej jednak podnosić i zaciskając zęby oraz łykając łzy, wczołgać na wózek lub krzesło. Co noc jednak śniło jej się, że biegnie...

Skasowała bez czytania trzy maile od Grzegorza i zaczęła odpisywać na wiadomość od Anki, gdy coś poczuła. Leciutkie niczym dotyk kochanka.

Delikatne niczym wieczorna bryza po upalnym dniu. Niczym szmer skrzydeł kolibra wiszącego nad kielichem egzotycznej orchidei. Wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w swoje ciało. Tak. Znowu. Zerwała kołdrę i odsłoniła swe chude nogi. Słabiutkie drgnienie w prawej łydce. Ledwie wyczuwalne, niezauważalne, ale było. Na pewno! Poczowała, jak mięsień napiął się i rozluźnił. Mały palec jej prawej stopy wyraźnie się poruszył. Boże! Nie zważając na łzy płynące po twarzy, skupiła się i usiłowała jeszcze raz wywołać to niezwykle, mistyczne uczucie. Pomimo olbrzymiego wysiłku nie udało się, ale tej nocy Beata usypiała z uśmiechem na twarzy, a nadzieja obudziła się ponownie i zaczęła tworzyć piękne, pełne ruchu sny.

Rozdział 9

Beti stała na czworaka na gładkim materacu. Właściwie leżała na grubym, podłużnym wałku, a jej łydki spoczywały na dziwnych deskorolkach. Kolana znajdowały się w wyprofilowanych wgłębieniach, a podudzia przypięte były szerokimi pasami. Usiłowała zapanować nad swą bezwładną miednicą. Tyłek latał na wszystkie strony i Beti ze skupieniem próbowała utrzymać pozycję i równowagę.

- Okej. Teraz spróbuj przesunąć do przodu prawą nogę. Ciągnij kolano do klatki piersiowej, tak jakbyś chciała zrobić krok.

Michał asekurował ją, trzymając za miednicę, i pilnował, aby nogi nie rozjeżdżały się na boki. Beata wyteżyła wszystkie siły i wykonała polecenie rehabilitanta.

- Super. Teraz druga.

Przez pół godziny wędrowała w przód i w tył przez całą długość materaca. Każdy kolejny krok wydawał się łatwiejszy i Beata czuła radość i satysfakcję z wykonywanego samodzielnie ruchu. Równocześnie czuła jednak straszny ból w napiętych do granic wytrzymałości i dźwigających cały ciężar ciała rękach.

- Błagam. Przerwa.

Ciężko opadła na wałek. Próbowwała uspokoić przyspieszony oddech i dać wytchnąć zmęczonym dłoniom. Michał usiadł na materacu obok zmalretowanej pacjentki i zaczął masować jej łydki.

- Michał?

- No?

- Czujesz jakąś różnicę w mojej prawej nodze w porównaniu z zeszłym tygodniem?

- Owszem.

- Naprawdę?

Beata wstrzymała oddech i zamarła w bezruchu, oczekując słów fizjoterapeuty.

- Powinnaś ją wydepilować. Zaraz mi naskórek z dłoni zlezie.

Poczuła lekki wstyd. *Faktycznie. Kiedy ostatnio goliłam nogi?*

- Chodziło mi raczej o mięśnie. Czujesz różnicę? Inne napięcie czy coś?

Michał skończył masaż i popatrzył z uwagą na dziwnie podnieconą dziewczynę.

- Jak na twój przypadek, tonus mięśniowy jest w normie.

Rozgorączkowane oczy Beti wyraźnie go zaniepokoiły.

- Chcesz mi coś powiedzieć? Coś cię martwi?

Beata głośno przełknęła ślinę i spojrzała z napięciem na mężczyznę.

- Michał... Ja... ja wczoraj chyba ruszyłam nogą. Małym palcem.

Wieczorem poczułam coś jakby skurcz. Odkryłam kołdrę i widziałam, jak mój palec się ruszył. Przysięgam. Michał! Czy to znaczy, że wracam do zdrowia? Czy będę chodzić?

Nadzieja w jej głosie uderzyła Michała prosto w serce. Żar w jej oczach sprawił, że w jego własnych zabłyśły łzy. Długo milczał, nie wiedząc, jak ubrać wyrok w słowa. Jak rozwiać nadzieję, nie zabijając zapału do ćwiczeń i chęci do życia.

- Sama ruszyłaś? Świadomie?

- Nie.

Zaczęła się denerwować. Coś w twarzy i głosie rehabilitanta powodowało, że w jej gardle urosła zimna, twarda gula. Ręce zwilgotniały, a serce zatrzymało się w oczekiwaniu na słowa.

- Beti. Jesteś naprawdę bardzo dzielna. Zrobiłaś kolosalne postępy.

Pracujesz bardzo ciężko, a efekty pojawiają się z dnia na dzień. Zobacz, do czego już doszłaś. Sama się przemieszczasz. Bez problemu wsiadasz i zsiadasz z wózka, skaczesz po krawężnikach. Samoobsługa to pikuś, mogłabyś już pracować na etacie w miejskiej łaźni. Przypomnij sobie tę dziewczynę z listopada i porównaj ze sobą z dzisiejszego dnia. Niebo i ziemia. Jestem z ciebie cholernie dumny.

Powinna się cieszyć. Michał nigdy jeszcze nie powiedział jej tylu komplementów. Nigdy tak nie chwalił, nie słodził, nie piał peanów...

- Jasna cholera. Mów. Nie owijaj gówna w złoty papiererek. Cisza, jaka zapadła na sali gimnastycznej, powiedziała jej

wszystko. Łzy pociekły na policzki, a nadzieja ulotniła się niczym bąbelki ze szklanki coli zbyt długo stojącej na kuchennym stole.

- Beti... Chciałbym powiedzieć ci coś innego, ale... to tylko spastyka.

Pod wpływem bodźców z całego dnia, dużej ilości ruchu, pewnie też podniecenia, wystąpiła spastyczność reaktywna. Po upływie okresu zwanego szokiem rdzenia następuje znaczne zwiększenie aktywności motoneuronów.

Przejawia się to spazmem, czyli przedłużonym, niekontrolowanym, nadmiernym skurczem mięśnia. - Zamilkł na chwilę i popatrzył na załamana dziewczynę. - Niewielka spastyczność w twoim przypadku jest wręcz wskazana. Twoje nogi nie będą tak przerażająco chude, bo choć niekontrolowanie, twoje mięśnie będą jednak kurczyć się i rozkurczać. Czyli innymi słowy, pracować tak jak w nieporażonych kończynach. Co więcej, będzie ją można wykorzystać w codziennym życiu. Na przykład skurcz przepony lub podrażnienie skóry brzucha wywołują zgięcie bioder i kolan, co pomoże ci założyć skarpetkę lub buta. Przez zsunięcie się na przód wózka lub uniesienie pośladków możesz wywołać odruch wyprostny nóg, co ułatwi przeniesienie stóp z podłogi na łóżko czy do samochodu...

Nie zważając na cichy płacz Beaty, złapał za jej ramiona i potrząsnął lekko.

- Beti. To jeszcze nic nie znaczy. Nigdy nie powiem ci, że już nie będziesz chodzić. Nikt nie jest w stanie przewidzieć jutra. Ale nigdy też cię nie okłamię. To nie był cud. To był

skurcz spastyczny. Cholerna fizjologia patologii.

Beata skinęła głową.

- Fizjologia patologii... To brzmi prawie jak wiersz. Dramat, dokładniej mówiąc. Dobra, odpoczęłam. Możemy czołgać się dalej...

Na obiad była zupa z ryżem i jakimiś innymi, trudnymi do zdiagnozowania ingrediencjami. Całkiem możliwe, że była to kalafiorowa. Kawał mortadeli udawał schabowego. Dania dopełniały dwa ziemniaki i pięć plasterów pomidora. Po zjedzeniu Beata wypłukała w zlewie sztucce, odłożyła je do szafki i właśnie miała odwiedzić Kasię, gdy ktoś zapukał.

- Proszę.

Przez drzwi wsunęła się kudłata głowa Michała.

- Hej. Zjadłeś już? Masz gościa.

Otworzył drzwi i wszedł do sali. Tuż za nim wjechała jakaś kobieta. Jej wózek był jeszcze dziwniejszy niż active, na którym siedziała Beti. Oparcie sięgało zaledwie wcięcia w pasie. Nie było żadnych rączek ani innych uchwytów, nie zauważyła nawet hamulców. Jaskrawożółta farba, która pokrywała wózek, była miejscami obdarta i widać było, że pojazd służy właścicielce nie od wczoraj. Kobieta mogła mieć około czterdziestu lat. Była szczupła, ubrana w podarte dzinsy i męską koszulę w kratę. Krótko obcięte włosy były wściekle marchewkowe.

- Cześć. Mam na imię Jaga - przedstawiła się kobieta, wyciągając rękę z krótko obciętymi, niepomalowanymi paznokciami.

Trochę zdziwiona Beata uścisnęła jej dłoń i spojrzała pytająco na Michała.

- Jago, poznaj Beatę. Beti, to Jadwiga Głuszek, przedstawicielka FAR-u.

Jest koordynatorem na województwo zachodniopomorskie i moją serdeczną przyjaciółką.

Popatrzył na zegarek.

- Posiedziałbym z wami, dziewczynki, ale mam randkę z Gienią na sali gimnastycznej. A właściwie nie randkę, tylko godzinę zapasów i utarczek słownych. Choć niby Gienia ma afazję, więc teoretycznie nie ma możliwości, aby mnie przegadała, a jednak... kobiety... Pa.

Cofnął się jeszcze zza drzwi.

- Jaga, wpadnij później do mnie na salę, okej?

- A kawę zrobisz?

- Jeszcze czego. Niech ci Beti robi.

Machnął na pożegnanie i pobiegł do swojej pacjentki. Jaga uśmiechnęła się do milczącej Beaty.

- Z Michałem znam się od siedmiu lat i tyle też jeżdżę na wózku. Mamy do siebie absolutne zaufanie i nadajemy na tych samych falach. Fajny z niego chłopak, nie? To co? Kawka?

Beti podjechała do zlewu, nalała wody, włączyła elektryczny czajnik i nasypała kawy do dwóch kubków. Spojrzała na swobodnie zachowującą się Jadwigę. Zbyt swobodnie. Rudzielec podjechał do jej wózka i krytycznie zmierzył wzrokiem rumaka w czaszki.

- Nie mam mleka ani cukru. - Denerwowała ją ta baba.

- Nie szkodzi. Nawet bez mleka i cukru z pewnością będzie lepsza niż ta, którą serwuje Michał.

Czekając na zagotowanie wody, Beti podejrzliwie lustrowała kręcącą się po jej pokoju kobietę. Nie wiedziała, czego się spodziewać. *Koordynator? Co ma niby koordynować? Moje życie? Takiego wała! Przedstawiciel czego? FAR-u? Czyli co? Filia Agresywnych Rudzielców? Filantropia Anonimowych Ropuch? Fabryka Anormalnego Ruchu?*

Zalała kawę. Przez chwilę zastanawiała się, czy wyciągnąć z szafki ciastka. *Dupa. Ja jej nie zapraszałam.* Po Jadze w żaden sposób nie było widać, czy w ogóle odczuła niechęć Beaty. Podjechała do niewielkiego stolika i podniosła do ust kubek. W artystycznie rozdartych spodniach błysnęło kościste kolano.

- Słyszałaś kiedyś o Fundacji Aktywnej Rehabilitacji? - zapytał rudzielec pomiędzy jednym a drugim łykiem gorącego płynu.

Beata potrząsnęła głową. Wkurzały ją te podarte portki! Ta nonszalancja obecna w każdym ruchu kobiety. Pewność siebie, którą promieniowała.

- FAR powstał z inicjatywy wózkowiczów i dla wózkowiczów. Jest organizacją pozarządową. Uczymy ludzi z uszkodzeniem rdzenia kręgowego, choć nie tylko, jak prowadzić normalne życie i osiągać cele, do których dążyli przed wypadkiem. Pomagamy wrócić do aktywnego życia, tak prywatnego, jak zawodowego. Jednak przede wszystkim pokazujemy im, że nie są sami na świecie. Że takich jak oni

są setki i tysiące. Że ich życie nie skończyło się, a wręcz przeciwnie – dopiero się zaczęło. Trochę innej jakości, z trochę innymi priorytetami, ale wcale nie gorsze.

Beti prychnęła ironicznie.

- Tak. Wcale nie gorsze – powtórzyła z naciskiem Jaga. - To jest tak, jakbyś dostała kolejną szansę na początek. Zapominasz o tym, co było, dobrym czy złym, i zaczynasz znowu. Masz białą kartę. *Tabula rasa*. Tylko od ciebie zależy, jakimi uczynkami i emocjami ją zapełnisz. Jakimi barwami ją zamalujesz. Kolorowymi i wesołymi plamami czy czarnymi kleksami z melancholijnie ściekającymi smugami łez.

- A ty co? Wątpliwej jakości psycholog amator? Chcesz mi wmówić, że jazda na wózku jest lepsza niż bieganie po plaży? Że noszenie pampersów jest bardziej seksi niż noszenie stringów? Proszę cię! Nie jestem dzieckiem i nie musisz mi wmawiać głodnych kawałków. Powiedz Michałowi, że nie mam myśli samobójczych, już nie, i nie musi przysyłać mi pomocnej ręki w osobie nawiedzanej przyjaciółki.

- To prawda. Michał do mnie dzwonił. Ale nie chodzi wcale o ciebie osobiście. Zawsze daje mi cynka, jeśli pojawi się ktoś z jajem. Z siłą i wolą przetrwania. Widocznie tak ocenił ciebie. Błędnie? To wiesz tylko ty sama.

Ja ufam jego opiniom i dlatego tu przyjechałam. Ale nic na siłę. Nie chcesz, to nie. - Jaga energicznie odstawiała na stół kubek po kawie. - Chęci muszą wypłynąć z ciebie. Jeśli będą narzucone, nie uda się. Jeśli nie będziesz chciała żyć normalnie, to nie będziesz. Do samej śmierci, która może przyjść za wiele, wiele lat, będziesz nieszczęśliwa. Z każdym

dniem coraz bardziej zgorzkniała, zazdrosna o innych. Zapatrzona we własne nieszczęście nie zauważysz nic ani nikogo innego. Ludzie się od ciebie odwrócą i w końcu utoniesz we własnej złości. Tego chcesz?

- A co ty możesz o mnie wiedzieć? - wybuchła Beata. - Skąd wiesz, co czuję? Nie znasz mnie ani ja ciebie. Nie wiesz, jakie było moje życie, więc jak możesz prawić mi morały? Wmawiać infantylne i ideologiczne pierdoły?

Moje życie było zajebiste, a teraz jest przesrane. Co ty możesz o tym wiedzieć?!

- Wiem doskonale. - Jaga również podniosła głos. - Myślisz, że ja nie płakałam? Że nie wyłam jak pies? Że nie pytałam Boga, dlaczego ja? Moje życie przed wypadkiem też było zajebiste. Miałam wyjechać do Stanów na intratny kontrakt. Już miałam zabukowany bilet, gdy jakiś najebany kutas walnął w mojego opla. Znasz to skądś?

Zawstydzona Beti przeżywała makabryczne *déjà vu*.

- Michał na siłę wypchnął mnie na FAR-owski obóz - kontynuowała Jaga.

- Godzinami mnie przekonywał. Błagał, groził, szantażował... Pojechałam dla świętego spokoju, a okazało się, że ten obóz uratował moje życie. Uratował mnie przed życiem, jakie ty chcesz sobie zafundować. Daj sobie pomóc.

Pomóż sobie sama. Weź dupę w troki. Zamknij jeden rozdział, otwórz drugi. Może to infantylny truizm, ale w moim przypadku zadziałał. W pokoju zapadła cisza. Obie kobiety patrzyły w swoje puste kubki i pewnie obie przeżywały to samo. Wspominały wypadki, wydane przez

lekarza wyroki i własne załamania. Czarne dni i jeszcze czarniejsze noce. Wahania nastrojów, od euforii po rozpacz i od nadziei po całkowite zwątpienie. Myśli Beaty galopowały w głowie jak oszalałe. *Może być lepiej?*

Można to zmienić? Czy naprawdę jest jakaś szansa? Czy ta kobieta mówi prawdę, czy jest to tylko kielbasa wyborcza dla wybrakowanych egzemplarzy gatunku ludzkiego? Nie znajdując odpowiedzi, Beti podjechała do swojej szafki.

- Chcesz ciastko?

Jaga uśmiechnęła się do młodszej koleżanki.

- A w pizdu z dietą. Dawaj.

Ciszę przerywało tylko głośnie chrupanie. Biorąc ostatniego krakersa, Jaga spojrzała ciepło na Beti.

- Pierwsze, co musimy zrobić, to załatwić ci porządny wózek. Ten trup pamięta chyba czasy sprzed potopu. A te czachy na pleksach to ja osobiście, własnoręcznie malowałam. Matyllda się wściekła. Podobają ci się?

Rozdział 10

- Ty to jesteś szczur. Napuściłeś na mnie tę Babę-Jagę niczym na biedną Małgosię.

Beata wycierała ręce papierowym ręcznikiem. Dziś Michał dał jej niezły wycisk. Po rowerku i zwykłych ćwiczeniach na materacu gnębił ją krawężnikami i, co gorsza, uczył techniki wjazdu i zjazdu ze schodów. To była prawdziwa masakra. Trzy niewinne schodki, wyglądające jak podium dla zwycięzców zawodów sportowych, udowodniły jej, że ręce ma wciąż słabe, równowagę do kitu i daleko jej do medalowego miejsca. Zjazd tyłem opanowała w miarę szybko, ale wjazd wymagał naprawdę olbrzymiej kondycji. Gdy pomyślała o klatce schodowej i schodach prowadzących na czwarte piętro do jej własnego mieszkania, chciało jej się płakać.

- Cieszę się, że jednak nie spaliłaś jej w piecu - odpowiedział z uśmiechem Michał.

- Ktoś już chyba próbował, wnioskuje po kolorze jej kudłów.

Właściwie zadowolona była z wizyty ognistowłosej Jagi. Po pierwszym zaskoczeniu, irracjonalnej antypatii i ataku

wścieklej furii rozmawiało im się całkiem nieźle. Wymieniły się numerami telefonów, a Jaga obiecała przysłać gościa ze sklepu ortopedycznego, który wymierzy ją wszerz i wzdłuż w celu dopasowania nowego wózka.

- Beti, musimy pogadać.

Michał spoważniał, a Beacie wcale nie spodobał się ton jego głosu.

- O czym?

- O tobie. Za tydzień masz zaplanowany wypis. Wracasz do domu.

Wiedziała. Matylda wspominała coś na wczorajszej wizycie, ale Beti starała się nie myśleć o tym sądnym dniu. Nie wyobrażała sobie powrotu do domu. Wiedziała, że jej pobyt w szpitalu dobiega końca, ale nie miała pojęcia, co zrobić dalej. Wstępnie ugadała się już z Anką, że wraz z Arkiem odbiorą ją ze szpitala. Była przerażona myślą o powrocie do Choszczna, gdzie każdy każdego zna, wszyscy wszystko o sobie wiedzą, a plotki rozsiewają się niczym pyłki dmuchawców w wietrzny dzień. Myślą o powrocie do codzienności, której jeszcze nie знаła, ale którą wyobrażała sobie w ponurych kolorach.

- Taa - westchnęła ciężko, patrząc na swego fizjoterapeutę.

Po wielu tygodniach wspólnych ćwiczeń i długich godzinach rozmów Michał wydawał się Beacie bliższy, niż Grzegorz był kiedykolwiek. Zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie za nim tęsknić. Nie tylko zresztą za nim.

Ważną rolę w jej życiu odegrała również Katarzyna -

kobieta o coraz słabszym ciele, która wszystkich podnosiła na duchu. Nastąpił kolejny rzut choroby. Ostatnio nie miała sił nawet na podniesienie karty do gry. Podczas spotkań w jej pokoju Beti czytała na głos książki i wygłaszała długie monologi, a Kasia odpowiadała jej ruchami głowy i półsłówkami. Dorota z małą Anią wyszły już jakiś czas temu, ale Beti wiedziała, że do końca życia nie zapomni widoku biednego dziecka z amputowanymi nóżkami, które zaciskało zęby i mimo niewyobrażalnego bólu parło naprzód, zachęcane przez rehabilitanta. Ci ludzie byli teraz jej rzeczywistością. Szczególnie Michał. Nie wiedziała, jak sobie poradzi bez jego oparcia, sarkastycznego dowcipu i przyjaznego uśmiechu. Bez jego motywujących słów i zawsze gotowej do pomocy dłoni.

- Jaga mówiła, że facet od wózków będzie u ciebie jutro.
- Mężczyzna podał jej błyszczący katalog. - Wybierz sobie model. Ceny są nieziemskie, wiem, można by za to kupić nie najgorsze auto, ale część kasy refunduje PFRON, a część otrzymasz z fundacji Jagi. Reszta niestety z własnej kieszeni, ale nie żałuj grosza. Pamiętaj, to wydatek na długi czas. Wózek musi być wygodny i idealnie dopasowany. To będą twoje nogi, a nie kupiłabyś przecież za dużych lub za małych butów, prawda? Musisz potraktować ten zakup jako część garderoby. Żaden symbol, żadnej na siłę dorabianej ideologii. Po prostu niezbędna część garderoby. Okej?

Beti otworzyła folder.

- Matko jedyna! Piętnaście tysięcy? Za kilka rurek i dwa koła? Czy ktoś tu zwariował?

Michał zerknął jej przez ramię.

- Nie dwa koła, tylko cztery. Dwa duże, dwa małe. Boże! Kobiety!

Musisz patrzeć na te najdroższe? Patrz, te kuschalle są nie najgorsze.

- Ponad dziewięć klocków!

- Albo panthery... Jaga jeździ na pantherze. Jakiś znajomy pomógł jej ściągnąć pojazd ze Szwecji.

- Nie mam znajomych w Szwecji.

Mimo woli przypomniał jej się Grzegorz z jego kursami wzdłuż i wszerz Bałtyku. *O nie. Prędzej zapożyczę się do końca życia, niż poproszę tego gada o jakąkolwiek pomoc!*

- To twoja decyzja, ale na początek proponuję ci jakiegoś gtm-a.

Mustanga albo carisę. Nie daj się wkręcić na te najdroższe modele. One są przeznaczone przede wszystkim dla ludzi uprawiających bardzo czynnie jakiś sport. Zresztą co cztery lata przysługuje ci wymiana, więc zawsze możesz kupić później coś innego. Cokolwiek wybierzesz, będzie lepsze od tego starego active'a, że o ortopediach dla staruszków nie wspomnę.

Beata z niedowierzaniem przeglądała katalog. Wózki, balkoniki, poduszki i materace przeciwoleżynowe, wszelkiego rodzaju ortezy...

Wypisane tłustym drukiem kwoty szokowały swą wielkością.

- Powiedz mi: skąd takie kosmiczne ceny tego sprzętu?

Michał wzruszył ramionami.

- To proste. Musisz kupić, bo inaczej zgnijesz w domu. Nie masz wyjścia, więc sępy się cenią. Jest klient, trzeba go wydoić. Pieniądz nie śmierdzi, nawet jeśli kupujący musiałyby ukraść, wyżebrać czy zakombinować w inny sposób. Bo przecież nie otrzymać od państwa...

- To jest świństwo, wiesz? Posadzić jednego z drugim na wózek, może wtedy zrozumieliby, że to nie jest żaden luksus.

- Świństwo - zgodził się Michał. - A kto ci powiedział, że handel jest uczciwy?

Zanim się zdecydowała, długo wertowała katalog. Głośne wzdychanie i podnoszenie oczu do sufitu nic nie pomogło. Ceny nie chciały być niższe, a potrzeba kupna wciąż była priorytetem. *Matko jedyna, ile ciuchów bym za tę kasę kupiła, ile karmy dla psiaków ze schroniska...*

Mierzenie trwało może pół godziny. Niski, ale napakowany facecik zmierzył szerokość pośladków i długość ud Beaty. Dziewczyna udawała, że wcale jej nie krępowało beznamienne obmacywanie tyłka przez obcego typa.

- A więc mustang. Proszę bardzo.

Przedstawiciel sklepu schował miarkę i podał Beacie plik dokumentów.

- Życzy pani sobie specjalne dodatki? Pleksy na koła, rączki, wąsy? Czy zechce pani wybrać jakiś kolor rurek?

Beti jeszcze raz zerknęła w folder i pokazała palcem wybrany model.

- Taki jak ten.

- Niebieski. Świetny wybór. Na pewno będzie pani

zadowolona.

Agent podał Beacie lekko spoconą dłoń.

- Wypełnione dokumenty proszę przesłać na poniższy adres. Resztą formalności zajmie się nasza firma. Złożymy wniosek do NFZ-etu i jak tylko wpłyną pieniądze, kurier przywiezie wózek na podany adres. Może pani zwrócić się jeszcze o dofinansowanie do oddziału PCPR-u w swoim miejscu zamieszkania. To by było na tyle. Zdrowia życzę. Do widzenia.

- Do widzenia.

Wbrew pozorom najtrudniejsze pożegnanie było nie z Michałem, tylko z Kasią. Cały wieczór poprzedzający dzień wypisu Beti spędziła w pokoju przyjaciółki.

- Strasznie się boję. Nie wiem dokładnie czego, ale sram żarem na myśl o jutrzejszym dniu.

- To normalne. - Kasia mówiła bardzo niewyraźnie, ale Beti miała już wprawę w wyłapywaniu słów spośród bełkotliwego mamrotania. - Nieznane zawsze nas przeraża. Tutaj czujesz się pewnie. Znasz ludzi, a wciąż taki sam plan dnia stał się dla ciebie bezpiecznym rytuałem. Śniadanie, wizyta, rehabilitacja, obiad i tak dalej. Monotonnie, swojsko, nudnie. Bezpiecznie.

Beti skinęła potakująco głową i podała rozmówczyni do ust kubek z wystygłą już dawno herbatą.

- Ale to nie jest życie dla ciebie - kontynuowała Kasia po zwilżeniu gardła. - To nie jest życie dla nikogo. W życiu powinny być zaskoczenia, niespodziewane wizyty i jeszcze

bardziej niespodziewane emocje. Musisz czuć, że twoje serce bije raz szybciej, a raz wolniej. Musisz na coś czekać, czegoś pragnąć, do czegoś dążyć. Kogoś nienawidzić i kogoś kochać. Życ po prostu. Szpital to czyściec. Stan przejściowy pomiędzy koszmarem i resztą życia. Postaraj się, aby nie był to przerywnik pomiędzy koszmarem i koszmarem. Reszta życia zależy od ciebie i tylko ty możesz zaplanować, jak dalej ma się potoczyć.

- Jasne. Życie już zaplanowało bez mojej zgody. Jak mam żyć w swoim mieszkaniu? Czwarte piętro bez windy. Mała łazienka, do której nie mam szansy wjechać wózkiem. Wąski korytarz i mikroskopijna kuchnia obudowana szafkami. Jak mam wyjąć głupi talerz, skoro nie dosięgnę do uchwyty szafki?

Kasia prychnęła.

- Przestań wyolbrzymiać. Przebudujesz, dostosujesz... Może uda ci się z kimś zamienić na mieszkanie na parterze? Nie szukaj problemów, tylko ich rozwiązań. Myślisz, że ja miałam inaczej? Jest fundusz na likwidację barier w domach. Złożysz papiery, odczekasz oczywiście swoje, ale w końcu wszystko jakoś się dopasuje, ułoży, rozwiąże. Musisz tylko działać, bo „nic się nie zmienia od na dupie siedzenia” - zacytowała jakiegoś serialowego bohatera Kasia, po czym zmęczona długą przemową rozkaszała się gwałtownie.

Beti zagryzła górną wargę, zastanawiając się nad wywodem Kaśki. Nie przekonywały jej słowa przyjaciółki. Nie potrafiła patrzeć na świat przez różowe okulary. Jak do tej pory nic nie przychodziło jej łatwo. Nie dostała nic za darmo.

Państwo nie zapytało, jak jej pomóc, jak ulżyć. Jedyne, co otrzymała, to wezwanie na komisję z ZUS-u i ponaglenie do opłacenia podatku z urzędu skarbowego.

- Wiesz, o czym marzyłam, będąc w domu na świątecznej przepustce?

Kasia popatrzyła na nią, a w jej oczach Beata ujrzała prawdziwe współczucie.

- Nie o chodzeniu czy bieganiu. Nie o Grześku ani o przyjaciółkach. Tak bardzo chciałam wyrzeć przez okno. Otworzyć je, wystawić głowę i poczuć na twarzy podmuch wiatru. Z mojego czwartego piętra rozciąga się całkiem fajny widok. Z jednej strony park i plac zabaw. Dzieciaki szaleją na huśtawkach, psy obsikują drzewa i trawniki, zakochani chodzą jak we mgle i całują się na ławkach, tuż obok żulików, którzy dłońmi obejmują czule flaszki najtańszej wódki. Z drugiej - parking pod marketem. Cały boży dzień zapakowany samochodami. Jakbyś ujrzała, jakie manewry wykonują niektórzy kierowcy, nigdy więcej nie poszłabyś na zakupy do dyskontu. Po prostu obawiałabyś się o swoje życie! Trąbią, wciskają się na chama, nie patrząc na pieszych. Wyzywają i bluzgają, normalnie cyrk!

Obie dziewczyny zaśmiały się cicho.

- A w głębi panorama miasta - opowiadała dalej Beti. - Czerwone, stalowe i czarne dachy domów, ceglasty budynek gimnazjum, wieża kościoła, wierzchołki drzew. Samochody jak zabawki i ludzie jak mrówki.

Przelatującym ptakom możesz napluć z góry na skrzydła. Jak masz ochotę, możesz też napluć na ludzkie czupryny.

Beata usiłowała zażartować, ale ton jej głosu daleki był od wesołości.

Kasia słuchała w milczeniu.

- A wiesz, co widzę teraz? Gówno. Parapety mam równo z głową. Jak zadre głowę, widzę niebo i kawałek komina ciepłowni. Czasem jakiś ptak usiądzie na parapecie, jakiś samolot przetnie niebo, zostawiając białą smugę. Jakaś mucha rozmaże się na szybie. I tyle. To będą teraz moje rozrywki i sens życia. Wypatrywanie samolotów i obserwowanie owadzich flaków ściekających z okien. Bo przecież nawet nie dam rady tych flaków zetrzeć.

- A olej flaki - poradziła Kasia. - Zawsze możesz kogoś zagonić do mycia okien.

Taa - odpowiedziała w myślach Beti, wyjeżdżając z pokoju Kasi. Chętnie zostałaaby jeszcze trochę i ponarzekła na swój los, ale zmęczona kobieta usnęła dosłownie w pół słowa. - *Stara matka niech okna myje. Może Anka albo Mariola w ramach rozrywki przyjdą mi posprzątać, bo przecież z pewnością nie mają co we własnych domach robić. Albo sąsiadki będą bić się o ten niewątpliwy zaszczyt...* Wiedziała, że marudzi, że znów się użala i jęczy. Ale droga przed nią wydawała się drogą przez mękę. I do tego cały czas pod górkę.

- Beti! Strasznie się cieszę, że w końcu będziesz w domu. Moje maluchy też stęskniły się za ciocią!

- Ja też. Ale puść mnie w końcu, bo się uduszę! - zaśmiała się Beata.

Anka wisiała jej na szyi, nie dopuszczając do przyjaciółki pozostałych gości. Starsza, siwowłosa kobieta stała obok i uśmiechała się do Beti z matczyną czułością.

- Pan Arek poszedł porozmawiać z lekarzem i odebrać wypis. Tak się cieszę, córciu, że wreszcie wrócisz do Choszczna. Strasznie tęskniłam i martwiłam się o ciebie... - Kobieta otarła z policzka pojedynczą łzę i spojrzała na Ankę.
- To co, pani Aniu? Bierzymy tobołki?

- Absolutnie - sprzeciwiła się policjantka. - Ajron wróci, to uporamy się z torbami raz-dwa. Nie ma mowy, żeby pani konkurencję mu robiła, podnosząc ciężary. O, właśnie idzie. Ostatnio trochę opadły mu bicepsy, niech potrenuje... - Zaśmiała się i zwróciła do wchodzącego mężczyzny: - Wszystko masz? To bierz walizkę i jedziemy w końcu. - Spojrzała na Beti. - Pożegnałaś się ze wszystkimi? Coś jeszcze?

- Wszystko już załatwiłam.

- To co? Idziemy do samochodu czy jak...? - Anka z torbą na ramieniu nerwowo przestępowała z nogi na nogę. Widać było wyraźnie, że nieswojo czuje się w szpitalu i pragnie jak najszybciej opuścić to miejsce.

- Tak. Idziemy.

Beti po raz ostatni zmierzyła wzrokiem swoją salę. Podjechała do łóżka i wygładziła pościel. Spojrzała na swoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze. Nie było tego widać, ale dziewczyna czuła, że ogarnia ją panika i że pragnie jak najbardziej odwlec w czasie moment opuszczenia szpitala. W drzwiach odwróciła się jeszcze raz i pstryknęła wyłącznikiem

światła.

- Tak - powtórzyła, udając radość. - Jedziemy do domu.

Rozdział 11

betiwróbel@vp.pl do mszymaniuk@gmail.com

Hej. Już tydzień jestem w domu, ale jakoś nie mogę się jeszcze przestawić ze szpitalnego trybu życia. Brakuje mi ćwiczeń z Tobą, w szczególności zaś wrzasku „Rusz się żeż, dziewczyno, do obiadu będziesz froterować ten materac?” ;) Staram się ruszać, ale samej jakoś tak brak motywacji. Dobra, dobra, nie zrzedź... Ogarnę się. Anka kupiła mi trzykilowe hantelki, więc bicusie i trycusie będą w formie na wiosenny spacer (he, w wózku - niczym niemowlę) po choszczeńskich chodnikach. Choć nie wiem, doprawdy, jak sobie poradzę na tych dziurach, wyrwach zrobionych przez korzenie drzew i krawężnikach na pół metra. O schodach nawet nie wspomnę. Może ulicą, co? Myślisz, że powinnam sobie zamontować światła stopu i mijania? I może odblaskową kamizelkę? Trzymaj się ciepło i skrobniuj, co u Ciebie. Beti.

betiwróbel@vp.pl do kas.sm.@op.pl

Kaśka, czyś Ty zwariowała? Jak wysłałaś mi adres mailowy, to mnie zatkało. To tak, jakbym ja była na

beticholernakalekamałpa. No proszę Cię!

Daj kas.zajebistababka albo kas.mamwszystkowdupie. Wiem, bredzę... To dlatego, że nie wiem, co Ci mam napisać. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Na każde moje najcichsze nawet stęknięcie, najmniejszy ruch mama wpada do pokoju z pytaniem, w czym może mi pomóc. To już staje się męczące.

Pierwsze kilka dni to były ciągle odwiedziny. Elka - wiesz, ta moja fryzjerka - znalazła sobie nową pracę. W moim dawnym lokalu sprzedają wodę i papierosy. Gdy pomyślę, że po wypieszczonym salonie, w który włożyłam tyle kasy i serca, pałętają się teraz alkoholicy, że na półkach zamiast kosmetyków stoją butelki alkoholu, a zamiast cynamonowym potpourri cuchnie fajami, łyzy same lecą. Dobrze przynajmniej, że nie muszę tego oglądać. Bo wiesz co? Nawet gdybym chciała, to nie dostanę się do niego.

Aby wejść do środka, należy pokonać pięć cholernych schodów. Patrz, jak zmieniają się priorytety, gdy jest się kaleką. Jakoś wcześniej nie przeszkadzało mi to wcale. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że jakaś hipotetyczna kobieta na wózku nie zrobi sobie paznokci, bo nie da rady wjechać do gabinetu kosmetycznego. Co tam paznokci. Nie zrobi sobie zębów, nie obetnie włosów, nie kupi pod pasek... Ściskam Cię mocno. Beti.

betiwróbel@vp.pl do mszymaniuk@gmail.com

Cześć. Dotarł dziś mój nowy wózek. Lśniący lakierem, pachnący farbą i ze szprychami równiutkimi niczym ścieg

najlepszej krawcowej. Nawet wygodny. Nie siadam jeszcze na niego, bo muszę kupić (czytaj - wysłać kogoś) pompkę i napompować poduszkę. Boję się trochę o swój chudy tyłek.

Przyszła razem z wózkiem, ale w formie wiotkiej ;) Pewnie za dużo baklofenu... A kto teraz śmiga na moim obitym activku? Trochę ciężko jest wbić mi się w balans na tej nowej lawecie, ale spoko, ogarnę.

Miłego dnia - Beti.

betiwróbel@vp.pl do kas.sm.@op.pl

Przyjechał dziś mój nowy wózek. Kurier prawie wyzionął ducha, zanim doczłapał się z nim na moje czwarte piętro. A taki niby lekki miał być... Stoi tuż przy łóżku i wrednie szczyrzy do mnie swoje szprychy. Oczywiście wózek niestety, nie kurier. Kurier zobaczył leżącą w łóżku kalekę i jak szybko wszedł, tak samo szybko wyszedł. Właściwie wózek nie jest taki zły.

A w porównaniu z ortopedią, którą Anka pożyczyła z miejscowego szpitala, to wręcz ferrari ;) Tyle że tak jak polskie ulice nie są dostosowane do szybkich samochodów, tak mieszkania w bloku nie nadają się dla wózkowiczów. Do kuchni nie wjadę, bo drogę zagradza mi kuchenka. Do kibla się nie dostanę, bo wózek się nie zmieści. Na balkon również, bo wysoki próg. W korytarzu nie wykręcę, bo zbyt wąsko. Zajebiecie, nie? Ale przynajmniej mam jakąś alternatywę, bo do tej pory prawie cały czas leżałam w wyrze i wgapiałam się w tv albo kompa. Teraz mogę siedzieć i wgapiać się w szklane ekrany. Super. Życie jest piękne... ;(

Buziaki - Beti.

betiwróbel@vp.pl do mszymaniuk@gmail.com

Drogi Tatusiu. Tak, odżywiam się prawidłowo. Jem trzy posiłki dziennie plus kilka zdrowych przekąsek. Moja mama świetnie gotuje. Piję same zdrowotne płyny, aż czuję, że mikro-i makroelementy wychodzą mi uszami. Łykam witaminy, a na spastykę biorę baklofen. Gdy tylko zalegalizują marihuanę, z przyjemnością pozbędę się baklofenu i zajaram sobie dla zdrowotności. Jak będziesz miły, to zostawię Ci jednego jointa. Aaa, zapomniałam, Ty przecież jesteś grzeczny chłopiec ;) Pozdrawiam - Beti.

betiwróbel@vp.pl do kas.sm.@op.pl

Cześć, kochana. Co mieliście dzisiaj na obiad? Boże, nie uwierzysz, ale tęsknię za szpitalnym żarciem. Moja mama całkiem oszalała na punkcie zdrowej i prozdrowotnej diety. Na śniadanie twarożek (dużo białka) z olbrzymią ilością zieleniny (dużo witamin) i zielona herbata. O kawie zapomnij, bo wymywa z organizmu magnez, o czarnej herbacie zapomnij, bo ma za dużo teiny, a alkohol już całkowicie wybija sobie z głowy. Przynosi mi w zamian ohydny, za to pełną wapnia, wodę, w której wcześniej moczyły się skorupki od jaj (kury tylko z wolnego wybiegu), jeszcze bardziej ohydny sok z buraka kiszzonego (na anemię) i tony suszonej żurawiny (na nerki). Od tych zdrowotności jestem coraz bardziej chora. Rzygam na widok gotowanych pulpecików z piersi kurczaka (białko), makaronu z razowej

mąki (witaminy), a szpinak (żelazo) wychodzi mi już nie tylko uszami, ale każdym porem skóry. A właśnie - na skórę sok z kwaśnej i cierpkiej, aż zęby zgrzytają, aronii i czerwone winogrona. Całe życie nienawidziłam winogron. Od dziecka. Szczególnie tych czerwonych, których zapach przypomina mi jakieś przeterminowane lekarstwo. Czy matka jest już na etapie alzheimera, czy to tylko demencja starcza, jak sądzisz?

Wiem, to podłe. Stara się, bo mnie kocha. Stara się, bo wciąż wierzy w cud. Szykuje te wszystkie zdrowe ohydztwa, aby mojemu organizmowi niczego nie zabrakło. By był silny, zwarty i gotowy, gdy w końcu przyjdzie TEN DZIEŃ. Tyle tylko że TEN WYCZEKIWANY DZIEŃ przecież nigdy nie nadejdzie.

Całuję - Beti.

betiwróbel@vp.pl do mszymaniuk@gmail.com

Cześć, panie rehabilitancie we dnie i w nocie na medycznym posterunku. Ćwiczę solidnie, leżę na brzuchu i pilnuję, żeby żadne mordercze odleżyny nie opanowały mojego ciała. Pamiętaj, że ja zawsze dotrzymuję obietnic. Skoro obiecałam, że wyjadę z domu, to wyjadę. Już się nawet wstępnie umówiłam z Anką, ale to przecież nie moja wina, że pogoda do dupy, prawda? Czy wzięłbyś na swoje bezduszne sumienie moje zapalenie płuc?

Taaa, nawet kataru byś nie wziął! Jak tylko pogoda się ustabilizuje, jadę na miasto i prześlę Ci tę obiecaną fotkę.

Pa - Beti.

PS A Ty nie masz żadnych pacjentów, że tak się dalej nade mną pastwisz? Chyba zadzwonię do Matyldy i uświadomię jej, że pracownicy mają za dużo czasu... ;)

betiwróbel@vp.pl do kas.sm.@op.pl

Hej! Jaka pogoda w Szczecinie? W Choszcznie pada od dwóch dni. I to nie, jak mogłoby się wydawać pod koniec lutego, śnieg, tylko deszcz. Słyszę, jak drobne, ale nieustępliwe krople bębnią w parapet. Od dwóch dni budzę się o świcie z drzeniem serca i nasłuchuję. Cisza. Moje serce zaczyna łomotać i w tej ciszy słyszę wyraźnie jego uderzenia. Moje dłonie zaczynają drżeć i mimo woli oraz całkiem bez sensu przypomina mi się moja wycieczka do Niemiec. To było jeszcze na studiach, sto lat temu. Wraz z koleżanką z roku pojechaliśmy na tydzień do jej ciotki, mieszkającej w Berlinie. Któregoś wieczoru koleżanka pojechała na nockę do innej ciotki, a *Frau Johana* zabrała mnie na basen. Właściwie cały potężny kompleks basenów, saun i innych SPA-podobnych rzeczy. Przy szatni dostałyśmy szlafroki z miękkiej frotki i poszłyśmy do przebieralni. Przebrałam się w strój, założyłam szlafrok i wyszłam. Dookoła siebie ujrzałam... mrowie nagich biustów, pośladków i wagin. *Frau Johana* zaczęła machać rękami, krzycząc: *kein Badeanzug, kein Badeanzug...* Piersi wisiały jej do pępka, tyłek trząsał się jak galareta, a cellulit pokrywał całe uda. Na twarzy jednak próżno by wypatrywać jakiegoś wstydu czy choćby zmieszania. Stała sobie golutka, jak ją Pan Bóg stworzył, i w ogóle nie krępowała się swoją nagością. I wiesz co? To ja

poczułam się skrępowana. Jedyna ubrana w strój kąpielowy pośród tych wszystkich gołych bab czułam się jak dziwoląg. Jak obcy przybysz z dalekiej planety. Po prostu wyróżniałam się z tłumu. Szybko wróciłam do przebieralni, ściągnęłam kostium i wyszłam, szczelnie otulając się szlafrokiem. Udobruchana *Frau Johana* machnęła zachęcająco tłustą ręką.

- *Komm*.

Jak *komm*, to *komm*. Poszłam za nią, wbijając wzrok w turkusowe kafelki na podłodze. Nie sposób jednak było nie zauważyć gołych jaj i penisów, które majtały się pomiędzy gołymi nogami, ani równie gołych i owłosionych tyłków. Rzuciłam szlafrok na leżak, wpadłam do wody i nie wyszłam z niej aż do końca imprezy. Johana namawiała mnie na przeróżne sauny, jacuzzi, zjeżdżalnie, nie mogąc zrozumieć, czemu tkwię w najgłębszym miejscu basenu, starając się nikogo nie widzieć i udając, że wcale mnie tu nie ma.

Zabawne, nie? Dodam jeszcze, że wówczas miałam piękne ciało i zgrabne nogi.

Ale kończąc tę przydługą dygresję... ;) Cisza, cisza, nagle jedno krótkie: kap. Kropla deszczu uderza w parapet. Brzmi jak donośny gong kościelnego dzwonu. Wybawienie, odpuśczenie, oddalenie... A po tym jednym dziesiątka, setki, tysiące kap, kap, kap... Moje serce zwalnia, dłonie nieruchomieją, a z piersi wydobywa się długie, pełne ulgi westchnienie.

Deszcz. Wybawienie, odpuśczenie, oddalenie...

Wiem, że w końcu będę musiała opuścić bezpieczne i anonimowe mieszkanie. Że będę musiała zmierzyć się z

własną odmiennością, wstydem i strachem. Że muszę znieść pełne litości spojrzenia sąsiadów. Wiem. Ale jak dobrze, że jeszcze nie dziś. Dziękuję Ci, Boże, za ten deszcz.

Pozdrawiam Cię w ten ponury, deszczowy, wspaniały dzień – Beti.

Beata zamknęła laptop i zapatrzyła się w okno. Zza zalanych deszczem szyb nie było widać nic. Zastanawiała się właśnie, czy po raz setny włączyć sobie „Avatara”, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Usłyszała kroki matki, a chwilę później w przedpokoju zabrzmiał wesoły głos Anki.

- Dzień dobry, pani Anielo. Ależ leje. Dałoby się załatwić jakąś małą herbatkę na rozgrzewkę?

- Pewnie, że tak. - W głosie kobiety zabrzmiały weselsze tony. - Którą chcesz, Aniu? Grapefruitową?

- Świetnie.

Beti usłyszała jęczące skrzypienie zawiasów, sugerujące jednoznacznie, że Anka wiesza w szafie swój płaszcz.

- A parasol? Nie chciałabym pani zalać podłogi.

- A daj do wanny, obcieknie trochę.

Kroki oddaliły się i tym razem skrzypnęły lekko drzwi łazienki.

- Aniu, dziękuję ci, że odwiedzasz Beatkę. Ostatnio jest jakaś taka przygnębiona. Nic, tylko siedzi w swoim pokoju i pisze coś na komputerze.

A oczy ma takie smutne...

Mimo że pani Aniela ściszyła głos, Beata usłyszała ją bardzo wyraźnie. Zacisnęła zęby. Czuła, jak na policzki

wpełza rumieniec gniewu. Lub wstydu. Nie usłyszała odpowiedzi przyjaciółki, choć bardzo nadstawiała uszu. Nie miała też czasu zastanawiać się nad nią, bo ruch w przedpokoju ponownie się nasilił. Szybko podniosła wieko laptopa i za wszelką cenę próbowała wyglądać na bardzo zajęętą. Anka energicznie otworzyła drzwi.

- Cześć.

- Cześć.

- Co robisz? I kiedy możesz skończyć?

- W zasadzie nic, odpisuję na zaległe maile.

- To dobrze. Maile poczekają, a ty się szykuj.

Beata usiłowała ukryć panikę, która momentalnie ją ogarnęła.

- No co ty? Przecież leje.

Anka wzruszyła ramionami.

- Zaraz leje, mżyzaledwie. Zresztą to może nawet lepiej. Żadne tałatajstwo nie będzie nam się po ulicach plątać. Słyszałaś o tym wypadku w piątek? Masakra! Trójka dzieciaków po dwadzieścia kilka lat, wszyscy nie żyją...

- Nie.

Anka zamyśliła się na chwilę, a Beti szukała w głowie jakiejś wymówki.

Policjantka chyba ją wyczuła.

- Nawet nie zaczynaj. Jedziemy do Olki na kolację, a najpierw zrobimy sobie rundkę po mieście.

Przysunęła sobie krzesło, usiadła i ujęła dłoń Beaty.

- Beti, ja wiem. Rozumiem, a może raczej usiłuję zrozumieć i postawić się w twojej sytuacji. Próbuję spojrzeć

na wszystko twoimi oczami, ale jasna cholera, bierz dupę w troki! Dziś jest idealnie. Wiem, że zaraz zaczniesz szukać przeszkód, ale nawet nie mam zamiaru cię słuchać.

Wstała energicznie i podeszła do szafy. Ściągnęła z wieszaka pikowaną czerwoną kurtkę i rzuciła ją na łóżko. Nowa czapka znalazła uznanie w oczach wymagającej policjantki, ale na widok sfatygowanych kozaków Anka z obrzydzeniem zmarszczyła nos - Który numer nosisz? Te buty nadają się na śmietnik.

- Trzydzieści osiem. Jak ty to sobie wyobrażasz? Jak zamierzasz przetransportować mnie na dół?

Beata czuła, że traci kontrolę. Anka była tak energiczna, że wichura nabierała przy niej znaczenia byle jakiego zefirka. Emanowała optymizmem, zarażając nim innych. Beata czuła, jak jej czarne okulary nabierają różowego odcienia, i mimo woli ogarnął ją dreszczyk emocji na myśl o planowanej wyprawie.

- Facet spod trójki mi pomoże. On zniesie ciebie, ja wezmę wózek, a na miejscu pomogą nam Piotrek albo Olka. Nie bój nic, wszystko jest już ugadane. Ubieraj się.

Pół godziny później zadzwonił dzwonek i do pokoju wtoczył się Barański.

- Dzień dobry, pani Beato. To jak, pani władzo? Gotowe?

Otyły mężczyzna w rozciągniętych dresach i zdeptanych kapciach na nogach pytająco spojrzął na Ankę.

- Sekunda.

Policjantka odstawiła na stolik kubek po herbacie, pochyliła się, wyciągnęła nogawki spodni z kozaków Beaty i

opuściła je na cholewki butów.

- *Sorry*, ale te buty obrażają moje poczucie estetyki.

- Spadaj! Wiesz, ile za nie dałam? - roześmiała się Beti.

- No, może tak. Ale ile lat i sezonów temu? No, panie Józku. - Wstała i odwróciła się do czekającego cierpliwie sąsiada. - Idziemy. - Spojrzała na jego stopy. - Tylko się pan nie wywal w tych kapciach. Nie mógł pan założyć normalnych butów?

- A te to niby jakie? Popierdolone? - Mężczyzna zaśmiał się rubasznie ze swojego żartu. - Spokojna pani rozczochrana. Pani Beatka będzie bezpieczna niczym moje rodzone dziecko. - Pochylił się i wyciągnął ręce do dziewczyny.

Matko jedyna - przeraziła się Beti, przypominając sobie stale pozdzierane kolana i posiniaczone łokcie najmłodszego sąsiada spod trójki. - *Nie mogła zaangażować Dąbrowskiego spod szóstki?*

Anka również się zaniepokoiła.

- Proponuję, aby niosąc Beatę, myślał pan o tych łysych oponach w pana peugeocie. I ile będzie do zapłaty, jeśli upuści pan moją przyjaciółkę.

Józef Barański wziął sobie chyba do serca rady policjantki, bo już pięć minut później załadował Beatę do niebieskiej corsy i czule pochylał się nad zestresowaną dziewczyną, zapinając pas bezpieczeństwa. Wyprostował się i krzywo łypnął okiem na Ankę.

- Jakie tam łyse... Bieżnik przecie jeszcze widać...

- Chce pan o tym porozmawiać w diagnostyce?

- Oj tam, nie będę przecież pani władzy na diagnostykę fatygował.

- No, myślę. Z powrotem będziemy około dwudziestej pierwszej.

Zadzwonię domofonem.

- Jasne, jasne... Z przyjemnością wielką. Miłego wieczoru paniom życzę.

Sąsiad z widoczną ulgą zniknął za drzwiami klatki schodowej. Beti poprawiła się w fotelu.

- Czym go tak zastraszyłaś? - zapytała wsiadającą do auta przyjaciółkę.

Ania zapięła pas i odpaliła silnik.

- Dajcie człowieka, znajdzie się paragraf - zaśmiała się policjantka, przycisnęła pedał gazu i z piskiem opon ruszyła przed siebie.

Rozdział 12

betiwróbel@vp.pl do mszymaniuk@gmail.com

Hej. Informuję posłusznie, że wyjechałam w końcu z domu. Gdy pomyślałam, że znów będziesz truł, nie zważając na pogodę, namówiłam Ankę i mimo pompy z nieba pojechałyśmy na wycieczkę. Czy doceniasz, że tak się dla Ciebie poświęcam? ;) Choszczno nie zsolidaryzowało się ze mną i nie zmieniło ani o jotę. A nie, *sorry*, tam gdzie była herbaciarnia, jest monopolowy, a w byłej kwiaciarni - filia banku. Przemoknięci ludzie przemykali się uliczkami, chowając twarze za wielkimi parasolami, więc nikogo znajomego nie spotkałam, a jeśli spotkałam, to nie poznałam ;) Później pojechałyśmy za miasto. Miło było zobaczyć drzewa, jezioro i odetchnąć mokrym powietrzem. Zaliczyłam nawet wizytę u koleżanki ;) Mam nadzieję, że jesteś ze mnie dumny. Buziaki - Beti.

betiwróbel@vp.pl do kas.sm.@op.pl

Cześć, Kasieńko. Zmartwiłaś mnie ostatnim mailem ;(Bardzo mi przykro i trzymam kciuki, żebyś poczuła się lepiej. Może jakieś inne leki? Ja ostatnio zafundowałam sobie sporą

dawkę nowych wrażeń. Uległam Ance - spróbuj nie ulec - i dałam się wyciągnąć z chaty. Moje miasto zsolidaryzowało się ze mną i powitało wielkimi kroplami łez spadającymi z szarego nieba. Tak chyba było lepiej, bo gdybym ujrzała ludzi spacerujących w ciepłych promieniach słońca, znowu dostałabym chandry. Jeździłyśmy sobie różnymi uliczkami bez celu i pośpiechu. Jak dobrze było znów zobaczyć stare, znajome kąty. Uprosiłam Anię, żeby zawiozła mnie pod mój były zakład.

Niechętnie to zrobiła, krzycząc, że na siłę chcę się umartwiać. Miała rację - zryczałam się jak głupia. Miejsce, któremu poświęciłam tak wiele pracy, czasu i uczuć, zamieniło się w pijacką spelunę. Nie wrócę tam nigdy więcej!

Po zwiedzeniu wzduż i wszecz naszego małego miasteczka (co zajęło niecałe czterdzieści minut) pojechałyśmy za miasto. Drzewa są jeszcze bezlistne, ale w powietrzu pachnie już wiosną. To marzec w końcu ;) Anka zajechała do Chełpy - wioski kilka kilometrów od Choszczna - zaparkowała pod drzewem na brzegu małego jeziora i poszła na stawy kupić kilka pstrągów ze znajdującej się tu hodowli, a ja otworzyłam okno i napawałam się naturą. Deszcz ustał i z fascynacją obserwowałam budzące się dookoła życie. Wsłuchiwałam się w świergoty ptaków i podziwiałam kręgi na wodzie tworzone pewnie przez ryby. Obserwowałam rudą wiewiórkę przemykającą zgrabnie z gałęzi na gałąź. Wysoko na niebie ujrzałam sznur żurawi czy też gęsi i usłyszałam specyficzny klangor ptaków wracających do domu po długiej zimie. I znów się

rozbeczałam. Ale tym razem to był dobry płacz, taki wiesz, oczyszczający. Przyroda zatoczyła krąg. Kwitła latem, usnęła na zimę, a teraz się budzi, wraca do życia. I za chwilę znów będzie kwitła, pachniała, zachwycała swą urodą i energią. A przecież my jesteśmy jej częścią. Ja jestem jej częścią. Kwitłam, później umarłam. Czas się obudzić. Czas żyć.

betiwróbel@vp.pl do mszymaniuk@gmail.com

Matko jedyna - jaki Ty jesteś ciekawski!!! Sama nie wiem, czy przemawia przez Ciebie ciekawość zawodowa, czy też potrzeba połechtania własnego ego ;))) Żartuję, żartuję - wiem, że to troska o mnie ;) Poradziłam sobie prawie doskonale. Aleksandra mieszka w domku jednorodzinny. Od frontu trzeba wejść po kilku schodkach, ale z tyłu domu jest taras. Piotrek podłożył dwie deski (jest budowlańcem, więc desek u niego dostatek) i tym zaimprovizowanym podjazdem z niewielką pomocą pana domu dostałam się do środka. Pomimo protestów Oli szczotką zmiotłam piach z kół (tak jak ćwiczyliśmy), kilka razy trzepnęłam przednimi kółkami o podłogę tarasu (donoszę uprzejmie, iż obyło się bez upadku) i już ;) Pojechałam do toalety, opukałam pęcherz, który po chwili się opróżnił, na wszelki jednak wypadek z wkładką się nie rozstaję. Wszystko więc przebiegło według planu ;) - Zosia Samosia.

PS A tak w ogóle to nie wstyd Ci pytać mnie o takie intymne rzeczy?

PPS Dziękuję Ci bardzo za te wszystkie rady. Przydają się ;) Buziaki - Beti.

betiwróbel@vp.pl do kas.sm.@op.pl

Miałaś całkowitą rację, twierdząc, że nie da się żyć samemu. No, niby da, ale trudno taką egzystencję nazwać życiem. Prawie zapomniałam, jak to jest przebywać z przyjaciółmi, wspólnie się śmiać czy omawiać zwykłe, codzienne sprawy. Przez ostatni miesiąc jedynymi moimi towarzyszami były: smutek, gorycz, poczucie beznadziejności i wszechobecny bezsens. Tak głęboko zanurzyłam się w tej ponurej, mulistej sadzawce, że nawet nie chciało mi się już z niej wychodzić. A przynajmniej tak mi się zdawało. Anka otworzyła mi oczy, na siłę wyrwała z mułu i zaciągnęła do ludzi. Okazało się, że to nie świat olał mnie, tylko ja olałam świat. Przykry policzek na otrzeźwienie...

Na początku byłam skrupowana. Olka też. Choć przecież znamy się już tyle lat i nigdy nie było pomiędzy nami żadnych spięć. No, kiedyś mnie wnerwiła, gdy tipsy, nad którymi męczyłam się kilka godzin, w pięć minut skroiała do sałatki... ;) Sytuację rozładowały dzieci. Olka ma dwie córki.

Jedenastoletnią już prawie Hanię i pięcioletnią Michalinę. Obie nad wyraz inteligentne i samodzielne. Na kolację były pierogi, szykowane kolektywnie przez wszystkie kobiety. Misia uszykowała zastawę i przyozdobiła stół, a Hanka poszła do kuchni po półmisek z owymi przysmakami. Młodsza siostrzyczka pomaszerowała za starszą. Już miałam się odezwać, że dziewczynki takie zgodne, gdy rozległ się wrzask.

- Sama jesteś beznadziejna!

Z krokodylimi łzami i usteczkami w podkówkę mała Miśka wpadła do pokoju.

- Mamo, powiedz coś Hance!

- Co się stało? - Ola przytuliła córkę.

- Bo ona mówi, że moje pierogi są beznadziejne! - wyrzuciło z siebie rozżalone dziecko.

- Hanka! Czemu denerwujesz Miśkę? - wydarła się Olka w stronę kuchni. - To nieprawda, kochanie. Twoje pierogi są najpyszniejsze w świecie.

- Ale bez nadzienia! - odkrzyknęła z kuchni Hania.

- No widzisz! Dalej mówi, że beznadziejne! - Miśka ryknęła płaczem z jeszcze większą siłą.

Rany, ledwie powstrzymałam się, żeby też nie ryknąć. Ze śmiechu. Z pomocą ojca Hania przyniosła z kuchni cztery półmiski. Na jednym były pierogi ruskie, na drugim z mięsem i szpinakiem, trzeci zawierał pierogi z owocami, a czwarty zbite kulki różnej wielkości, dzieła, jak się łatwo domyśliłam, małej kuchareczki. No i faktycznie - bez nadzienia ;) Rozpoczęła się debata na temat różnicy pomiędzy beznadzieją a bez nadzienia, ale dopiero gdy wszyscy zaczęli zajadać się beznadziejnymi, ups, bez nadzienia, kulkami i głośno chwalić ich walory smakowe, Miśka się uspokoiła. No, a dalej to już samo poszło. Przytoczę jeszcze jedną historyjkę, która, mam nadzieję, również Cię rozbawi, a którą także wspomnieliśmy podczas pierogowej kolacji. Swojego czasu Anka chodziła z facetem o imieniu Jacek. Krótki był to okres, ponieważ iloraz jego inteligencji wynosił gdzieś tak minus trzy. Przy jakiejś okazji Anka przedstawiła

go swojej kuzynce Marioli, która wróciła z przeciwnego krańca Polski i od kilku lat mieszka w pobliskiej wsi.

- Skąd jesteś? - zainteresował się Jacek.

- Przemyśl - odpowiedziała Mariolka.

Zapadła krępująca cisza. Mari patrzy na Ankę, ta na Jacka, a Jacek wpatruje się w Mariolkę. W końcu chłopak ocknął się i przemówił: - Przemyślałem, ale dalej nie wiem...

Boskie, nie? ;))) I w takiej atmosferze, pośród wybuchów śmiechu i niezobowiązującej paplaniny, przeleciał nam cały wieczór. Przy świetnym żarciu, lampce wina i w cudownym towarzystwie. Aż żal było zbierać się z powrotem. Kilka minut po dwudziestej pierwszej podjechałyśmy pod dom i sąsiad wniósł mnie do mieszkania. Nawet nie zdążyłam podziękować Ani za to wspaniałe popołudnie. Wniosła mój wózek i poleciała do swoich bliźniaków. Pisałam Ci, że Anka ma dwójkę półtorarocznych bąków?

Słodkiego Jasia i jeszcze słodsza Małgosię ;) Tym bardziej jestem jej wdzięczna, bo z pewnością przy dwójce małych dzieci ma co robić. Są jednak dobrzy ludzie na tym świecie... I tą głęboką myślą żegnam się z Tobą na dziś, z nadzieją na długi list od Ciebie ;) Ściskam mocno - Beti.

Beata zamknęła laptopa. Pojechała do łazienki, wyszczotkowała zęby i po zakończeniu wieczornych ablucji ułożyła się wygodnie w łóżku i włączyła telewizor. *Fajny był ten ostatni tydzień* - pomyślała, skacząc po kanałach w poszukiwaniu czegoś ciekawego. Kilka dni po wizycie u Oli odwiedziła również Mariolę. Tym razem zabrał ją Arek -

partner Anki – i przez całą szesnastokilometrową drogę do Jagodzic gruchała z siedzącymi grzecznie w fotelikach maluchami. Małgonia zaczynała się już komunikować prostymi sylabami i ogromnie wzruszyła Beatę słówkiem podobnym trochę do wyrazu „ciocia”.

U Mariolki jak zawsze było gwarnie i tłoczno. Po przyjeździe Beatę ulokowano w najwygodniejszym fotelu, a czwórka dzieciaków w wieku od czterech do trzynastu lat rzuciła się do ujeżdżania jej wózka. Sławek podpatrzył, jak pokonywała próg, jadąc na dwóch tylnych kołach, i za wszelką cenę usiłował wbić wózek w balans. Dopiero gdy przyrznął zdrowo plecami, wywracając się razem z wózkiem i ściągając na siebie stojącą lampkę, zrezygnował z akrobatyki i poszedł do kóz. Pozostałe dzieciaki gremialnie opanowały wzgardzony przez najstarszego brata sprzęt i Beti ze strachem obstawiała, które teraz z kolei wywinie koziołka. Na szczęście, z wiadrem pełnym świeżo udojonego mleka, z obory wróciła Mariola.

– Czy wyście powariowali?! W tej chwili złazić z wózka cioci Beaty!

Jurek, czy ty też oszalałeś? Przecież te diabły zaraz rozbiorą go do najmniejszej śrubki! Speszony mężczyzna oderwał się od komputera, na którym wspólnie z bliźniakami oglądał jakąś kreskówkę, i poszedł zaprowadzać porządek. Po pełnej niezadowolonych jęków chwili dzieci porozbiegały się po domu i zapanował względny ład.

– I co z Malinką? – zapytała Beti, biorąc na ręce Małgosię i obserwując Jasia, który żwawo podreptał w kierunku

wózka.

- Zapalenie wymienia. Ajron został jeszcze w koziarni, żeby upewnić się co do zdrowia pozostałych kóz. Matko, jak mi się stado rozrosło. Dasz wiarę, że cztery lata temu miałam jedną jedyną Zarazę? A teraz babunia już spoczywa w spokoju. Powiem ci, że trochę mi jej brak. Sabie chyba też.

Pochyliła się i podrapała za uchem starą płową sukę, leżącą spokojnie na podłodze.

- Ale wracając do tematu. - Mariola wstawiła mleko do zagotowania i usiadła obok Beaty. - Mam nadzieję, że dołączysz do nas w święta wielkanocne? Będą sami swoi.

- Już Anka suszyła mi o to głowę - zaśmiała się Beti. - Dołączę z przyjemnością. Dziękuję.

Mariola uśmiechnęła się ciepło.

- Cieszę się.

I to „cieszę się” było prawdziwe i z głębi serca.

Beata raz jeszcze przeżywała miniony tydzień. Każdą chwilę, każdy uśmiech, każde drgnienie własnego serca. *Boże, spraw, aby te czarne dni już nie wróciły* - modliła się w myślach. - *Pozwól mi zamknąć ten rozdział i otworzyć nowy. Nie rzucaj więcej żadnych kłód, nie stawiaj wyzwań, nie sprawdzaj mnie. Daj jakiś znak, że najgorsze już za mną. Proszę, daj mi sił...*

Nie znalazła nic ciekawego w telewizji, więc wyłączyła gadające pudło. Jej wzrok padł na migającą diodę laptopa sugerującą nową wiadomość mailową. Otworzyła pocztę.

mszymaniuk@gmail.com do betiwróbel@vp.pl

Beti.

Nie mam pojęcia, jak mam to napisać, więc napiszę wprost. Kasia nie żyje. Jej stan gwałtownie się pogorszył, zapaść... Mimo natychmiastowej reanimacji nie udało się przywrócić funkcji życiowych. Przykro mi.

Poinformuję Cię o dacie pogrzebu.

Michał.

Nie wierząc jeszcze własnym oczom, spojrzała w niebo. *To jest Twoja odpowiedź? To jest Twój znak? Taka jest Twoja pieprzona łaska i miłosierdzie?* Jeszcze raz przeczytała wiadomość od Michała. Wciąż brzmiała tak samo. Nie zmieniło się ani jedno słowo, ani jedna litera. *To jest ten znak od Ciebie, Boże?*

Rozdział 13

- Zebrani na tej żałobnej uroczystości pamiętajmy, że pewnego dnia, którego nie znamy, nie możemy przewidzieć, a może nawet się lękamy, Bóg powoła nas do siebie jak zmarłą Katarzynę. Bądźmy przygotowani na ten dzień poprzez nasze dobre życie, przez przestrzeganie Dekalogu, przez zgodę w rodzinie i w pracy oraz życie w prawdzie. Nikt z nas nie wybrał sobie czasu, w którym przyszło mu przyjść na świat czy żyć na tym świecie, i nikt z nas nie zna dnia, w którym umrze. To, co mamy, to życie, czas pomiędzy dniem narodzin a śmiercią. Nie czekajmy więc na ostatnią chwilę z naprawianiem naszych relacji z Panem Bogiem, ale chciejmy je budować każdego dnia, bo jak sam Jezus przestrzegł: „Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny”.

Ksiądz skończył kazanie. Wierni dookoła Beaty wstawali ze swych miejsc, aby przyjąć komunię świętą, inni wracali i klękali w ławkach, modląc się w skupieniu. Beti, podobnie jak Anka, która przywiozła ją na to smutne wydarzenie, nie miała zamiaru iść w ich ślady, choć sporo osób na wózkach inwalidzkich, które tak jak ona przyjechały z różnych stron Polski, aby towarzyszyć Kasi w jej ostatniej wędrówce,

jechało w stronę ołtarza. Jeszcze wczoraj Beacie wydawało się, że pogodziła się ze swoją sytuacją. Pożegnała dawne życie i jest gotowa zacząć nowe. Dziś miało zupełnie inny kolor.

Wiadomość o śmierci przyjaciółki ponownie podkopała jej wiarę w siebie, a poczucie krzywdy i niesprawiedliwości znów zawładnęło jej duszą.

Spojrzała na Michała. On również został w swojej ławce i z pełną powagą patrzył przed siebie. Msza skończyła się wreszcie i tłumy ludzi zaczęły kierować się ku wyjściu. Michał podszedł do ich ławki.

- Dzień dobry. - Uścisnął dłoń Anki i uśmiechnął się do Beaty. - Beti, cieszę się, że dojechałaś. Kasia chciałaby, żebyś była. Jak się czujesz?

- Do dupy. - Choć nie płakała do tej pory, na dźwięk głosu swojego dawno niewidzianego rehabilitanta rozkleiła się zupełnie.

- To niesprawiedliwe. Taka kobieta jak ona, pełna ciepła i mądrości, nie powinna tak cierpieć i odejść w tak młodym wieku. - Łzy płynęły ciurkiem po policzkach dziewczyny. - Do dupy!

- Wiem. Masz rację. - Przytulił ją na chwilę. - Nie becz. Zimno jak w psiarni, zaraz sople będą ci z oczu zwisać. Chodźcie, idziemy.

Wyszli z kaplicy i wolno ruszyli za konduktem żałobnym. Ania pomogła Beacie wjechać pod górkę, jednak do samego miejsca pochówku nie dały rady się dostać. Wąskie, a do tego błotniste ścieżynki cmentarza utrudniały poruszanie się

nawet osobom zdrowym, więc niepełnosprawni uczestnicy pogrzebu zatrzymali się przy głównej alei, nie próbując nawet pokonać przeszkód. Po odśpiewaniu ostatnich psalmów Anna podeszła do grobu, aby złożyć wieniec i zapalić kilka zniczy. Pomimo że nie знаła zmarłej, smutek Beaty i ogólna atmosfera spowodowały, że płakała na równi z innymi.

- Stypa jest w restauracji „Gniewosz”. Jedźcie za mną - zaproponował Michał.

- Nie, dziękujemy. Już i tak zajęłam Ani cały dzień - wymówiła się Beti.

- No co ty, daj spokój - odpowiedziała natychmiast policjantka. - Jeśli tylko masz ochotę, to ja z przyjemnością poczekam. Zrobię mały shopping, poszwendam się po mieście...

- Aniu, ciebie również zapraszam. Znajdzie się miejsce i talerz dla każdego - nalegał nadal Michał, ale Beata chciała już wrócić do domu. Choć z przyjemnością porozmawiałaby z fizjoterapeutą, czuła, że nie jest to najlepszy moment. Ani dla niej, ani dla niego. Michał znał Kasię dużo lepiej i dłużej niż ona i pogrzeb z pewnością był dla niego bardzo trudnym przeżyciem.

- Nie, Michał. Dziękujemy, ale naprawdę musimy już jechać. Napiszę do ciebie. Pozdrów wszystkich w szpitalu. Miło było znów cię widzieć, choć w takich przykrych okolicznościach.

- Mnie również, Beti, naprawdę. - Chłopak uśmiechnął się niewesoło. - Pozdrowię ludzi. Trzymaj się i nie dawaj

kopać się po tyłku. Pamiętasz?

Tylko od ciebie zależy, co będzie dalej. Pisz.

Pomógł Ance w upchnięciu wózka do małego bagażnika corsy i poszedł do swojego auta. Beata patrzyła za nim, dopóki zakręt nie zasłonił ostatniego fragmentu jego sylwetki.

Przez kolejny tydzień Beti miała doła. I to nie małego, wykopanego przez zwykły szpadel, tylko wrytego przez porządną, monstrualną koparkę. Jej wielka łycha zgarnęła cały dobry humor, błysk z oka, uśmiech z twarzy oraz całą niedawną chęć życia i walnęła gdzieś w kąt. Zostawiła czarną, przepastną dziurę, w której Beata się masochistycznie pogrążała. Nie przyjmowała żadnych gości, wymawiając się złym stanem zdrowia. Ledwie wmuszała w siebie kanapkę, a obiad zjadała jedynie po wielokrotnych prośbach i napomnieniach matki. Patrzyła tępo w telewizor lub monitor laptopa, ale do mózgu nie docierały żadne obrazy, słowa czy melodie.

Wegetowała od rana do wieczora, nierzadko w ogóle nie wychodząc z łóżka. Jedyne głośny wybuch śmiechu, który rozległ się tuż po przybyciu listonosza, ucieszył panią Anielę, ale gdy wpadła do pokoju córki, odkryła z przykrością, że nie był to bynajmniej wybuch radości. Beata czytała pismo z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, w którym informowano ją uprzejmie, że została jej przyznana renta inwalidzka w wysokości ośmuset osiemdziesięciu złotych czterdziestu pięciu groszy plus zasiłek pielęgnacyjny w kwocie całych stu pięćdziesięciu trzech złotych polskich. Małym drukiem na

samym dole listu uświadomiono odbiorcę, że renta przyznana jest na okres trzech lat.

- Fantastycznie, mammo! Jaka uczciwa firma. Po sześciu latach comiesięcznego płacenia prawie tysiąka na ZUS dostałam tysiąka z powrotem. Jeszcze tylko trzysta mi brakuje i będzie mnie stać na opłaty.

Boże, cóż za wspaniała wiadomość!

Po czym rozplakała się żałośnie, odrzucając pismo jak najdalej od siebie. Pani Aniela westchnęła ciężko i podniosła ZUS-owską decyzję z podłogi. Jęknęła cicho, gdy schorowany kręgosłup wyraźnie dał jej do zrozumienia, że jednak nie powinna schylać się ani tak gwałtownie, ani tak nisko.

Dwa dni później nadszedł kryzys. Beata gwałtownie zamknęła laptopa. Z całej siły walnęła pięścią w swoje martwe nogi i rozplakała się histerycznie.

- Mam dość!

Matka stanęła w pół kroku i smutno spojrzała na córkę. W jej oczach błysnęły gorzkie łzy. Nie umiała pomóc swemu dziecku. Przerazały ją własna bezradność i fakt, że nie potrafi córce ulżyć. Gdyby tylko mogła wziąć na siebie jej chorobę, jej ból, samotność i strach, nie wahałaby się ani przez sekundę. Z radością przyjęłaby wszystkie gromy z jasnego nieba, aby tylko na twarzy Beaty zakwitł uśmiech. Choć na chwilę.

- Po co mi to życie! Dlaczego Bóg skazał mnie na coś takiego? Na marną egzystencję, parodię istnienia. Rzygam widokiem wciąż tych samych ścian, kretyńskich programów

telewizyjnych i sztucznych wizyt. Mam dość ciebie i twojej pomocy. Myślisz, że nie słyszę, jak dziękujesz Ance za każdym razem za to, że mnie odwiedza? Boże, jakie to obłudne!

Odwróciła się plecami do całego świata. Czuła się podwójnie, potrójnie podle. Wiedziała, że matka czuje się zraniona. I choć z jednej strony czuła wstyd, z drugiej ogarnęła ją jakaś niezrozumiała satysfakcja. Że nie tylko ona cierpi, że nie tylko jej świat z wielkim hukiem zawalił się na głowę.

- Córciu... ja rozumiem...

Smutek w głosie matki wzburzył ją jeszcze bardziej.

- Gównu rozumiesz! Idź już. Wynoś się! Ty nie wiesz, jak to jest być przykutą do tego cholernego wózka. Być zależną od innych. Ty możesz wyjść, poczuć wiatr na twarzy i trawę pod stopami. Możesz wejść do sklepu, kina, kościoła. Możesz trzasnąć drzwiami i uciec, gdy masz dość. Ja nie mogę. Utknęłam niczym mucha w gigantycznej pajęczynie i niby jeszcze żyję, ale tak naprawdę już po mnie. Chcę być sama. Idź już.

- Beatko...

- Idź! Wyjdź! Wynoś się!

Jej krzyk był straszny. Gdyby wzorem starych wiejskich posiadłości na stole stały kryształowe naczynia, pękłyby na miliony małych kawałków i rozsypałyby się na cztery strony świata. Tak jak pękło serce matki.

Zdruzgotana kobieta nie wiedziała, co ma zrobić. Podeszła do swego dziecka, które tak wiele lat temu nosiła

pod sercem. Któremu każdego dnia od dwudziestu dziewięciu lat poświęcała pierwszą myśl po przebudzeniu i ostatnią przed snem. Dla którego byłaby gotowa złamać wszelkie przepisy świata i poświęcić absolutnie wszystko. Nieśmiało położyła swą spracowaną, pokrytą wątrobowymi plamami dłoń na spazmatycznie podrygującym od szlochu ramieniu Beaty.

- Ja wiem, kochana, że ci ciężko. Pójdę, ale jutro wrócę. Choćbyś wyganiała mnie sto razy dziennie i wyzywała od najgorszych. Choćby codziennie moje serce łamało się na pół, zawsze wrócę. I chociaż ty przeklinasz Boga, ja w każdej sekundzie dnia i nocy dziękuję Mu, że pozwolił mojej córce wrócić do domu.

Po kilku minutach cicho stuknęły drzwi wyjściowe. Wolno oddalające się kroki matki doprowadziły Beatę do kolejnego ataku płaczu. Po paru godzinach, wyczerzona, z powiekami tak napuchniętymi, że prawie nie mogła otworzyć oczu, podjęła ostateczną decyzję. *Nie może tak być. Mama nie zasługuje, żebym tak ją traktowała. Nie pozwolę, żeby każdą chwilę schyłku swojego życia przeznaczala na żalobę po mnie. Po moim życiu, przyszłości i szczęściu. Po wnukach, którym nie będzie czytała „Kubusia Puchatka” ani dziergała kolorowych sweterków na drutach, bo nigdy się nie narodzą. Po marzeniach o spokojnej starości. Przecież dopiero dwa lata temu pogodziła się ze śmiercią ojca.*

Beata pewnym ruchem wysunęła szufladę. Skrzywiła się, gdy usłyszała przeraźliwe skrzypnięcie. *Tak. Mam dość. Pieprzyć to wszystko.*

Z wyciskania tabletek estazolamu zrobiła mały rytuał. Jedna po drugiej różowe pigułki lądowały na spoczonej dłoni. Powoli. Pstryk – pierwsza.

Pstryk, pstryk, pstryk... Owalne kształty, grzechocząc niepokojąco, wpadały w zagłębienie dłoni. Siedem. Pochyliła się na bok i drugą dłonią przewracała szpargały w szufladzie, poszukując następnego opakowania zapisanych jej przez lekarza rodzinnego tabletek nasennych. Nie znalazła.

Wystarczy? Siedem. Jak siedem grzechów głównych. *Jak moje życie i moja śmierć...* Do stojącej na szafce szklanki naląła wody mineralnej. *Wino w barku... lepsze by było.*

Ze świadomością, że to wreszcie ostatni raz, Beti zrzuciła nogi z łóżka i przyciągnęła znienawidzony wózek. Zgrabnie i bez specjalnego problemu przerzuciła pośladki, odruchowo ustawiła bezwładne stopy na podnóżku i pojechała do dużego pokoju. Martini? Czerwone słodkie czy białe półwytrawne? Zdecydowała się na białe. Włożyła butelkę między nogi i skierowała się z powrotem do sypialni. Uwagę dziewczyny przyciągnął jakiś ruch na balkonie. Na balustradzie usiadł gołąb. Zwykła szara sierpówka patrzyła wprost na Beatę czerwono-żółtym, błyszczącym okiem.

Na karku wyraźnie odznaczała się czarna, obramowana białym sierpem obroża, poruszająca się w prawo i w lewo wraz z ruchem szyi ptaka. Czarny dziób lekko się otworzył i pomimo zamkniętych drzwi dziewczyna usłyszała posępne pohukiwanie. Beti ogarnął pusty śmiech. *Teraz? Teraz, Boże, wysyłasz do mnie gołąbka pokoju? Przecież on nawet*

nie jest biały. Jest szarobury jak moje zasrane życie. Czy może straszysz mnie piekielnymi mękami? Ten sierp to jakaś przestroga? Że zetniesz mnie niczym łan dojrzałego zboża? Już mnie ściąłeś! Panie Boże, mógłbyś postarać się bardziej, moje życie już jest piekłem. Machnęła ręką i gołąb przestraszony nagłym gestem odleciał. Beata poprawiła ułożenie butelki wina i wróciła do łóżka. Ostatni raz spojrzała na pomalowane wesołym, żółtym kolorem ściany. Na własną fotografię opartą o lustro w ozdobnej ramie. Stała na mostku rybackim, ubrana w krótką sukienkę i japonki w kwiaty. Uśmiechała się wesoło. Za jej plecami płynęły żaglówki, a niebo miało lazurowy kolor.

Pamiętała dobrze moment, w którym zrobione zostało zdjęcie. Dzień po zdaniu matury wraz z najbliższymi koleżankami i kolegami poszła na lody i pierwsze legalne piwo.

Odgarnęła firanę i spojrzała w niebo. *Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata.* Przypomniało jej się, jak siedziała w samochodzie Anki, a przez głowę przelatywały jej myśli o cyklu natury, o śnie i przebudzeniu, o życiu i śmierci. Szare chmury kotłowały się po wiosennym niebie. Jakie to były bzdury... *Przebudzenie... śmiechu warte.* Jednym ruchem wsypała tabletki do ust. Jeden długi łyk wina wystarczył, aby pigułki miękko spłynęły w dół.

Rozdział 14

Pani Aniela Wróblewska postawiła torbę z zakupami pod drzwiami i rozpoczęła codzienny rytuał poszukiwania kluczy w torebce. Ciężko sapiąc, bo wejście na czwarte piętro sprawiało jej spore trudności, gmerała po omacku palcami. Przesunęła cienką portmonetkę, paczkę chusteczek i okulary w sztywnym etui. Zaszleściły stare rachunki i paragony. W końcu trafiła na pęk kluczy, wyjęła je z torebki i otworzyła drzwi . *Jaka cisza* - pomyślała, idąc w stronę kuchni. Z pokoju Beaty nie słychać było ani pobrzękującego zazwyczaj o tej porze telewizora, ani stukania w klawisze laptopa. *Biedulka, wczoraj miała taki trudny dzień...*

Kobieta wstawiła w czajniku wodę na herbatę i zajęła się szykowaniem śniadania. Smarując masłem kromki, nasłuchiwała znajomych odgłosów.

Sąsiad z naprzeciwka wychodził właśnie do pracy. Pod ósemką darł się czarny pudel, a Kaczmarska spod siódemki już zaczynała klepać kotlety na obiad, mimo że nie było jeszcze dziesiątej godziny. Ot, uroki mieszkania w bloku. Cicho podeszła pod drzwi pokoju córki. Stała chwilę, nasłuchując.

Cisza.

Pani Aniela zalała herbatę i z filiżanką w ręku usiadła w fotelu. Włączyła wiadomości. Przez chwilę słuchała, jak mądre głowy plotą niesłychane głupoty, i zdegustowana przełączyła kanał. W telewizji śniadaniowej uczyli, jak robi się naleśniki. *Boże święty, czy naprawdę ktoś tego nie potrafi?*

Specjalista do spraw suplementacji rozwodził się nad śmiertelnym glutenem, dietetyk polecał tylko i jedynie mleko o półprocentowej zawartości tłuszczu, a znany aktor zachwycał się smakiem dżemu z ekologicznych, niepryskanych bananów. *No proszę, czyli banany w ogródku mu rosną* – pomyślała ironicznie. Spec od żywienia polecał ziemniaki obierać jak najcieniej, bo pod skórką znajduje się najwięcej witamin, a ekolog – jak najgrubiej, bo wszelkie chemiczne świństwa zbierają się tuż pod zewnętrzną warstwą. Kobieta westchnęła i wyłączyła telewizor.

Pożałowała bardzo, że nie może już czytać książek. Szczególnie swoich ulubionych biografii o mądrych ludziach, ich wyborach i skutkach tychże wyborów. Oczy szybko zaczynały łzawić, w głowie szumiało, a kark sztywniał i bolał. Starość nie radość, śmierć nie wesele... Zerknęła na zegar stojący na komodzie. Dziesiąta trzydzieści. *Co ta Beatka tak dzisiaj długo śpi!?*

Nieco zaniepokojona ponownie podreptała pod pokój córki. Cisza. Delikatnie nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i weszła do sypialni. W oczu od razu rzuciła jej się stojąca na nocnej szafce prawie opróżniona butelka po winie. Nawet nie

przeszło jej przez głowę, aby potępić córkę. Zrozumiała. Podeszła do śpiącej dziewczyny i lekko dotknęła jej zimnej dłoni.

- Córku, wstawaj.

Beata ani drgnęła. Pani Aniela odgarnęła włosy z czoła nieruchomej niczym posąg córki.

- Beatko, już prawie jedenasta!

Beata poruszyła się, otworzyła oczy i spojrzała na pochyloną nad nią kobietę.

- Mama? - Jej głos był obcy i zachrypnięty.

- No, ja. - Pani Aniela się uśmiechnęła. - A kogo się spodziewałaś?

- Boga. Albo raczej diabła - wymamrotała niewyraźnie Beata.

- Co?

- Nie... nic. - Dziewczyna z powrotem zamknęła oczy, a na jej twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas. - Nawet to mi się nie udało - szepnęła cicho do siebie.

- Co, córku? Co ci się nie udało?

- Nic.

- Nie rozumiem. - Kobieta załamała ręce.

- To nic.

Przez chwilę w pokoju panowała niezręczna cisza. Pudel spod ósemki wciąż szczekał jak opętany. Sąsiadka spod siódemki skończyła walić tłuczkiem, a gdzieś z dołu rozległ się płacz dziecka. Matka niepewnie spojrzała na córkę.

- Śniadanie zrobiłam. Zjesz?

- Za chwilę.

Pani Aniela wyszła, a Beti ponownie zamknęła oczy. W jej głowie tytani z całych sił walili w ściany Tartaru, a Zeus miotał w nich błyskawicami. *Taa, przejdę na mitologię grecką. Oleję Boga i diabła, tak jak oni olewają mnie* – postanowiła i otworzyła oczy. Tytani walili dalej, ale przynajmniej Zeus się zlitował i błyskawice zniknęły. *Albo na egipską* – rozważała dalej. Zrzuciła nogi i zaczęła się ubierać. – *Taki na przykład Chnum by się nadał – zamiast twarzy miał łeb barana. Bastet też pasuje, umiem tylko miauczeć.* – Sięgnęła po grzebień i zaczęła wolnymi ruchami rozczesywać splecione włosy. – *Albo Hathor, bogini krowa. Nie... Hathor to bogini płodności, a raczej nie zanosi się u mnie na gromadkę bachorów. Trudno, nie będzie pięćset plus, trzeba zadowolić się rentą i pięćset minus...*

Odłożyła grzebień, odepchnęła się rękami od łóżka, wsiadła na wózek i ignorując wciąż wściekających się tytanów, pojechała do łazienki.

– Hej!

– Cześć! Właźcie.

W pokoju zapanował ruch. Jaś natychmiast podszedł do wózka i zaczął kombinować, jak by tu powykręcać wszystkie śrubki, Gonia wyciągnęła rączki i usiłowała wdrapać się na kolana Beaty, a Anka walnęła torby na rozbebeszone łóżko.

– Mówię ci, zwariuję kiedyś! Wychodząc nawet na niewielki spacer, muszę tachać ze sobą tonę pakunków. Pampersy, ciuchy dla Jaśka, bo wiadomo, że się upierdzieli, ciuchy dla Goni, bo zobaczy, że Jasiek ma inne spodnie, i też

będzie chciała. Krokodyla dla gówniarza, miśka dla smarkatej, bo w domu maskotki będą tęskniły i płakały. Żarcie. Jasiek – kaszka bananowa, Małgosia – malinowa, bo przecież nie mogą zjeść tej samej, bo nie lubią. Chrupki dla niej, biszkopeciki dla niego. Niedługo będę musiała sobie trzecią rękę przeszczepić. A jeszcze lepiej dwie.

Mimo narzekania Anna patrzyła na dzieci z ogromną czułością. Wetknęła do rozwartego dzióbka Małgoni kukurydzianego chrupka i sprawdziła, czy Jasiek nie wsadza paluszków pomiędzy szprychy.

- A Ajron oczywiście cały czas w pracy. Nie wiem, kiedy on znalazł czas, żeby w ogóle spędzić własne dzieci.

- No wiesz, wiosna. Gorący czas dla weterynarza – zaśmiała się Beti. – Zwierzaki pewnie rodzą się na potęgę.

- Żebyś wiedziała.

Dzieci znudziły się i zgodnie pomaszzerowały do kuchni, skąd dolatywał zapach świeżo upieczonego ciasta. Anka zerknęła na butelkę po winie i mrugnęła do przyjaciółki.

- A co to? Imprezka jakaś mnie ominęła?

Beti podążyła za jej wzrokiem.

- Nie chciałybyś w niej uczestniczyć – odpowiedziała ponuro.

- Coś się stało? – zaniepokoiła się czujna policjantka.

- W sumie nic. Doła miałam.

- Ja mam przeciętnie raz dziennie. – Anka próbowała zbagatelizować sprawę. Milczenie Beaty uzmysłowiło jej jednak, że sprawa nie jest taka błaha. – Wiem, Beti. Rozumiem. Lepiej już?

Beata w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami. Bezwiednie spojrzała na pusty listek po tabletkach nasennych. Anka nie na darmo była jednym z najlepszych śledczych spośród choszczeńskich policjantów. Szybko dodała dwa do dwóch i przerażenie zmroziło jej serce.

- Zwariowałaś?! Nawet o tym nie myśl! Zabraniam ci!

Łza w oku Beaty zdenerwowała ją jeszcze bardziej.

- Beti?

- Spoko. Nawet tego nie potrafię zrobić skutecznie.

Nie wiadomo, jak rozwinęłyby się rozmowa między przyjaciółkami. Rozklejeniu się Beaty i wściekłemu szałowi Anki przeszkodziło wtargnięcie Jasia, który z dumą zaprezentował nową czekoladową plamę na swoim sweterku. Po powrocie do domu Anna przekazała dzieci ich ojcu i zasiadła przy komputerze. Odnalezienie mailowego adresu Michała Szymaniuka zajęło jej niecały kwadrans.

asikora1@op.pl do mszymaniuk@gmail.com

Cześć, Michał. Tu Anka - poznaliśmy się na pogrzebie Kasi. Piszę do Ciebie w sprawie Beaty Wróblewskiej, choć może nie powinnam i pewnie Beti wściekłyby się na mnie, gdyby dowiedziała się o tym mailu. Mam wrażenie, że jest źle. Nie wiem tego na pewno, ale chyba usiłowała popełnić samobójstwo. Wiem, że jesteś dla niej autorytetem, a co ważniejsze, przyjacielem, dlatego postanowiłam napisać. Zrób coś. Przemów jej do rozsądku, bo ja nie potrafię. Boję się. Nie mogę do niej dotrzeć i mam wrażenie, że Beata odsuwa się ode mnie. Nie chcę tego. Ona pewnie też nie, ale

tak właśnie się dzieje. Przepraszam Cię za chaotyczność moich słów, ale jak zacznę poprawiać i się zastanawiać, to pewnie nie wyślę tego błagania o pomoc.

Pozdrawiam - Anna Sikora.

PS Jakbyś miał jakieś zaległe mandaciki albo coś, to wiesz...

Michał Szymaniuk czytał ciekawy artykuł na temat diagnozy funkcjonalnej ICF CP dziecka z mózgowym porażeniem dziecięcym w procesie bio-psycho-społecznej rehabilitacji. Zastanawiał się właśnie nad sensem jakiegokolwiek klasyfikacji, gdy na monitorze wyświetliła się ikona nowej wiadomości. Otworzył pocztę. Odczytał maila i zamyślił się na długą chwilę. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął przeszukiwać książkę kontaktową. Znalazł odpowiedni numer i nacisnął zieloną słuchawkę. Po kilku sygnałach odezwał się kobiecy głos.

- Angelika Cap-Kozłowska. Słucham?

- Dobry wieczór, pani doktor, z tej strony Michał Szymaniuk. Nie przeszkadzam? Mam bardzo pilną sprawę.

Jadwiga Głuszek wróciła z randki. Chłopak może i był zabawny, ale jakoś nie nadawali na tych samych falach. Denerwowało ją, że wciąż chciał pomagać.

Sam powiesił jej kurtkę w szatni, odsunął krzesło od stolika w restauracji, czytał na głos menu. Miała wrażenie, że za chwilę pokroi steka na małe kawałeczki i zacznie wkładać kęski do jej ust niczym bocian robale swoim piskłętom. Zresztą nogi też miał jakieś takie bocianie... Wykąpała się i

położyła do łóżka. Zbyt mocno pchnięty wózek stuknął o ścianę . *Cholera, jeszcze kilka razy i znów będę musiała malować ściany.* - Skrzywiła się, złoścąc sama na siebie. Podniosła wieko laptopa i otworzyła pocztę.

mszymaniuk@gmail.com do jagababa@vp.pl

Hej, Wiewióra. Beata Wróblewska ma poważne problemy z sensem życia i własną egzystencją. Wiesz, jak to jest, prawda? Wdrażamy akcję FAR.

Priorytetowo. Dzwoniłem do Kozy, uprosiłem ją o miejsce i zapisała Beti na najbliższy termin obozu dla świeżynek, czyli na 10 maja. Twoja rola to namówić Beatę do uczestnictwa. Prośbą, groźbą i szantażem. Postaraj się, wiem, że potrafisz. Liczę na Ciebie!!!

Adres Beaty: ul. Staszica 103b/9, Choszczno.

Buziaki - Michał.

Rozdział 15

Srebrna toyota corolla zgrabnie zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych.

- No, jesteśmy u celu.

Beata z podziwem i zazdrością wpatrywała się w ognistowłosą Jagę. Kobieta obniżyła oparcie swojego fotela i jednym energicznym ruchem przerzuciła nad sobą wózek z tylnego siedzenia. Podniosła oparcie, otworzyła drzwi i wyrzuciła wózek na jezdnię. Nie patrząc, sięgnęła do tyłu.

Jedną ręką chwyciła koło od wózka, drugą zrzuciła własne nogi w ślad za swym, zdemontowanym chwilowo, pojazdem. Ciche kliknięcie świadczyło o tym, że koło znalazło się na swoim miejscu. Jaga sięgnęła po drugie koło, obróciła wózek o sto osiemdziesiąt stopni i powtórzyła manewr. Jedną ręką uchwyciła oparcie wózka, drugą odepchnęła się od fotela kierowcy i zgrabnie przeskoczyła na przeciwodleżynową poduszkę. Cała akcja zajęła jej góra trzy minuty.

Beti westchnęła ciężko i otworzyła drzwi od swojej strony. Obniżyła oparcie fotela i wyciągnęła do tyłu rękę. Kilka chwil macała po omacku, zanim trafiła na odpowiednią

rukę. Zacisnęła zęby i szarpnęła z całej siły.

Jasna cholera! Rura walnęła ją w sam czubek głowy, a przednie kółko przejechało po twarzy. Szamocząc się i szarpiąc, zacisnęła zęby. Usłyszała śmiech Jagi. Czuła, jak na jej głowie rośnie gigantyczny guz.

- Boże, dziewczyno! Co ci zrobił ten biedny mustang, że tak go maltretujesz?

Jaga podjechała i ściągnęła żelastwo z twarzy koleżanki.

- Raczej on mnie. Chyba złamał mi nos - wysapała niewyraźnie Beata.

- Spokojnie, nauczysz się. Podaj koła.

Czerwona z wysiłku i wstydu Beata ponownie sięgnęła ręką w poszukiwaniu reszty swego narzędzia tortur. Dwa ciche kliknięcia powiedziały jej, że pora na następny krok.

- Najpierw wyrzucić nogi - poinstruowała Jaga - i mocno pochyl się w przód.

Beti ze strachem wykonała polecenie swej instruktorki.

- Na raz, dwa, trzy. Przytrzymam ci wózek.

Beata zamknęła oczy. *Będzie cyrk. Nie ma opcji, żeby mi się udało* - pomyślała w panice. Kurczowo złapała niestabilne oparcie i z całej siły odepchnęła się od siedzenia. Poczowała, jak jej biodra lądują na przeciwległym kole. Tylko dzięki interwencji Jagi nie przeturlała się na drugą stronę wózka.

- Spokojnie - zaśmiała się kobieta. - Pofrunąć gdzieś chcesz?

Beti usadowiła się wygodniej.

- Rany! Mało brakowało, a fiknęłabym jak ta lala. - Odetchnęła głęboko.

- I co teraz?

- Teraz jedziemy się zameldować.

Jaga pewnie ruszyła w stronę białego, trzypiętrowego budynku. *Nie poradzę sobie. Mowy nie ma!* Beata jechała za towarzyszką, rozglądając się dookoła. Kilka samochodów właśnie podjeżdżało. Przez szyby bagażników widać było charakterystyczne duże koła wózków inwalidzkich. Z innych wysiadali ludzie w przeróżnym wieku i obojga płci. Większość była z opiekunami, którzy wyciągali wózki i pomagali przesiąść się na nie swoim podopiecznym. Beti przyspieszyła trochę, bo Jaga wjeżdżała już przez szerokie drzwi do środka. Z cichym szumem otworzyły się automatyczne wrota i dziewczyna wjechała do przestronnego holu. Jej wzrok pomknął do szerokich stopni prowadzących na piętro. *Matko jedyna! Tylko nie schody!*

Odetchnęła z wielką ulgą, gdy zza któregoś rogu usłyszała brzęk windy, i podjechała do Jagi parkującej przy recepcji.

- Poszukaj dowodu, musimy się zameldować. - Jaga już podpisywała jakieś dokumenty.

Beti posłusznie ściągnęła wiszący na oparciu wózka plecak i zagłębiła dłoń w jego czeluściach.

- Mamy pokój na trzecim piętrze. Bagaze doniesie nam serwis, więc tym się nie martw. Najpierw prysznic, a później jedziemy na rekonesans.

Zobaczymy, jakie ciacha będą na tym turnusie. I czy w barze dalej pracuje ten sam kelner. Mówię ci, nieziemsko przystojny!

Po dopełnieniu formalności obie kobiety skierowały się do windy. Zanim zdążyły zrobić po dwa obroty kołami, na schodach rozległ się rumor. Ktoś szybko zbiegał, nie martwiąc się widocznie o ewentualne uszkodzenia własnego ciała.

- Zlituj się, chłopie! - Usłyszały głośny, męski głos. - Przecież te świeżynki będą do wieczora gramolić się z własnych samochodów. A zanim dojadą do swoich pokoi, minie północ. Przestań zrzedzić. Idę zajarać i zaraz się wezmę.

Beata, lekko poirytowana zasłyszanymi słowami, odwróciła się w stronę hałasu. Nieznajomy wielkim susem zeskoczył z ostatnich czterech schodów i wylądował zgrabnie tuż obok niej. Beti spiorunowała go wzrokiem.

- Cześć. Jestem Bartek.

- Cześć. Jestem świeżynka.

Mężczyzna nie wyglądał na zawstydzonego. Jasne włosy miał związane w kucyk, a grzywkę przytrzymywały lustrzane okulary przeciwsłoneczne.

W prawym uchu nosił trzy kolczyki. Ubrany był w krótkie dżinsowe spodenki i biały T-shirt.

- Uuu. Obraziłaś się?

Nie zdążyła mu odpowiedzieć. Chłopak zobaczył towarzyszącą Beacie Jagę i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Odwrócił się w jej stronę i szeroko rozłożył ręce.

- Wiewióra! Nie wiedziałem, że też będziesz na tym spędzie. Super! No patrz, ta gnida Michał nic mi nie powiedział!

Chwycił Jagę w objęcia i ucałował w oba policzki.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnio? Chyba ze dwa lata temu, nie? Kurna, jak fajnie. Zameldowałaś się już? Który pokój? Chodź, idziemy na kawę. Ja stawiam.

- Czekaj, wariacie!

Bartek zaczął pchać wózek Jagi w stronę bufetu, a Beti poczuła narastający niepokój.

- Nie jestem sama! Stój, czubku! - Urowadzana dziewczyna zaczęła walczyć ze swym porywaczem.

Słowa Jagi jakimś cudem dotarły jednak do uszu mężczyzny, bo zatrzymał się gwałtownie. Jaga zawróciła wózek i podjechała do Beti.

- To jest Bartek Orłowski. Wspólny kolega mój i Michała. Będzie miał z tobą trening wytrzymałości. Już ci współczuję. Wariat, świr, lekkoduch i ogólnie rzecz biorąc, pierdolnięty lekko w dekiel, ale gwarantuję, że nie będziesz się z nim nudzić.

Bartek nie wyglądał na zdziwionego taką, a nie inną prezentacją. Stał i szczyrzył zęby, patrząc na Beti.

- A to Beata Wróblewska. Wypadek komunikacyjny w październiku.

Pierwszy raz na obozie, więc bądź łagodny.

- No, mówiłem, że świeżynka. Cześć, Beato, miło mi cię poznać.

Beti wyciągnęła rękę. Mężczyzna ujął ją pewnym, mocnym chwytem. Lubiła takie uściski. Silne, ale nie miażdżące palców i trwające odpowiednio długo. Facet, który witał się, podając dłoń jak do pocałunku lub ściskając

rękę kobiety niczym w imadle, od razu budził w niej negatywne odczucia.

- Michał już jest? - zaciekawiała się Jaga.

- Tak. - Bartek się skrzywił. - Przyjechał z samego rana. I od samego rana ciśnie mnie o plany zajęć, meldunki, konspekty i tym podobne. Wiesz, jaki on jest.

- Oj, ty biedaku, biedaku... - zaśmiała się w odpowiedzi Jaga. - Aż tutaj słyszałyśmy twoje żale. Dobra. Na razie się pożegnamy. - Rudowłosa skierowała swój wózek do windy. Beti ruszyła za nią. - Zobaczymy się przy kolacji. Pa.

- Do kolacji. Żegnam piękne panie.

Bartek poczochnął krótką czuprynę Jagi, wykonał głęboki skłon w stronę Beti, po czym poszedł w kierunku drzwi wyjściowych, po drodze wyciągając z kieszeni zapalniczkę.

Pokój był w pełni przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych. Umeblowanie tworzyły dwa łóżka, szafa i komoda, na której stał telewizor. Okrągła ława i dwa fotele stały przy wyjściu na mały balkonik, z którego rozciągał się widok na morze. W niewielkim, ale wystarczająco szerokim korytarzyku stała lodówka. Toaleta była wyposażona w solidne, niklowane uchwyty przy sedesie, a pod prysznicem znajdowało się składane siedzisko.

Beti rozpakowywała swoją torbę i postąpiła chwilę w otwartych drzwiach balkonowych, rozkoszując się krzykiem mew dobiegającym z portu. Po ułożeniu rzeczy w szafie i zaklepaniu łóżka bliżej okna postanowiła odświeżyć się po długiej drodze. Prysznic sprawił jej olbrzymią frajdę.

Bezproblemowo poradziła sobie ze wszystkimi czynnościami. *Boże, żeby tak samo było w domu...* Niestety, blokowe warunki raczej nie pozwalały na takie ekscesy. Pozostawały jej miska z wodą i żenujące wczolgiwanie się na kibel.

Sprawdzała właśnie, jakimi kanałami dysponuje hotelowa kablówka, gdy Jaga skończyła prysznic i wjechała do pokoju z suszarką w dłoniach. Mokre włosy zawadiacko sterczały na jej głowie.

- To co? - Chwilę rozglądała się w poszukiwaniu kontaktu. Włączyła wtyczkę i skierowała ciepły strumień powietrza na swoje marchewkowe włosy. - Zwiedzamy czy jedziemy odwiedzić Michała?

- Jedziemy do Michała. - Beti wyłączyła telewizor.

Michał. Aż westchnęła sobie w myślach. Nie widziała go od dwóch miesięcy, choć tak naprawdę nie było dnia, żeby jej myśli choć na chwilę nie poszybowały do przystojnego rehabilitanta. Świadomość, że spotka go w Kołobrzegu, była jednym z głównych powodów zgodzenia się na przyjazd tutaj. Beata podjechała do lustra. *Zmieniłam się? Na lepsze czy gorsze?*

Ucieszy się na mój widok czy przyjmie mnie obojętnie? W końcu jestem po prostu jedną z wielu byłych pacjentek. Tylko i wyłącznie. Durną pacjentką...

- Albo nie - zmieniła zdanie. - Sama jedź. Ja... wiesz, padnięta jestem.

Zdrzemnę się.

Jaga wyłączyła suszarkę i spojrzała uważnie na Beti.

- Nie ma mowy. Wypać się zawsze zdążysz. Dzisiaj ostatni dzień luzu, od jutra zapieprz. Robimy tapety i jedziemy.

Rudowłosa nastroszyła fryzurę i wyciągnęła zieloną kosmetyczkę.

Wyjęła maskarę i wytuszowała na czarno rzęsy, wywijając je do góry. Beti poszła w ślady koleżanki. *Czego się trzęsiesz, głupia?* - upominała się w myślach. - *Jakie to ma znaczenie: ucieszysz się czy nie? Buzi, buzi, co słyhać i już. Wielki mi dylemat...* Dylemat był chyba jednak całkiem spory, bo trzęsące się ręce co rusz rozmazywały szminkę na zębach.

- Rany... - westchnęła Jaga. - Jedziemy, zanim jeszcze bardziej się oszpecisz.

- I kto to mówi? - odpyskowała Beti, patrząc na spodnie moro i sportową koszulkę koleżanki. - Ja mam przynajmniej ogolone nogi...

Jaga krótko, energicznie zapukała w drzwi i nie czekając na zaproszenie, wjechała do pokoju. Michał siedział na środku dywanu w otoczeniu tony makulatury. Wyglądał na zmęczonego, choć równocześnie skupionego na pracy.

- Jaga! Dzięki Bogu, że już jesteś. Zrobili mnie szefem serwisu. Jakby ich kto o to prosił, cholera jasna! Pomóż mi rozplanować chodziaków, błagam!

Podniósł głowę i ujrzał Beatę. Oczy mu załśniły, zerwał się na nogi i podbiegł do skrepowanej nagle dziewczyny.

- Beti! - Serdecznie ucałował ją w oba policzki. - Nie

byłem pewien, czy przyjedziesz. Jaga chwaliła się, że z pewnością cię namówi, ale ja przecież doskonale znam twój ośli upór! Dzięki, Jaguś! Masz w niebie odhaczony kolejny dobry uczynek. – Uśmiechnął się do obu dziewczyn. – W takim razie robię przerwę i z wielką ulgą rzucam te przeklęte papiery. Idziemy na kawę.

– Przyznam, że martwiłem się o ciebie.

Siedzieli we dwójkę przy niewielkim okrągłym stoliku. Gałązka fioletowego bzu pachniała tak oszałamiająco, że Beti zakręciło się w głowie.

Wyjęła z serwetnika żółtą serwetkę i bezwiednie miętoszyła ją w palcach. Nie miała odwagi podnieść wzroku na siedzącego obok mężczyznę. Zerknęła przez okno, usiłowała ocenić wygląd sali, raz czy dwa zahaczyła wzrokiem o Jagę, flirtującą już przy barze z barmanem, najczęściej jednak patrzyła na własne dłonie i coraz bardziej wygniecioną serwetkę. Michał zamówił dla nich mocne espresso.

– Po pogrzebie Kasi nie zadzwoniłaś ani razu – odezwał się, gdy kelner przyniósł maleńkie filiżanki aromatycznego płynu. – Nie odpowiadałaś na telefony ode mnie.

– Przepraszam. – Wypiła łyk kawy. – Po śmierci Kaśki złapałam kompletnego doła. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać, spotykać się, wychodzić. Na nic nie miałam chęci. Wyładowana komórka przez kilka tygodni leżała w szufladzie. – Wspomnienie tych trudnych dni nie było łatwe.

– Jaga wydebiła mój adres od tych ze sklepu z wózkami i siłą mnie do życia przywróciła. – Zaaferowana własną

opowieścią nie zwróciła uwagi na zakłopotane chrząknięcie Michała. – Dasz wiarę, że zmolestowała jakichś chłopaków pod moim blokiem i na czwarte piętro z wózkiem ją wnieśli?

Beti wciąż nie mogła w to uwierzyć.

– Jasne. Jaga nie takie numery robiła. – Michał jak gdyby nic zaśmiał się w odpowiedzi, za chwilę jednak spowaźniał. – Kaśka wiedziała, że umiera.

Chciała już umrzeć. Sama widziałaś, jaki był jej stan. Po twoim wyjeździe nastąpił kolejny rzut choroby. Nie mogła już prawie mówić, nocami była podłączana pod respirator, masakra. Tuż przed tym rzutem powiedziała mi, że to okrutne, że w Polsce nie można poddać się eutanazji. Że bezduszni politycy zdecydowali o jej losie. Mówiła, że tym, którzy tak postanowili, życzy śmiertelnej, bolesnej choroby. Wiem, to straszne. I wcale do niej niepodobne, więc wyobraź sobie, jak ta dziewczyna cierpiała. Śmierć była dla niej wyzwoleniem.

Oboje milczeli. I oboje wspominali Kasię. Jej zaraźliwą wolę życia, jej siłę w walce z chorobą i to specyficzne ciepło, jakie mimo ogromnego bólu i wciąż postępującej niesprawności roztaczała wokół siebie. I ostatecznie jej porażkę w walce. Choć właściwie może to było zwycięstwo?

– Kaśka nie chciałyby, żebyśmy płakali. A już na pewno nie chciałyby, żebyś straciła chęć do życia. Wręcz odwrotnie. Wściekłyby się na ciebie.

– Wiem. Masz rację. Wstyd mi. Umówmy się, że to już zamknięty rozdział, i lećmy z koksem dalej. – Beti postanowiła zmienić temat, póki Michał nie wyciągnął na

światło dzienne jej wszystkich głupot. – Jaga namówiła mnie na ten obóz, ale wciąż nie wiem, czego mam się spodziewać.

Opowiedz mi, proszę, coś więcej. Czym się zajmujesz, czym Jaga... I czego oczekujecie ode mnie?

Michał przeczesał palcami swoje splątane loki i postanowił pozwolić dziewczynie na zmianę tematu.

– Oboje jesteśmy na FAR-owskim obozie już któryś z kolei raz. Do tej pory zajmowałem się grami zespołowymi na wózkach. No wiesz, koszykówka, rugby... A teraz, cholera, zrobili mnie szefem serwisu. – Zaklął pod nosem. – Serwis to chodzący wolontariusze. Często fizjoterapeuci, ale niekoniecznie. Dużo krewnych, przyjaciół, studentów czy po prostu ludzi, którzy chcą pomóc, a przy okazji nawiązać świetne znajomości. Zadaniem serwisu jest pomaganie w samoobsłudze, asekuracja podczas treningów i tym podobne. Najprościej rzecz biorąc: przynieś, wynieś, pozamiataj. Ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Bez lekceważenia, pogardy czy odwrotnie – wielkich podziękowań i wdzięczności. Robią to, czego wy nie możecie. Nie licz jednak na to, że będą wyręczać cię w czymś, co dasz radę zrobić sama.

– Nie liczę! – zaśmiała się Beti. – Wystarczająco dobrze znam ciebie i Jagę, żeby spodziewać się po was jakichkolwiek ludzkich odruchów.

– To dobrze. – Michał jej zawtórował. Po chwili jego śmiech zamienił się w niechętne westchnienie. – Nie wiem, jak to ogarnę. Wolę działać, niż planować. Spróbuj zapanować nad chmarą dzieciaków, dopilnować, żeby były tam, gdzie trzeba, robiły, co do nich należy...

Michał zaczął wyliczać wszelkie potencjalne problemy i użalać się nad sobą, a Beti przestała go słuchać. Kiwała głową w odpowiednich momentach i ze współczuciem mruczała pod nosem, ale jego słowa przelatowały przez jej mózg niczym jednostajny szum. Cieszyła się obecnością przyjaciela.

Czuła, jak jej usta rozciągają się w szerokim uśmiechu, a ciało... no, przynajmniej ta jego część, którą była w stanie odczuwać, ogarnia lekkość.

Jak wszystkie lęki odpływają, a pojawia się uczucie bezpieczeństwa. Z przyjemnością patrzyła w niebieskie oczy Michała. Zachwycała się brzmieniem jego głosu i siłą powstrzymywała dłoń, która pragnęła odgarnąć z czoła mężczyzny niesforny lok. Kątem oka ujrzała w lustrze swoje odbicie.

Boże! Wgapiam się w niego maślanymi oczkami niczym zakochana nastolatka! Wyostrzyła wzrok i wróciła do świata żywych.

- Dobra. Przestań już jęczeć. Myślisz, że ci uwierzę, że nie lubisz się szarogęścić? Tyran to twoje drugie imię. A może nawet pierwsze.

Uchyliła się przed nadlatującą kostką cukru, którą rzucił w nią rozbawiony fizjoterapeuta.

- Masz rację. Zrządzę niczym własna babcia. Jaga pokazała ci już ośrodek?

- Na razie tylko hol i pokój. No, i knajpę.

- Czyli najważniejsze już wiesz. - Michał spojrzał w kierunku baru. - Jak znam życie, nasza ruda femme fatale

będzie tu sterczeć do zamknięcia lokalu, gnębiąc biednego Jaśka. Chodź, pokażę ci resztę.

Beata wypła resztkę kawy i odstawiła filiżankę.

- To prowadź, wodzu.

Uregulowali rachunek i zaczęli zbierać się do wyjścia. Jaga dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że jej towarzysze kierują się do drzwi. Nie zamierzała jednak tak łatwo odpuścić barmanowi, facet był naprawdę niezły.

- Zobaczymy się w pokoju albo na zebraniu. - Rudowłosa pomachała Beacie ręką. - Bądźcie grzeczni.

- Ha, ha. - Michał pogroził jej palcem i zwrócił się do uśmiechniętego barmana: - Jasiu, nie daj się ponownie uwieść. Zdajesz chyba sobie sprawę, że Jaga znowu planuje cię utuczyć i skonsumować? - uświadomił chłopaka.

- A niech konsumuje. Nie mam nic przeciwko - zgodził się ochoczo Janek.

Wyszli na korytarz. Oczy Beti znowu zrobiły się maślane. Albo śmietanowe - jak mawiała mała Miśka. Tak dobrze było iść z nim sam na sam. Niezobowiązująco rozmawiać, słuchać, patrzeć i po prostu być obok.

Zaśmiała się radośnie i energicznie zakręciła kołami.

- To gdzie idziemy?

- Najpierw pokażę ci halę gimnastyczną i świetlicę. Hala jest w piwnicy, a konferencyjna na pierwszym piętrze. Na hali będzie się odbywać większość zajęć, a na świetlicy będziemy się spotykać, omawiać problemy, planować i tym podobne. Wieczorem o ósmej mamy pierwsze oficjalne zebranie i otwarcie turnusu. Tam też będą odbywały się sesje

poświęcone różnym tematom. Mamy naprawdę świetną kadrę. Od mistrzów olimpijskich po babkę zajmującą się ciuchami. A w planach nawet seksuolog. - Westchnął tęsknie, nie wiadomo z jakiego powodu. - Mam nadzieję, że uda się jej dotrzeć.

Zatrzymali się przed windą. Gdy nadszedła, weszli do środka i Michał wcisnął najniższy przycisk. Przytłumione światło w małym pomieszczeniu dawało wrażenie intymności. Beti poczuła lekkie skrępowanie i głośno przełknęła ślinę. Zapomniała już o tym uczuciu. O ciepłe w sercu i dreszczu w brzuchu. *Dobrze, że siedzę, bo pewnie zatrzesłyby mi się kolana* - pomyślała ironicznie. - *Może nie masz miękkich nóg, przynajmniej nie bardziej niż zwykle, ale masz za to watę w mózgu* - zrugowała sama siebie. - *Opanuj się, dziewczyno! To tylko wycieczka hoteloznawcza, a nie randka w windzie!*

Nie zdążyła nic zrobić ze swoim dziwnym nastrojem, bo nastrój niespodziewanie przysł sam. Pomiedzy zamykające się drzwi windy a fotokomórkę w progu wcisnęła się czyjaś noga w sportowym bucie.

- Rany, Michał! Szukam cię z pół godziny, a twoja komórka piszczy na stole jak oszalała! Może łaskawie nosiłbyś ją ze sobą? Stara cię woła i jak ją znam, już ma zawał serca albo przynajmniej migotanie przedsionków. Leć do niej, bo ta wariatka zaraz cały hotel na nogi postawi! - Drzwi windy otworzyły się i Beti ujrzała Bartka. Mężczyzna niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. - Zobaczysz. Ta parszywa baba zepsuje nam cały turnus.

Na twarzy mężczyzny malował się wyraźny niesmak.

- Dobra. Idę. - Michał też nie wyglądał na zadowolonego.
- Zastąp mnie i pokaż Beti strategiczne punkty. - Zwrócił się do dziewczyny, która usilnie i bez większego powodzenia próbowała ukryć rozczarowanie: - Beti, to mój przyjaciel, Bartek. *Sorry*, muszę lecieć.

Westchnął jeszcze raz, spojrzął na Beatę, kiwnął ręką Bartkowi, uśmiechnął się lekko i pognał na górę. Oboje odprowadzili go wzrokiem.

Jako pierwszy odezwał się Bartek: - Cześć, świeżynko. Znowu się spotykamy.

- Taa... - odpowiedziała „entuzjastycznie” dziewczyna, wciąż obserwując puste już niestety schody.

Mężczyzna wszedł do windy. Drzwi zamknęły się i kabina z lekkim szumem pomknęła w dół. Po chwili znaleźli się w jasno oświetlonej suterenie. Beżowe ściany obwieszane były dyplomami, plakatami i fotografiami o tematyce sportowej. Lekkoatleci uchwyceni w biegu i skokach. Mięśnie ich nóg były twarde i silne. Ciała sprężyste i idealnie proporcjonalne, a każdy ruch - pełen naturalnej gracji. Na jednym ze zdjęć grupa ludzi siedzących na dziwnych, jakby opancerzonych wózkach rzucała między sobą owalną piłką. Na widowni siedziało mnóstwo ludzi.

Krzyczących, bijących brawo i wszelkimi sposobami dopingujących zawodników. Atmosfera fotografii przesycona była emocjami i duchem sportowej walki. Prawie czuć było zapach potu zawodników i podniecenie kibiców. Na innym zdjęciu dwaj szermierze na wózkach, o twarzach

zasłoniętych charakterystycznymi maskami, kierowali przeciw sobie groźnie wyglądające floretty. Następne przedstawiało trzech mężczyzn w pływackich czepkach, dekorowanych właśnie medalami. Siedzieli na wózkach w samych slipkach. Beatę uderzył kontrast pomiędzy umięśnionymi, szerokimi barkami pływaków a wychudzonymi, martwymi nogami. Przed kolejną fotografią Beti zatrzymała się na dłużej. Na parkiecie w tanecznej pozie wyginał się jakiś mężczyzna ubrany w smoking, trzymający za rękę dziewczynę w pięknej, jasnoróżowej sukni. Oboje uśmiechali się do siebie i widać było, że taniec to całe ich życie. Fakt, że druga ręka dziewczyny spoczywała na kole wózka, zdawał się nie mieć najmniejszego znaczenia.

- To Monika Sierocka i Tomek Bąk - odezwał się idący tuż za dziewczyną Bartek. - Wicemistrzowie Europy w tańcu.

- Niemożliwe. - Beata usłyszała w swoim głosie gorycz. - To kompletna bzdura. Do tańca potrzebne są nogi. Równowaga, balans, wdzięk i piękny, płynny ruch. Nie da się tańczyć, będąc przykutym do wózka. Można co najwyżej toczyć się w jedną albo drugą stronę. Albo machać rękami jak idiota i udawać, że to jakiś electric boogie.

- Widzisz, jak ty jeszcze nic nie widzisz... - odpowiedział Bartek sentencjonalnie i trochę niezrozumiale. - Spoko, tutaj otworzymy ci te zaropiałe na razie oczka. A teraz chodź na salę gimnastyczną. Zobaczysz, robi wrażenie na takich świeżynkach jak ty.

Beti niechętnie oderwała wzrok od fotografii i ruszyła za niewysokim blondynem. Bartek otworzył dwuskrzydłowe

drzwi na końcu korytarza i dziewczyna wjechała do największej hali sportowej, jaką kiedykolwiek widziała. Olbrzymie pomieszczenie nakryte było kopułowym sufitem z setkami lamp rozświetlającymi każdy kąt. Z obu stron ciągnęły się ławki i krzesła dla widzów. Centrum sali stanowił pomarańczowy owal otoczony zielonym, podzielonym na trzy pasy polem. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się drabinki z wygładzonymi od częstego używania szczeblami. Część podłogi pomalowana była w tajemnicze linie i okręgi. Oczy Beti wypatrzyły kilka różnych bramek, rusztowanie do skoku o tyczce i co najmniej metrowej grubości materac. Bartek uśmiechnął się z taką dumą, jakby hala była jego prywatnym pokojem zabaw.

- Jest to prawie dokładna replika hali ośrodka przygotowań olimpijskich ze Spały - rozpoczął prezentację. - Tylko trochę mniejsza. Dookoła areny biegnie dwutorowa bieżnia okólna o długości stu metrów. Tu masz sześćdziesięciometrową bieżnię prostą. - Wskazał ręką podłużny pas. - Obie bieżnie mają nawierzchnię Mondo, posiadającą certyfikaty międzynarodowych federacji sportowych. Nie ma możliwości, żeby się na nich pośliznąć lub je zajeździć. Oprócz tego nawierzchnia posiada doskonałą izolację termiczną. - Ruszyli dalej. - To jest wydzielony sektor rzutów i aneksy siłowe, a to rozbieg do skoku w dal i o tyczce.

- Wszystko piękne i wspaniałe - odezwała się zjadliwie Beti - ale po cholere mi to wszystko mówisz? Sądzisz, że będę tu trenowała skok w dal?

Czy też może raczej wzwyż?

Bartkowi jakoś nie zaszkodził jad kobiety, bo skinął głową.

- Wózkowicze specjalizują się w specyficznej kombinacji obu tych skoków naraz. Choć nie jest to, przynajmniej na razie, dyscyplina olimpijska.

Pokazać ci?

- Poproszę. Pożyczyć ci mój wózek? - Jad zamienił się w morderczą currarę.

- Broń cię Panie Boże! Michał nie wpoił ci pierwszego przykazania wózkowców? - zbulwersował się Bartek. - Nigdy nikomu nie pozwalaj siadać w swoim pojeździe. Grube dupska rozepchną ci boki, niewprawne ręce rozcentrują szprychy kół i wózek będzie do niczego. Prędzej sprzedaj przyjaciela albo zdradź chłopaka. - Zaśmiał się ze swojego, zdaniem Beti wcale nieśmiesznego, dowcipu. - W kantorku są wózki niczyje, zaraz jakiś przygarnę.

Zniknął za jednymi z wielu drzwi i chwilę później wyjechał na starej, mocno sfatygowanej pantherze. Odjechał kilka metrów i ustawił się na wprost grubego materaca. Kilkoma energicznymi ruchami rąk wprawił wózek w ruch. W pełnym biegu uderzył podnóżkiem w materac, a siła pędu wyrzuciła go w przód. Szalencie stanął na chwilę na rękach, odbił się mocno i rechocząc w głos, poleciał w przód dobre półtora metra. Odwrócił się, usiadł i spojrzał zachęcająco na dziewczynę.

- Teraz ty.

- Chyba śnisz. - Beata zdecydowanie nie złapała

sportowego bakcyła.

- Spróbuj. To fajna zabawa.

- Jeszcze czego! Nie zwariowałam.

- Cykora masz? Czego się boisz? Drugi raz kręgosłupa przecież nie złamiesz. A nawet jakby, nie sprawi ci to większej różnicy. - Bartek ponownie błysnął dowcipem, wsiadł na wózek i powtórzył swój skok. Beti w milczeniu obserwowała akrobacje zakolczykowanego Monty Pythona.

- Od razu wiedziałem, że nie skoczysz. - Uśmiech pyszałka wkurzył Beatę. - Do tego trzeba mieć jaja. Żadna świeżynka ich nie ma. Ale spoko, pod koniec turnusu będziesz skakała niczym króliczek. Zapewniam cię.

- Prędzej zrobię sobie z tego króliczka czapkę, a z jaj jajecznicę.

Zapewniam cię. - Uśmiechnęła się słodko w odpowiedzi.

- Zobaczymy, świeżynko. Zobaczymy.

Bartek wstał, wsiadł na wózek i skierował się z powrotem do kantorka.

- Poczekaj chwilkę, zaraz wracam.

- Nie spiesz się.

Beti podjechała do materaca, oparła o niego podnózek i rękoma ucisnęła sprężynującą powierzchnię. Zerknęła do tyłu, upewniając się, że pyszałek zniknął z pola widzenia. Odjechała. Zawróciła i z pełnym determinacji grymasem na twarzy rozpedziła wózek. *Boże! Oszalałam!* Udało jej się wyhamować w ostatniej chwili. *Drugi raz kręgosłupa może nie złamię, ale kark skręcę na pewno...* Zerknęła w panice w stronę kantorka, mając nadzieję, że zarozumiała prowokator

nie widział jej żenującej akcji. Bartek właśnie wychodził z pomieszczenia.

- Pokażę ci teraz stadion, chodź.

Z jego miny nie mogła nic wyczytać.

Rozdział 16

- Witam państwa serdecznie. Nazywam się Angelika Cap-Kozłowska.

Jestem lekarzem medycyny, obecnie robię specjalizację z rehabilitacji i mam zaszczyt być komendantem obozu. W medycznych konsultacjach będzie mi pomagał mój mąż, specjalista psychiatrii, Bolesław Kozłowski. Niewysoki, lekko łysiejący mężczyzna wstał i skinął głową, po czym usiadł z powrotem, patrząc z uwielbieniem na swoją żonę.

- Na wstępie powiem, że możecie się do mnie zwracać z każdym, nawet najbliższym problemem. Zanim podzielimy się na grupy, przedstawię państwu ogólny plan i cele waszego tutaj pobytu.

Angelika Cap-Kozłowska była młodą, ale wyraźnie dominującą w swoim związku, kobietą. Ubrana w zielony, idealnie skrojony kostium, stała pewnie na środku sali konferencyjnej. Przy ustawionym pod ścianą długim stole siedziało ze dwudziestu ludzi. Zarówno na krzesłach, jak i na wózkach.

Beata poszukała wzrokiem Michała. Był. Siedział obok Bartka i patrzył uważnie na Angelikę. Bartek zaś błędził

wzrokiem po wszystkich kątach pomieszczenia. Obejrzał rozmieszczone w dwóch rzędach i aktualnie wyłączone plafony na suficie, przyjrzał się lekko podeschniętej paprotce, której długie, pierzaste liście zasłaniały połowę stylizowanego na antyk, wiszącego na ścianie lustra. Wyraźnie znudzony odwrócił głowę, westchnął i na dłuższą chwilę zapatrzył się w okno. *Pewnie marzy mu się wyjście na fajkę* - pomyślała złośliwie Beti.

- Co to jest FAR?

Beata drgnęła i ponownie skupiła uwagę na przemawiającej kobiecie.

- Fundacja Aktywnej Rehabilitacji jest organizacją pozarządową, działającą w całej Polsce od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego. W dwa tysiące trzecim roku uzyskała status organizacji pożytku publicznego. FAR powstał, aby pomagać osobom po urazie rdzenia kręgowego, które na skutek wypadku bądź choroby poruszają się na wózku inwalidzkim, w powrocie do normalnego życia prywatnego, społecznego i zawodowego. Fundacja prowadzi kompleksowy program usprawniania osób z urazem rdzenia. Poczynając od pierwszego kontaktu, który obecnie ma miejsce często już w szpitalu, przez obozy Aktywnej Rehabilitacji i działalność w regionach, a na pomocy w aktywizacji zawodowej poprzez prowadzenie kursów komputerowych kończąc. Warto dodać, że program Aktywnej Rehabilitacji powstał w środowisku osób na wózkach i jest przede wszystkim przez nie realizowany. Osoby sprawne ruchowo biorą w nim udział i choć jest on

istotny i niezbędny, to ma jedynie charakter wspomagający.

Kobieta zrobiła pauzę i z dumą spojrzała na słuchaczy. Beti, która również zaczynała się lekko nudzić, pomyślała, że to była długa regułka i pewnie Angela jest dumna, że udało jej się nie pomylić słów ani nie pomieszać fraz. Wzrok komendantki spoczął na Beacie akurat w momencie, gdy dziewczynie nie udało się powstrzymać potężnego ziewnięcia. *Jasna cholera. Już na dzień dobry zaliczyłam wpadkę* - pomyślała Beti, widząc, jak samozadowolenie na twarzy szefowej zamienia się w grymas dezaprobaty.

- Mimo że obóz jest koedukacyjny, podzielimy was na grupy w zależności od płci i stopnia sprawności.

Angela znów zerknęła na Beti. *Super. Pewnie da mnie do najcięższej grupy* - pomyślała pesymistycznie, kręcąc się niespokojnie na swoim wózku.

- Pozwólcie, że przedstawię wam kadre. Jarosław Piesek będzie miał z wami zajęcia na basenie.

Starszy, niepełnosprawny mężczyzna kiwnął im głową. Beata przyjrzała mu się dokładniej. Zza okularów patrzyły na nich ciepłe oczy. Wózek Jarosława miał wysokie oparcie, a dłonie spokojnie spoczywające na kolanach były szczupłe i zapadnięte. Identyczne jak u Szymka. Przypomniała sobie chłopaka, z którym poznał ją niegdyś Michał. *Tetraplegik* - zdała sobie sprawę i z tym większym podziwem spojrzała na pływka.

- Tym, którzy nie wiedzą, pragnę nadmienić, że Jarek jest kilkakrotnym uczestnikiem igrzysk paraolimpijskich. Pływa i to bynajmniej nie pieskiem. - Pani komendant wysiliła się na

żart. - Mimo czterokońcowego porażenia zdobył złoty medal w stylu dowolnym na pięćdziesiąt metrów, bez problemu dystansując swoich przeciwników.

Wśród uczestników i kadry rozległy się gromkie brawa.

- Patrycja Natalska nauczy was grać w tenisa stołowego.

Szczupła blondynka machnęła swoim końskim ogonem.

- Ten balansujący na tylnych kólkach od początku naszego spotkania gość to nie Albus Dumbledore, lecz Krzysztof Sieradziński, który zajmie się waszą techniką jazdy na wózku. W tej trudnej sztuce pomoże mu Jadwiga Głuszek.

Beata spojrzała na Krzysztofa. Rzeczywiście. Gdyby Joanne Rowling wymyśliła, że dyrektor Hogwartu porusza się na wózku, obecny tu mężczyzna bez żadnych castingów dostałby rolę. Około pięćdziesięcioletni, postawny, z burzą szpakowatych włosów związanych w kucyk. W kucyk związana była również jego, niewiele krótsza od włosów na głowie, broda.

Tylko z pogłębienia kurzych łapek i blasku w oczach brodacza Beti domyśliła się uśmiechu. Jaga powitała uczestników lekkim skinieniem głowy.

- Zajęcia ogólnokondycyjne poprowadzi Bartosz Orłowski.

Bartek wrócił na ziemię, wstał i uklonił się obecnym, po czym ponownie zaczął błędzić myślami nie wiadomo gdzie. Angelika zmierzyła go mało przyjaznym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że zajęcia poprowadzi z większym entuzjazmem, niż okazuje teraz - odezwała się kąśliwie.

Uuuu. Czuję tu jakieś animozje - wyciągnęła całkiem

prawdopodobny wniosek Beti.

Komendantka ponownie zwróciła się do uczestników kursu.

- Ci młodzi, przystojni, zdrowi ludzie to tak zwany serwis. Szefem serwisu jest magister Michał Szymaniuk. Po skończonym zebraniu wręczy wam plany zajęć i przydziały do odpowiednich sekcji. - Jeszcze raz spojrzała na grzecznie słuchającą i lekko zestresowaną grupę. - Myślę, że na razie byłoby na tyle. - Zerknęła pytająco w stronę stołu kadry. - Chyba że ktoś z państwa chce coś jeszcze powiedzieć? Nie? To ja dziękuję i zostawiam was w rękach pana Michała. Do zobaczenia na kolacji.

Angela energicznie machnęła ręką. Doktor Bolesław Kozłowski podniósł się z krzesła i potulnie wyszedł za swoją władczą żoną. Na sali zapanowało ogólne rozprężenie. Uczestnicy niepewnie spojrzeli po sobie nawzajem, a kadra rozgadała się w najlepsze. Po kilku chwilach Michał przejął dowodzenie. Wstał, uciszył kolegów i zwrócił się do skonsternowanych towarzyszy Beaty: - Cześć. Umówmy się, że będziemy mówić sobie na ty. Będzie łatwiej i przyjemniej. Mam na imię Michał i jestem fizjoterapeutą. Tak jak powiedziała pani komendant, cała kadra to świetni specjaliści, jesteście więc w najlepszych rękach. Wraz z kolegami podzieliliśmy was na grupy i ustaliliśmy plany dnia. Wyczytam teraz nazwiska i proszę, żeby każdy wyczytany podjechał i odebrał ode mnie swój przydział. Po przydziale pojedziecie wraz ze swoimi opiekunami grup, którzy wyjaśnią wam wszystko ze szczegółami. - Podniósł ze stołu

plik papierów i uśmiechnął się wprost do słuchającej uważnie Beaty. – Aha. Pani komendant zapomniała dodać, że oprócz nauki macie się tu również dobrze bawić. – Spoważniał i ogarnął spojrzeniem całą grupę. – Pamiętajcie jednak, że za alkohol wylatujecie w trybie natychmiastowym. Całkowita abstynencja obowiązuje zarówno wśród kadry, jak i wśród uczestników.

– A przynajmniej nie dajcie się złapać – dopowiedział Bartek, uśmiechając się szelmowsko znad kartki papieru, na której coś bazgrał.

Michał skarcił go wzrokiem.

– Powtarzam. Całkowita abstynencja! Teraz proszę o uwagę. Marcin Adamski.

Wśród tłumu wózków zrobił się szum i na środek wyjechał drobny brunet w drucianych okularach.

– Aleksandra Agrafka.

Wystraszona kobieta narobiła rumoru, niechcący zrzucając wazon z małego narożnego stolika.

– Nie martw się – uspokoił ją Michał. – To plastik. Jola Bagieńska.

Przez kolejny kwadrans ludzie podjeżdżali do Michała, odbierali zadrukowaną kartkę formatu A4, po czym podchodził do nich ktoś z serwisu i tłumaczył, gdzie dany delikwent ma się teraz udać. Tłum wokół Beaty rozrzedzał się z każdą chwilą. W końcu Michał wyczytał jej nazwisko.

– I co? Jak pierwsze wrażenie? – Uśmiechnął się, podając jej kartkę.

– Chyba dobrze – odpowiedziała niepewnie. – Chociaż

mam lekkiego stresu...

- Nie martw się. Nie pozwolimy cię skrzywdzić. - Wzrok Michała ponownie spoczął na liście uczestników. - Paweł Żołądkowski.

Do Beaty podeszła młoda blondynka.

- Cześć. Mam na imię Natalia i jestem opiekunem waszej grupy. Jedź

teraz na stołówkę. Na kartce masz zapisany numer stolika. Jak tylko skończymy przydziały, zejdę do was i ustalimy wszystkie szczegóły. Wiesz, gdzie to jest?

Beti skinęła głową.

- Poradzisz sobie z windą?

- Jasne.

- To do zobaczenia za jakieś dziesięć minut.

Dziewczyna wróciła do stołu, a Beata wyjechała z sali konferencyjnej.

Czekając na windę, zerknęła w otrzymaną kartkę.

- 7.00 - pobudka

- 7.45 - gimnastyka poranna - 8.15 - śniadanie

- 9.00 - technika jazdy wózkiem - 10.30 - tenis stołowy/gry zespołowe - 12.00 - trening kondycyjny - 14.00 - obiad

- 16.00 - basen

- 18.00 - trening kondycyjny - 19.00 - kolacja

- 20.00 - zajęcia dydaktyczne - 22.30 - cisza nocna

Matko jedyna! Zwariowali? To jakiś cholerny obóz przetrwania? Brzęk windy przerwał jej ponure rozmyślenia. Po kilku chwilach znalazła się u celu. Hotelowa restauracja

rzeczywiście przypominała trochę stołówkę.

Przy sześćoosobowych stołach, na których już znajdowały się talerze z jedzeniem, nie było dostawionych krzeseł. Kilka zestawionych na środku lokalu blatów sugerowało w przyszłości samoobsługę. Przy ścianie znajdował się stojak z metalowymi tacami. Wzrokiem poszukała okienka, w którym zostawiało się brudne naczynia. Owszem, było. *Jak w szkole.*

Uśmiechnęła się w myślach. Przy oznaczonych numerami stołach tłoczyli się uczestnicy obozu. Poszukała numeru sześć. Stał w samym końcu sali. Mając irracjonalne wrażenie, że znowu wszyscy się na nią gapią, podjechała do swojej grupy. Oprócz niej przy stole siedziało pięć dziewczyn.

- Cześć. Jestem Beata.

- Cześć - odezwały się chóralnie. Wśród obecnych pań prym wyraźnie wiodła ładna, mocno umalowana, szczupła brunetka. - Ja jestem Renata. - Gestem wskazywała kolejne kobiety. - To Mirka, Jola, Aga i Teresa.

Z każdą z nich Beti wymieniła uścisk dłoni, bezskutecznie starając się zapamiętać, która jest która.

- Czytałyście plan? - kontynuowała Renata. - Cisza nocna o dwudziestej drugiej trzydzieści! Co oni, za dzieci nas mają, czy jak?

- I ten trening kondycyjny mnie martwi - dodała Jola, możliwe też, że była to Teresa, smarując masłem kromkę.

- Eee. Trening jest z Bartkiem. To będzie luz - uspokoiła ją Renata.

- Skąd wiesz? - zaciekała się Beti, podnosząc do ust bułkę z żółtym serem.

- No wiesz, to przecież artysta. Pewnie będzie bujał w obłokach, a my będziemy mogły ściemniać. - Brunetka zaśmiała się lekceważąco.

- Artysta? - zdziwiła się Beti.

- No co ty! - Tym razem zdziwiła się Renata. - O Bartku Orłowskim nie słyszałaś?

Beti zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wy też nie? - Renata spojrzała na pozostałe kobiety.

- Ja coś tam słyszałam - odpowiedziała Aga. Ewentualnie Mirka. - To ten krakowski malarz, tak? Czytałam o jakimś skandalu w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie. Skrytykowany przez jakiegoś faceta połamał dębową ramę na jego głowie.

- A skąd! Znany krytyk niepocholebnie wypowiedział się na temat jego prac, a on go publicznie olał.

- Co? Jak to: olał?

- Normalnie. Wyciągnął fiuta i olał krytyka. Serio! - Renata postukała się w pierś. - Widziałam to na własne oczy. No... prawie. Koleżanka, która była na wystawie, mi opowiadała.

Beti nie bardzo wierzyła w rewelacje nowej koleżanki. Z drugiej strony, kto wie? *Nie znam gościa...* - dodała w myślach, przeżuwając kolejne kęsy.

- Czyli rozumiem, że ty jesteś z Krakowa? - Beata postanowiła zmienić temat.

- Tak. Teresa z Gdańska, Jola z Wrocławia, Agnieszka z

Radomia, a Mirka... skąd ty właściwie jesteś? Bo zapomniałam – zwróciła się Renata do milczącej dziewczyny.

- Zatomie. Mała wioska pod Piłą.

- No właśnie. A ty?

- Z Choszczna. Miasteczko niedaleko Szczecina.

- No, to mamy pełen rozrzut geograficzny. – Renata się uśmiechnęła. – A jak wam się podoba ten szef serwisu? Niezły, nie? Zakład, że za trzy dni będzie mi jadł z ręki? – Chełpliwy ton kobiety i pewny siebie, pełen zadowolenia uśmiezek na czerwonych ustach spowodowały, że dłonie Beti zacisnęły się w pięści.

Zastanawiała się właśnie, co i jak rzucić na głowę Renacie, gdy w drzwiach ukazali się opiekunowie grup. Beata odetchnęła głęboko. *Nie myśl jednak, że pozwolę ci zbliżyć się do Michała, małpo jedna!* – obiecała w myślach Renacie, zaciekle krojąc na drobne kawałki kiszzonego ogórka, i już wiedziała, że z całą pewnością nie zostaną przyjaciółkami.

- Jak ci minął pierwszy dzień? – Jaga w końcu wjechała do ich pokoju. Mimo że do wyznaczonej godziny ciszy nocnej brakowało jeszcze dobre pół godziny, Beti leżała już w łóżku, przeglądając kobiecą prasę.

- Ujdzie w tłoku – odpowiedziała sennie koleżance. – Niby nic nie robiłam, a zryta jestem jak wół po orce.

- Ja też – zgodziła się z nią Jaga. – Idę pod prysznic i w kimono. Nie martw się. Jutro będzie jeszcze gorzej.

Jej uśmiech przeczył jednakże złowrogim słowom. Beti

miała zamiar wypytać ją dokładnie o jutrzejsze zajęcia, ludzi z kadry, o Bartka i tysiąc innych rzeczy, ale szum prysznicza podziałał wybitnie usypiająco i gdy Jaga wyjechała z łazienki, Beata spała już słodko. Rudowłosa uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Podniosła leżącą pod łóżkiem gazetę i przy przytłumionym świetle nocnej lampki zajęła się studiowaniem najnowszych trendów w modzie.

Rozdział 17

Punktualnie o szóstej czterdzieści pięć Jaga bez żadnej litości ściągnęła Beatę z łóżka.

- Wstawaj. Dziś zaczynasz, nie daj plamy. Gimnastykę poranną ma z wami Jolanda. Ona jest maniaczką punktualności, więc radziłabym ci się nie spóźnić.

Beti otworzyła oczy.

- Ludu, o której wstałaś?

Jaga była już wykąpana i ubrana. Gotowa do wyjścia, zakładała rękawiczki z obciętymi palcami.

- Mam wrażenie, że wcale się nie kładłam - zaśmiała się rudowłosa. - Słuchaj, muszę lecieć. Mam zajęcia z grupą B, muszę przejechać się po pokojach i sprawdzić, czy wszyscy wstali, a później przygotować tor.

Spotkamy się na śniadaniu. Pa.

- Pa.

Beti spojrzała na zegarek. *Mam jeszcze dziesięć minut* - pomyślała i zamknęła oczy. Sen już jednak prysnął, więc dziewczyna odsunęła kołdrę i zrzuciła swe nogi. Poranna toaleta zajęła jej pół godziny. Beti jako jedna z pierwszych zjawiała się na stadionie. Poranek był rześki, więc dziewczyna

pod samą szyję zapięła wełniany sweter. Nie minęło pięć minut, gdy nadjechała reszta jej grupy. Renata ziewała szeroko, a pozostałe dziewczyny wyglądały na trochę zestresowane.

- Cześć - przywitała je Beti.

- Cześć - odpowiedziała Renia. - Nie wiecie, z kim mamy rozgrzewkę?

- Z jakąś Jolandą.

- Oż cholera. Piła straszna. - Renata nie ucieszyła się z odpowiedzi. - Da nam wycisk.

Rozmowa nie miała szansy się rozwinąć, gdyż punktualnie co do minuty pomarańczowym wózkiem podjechała rzeczona Jolanda wraz z trzema dziewczynami z serwisu.

- Witajcie. Nazywam się Jolanta Maik. A to są Iga i Monika. Natalię już znacie. Ustawiamy się w kółko. - Kobieta od razu przeszła do rzeczy i machnęła ręką w stronę stojących trochę niepewnie kobiet. - Serwis też - dodała, bo dziewczyny rozglądały się za jakąś ławką, na której mogłyby usiąść.

- My też? A po co? - Niepomierne i niemile zdziwiła się szatynka ubrana w różowy dres.

- A co ty myślałaś? - Ton Jolandy nie był zbyt sympatyczny. - Że przyszłaś do cyrku? Za durne pytania dziesięć przysiadów.

Szatynka rozdziawiła usta. Widząc jednak, że trenerce nie jest do śmiechu i że najwidoczniej nie był to żart, wzięła się do wykonania zadania. Pozostałe dziewczyny milczały jak

zakłęte, obserwując ćwiczącą koleżankę.

- Wszyscy dziesięć razy ręce w górę na raz, na dwa bokiem w dół - zarządziła Jolanda, gdy szatynka skończyła i lekko zdyszana ustawiła się pomiędzy Beatą a Mirką. - Na raz wdech nosem, na dwa wydech ustami.

Jedziemy.

Rozgrzewka zajęła im kilka minut i rzeczywiście porządnie rozgrzała zmarznięte ciało Beaty.

- No dobra, moje drogie panie. Teraz łapki na koła i jedziemy. Na początek dwa okrążenia. A serwis trzy. Biegusiem.

Instruktorka zakręciła pirueta i zanim Beata zdążyła wjechać na tartan, Jolanda pokonała już dobre dwadzieścia metrów.

- Ludu...

Renata westchnęła ciężko i wprawiała w ruch swój pojazd. Beacie nie pozostało nic innego, jak ruszyć w ślady koleżanek.

Po rozgrzewce i dwóch rundach dookoła stadionu Beti była zgrzana jak dzik. Już dawno rzuciła sweter pod kwitnącym kasztanowcem i zaczęła się zastanawiać, czy jazda w samym biustonoszu nie byłaby dobrym pomysłem.

- Dalej, dalej! Kręcimy! - Jolanda nie dawała im odpocząć. Beti przyspieszyła. *Dam radę, dam radę... jeszcze z dziesięć obrotów...* Z wielką ulgą dojechała do mety.

- Dobrze, dziewczyny. Dałyście radę. To jeszcze jedno okrążenie w promocji.

Ja pierdolę... Beata zaczęła rozumieć niechęć Renaty. *Ciekawe, co by było, gdybym odmówiła* - przeleciało jej przez myśl, jednak wstyd i ambicja nie pozwoliły jej na zaspokojenie ciekawości. Zerknęła za siebie. Wszystkie kobiety, zarówno te na wózkach, jak i te biegnące szybkim truchtem, miały czerwone twarze, zacięte miny i chęć mordy w oczach. *No, nie jestem osamotniona w swoich uczuciach...* - ucieszyła się w duchu Beata. Zacisnęła zęby i ruszyła dalej. Gdy ukończyła trasę, nie miała już sił na nic. Obok niej sapały ciężko pozostałe, wymaltretowane uczestniczki maratonu.

- No, dziewczyny... Cienizna - podsumowała ich pierwszą gimnastykę Jolanda. - Idźcie się umyć i na śniadanie. Do jutra.

Nie doczekała się odpowiedzi, bo wszystkie sportswomenki dyszały jak lokomotywy. Beti z rozpaczą popatrzyła na drugi koniec bieżni, gdzie pod drzewem walał się jej rzucony byle jak sweter. *Matko jedyna. Nie mogłam palnąć go gdzieś bliżej?!* - wściekała się na siebie w myślach. Z ciężkim westchnieniem ruszyła w stronę kasztanowca. Czuła, że jej ramiona omdlewają przy każdym, nawet najmniejszym obrocie kołem.

- Czekaj, przyniosę ci. - Szatynka w różowym dresie, choć również sapiąca, uśmiechnęła się i ruszyła na drugi koniec stadionu.

- Boże, dzięki. Kochana jesteś.

- Spoko. Od tego właśnie tu jesteśmy. Jedź, dogonię cię.

Beata ruszyła energicznie, bo na mokrych ramionach

poczuła zimny dreszcz, a przepocony podkoszulek nieprzyjemnie kleił się do pleców. Nie zauważyła spojrzenia, jakim Jolanda zmierzyła dziewczynę idącą po jej okrycie. Marzyła tylko o odpoczynku i prysznicu. Po chwili odzyskała sweter i narzuciła go na plecy. Wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy i spojrzała na zegarek. *Boże, minęło dopiero piętnaście minut? Niemożliwe, żebym spuchła po tak krótkim czasie!* Cyfry jednak nie kłamały. Lekko zde gustowana swoją kondycją, a raczej kompletnym jej brakiem, wjechała do windy.

- Mówiłam, że piła... - wysapała Renata, wjeżdżając tuż za Beatą.

- Fakt. Skąd ją znasz?

- Byłam z nią na obozie w Spale.

- Serio? - zdumiała się Beti. - Byłaś już na obozie? Myślałam, że ten jest tylko dla nowicjuszy.

Renata lekko się zmieszała.

- Niby tak, ale pewne okoliczności sprawiły, że nie mogłam ukończyć tamtego zjazdu. - Przycisnęła guzik i winda ruszyła do góry. - Powody rodzinne - wyjaśniła dobitnym tonem, sugerującym zakaz dalszych pytań.

Beata tylko skinęła głową i w ciszy dojechały na trzecie piętro.

- Do zobaczenia na śniadaniu - odezwała się do wciąż wrogo milczącej Renaty. Ta odjechała jednak do swojego pokoju, nie zaszczyciwszy Beti ani jednym spojrzeniem. *I weź tu, człowieku, staraj się być miłym.* Dziewczyna wzruszyła ramionami, odprowadzając wzrokiem koleżankę i

zastanawiając się, co wywołało zły humor Renaty.

Zgodnie z wcześniejszymi przypuszczeniami Beti śniadanie podano w formie szwedzkiego stołu. Beata podjechała do stolika numer sześć i zaczęła dyskretnie obserwować zachowanie innych uczestników obozu. Jej wzrok spoczął na brodatym Albusie. Mężczyzna podjechał do stojaka z tacami, położył jedną z nich na kolanach i skierował się do wypełnionych wszelkimi dobrami stołów. Z wysokiego stosu wziął talerz, nałożył na niego po kilka plasterów wędliny, sera i pomidorów. Okrążył stoły i podjechał do dużego garnka, pod którym paliło się kilka podgrzewaczy. Wyłowił dwie parówki, wziął spodek z musztardą i mały pojemnik dzemu. Z wypełnioną po brzegi tacą ruszył w stronę swojego stolika, zgrabnie manewrując pomiędzy bezlikiem jeżdżących beładnie we wszystkich kierunkach wózków. Beata już miała pójść w ślady Albusa, gdyż jej żołądek podrażniony apetycznymi zapachami zaczął wygrywać głośne serenady, gdy rozległ się głośny rumor.

Jeden z uczestników, z policzkami czerwonymi niczym pąki maków i wzrokiem pełnym zażenowania, sterczał pośrodku stołówki, a pod kołami jego wózka walało się rozrzucone jedzenie. Taca pięknym ślizgiem podcięła koła innego wózka i śniadanie kolejnego pechowca również znalazło się na podłodze.

- Co za gamoń. - Podjeżdżająca z pełną tacą Renata wykrzywiła się z pogardą i zaparkowała przy stole, obok Beaty.

- Daj spokój. Każdemu mogło się zdarzyć -

zdenerwowała się Beti, która oczami wyobraźni z łatwością ujrzała siebie na miejscu nieszczęśliwca. Po czym wkurzona komentarzem koleżanki ruszyła w kierunku szwedzkiego stołu. Wzięła pojemnik z dżemem i wróciła z mocnym postanowieniem, że nigdy w życiu nie zrobi z siebie takiego widowiska i do końca turnusu zadowoli się kanapkami ze słodkim smarowidłem.

Na środku sali nadal trwało zamieszanie. Człowiek-demolka wciąż tkwił w tym samym miejscu z zawstydzoną miną, a personel kuchenny sprzątał resztki z podłogi. Obok niego stał Michał i tłumaczył coś, poklepując chłopaka po ramieniu. Razem ruszyli ponownie w stronę stojaka z tacami i chłopak podjął kolejną, tym razem na szczęście udaną, próbę uszykowania sobie posiłku.

- Słuchajcie!

Michał stanął pośrodku stołówki.

- Taka sytuacja to nic nadzwyczajnego, nie ma się czego wstydzić.

- Tylko żarcia szkoda - mruknął Bartek, mrugając żartobliwie do ponownie zarumienionego chłopaka. - Dlatego chleb jest uszykowany na poszczególnych stołach. Rzucić chlebem to grzech w odróżnieniu od rzucania mięsem.

Michał zignorował dowcipkującego blondyna.

- Aby temu zaradzić, ustalmy pewne zasady. Do jedzenia podjeżdżamy z prawej strony, okrążamy, nabieramy na talerze, co chcemy, a do stolików jedziemy z lewej. Jak na rondzie. Pierwszeństwo mają ci, którzy są w ruchu, a dołączający ustępują drogi tym z prawej ręki. Rozumiecie?

Beti kiwnęła głową, ale spora część obecnych miała niepewne miny. Michał westchnął i rozejrzał się po sali. Jaga oderwała się od jedzonej z apetytem parówki, podjechała i kiwnęła na Beatę.

- Chodź, pokażemy tym geniuszom...

Lekko zestresowana pojechała za przyjaciółką i odegrały przedstawioną przez Michała scenkę rodem z nauki jazdy. Roześmiała się, gdy Bartek przyczepił do wózka Jagi naprędce uszykowaną kartkę z namalowaną literą L. Beata przestała się śmiać, gdy mężczyzna zwrócił się do niej: - Skoro znasz już zasady, to może weźmiesz ze stołu coś więcej niż dżem? Czy dobra jesteś tylko w teorii?

- Nie, dziękuję. Odchudzam się. - Sama wiedziała, że to było głupie. Nie musiał patrzeć na nią takim wzrokiem...

- Jaaasne. - Zaśmiał się krótko.

- Odwal się. - Jaga stanęła w jej obronie. - Chodź, Beti, pomogę ci. Ja na początku też tylko dżem żarłam...

Nie chcąc wyjść na ostatnią sierotę, Beata wzięła tacę ze stojaka i pojechała za Jagą. Rzeczywiście, nie było aż tak źle, choć chybcząca się na kolanach zastawiona talerzami taca przyprawiła ją niemal o zawał serca. Ledwie odpoczęła po pełnym emocji śniadaniu, a już musiała szykować się na kolejny punkt programu dnia. Z lekkim strachem zerknęła w swój plan.

Dziewiąta - technika jazdy wózkiem. Czyli właściwie co? Doszła do wniosku, że niepotrzebnie się obawia. Po treningu, jaki zafundował jej Michał, była przekonana, że jeździ całkiem nieźle. Po chwili jednak przypomniawszy sobie poranną

gimnastykę i jej pewność siebie zniknęła bez śladu. *Hm... sądziłam naiwnie, że kondycję też mam niezłą.* Pełna obaw ruszyła w stronę sali gimnastycznej. Brodaty Albus był już na miejscu i balansując w miejscu, przyglądał się napływającym tłumom. *Phi, też tak potrafię* – pocieszyła się w myślach Beata i odważniej podjechała do grupy oczekujących na zajęcia osób. Brodacz opadł na cztery kółka.

- Cześć. Nazywam się Krzysiek Sieradziński. Od trzydziestu lat poruszam się na wózku i znam wszystkie tajemnice tegoż oto wdzięcznego pojazdu. Od trzydziestu lat jeżdżę na wózku, ale wcale nie znaczy to, że jestem w jakiś sposób ograniczony. Mogę zrobić wszystko, dostać się wszędzie i mam nadzieję, że przynajmniej część mojej wiedzy, doświadczenia i umiejętności będę w stanie wam przekazać.

Po sali przeszedł głuchy pomruk niedowierzania.

- Oczywiście, czasem muszę skorzystać z pomocy ludzi chodzących – kontynuował brodacz, nie zwracając uwagi na buczenie ani powątpiewające uśmieški. - Wynika to z debilizmu naszego prawa. W nowo otwartych budynkach użyteczności publicznej muszą znajdować się winda i podjazd dla wózków i rzeczywiście się znajdują, jednak spora część urzędów mieści się w starych zabudowaniach i wtedy mamy problem. Nie wszystkie pociągi czy autobusy są dostosowane do potrzeb niepełnosprawnych. Czasem musimy schować honor do kieszeni i poprosić innych o pomoc, ale to, co możemy, róbmy sami. Czasem łatwiej jest pokonać schody niż absurd prawa lub ludzką mentalność, dlatego ta

umiejętność jest dla nas niezbędna. Dla naszej samooceny, ambicji i zwykłej chęci normalnego funkcjonowania.

Mężczyzna ogarnął wzrokiem słuchający i potakujący zespół wózkowiczów.

- Nie jest to proste, dlatego zaczynamy od zaraz. Bez zbędnego gadania, narzekania i rozczulania się nad sobą. Ten etap macie już za sobą. Skoro zdecydowaliście się na udział w obozie, to znaczy, że chcecie żyć dalej.

Toczyć ten garb zwany istnieniem najlepiej, jak potraficie. Życie na wózku nie musi być nędzne. Wczoraj już było, dzisiaj kształtuje jutro. W jednej chwili idziemy z tarczą, w drugiej już możemy na niej leżeć.

- Matko jedyna! Ten Albus naprawdę czaruje! - szepnęła Beata do ucha stojącej obok niej Mirki.

- W ciągu dnia bryza wieje od morza, ale ten sam kapryśny wiatr w nocy postanawia zmienić kierunek i pizga w drugą stronę. Nie wiemy, w którym momencie staniemy w polu jego rażenia. Czy nas ochłodzi w upalny dzień, czy zagna bezbronnych i przerażonych w głębiny. Bądźmy gotowi!

Brodaty czarodziej szybkim ruchem poderwał do góry przednie kółeczka i ponownie stanął na dwóch tylnych kołach.

- Na początek balans. - Uśmiechnął się do grupy. - Czy ktoś z was potrafi?

Podniosło się sporo rąk.

- Świetnie. Proszę do mnie i demonstrujemy. Kto nie umie, ten patrzy.

Beata, Renata i jeszcze kilka innych dziewczyn wyjechały na środek sali. Stojąc bez wysiłku w balansie, Beti ciepło pomyślała o Michale. *A tak nienawidziłam tych tortur!* – przypomniała sobie z lekkim wyrzutem sumienia. Zakręciła piruet, ciesząc się w duchu z uznania w oczach pozostałych koleżanek i pełnego pochwały uśmiechu Krzysztofa.

Po godzinie zajęć zadowolona Beata wróciła do siebie. Jagi nie było i dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, co zrobić z wolnym czasem. Czuła się wspaniale, mogąc pomagać i tłumaczyć innym to, co jej samej nie sprawiało żadnej trudności. Pełna pozytywnej energii i mająca w zapasie ponad pół godziny luzu, postanowiła wyjechać przed budynek hotelu i pooddychać trochę świeżym powietrzem. Niestety, jej plany spaliły na panewce. Wyjechała na zewnątrz, nabrała pełen haust do płuc i... rozkaszała się gwałtownie. Tuż przy drzwiach stał Bartek, delektując się papierosem i wydmuchując z lubością smrodliwy dym wprost na wychodzących z hotelu ludzi.

- Boże, człowieku! Nie możesz palić gdzie indziej? Zaczadzić się można!

- Beti ostentacyjnie zatkała nos.

- Rany! Następna maruda. Gaszę, gaszę...

Zgasił peta w stojącej obok popielniczce.

- Gdzie się wybierasz?

- Gdzieś, gdzie nie śmierdzi.

Zakręciła kołami. Usłyszała za sobą kroki mężczyzny.

- Wolne masz czy wagarujesz?

- Wolne. A ty? Urwałeś się z zajęć na małego dymka?

- Nie. Wykończyłem jedną grupę świeżaków, następną mam o dwunastej. Chyba z tobą, nie?

- Chyba tak.

- To nie podpadaj panu instruktorowi. - Przyśpieszył kroku i zrównał się z nią. - Jedziesz w jakieś konkretne miejsce czy tak się szwendasz?

- Szwendam się.

- Chodź, pokażę ci mój ulubiony zakątek.

Złapał za rączki wózka i skierował go w stronę wysokich drzew.

- Teraz, gdy kwitną kasztanowce, jest tam po prostu bajkowo. Jakimś cudem szrotówek nie wypatrzył jeszcze tego miejsca i liście pozbawione są ohydnych, rdzawych plam. Gdy kwiaty przekwitają, soczyście zielone, palczaste liście dają cień przed piekącym słońcem, a jesienią pod nogami turlają się setki kasztanów.

Po kilku minutach znaleźli się w kasztanowym zagajniku. Drzewa obsypane były białymi i różowymi kwiatami. Wróble ćwierkały wesoło, a rude wiewiórki ścigały się ze sobą, zgrabnie przeskakując z gałęzi na gałąź. Przy asfaltowych alejkach stały kute, mosiężne ławki. Bartek usiadł na jednej z nich i wskazał Beacie miejsce obok. Z kieszeni wyciągnął paczkę marlboro.

- O nie! - sprzeciwiła się gwałtownie dziewczyna. - Wyszłam, aby pooddychać tlenem, a nie smrodliwymi oparami palonego tytoniu.

- Okej, okej. Tak bezmyślnie tylko wyjąłem fajkę. Nie muszę palić. - Bartek schował z powrotem swoje

schaboszczaki.

- To po co palisz?

- Bo lubię.

- Phi.

Beata nie widziała sensu w prowadzeniu dalszej dyskusji. Co ją obchodziło, że marnował zdrowie? Jeśli chciał zacząć swoje płuca i powietrze wokoło - jego sprawa. Oby tylko nie przy niej. Rozejrzała się i odetchnęła głęboko.

- Rzeczywiście, miło tutaj.

Bartek rozparł się wygodniej i kiwnął potakująco głową. Przez dłuższą chwilę słycać było tylko szum drzew, nawoływanie się ptaków i przytłumione odgłosy przejeżdżających ulicą samochodów. Cisza zaczęła ciążyć. Beti szukała w głowie tematu, który mogłaby bezpiecznie poruszyć w rozmowie ze swoim nieplanowanym towarzyszem.

- Słyszałam, że nie jesteś z branży medycznej?

O cholera, to nie było chyba całkiem neutralne - pomyślała, przypominając sobie rewelacje Renaty.

Bartek leniwie otworzył oczy.

- Zawodowo nie, ale jestem w temacie z powodów rodzinnych. Moja młodsza siostra miała MPD. Mózgowe porażenie dziecięce - dodał, widząc, że Beti nie za bardzo rozumie. - Były problemy okołoporodowe i urodziła się z niedotlenieniem mózgu.

- Matko, to straszne.

- Nie było tak źle. Chyba my wszyscy bardziej to przeżywalismy niż ona sama. - Uśmiechnął się na

wspomnienie siostry. - Od urodzenia była mniej sprawna od innych i po prostu to akceptowała. Tak było i już. Miała czas buntu, gdy poszła do przedszkola i inne dzieci nie chciały się z nią bawić.

Płakała, nie rozumiała dlaczego. Nie czuła się inna ani gorsza, tak jednak czuły te zdrowe dzieci. - Zamyślił się na chwilę. - Po jakimś czasie powstała grupa integracyjna. Znalazła koleżankę, później kolejne, zdrowe. Odżyła.

Jeden kanarek nie ma szans wśród stada szpaków, zadziobią go, bo jest inny, jednak stadko kanarków to już coś innego. - Wyciągnął z kieszeni kawałek chleba, rozkruszył i rzucił w trawę. W mig nie wiadomo skąd zleciało się stadko wróbli i ptaki zaczęły hałaśliwie kłócić się o okruszki.

Oboje obserwowali je przez chwilę. - Gdy mama miała gorszy dzień i obwiniała się o jej chorobę, Beńka mówiła, że to przecież nie mamy wina, że w momencie jej narodzin Pan Bóg zmrużył na chwilę oczy, spojrzął gdzieś w bok, kichnął albo po prostu podrapał się po nosie - kontynuował Bartek. - Mimo fizycznej ułomności była prawdziwym wesołym skowronkiem. Gdy miała szesnaście lat, pojechała na swój pierwszy obóz FAR-owski, a ja, mimo jej wyraźnych zakazów, pojechałem jako opiekun. - Zaśmiał się głośno. - Boczyła się na mnie do końca turnusu.

- Jakoś wierzę bez zastrzeżeń. - Beti mu zawtórowała. - Beńka?

- Bernadetta. - Zaśmiał się ciepło. - Nienawidziła tego zdrobnienia.

- Ile ma lat?

- Gdyby żyła, kończyłaby w tym roku dwadzieścia dwa.
- Boże... przepraszam, nie wiedziałam...

Beata poczuła, jak na jej policzku pojawia się rumieniec.

- Daj spokój, skąd miałaś wiedzieć? Zresztą to już stara historia. - Mimo słów w głosie Bartka zabrzmiała bolesna nuta. - Beńka umarła cztery lata temu. Głupi, niefortunny wypadek. Potknęła się i poleciała dziesięć schodów w dół. Uderzyła głową w kamienną podłogę, krwiak mózgu, kaplica, pogrzeb.

- Tak mi przykro.

- Dziękuję. Mnie też. Mimo że dzieliło nas kilka dobrych latek, byliśmy bardzo zżyci. Jej już nie ma, a ja wsiąknę w FAR-owskie klimaty i jak tylko jestem wolny, uczestniczę w obozach. Najpierw służyłem jako serwis, później jako instruktor. Stąd moja obecność na twoim pierwszym zjeździe. - Spojrzał na dziewczynę, uśmiechnął się lekko i zmienił ton na lżejszy. - Mam nadzieję, że się polubimy, choć mam zamiar dać ci niezły wycisk.

- Ha! - Beti odpowiedziała mu uśmiechem. - Nie myśl, że ja jestem taka całkiem cienka świeżynka. Już Michał mnie wstępnie wyszkolił.

- Wierzę. - Spojrzał na zegarek. - Fajnie tu, ale chyba musimy się zbierać. Zaraz wpół do jedenastej. Tenisa i boska Pati czekają na ciebie.

Rozdział 18

Patrycja Natalska wyglądała zupełnie zdrowo. A nawet bardzo zdrowo. Ubrana w granatowy dres i sportowe buty, czekała przy stołach do tenisa, ustawionych wzdłuż jednego z boków sali gimnastycznej. Na głowie miała czapkę z daszkiem, a jej kucyk podrygiwał w takt odbijanej od blatu stołu piłeczki.

- Ciekawa jestem, co ona może wiedzieć o naszych problemach - mruknęła Renata do ucha Beti. - Niechby na wózku usiadła...

Patrycja zgrabnie złapała piłeczkę, odłożyła raketkę i spojrzała na podjeżdżające dziewczyny.

- Cześć - powiedziała niskim altem. - Mam na imię Patrycja i chciałabym przybliżyć wam nieco zasady gry w tenisa stołowego zwanego również ping-pongiem. - Poczekala, aż wszystkie wózki zaparkują, a dziewczyny usiądą wygodnie. - Jest to jedna z najpopularniejszych gier na świecie. Gra się w nią zarówno towarzysko, dla zabawy, jak i zawodowo, bo jest to dyscyplina olimpijska. Tenis stołowy narodził się w Anglii w dziewiętnastym wieku. Wymyśliło go dwóch angielskich studentów. Nie mogąc grać

w tenisa ziemnego w pewien deszczowy dzień, urządzili sobie minikort na stole i zaczęli odbijać piłkę. Do tysiąc dziewięćset drugiego roku w ping-ponga grano w rozmaity sposób. Na stołach kuchennych, bilardowych, każdej podwyższonej, płaskiej powierzchni. Piłeczkę odbijano raketami do tenisa, książkami, a nawet kawałkami szkła czy aluminium.

W końcu niejaki Good wymyślił drewniane rakiety pokryte gumą i celuloidowe piłeczki, które szybko stały się standardem. - Dziewczyna podniosła wysoko rzeczony wynalazki i kontynuowała swój wykład: - W Polsce tenis stołowy zadomowił się około tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku i natychmiast znalazł wielu wielbicieli. Sama do nich należą i z przyjemnością zapoznam was z podstawami tego sportu. - Przyjrzała się każdej twarzy po kolei. - Czy któraś z was gra w ping-ponga?

- Ja. Tak trochę... - odezwała się nieśmiało Mirka.

- Fajnie. - Trenerka się uśmiechnęła. - Zapraszam do stołu.

Gdy Mirka podjechała i zważyła w dłoni ciężar paletki, Patrycja zdjęła bluzę od dresu. Z ust Renaty wydostało się głośne westchnienie pełne zaskoczenia. Prawe ramię blondynki kończyło się tuż za łokciem, poniżej zaś znajdowała się metalicznie lśniąca proteza. Beti spojrzała na zaczerwienioną koleżankę i przez chwilę napawała się jej zmieszaniem. Na charakterystyczny odgłos odbijanej piłeczki ponownie skupiła uwagę na Patrycji.

- Obserwujcie. Będę wam tłumaczyć, co z czym się je.

Generalnie nie ma tu jakiejś wyższej filozofii. Przynajmniej na tym etapie. Po prostu trzeba trafić rakieta w piłkę, odbić ją na pole przeciwnika i nie zahaczyć o siatkę.

Świetnie ci idzie – pochwaliła Mirkę, po czym złapała piłeczkę lewą ręką. – Rozpoczęciem gry jest serwis jednego z zawodników. Aby poprawnie zaserwować, należy podrzucić otwartą dłonią piłeczkę pionowo do góry na wysokość przynajmniej szesnastu centymetrów. Odbijamy ją od swojego pola i wysyłamy na pole przeciwnika.

Mirka zgrabnie odebrała piłeczkę i odbiła ją w stronę Patrycji, która ponownie ją złapała.

– Istnieją dwa podstawowe style trzymania rakiety. Styl klasyczny, czyli shakehand. – Kobieta zaprezentowała odpowiedni chwyt. – Oraz piórkowy, czyli penhold. – Zmieniła układ palców i złapała rakieta jak długopis. – Penholdu używają zazwyczaj Azjaci. Europejczycy stosują styl klasyczny.

Popróbujcie. Dziękuję ci na razie – zwróciła się do Mirki, po czym każdej z dziewczyn podała rakieta i pomogła w odpowiednim ułożeniu palców. Gdy opanowały chwyt, Patrycja podzieliła je na pary i mimo iż wszystkie trzymały rakiety na sposób europejski, rozpoczął się prawdziwy sajgon.

Renata waliła rakieta niby maczugą, Beti kilka razy zarobiła w środek czoła, a piłeczki latały po całej sali jak opętane. Biedne dziewczyny z serwisu miały pełne ręce roboty, a po dziesięciu minutach ich czoła świeciły niczym stuwatowe żarówki.

- *Sorry* - jęknęła zawstydzona Beata, patrząc przepraszająco na Igę, gdy znów nie trafiła w piłeczkę. Iga zmierzyła ją nieprzyjaznym spojrzeniem, otarła czoło i z ciężkim westchnieniem ruszyła za złośliwym kawałkiem plastiku, który potoczył się w najdalszy kąt sali gimnastycznej. Pod koniec treningu szło im tak samo dobrze jak na początku. Sajgon trwał. Niczym niezrażona Patrycja klepała je po spoconych plecach, zbierając rakiety.

- Nie martwcie się. To tylko na pierwszy rzut oka wygląda na łatwe zadanie. Jutro będzie lepiej - obiecała i uśmiechnęła się do zgrzanej Igi. - Rozumiecie teraz, dziewczyny, dlaczego tenis stołowy to ulubione zajęcia serwisu?

Odpowiedział jej chóralny jęk.

- *Sorry* - przeprosiła jeszcze raz Beata.

- Spoko - uspokoiła ją Iga - jakoś przeżyłam. Ale proszę cię, trenuj po godzinach, bo nie wzięłam z domu wrotek ani zapasowego kręgosłupa...

Pół godziny przerwy minęło jak z bicza trzasł. Beti ledwie zdążyła doczłapać się do pokoju i wziąć kilka łyków wody mineralnej, gdy już musiała szykować się na zajęcia z Bartkiem. Spojrzała na swój grafik .

Miejsce treningu: stadion. Spięła włosy, włożyła bluzę i pojechała do windy.

Bartek stał otoczony wianuszkami dziewczyn z serwisu. Nie chcąc przeszkadzać, postanowiła poczekać na resztę uczestniczek. Nie trwało to długo. Pięciosobowa grupa szybko dołączyła do Beaty i wszystkie razem podjechały do

poważnego już Bartka. Uwadze Beti nie umknęły mocny makijaż i koszulka Renaty. Cienkie ramiączka i dekolt do pępka niezbyt pasowały do sportowego charakteru zajęć. Wywalone na wierzch atrybuty Renaty nie umknęły również uwadze mężczyzny, bo gdy ogarniał wzrokiem zbliżającą się gromadkę, zdecydowanie najdłużej przyglądał się właśnie jej.

Faceci... Beti pogardliwie wykrzywiła usta.

- Witajcie. Nazywam się Bartek Orłowski i postaram się, aby żadna z was, nawet te, które zapomniały z domu dresów, nie zmarzły podczas ćwiczeń.

Beata zachichotała.

- I raczej nie będzie wam do śmiechu.

Beti zachichotała jeszcze głośniej.

- Wiem, że jesteście zmęczone, więc dzisiaj będę łagodny. - Ironiczny uśmiezek przeczył jego słowom. - Wiem też, że poznałyście już dokładnie fakturę tartanu i długość toru, ale muszę was poprosić, żebyście zrobiły kolejne kółeczko dookoła. Albo i dwa.

Beata nagle przestała chichotać, co z kolei wywołało szeroki uśmiezek na twarzy dowcipnisa.

- Dalej, wróbelki, lecimy...

Pierwsza ruszyła Renata. Z impetem. *Jasne, gwiazda...* Beti znowu się skrzywiła, spojrzała z wyrzutem na trenera i niechętnie ruszyła za roznegliżowaną liderką. *Nie dam mu satysfakcji* - postanowiła sobie solennie i zakręciła kołami.

- Ej ty, w niebieskiej bluzie!

Beata obejrzała się ze zdziwieniem.

- Ja?

- No, ty. Podjedź do mnie.

Coraz bardziej zdziwiona wróciła do Bartka. Mężczyzna nachylił się konspiracyjnie.

- *Sorry*, ale wiesz, nie chciałem, żeby o nepotyzm mnie oskarżyli. Olej tę rozgrzewkę. Pomóż mi rozdzielić hantle. Stefański prowadził zajęcia i wszystkie są rozpizgane. Poparuj według wagi, okej? Aha i wybierz sobie najłżejsze.

Mężczyzna puścił do niej oko, związał włosy w kucyk i pobiegł za oddalającą się grupą. Beti uśmiechnęła się pod nosem. *Jak to dobrze, że wyrobiłam sobie chody u trenera. Choć niechcący właściwie.* Porozdzielała ciężarki w dwie minuty. Pod swój wózek schowała półkilówki i wystawiła twarz do słońca. Ciepłe promienie pieściły policzki i czoło, lekki wiatr rozwiewał włosy. Beti poczuła błogie lenistwo. Odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w świergot wróbli. Nie nacieszyła się długo bezrobociem, bo już po kilku minutach peleton prowadzony przez Renatę skończył okrążenie i lekko zasapane dziewczyny zaparkowały dookoła.

- Rozgrzane? - Bartek podszedł do ławki. - Weźcie po komplecie hantelek i ustawcie się w kółeczko tak, aby każda mogła swobodnie rozłożyć ręce. Beti, dziękuję za pomoc. Dołącz do reszty.

Żegnajcie, chody. Skrzywiła się w myślach i ustawiła się pomiędzy Mirką i Igą. Ze złośliwą uciechą dojrzała, że Renacie trafiły się najcięższe hantle.

- Okej. Dziesięć razy krążenia w przód, dziesięć razy w tył, proste łokcie, napięte nadgarstki. Lecimy.

Na obiad przyjechała lekko spóźniona. I całe szczęście, bo przy szwedzkim stole ruch był już minimalny. Beata wzięła tacę i ruszyła w stronę apetycznie wyglądających półmisek. Nałożyła na talerz porcję ziemniaków, fileta z dorsza i sałatkę z ogórków. Za wszelką cenę starając się utrzymać równowagę, wolniutko pojechała do swojego stolika.

- Beti, a ty znasz tego Bartka? - Renata z wyrzutem wycelowała w Beatę widelec z nabitym plasterem pomidora.

Beti westchnęła cicho. Wiedziała, że Renata nie da jej spokoju.

- Trochę. Poznałam go w pierwszym dniu.

- To czemu nic nie mówiłaś, że znasz? - czepiała się dalej brunetka.

- Bo nie pytałaś. - Beata wzruszyła ramionami i ignorując zaczepny ton dziewczyny, zaczerpnęła z wazy chochlę buraczkowej zupy.

Mirka uśmiechnęła się pod nosem, co nie uszło uwadze Reni.

- A ty przeczytałaś już moją gazetę? - Krzywo spojrzała na koleżankę. - To mogłabyś ją w końcu oddać.

Rozdział 19

- Hej! Wstawaj!

Beata wzdrygnęła się na dźwięk głosu Jagi.

- Jeszcze pięć minut, błagam...

- Dobra, możesz pognić jeszcze chwilę. Idę pod prysznic.

Szum lecącej wody działał usypiająco, otwarcie oczu było dla Beti doprawdy nie lada wysiłkiem. Dziewczyna splótła palce i przeciągnęła się.

Stawy niepokojąco zatrzeszczały, a mięśnie zapiekły żywym ogniem. *Rany boskie, nie pamiętam, kiedy miałam takie zakwasy.* Lekko skrzywiła się z bólu. Z trudem zrzuciła nogi z łóżka i ziewnęła szeroko. Wczorajszy dzień był prawdziwym surwiwalem. Poranna rozgrzewka, zajęcia z brodaczem i tenis stołowy były preludium do prawdziwej walki z własnym ciałem, jaką zafundował jej Bartek. Niby nie było to nic trudnego, jednak półkilowe ciężarki trzymane w dłoniach po kilku minutach zdawały się ważyć co najmniej dziesięć kilogramów i powodowały, że napięte ramiona drżały niczym w febrze. Wielokrotne powtórzenia prostych, wydawałoby się, ruchów zakwasiły mięśnie bardziej niż hipotetyczne przewalenie kilku fur drewna. Drzwi łazienki

otworzyły się i wyjechała Jaga, okręcając sobie włosy turbanem z ręcznika.

- Co jest? Boli? - W jej głosie pobrzmiewały podejrzone nutki rozbawienia.

W odpowiedzi Beti zajęczała rozziewając: - Rany, to nie obóz. To jakiś łagier sowiecki. Sybir!

- Ciepła woda przyniesie ci ulgę. Leć pod prysznic.

Beti zgodziła się z przyjaciółką, wyciągnęła z szafki ręcznik i wolno ruszyła w stronę łazienki.

- Słuchaj, a Michał nie wściekł się, że nie byłam na tych zajęciach po kolacji? - krzyknęła w stronę rudowłosej. - Czemu mnie nie obudziłaś?

Jaga zaśmiała się głośno.

- Nie martw się, nie było prawie nikogo. Wiemy już z doświadczenia, że na pierwszy wieczór nie ma sensu szykować czegoś porządnego, bo wszystkie świeżynki padają jak muchy tuż po kolacji. Koza miała wykład na temat uszkodzenia rdzenia. A przecież wszyscy wiemy o naszej chorobie więcej od konowałów, prawda?

Beata wzruszyła ramionami, regulując temperaturę wody.

- To po cholere zawracacie gitarę?

Rudowłosa ponownie zachichotała.

- Właśnie po to, żeby się z was ponabijać.

Na szczęście szum wody zagłuszył odpowiedź Jagi i Beata, nieświadoma psychologicznej gry kadry, rozkoszowała się kąpielą, usiłując wmówić sobie, że nic ją nie boli.

No i po co się kąpałam? - zadała sobie retoryczne pytanie. Ubrana w różowy strój kąpielowy siedziała na prysznicowym krzeselku, a strumienie prawie zimnej wody chłostały jej ciało.

- Dobra, dziewczyny. Gotowe? Komuś pomóc?

Natalia troskliwym wzrokiem obrzuciła gromadkę trzęsących się kobiet. Podeszła do jednej z nich i pomogła założyć czepek kąpielowy.

- Wsiadaj. - Przytrzymała wózek i gdy maruderka wykonała polecenie, wszystkie dziewczyny, pochylając głowy w kolorowych czepkach i bez powodzenia usiłując okryć się ręcznikami, wjechały na basen.

Jarosław Piesek siedział na swoim wózku całkowicie ubrany. Uśmiechem powitał wjeżdżającą grupkę.

- Cześć. Mam na imię Jarek i pierwsze pytanie, które wam muszę zadać, brzmi: czy któraś z was nie umie pływać?

Beata rozejrzała się dookoła. Jedna z dziewcząt w czarnym bikini i zielonym czepku podniosła rękę.

- Spoko, nie martw się. Ty właśnie będziesz miała najłatwiej. - Popatrzył na resztę grupy. - Te z was, które umieją, muszą o tym zapomnieć i nauczyć się od nowa. Środowisko wodne gwarantuje nam doskonałe odciążenie.

Z jednej strony to świetnie, bo ciało jest lżejsze, z drugiej fatalnie, bo wasze nogi będą pływały jak niesione prądem bezwładne gałązki. Można nad nimi zapanować, ale wiąże się to z długim treningiem, odpowiednią koordynacją i przede wszystkim doskonałym poznaniem własnego ciała. Jednych ciągną w dół, drugich wypychają, powodując, że pozornie nie

da się pływać. Da się.

Uwierzcie mi.

Dookoła rozległy się brawa i wiwaty. Beata oderwała wzrok od Jarka i spojrzała w stronę klaszczącego serwisu. Niespodziewany widok Michała wywołał rumieniec na jej policzkach. W granatowych slipach, z obszerną klatką piersiową i długimi, mocnymi nogami prezentował się jak młody bóg.

- Wiemy, że się da - odezwał się stojący obok Michała Bartek. - Ku naszemu ogromnemu zadowoleniu udowodniłeś to na olimpiadzie w Atlancie. Od tej pory oglądam relacje tylko i wyłącznie z paraolimpiad.

Tylko wtedy czuję wielką dumę z faktu bycia Polakiem. Pełnosprawność... w tym przypadku brzmi żenująco. Jarek podziękował mu skinieniem głowy i ponownie zwrócił uwagę na wystraszone kobiety.

- No to, dziewczyny, siup do wody! I nie bójcie się. Zajęcia na basenie są jedynymi, na których proporcja serwisu do uczestników wynosi jeden do jednego.

Chodzący podeszli do swoich podopiecznych i zaczęło się prawdziwe zamieszanie.

- Rany! Nigdy ci nie wybaczę, że namówiłeś mnie na ten horror.

- Przecież to nie ja. To Jaga. - Michał podszedł do Beaty i skierował jej wózek w stronę wody. - Zsuń się tyłkiem na podnózek, później przesiądź się na rant basenu, a ja odsunę wózek - zadysponował, jakby była to rzecz najłatwiejsza pod słońcem.

Beti już miała na końcu języka jakąś ciętą ripostę, doszła jednak do słusznego wniosku, że będzie to niepotrzebne strzępienie języka, i bez zbędnych słów wykonała polecenie.

- Świetnie. Teraz zsuń nogi do wody.

Zewsząd dobiegały pluski, świadczące, że pozostali uczestnicy robili to samo. To było dziwne uczucie. Wszystkie zmysły mówiły Beacie, że jej nogi są w wodzie. Widziała swoje łydki opierające się o ścianki basenu, słyszała chlupot i wyraźnie czuła specyficzny zapach chlorowanej wody, ale jej nogi nie istniały w tej samej rzeczywistości. Nie czuła ani zimna, ani ciepła. Nie czuła pieszczącego dotyku wody na stopach. Nie czuła nic poza wzbierającymi w oczach łzami. Michał spojrział na nią, w jego wzroku pojawiło się coś na kształt współczucia.

- Wiem, do dupy. Zaraz będzie lepiej.

Wsunął się do wody i pomógł dziewczynie w kontroli nóg. Przy pomocy zwykłego kubka jednorazowego zaczął polewać jej ciało.

- Co to, kurna? Gra wstępna? - zdenerwowała się Beti. Czuła zażenowanie, widząc Michała stojącego między jej nogami, niczym jakiś cholerny Romeo polewającego wodą jej piersi. Tym bardziej, że oboje ubrani byli nader skąpo. Z wielkim pluskiem Beti znalazła się po szyję w wodzie.

- A teraz orgazm. - Niedoszły kochanek zaśmiał się sadystycznie.

- Matko! Trzymaj mnie.

- Trzymam.

Po pierwszej chwili paniki Beata poczuła się całkiem

nieźle. Wciąż kurczowo trzymała się szyi mężczyzny, ale jej ciało powoli zaczynało się rozluźniać. Odważyła się na oderwanie wzroku od twarzy Michała i spojrzała dookoła siebie. Wszystkie dziewczyny były już w wodzie i trzymały się mocno swoich partnerów. Jarek jechał wzdłuż zbiornika i dodawał im otuchy.

- Świetnie, dziewczyny. Właśnie tak. Nie bójcie się, wasi opiekunowie nie opuszczą was nawet na chwilę. Wsłuchajcie się w wasze ciała.

Beti wsłuchiwała się w swoje. Nic, cholera, nie chciało jej powiedzieć. Czowała dreszcze na przedramionach, lekki ból w zaciśniętych kurczowo palcach i chłód wody kończący się tuż nad pępkiem. Spojrzała na swoje nogi. Rozjeżdżały się bezwładnie i za nic w świecie nie chciały wyglądać normalnie. Palce stóp były opuszczone i wyglądało to, jakby za chwilę miała zamiar odtańczyć w wodzie „Jezioro łabędzie”. *Przynajmniej nie widać, że są tak przerażająco chude* - spróbowała znaleźć jakąś budującą myśl. Spojrzała na Michała. Sytuacja wciąż była nader intymna. Beti mimo woli poczuła w brzuchu dziwne napięcie. Gorączkowo szukała jakichś neutralnych słów, gdy złoty medalista z Atlanty zatrzymał się tuż nad nią.

- Pierwsze zadanie. Nabierzcie dużo powietrza i wydmuchajcie je pod wodą.

- Przytrzymać ci pod wodą głowę? - Michał nie mógł się opanować.

- Uważaj, żebym ja nie przytrzymała twojej.

Wzięła głęboki wdech i zanurzyła twarz. Zadanie nie

sprawiło jej trudności. Zawsze lubiła wodę i pływanie. Uwielbiała to uczucie lekkości ogarniające ją w jeziorze. Często kładła się na plecach i tylko nieznacznie poruszając kończynami, kontemplowała niebo nad sobą. Wyobrażała sobie, że jest ptakiem i sunie po przestworzach wolna od grawitacji i własnego ciężaru. Podziwiała miękkie linie obłoków i próbowała odczytać z nich przyszłość. *Cóż... taka przyszłość nie przeszła mi przez głowę nawet w czasie największej burzy* - pomyślała, wynurzając się na powierzchnię.

- Teraz oprzyjcie głowy o piersi waszych partnerów i spróbujcie się zrelaksować. - Mimo drobnego ciała i dużej przestrzeni głos Jarka był bardzo donośny.

Michał odwrócił dziewczynę na plecy. Beata poczuła się jak mała dziewczynka, która pierwszy raz nałożyła na stopy wrotki. Za nic w świecie nie mogła opanować własnych nóg, które majtały się idiotycznie. Dłońmi przycisnęła je do ciała i oparła się o partnera. Pisnęła cicho, gdy poczuła, że męczyzna wraz z nią oddala się od bezpiecznych ścianek basenu.

- Nie bój się - szepnął jej do ucha Michał. - Mam patent ratownika.

- Super - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

- Młodszego.

- Lepszy rydz niż nic.

Postanowiła zaufać swojemu fizjoterapeucie i usiłowała się rozluźnić. Czowała, jak woda miękko opływa jej ciało i jak płynnie przesuwać się do przodu. Michał podtrzymywał ją

delikatnie. Beata zamknęła oczy i wyłączyła się na dobiegające z prawa i lewa hałasy. Nie słyszała przestraszonych okrzyków koleżanek, spokojnych komend trenera ani grającej w tle muzyki.

Nie czuła zapachu chloru. Słyszała szum wiatru, krzyk mew i miarowy stukot męskiego serca. Zapomniała o swym kalectwie, martwych nogach i FAR-owskim obozie . *Boże, jak błogo...* Nie było terapii. Nie było rehabilitanta i pacjentki. Byli złączonymi uściskiem mężczyzną i kobietą.

Ona ufnie złożyła głowę na jego szerokiej piersi, a on trzymał ją, jakby była najbardziej drogocennym skarbem. Ona oddała mu swe ciało i duszę, a on obiecał obronić ją przed całym złem. *Matko jedyna! Co ja bredzę!* – przeraziła się w myślach Beti i otworzyła oczy. Spojrzała prosto w niebieskie tęczęwki. Patrzyły tak łagodnie, ciepło i z oddaniem. Przełknęła ślinę.

- Właśnie miałem zanurzyć ci łeb w wodzie. Myślałem, że usnęłaś.

Łagodnie i ciepło... koń by się uśmieł. – Szybko zmieniła zdanie. Obok przemknął Bartek z trzymającą się go kurczowo Renatą. Mrugnął do Michała.

- To jak? Podtopimy trochę dziewczyny?

Ogłuszający pisk jego partnerki przegnał ostatnie echo mewich krzyków.

- A teraz pływamy, drogie panie – zarządził Jarek. Michał wziął z brzegu pomarańczową deskę do pływania.

- Pomóc ci?

- Poradzę sobie.

Beti wzdrygnęła się na myśl o dłoniach Michała na własnym brzuchu. Nie wiadomo, czy z odrazy, czy wprost przeciwnie. Sprawnie odwróciła się w wodzie i położyła na piankowej desce. Wykonała pierwsze ruchy żabki. Michał płynął tuż obok, gotowy do akcji ratunkowej. Po krótkiej chwili Beata dotknęła ręką przeciwległej ściany basenu. Z radością spojrzała na trzymającego się tuż obok mężczyznę.

- Michał. Ja płynę...

- No wiesz... Pływaniem bym tego nie nazwał.

- Ty orangutanie!

Zamachnęła się i z całej siły prysnęła wodą wprost w zadowoloną twarz. Michał nie był jej dłużny. Pośród pisków i śmiechów chlapali się wzajemnie dobrą minutę i dopiero interwencja Jarka przerwała te dziecięce, ale jakże radosne, spontaniczne wybryki. Siedząc już na wózku, zmęczona, ale szczęśliwa, spojrzała w stronę Michała. Razem z Bartkiem zbierał wszędzie porzucane deski pływackie.

Bartek powiedział chyba coś zabawnego, bo Michał głośno ryknął. Beti uśmiechnęła się lekko. W ciele poczuła ciepło, a w brzuchu znów coś niepokojąco załopotало.

- A ty co? Ktoś by mógł pomyśleć, że się zakochałaś.

Renata wycierała włosy i spod byka patrzyła na Beatę. Beti z politowaniem popukała się w głowę.

- Bzdura. To mój rehabilitant.

- No właśnie - odpowiedziała dziewczyna niezrozumiale i tajemniczo.

Beata nie wdawała się w dyskusję. Pojechała do szatni. Wyciskając mokry kostium, przypomniała sobie własne

uczucia sprzed paru chwil i idiotyczne wizje w wodzie. *Jasna cholera, serio? Zakochałam się? Szlag by to trafił!*

Rozdział 20

W ramach treningu kondycyjnego tym razem pojechali do miasta. Łatwo było jechać w grupie. Mieszkańcy Kołobrzegu, przyzwyczajeni pewnie do takich widoków, nie zwracali żadnej uwagi na kilkunastoosobową bandę, której członkowie w przeważającej liczbie siedzieli na wózkach inwalidzkich.

Choć nieco pagórkowate, miasto było przystosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych i Beata czerpała radość z tej wycieczki. Bartek zdecydował, że pojedą na molo. Po drodze mijali grupki gości sanatoryjnych, kilku letników i zajmujących się własnymi sprawami tubylców.

Mimo że większość kramów była jeszcze zabita surowymi deskami, przy samym porcie życie kwitło niczym w pełni sezonu. Kapitanowie stylizowanych na drakkary statków głośno namawiali na rejs po Bałtyku, sprzedawczyni bursztynów wywieszała sznury koralu, które szeleściły tajemniczo w podmuchach wiatru. Pachniało smażoną rybą i goframi.

- Dziewczyny, czapki na głowy, bo na molo będzie wiało. Całe szczęście, że już skończyli remont.

Ignorując własne polecenie, Bartek związał tylko mocniej włosy i podszedł do kasy. Wykupił ulgowy bilet dla siebie, stanął w wejściu i niczym rasowy goryl po kolei wpuszczał dziewczyny na molo.

- Fakturę wzięłeś? - zainteresowała się Renata, wciskając na uszy dzinsowy kapelusik.

- Coś ty. Fakturę na złotówkę? Do niedawna wejście na molo było za *free*, po remoncie kosztuje dwa pięćdziesiąt. Ulgowy zika - odpowiedział mężczyzna. - Choć podobno na remont poszło ponad czternaście baniek.

Przy takich stawkach długo będą czekać na zwrot kosztów.

- Spokojna głowa, panie Bartku. - Zza kasy wyszła kobieta w żółtym sztormiaku. - Z ostatnich rankingów wynika, że w zeszłym roku w Kołobrzegu wynajęto prawie cztery miliony miejsc noclegowych. No, i goście jednodniowi. A przecież być w Kołobrzegu i nie przyjść na molo to tak, jak być w Rzymie i nie zwiedzić Watykanu, nie?

- A, no to inna sprawa. - Bartek wyszczerzył zęby. - To w takim razie czy ja muszę tę złotówkę płacić? Dwa lata i będziecie na czysto.

- Nawet szybciej, miejmy nadzieję. - Kobieta odpowiedziała uśmiechem.

- Wjeżdżajcie, dziewczynki, wjeżdżajcie. - Zaprosiła je gestem. - I nie zwracajcie uwagi na te szkaradne betonowe ławki. Będą wymienione.

- I oto Polska właśnie - spuentował Bartek. - Dopiero oddane i już do poprawki.

Wiatr szarpał jego włosami, gdy szedł obok Beaty.

- Podoba ci się?

- Fajnie.

- A jak pięknie wygląda wszystko wieczorem, przy pełnej iluminacji.

Szczególnie podczas sztormu, gdy fale wdzierają się na niższy pokład. Byłaś już w Kołobrzegu? - Mężczyzna odgarnął z czoła niesforną grzywkę.

- Tak. Często.

Za często - pomyślała ze smutkiem. - Właśnie tutaj po raz pierwszy ujrzałam mojego eksnarzeczonego. Po tym molo chodziliśmy, trzymając się za ręce, na tych ławkach siedzieliśmy wtuleni jedno w drugie, słuchając krzyków rybitw. Przewieszeni przez tę poręcz karmiliśmy mewy kawałkami chleba, a później biegliśmy do najbliższej restauracji na dorsza z frytkami.

Miarowymi ruchami obracała koła wózka.

Mogę palcem wskazać ci miejsce na plaży, gdzie nocą kochaliśmy się namiętnie i szybko, chcąc zdążyć przed pierwszymi plażowiczami. Właśnie tutaj mój eks kupił pierścionek zaręczynowy, którym później, ku jego uldze, rzuciłam mu w twarz. Spojrzała na spacerujących po plaży ludzi. Nigdy już nie poczuję piasku pod stopami. Nie dotknę dłonią lodowatej wody...

- Hej, Beti, w porządku? Zamyśliłaś się...

- Tak. W porządku. Patrzyłam na te betonowe ławki. Faktycznie, są obrzydliwe. Pełno na nich zacieków.

Próbowała oderwać się od smutnych myśli. Wydawało jej się, że już jest dobrze. Że otrząsnęła się z dawnego życia i zaczęła nowe. Że zapomniała o Grzegorzu i jego zdradzie. *Tak, otrząsnęłam się i zaczęłam. Ale wspomnienia tak strasznie bolą...* – przyznała się sama sobie.

- Mają je wymienić na nowy model. Słyszałaś.

- Tak.

Czy ja też wymienię własne wspomnienia? Jest szansa na lepsze?

Dziewczyny rozpierzchły się po molo niczym stadko gęsi. Jeździły parami, grupkami bądź samotnie. Jedne spoglądały na wzburzone morze, inne plotkowały zawzięcie. Beata zaparkowała przy balustradzie. *Michał. Czy to jest właśnie ten nowy model? Zakochałam się?*

- Coś nie w sosie jesteś. - Bartek usiadł na ławce obok niej. - Nie lubisz morza?

- Lubię, ale mam z nim związane nieprzyjemne wspomnienia. Właściwie to wspaniałe wspomnienia, ale dziś przynoszą mi tylko gorycz i żal.

- Każdy ma takie. Chcesz o tym porozmawiać?

Nie chciała. Właściwie nie miała najmniejszego zamiaru wprowadzać Bartka w swoje prywatne życie, ale tak się jakoś stało, że słowa same wyrwały się z zaciśniętych ust. Opowiedziała mu o Grzegorzu, o ich wspaniałych planach i koszmarnym zerwaniu. O wielkiej miłości i gorzkim rozczarowaniu. O własnym bólu, strachu i rozpacz. O nieprzespanych nocach i snach, w których razem z nim biegała po plaży. I o przebudzeniach w szpitalnym łóżku.

- Wiesz, co wtedy robiłam? - Z rozpaczą spojrzała w oczy swojego rozmówcy. - Oglądałam „Avatara”. Sto, tysiąc, milion razy przewijałam sobie jedną scenę. Szesnasta minuta, szesnasta sekunda. I wciąż to samo.

I jeszcze raz, i jeszcze...

Bartek nie przerywał jej nawet jednym słowem. Słuchał uważnie i czuł, że bardzo lubi tę wrażliwą dziewczynę. Z każdym jej słowem miał coraz większą ochotę przytulić ją i rozwalić łeb temu kretyńskiemu gnojkiowi.

- Co się zdarzyło w szesnastej sekundzie szesnastej minuty?

- Jake Sully, były komandos sparaliżowany od pasa w dół, zmienia się w Na’vi. I choć jego ciało leży nieruchomo w kapsule, jego dusza wchodzi w awatar humanoidalnych postaci zamieszkujących księżyc Pandora.

Twarda pięść zacisnęła się na sercu mężczyzny. Znał ten film i doskonale wiedział, do czego zmierza jego rozmówczyni. Tak bardzo jej współczuł...

- W czterdziestej piątej sekundzie porusza palcami stóp. Zaczynam płakać. W siedemnastej minucie staje na nogi. Palcami sprawdza fakturę podłoża, czuje pod stopami twardy grunt, jego temperaturę, delektuje się tym doznaniem. Robi pierwszy krok. Chwieje się, traci równowagę, podpira rękoma, ale stoi. Na jego twarzy maluje się niedowierzanie, a w oczach rodzi się radość. Pod koniec siedemnastej minuty wychodzi na zewnątrz.

Niezgrabnie, zataczając się, zaczyna biec. Z każdym kolejnym krokiem coraz śmieiej, coraz płynniej, coraz

szybciej. Pod stopami czuje dotyk traw, wiatr rozwiewa jego awatarski warkocz. W osiemnastej minucie gna przed siebie.

Na przełaj, przez krzaki, przez zarośla. Ruchy całego ciała są tak doskonale harmonijne, jak gdyby nigdy nie robił nic innego. Jakby nigdy nie leżał jak kłoda, zaciskając zęby w beznadziejnej próbie ruszenia choćby najmniejszym palcem stopy. Jego nogi robią długie, sprężyste skoki, a na twarzy maluje się tak nieopisana ulga, że znowu ryczę. Tym razem ze szczęścia.

W czterdziestej sekundzie osiemnastej minuty zatrzymuje się gwałtownym ślizgiem. Oddycha pełną piersią, patrzy w niebo, wszystkim mocom dziękując za ten cud. W czterdziestej siódmej sekundzie jest najgorszy moment. Jake wciska stopy w ziemię. Przesypuje piasek pomiędzy palcami, bawiąc się pojedynczymi ziarnami. W jego oczach jest tak wielkie szczęście, taka ekstaza, że mu zazdroścę. Tak bardzo, bardzo chcę przeżyć to samo. Więc próbuję. Wbijam sobie paznokcie w dłonie, zagryzam wargi do krwi, modlę się żarliwie, błagam, przeklinam... Nic. Dalej nic...

W oczach dziewczyny zabłyśły łzy.

- Więc cofam film. Szesnasta minuta, szesnasta sekunda... Żeby przeżyć to jeszcze raz. Jeszcze raz spróbować i jeszcze raz przegrać z własnym ciałem.

Wzruszony Bartek ujął jej dłonie.

- Beti... to jeszcze nic nie znaczy. Nawet na wózku możesz zdobywać szczyty.

- Jak? Przecież ja się potykam na zwykłych kamiakach. Jak mam zdobyć te szczyty, skoro zwykły schodek jest dla

mnie wyzwaniem?

Beata spojrzała na mężczyznę, a on aż przestraszył się ognia, jaki ujrzał w jej oczach.

- Zrobiłabym wszystko. Rozumiesz? Absolutnie wszystko, żeby stanąć na nogi. Bez wahania sprzedałabym duszę diabłu, aby choć na jeden dzień zwrócił mi moje nogi. Choć na godzinę.

- To dawaj.

Bartek gwałtownie wstał z ławki. Podniósł Beatę z wózka i postawił przy balustradzie. Własnymi kolanami zablokował jej kolana, a dłońmi przytrzymał miednicę. Beti mocno chwyciła się za poręcz. Dla postronnych obserwatorów wyglądali jak para zakochanych, stojących obok siebie i patrzących w morze.

- Widzisz? - W oczach Bartka też zabłysnął płomień. - Morze jest takie samo, bez znaczenia, czy patrzysz na nie przez pręty ogrodzenia, czy ponad nim. Co za różnica, czy przeskoczysz nad szlabanem, czy przejedziesz pod nim? Najważniejsze to osiągnąć cel. Takim czy innym sposobem. Wiem, nie masz wyboru, musisz wybrać dłuższą, trudniejszą drogę, ale czy z tego powodu opłaca się oddać duszę jakiemuś pazernemu diabłu? Warto?

Beti uparcie milczała.

- Jeśli nie można cofnąć czasu, trzeba znaleźć najlepszy sposób, aby ruszyć do przodu. Wszyscy mamy w sobie tyle samo odwagi, co strachu.

Tylko od nas zależy, co zwycięży. Wiem jedno. Człowiek musi być zdeterminowany, by zmienić swoje życie. Musi się

zaprogramować, żeby jego jutro było lepsze od jego dziś.

Beata patrzyła w morze, a Bartek w jej oczy. Milcząc, stali nieruchomo, dopóki nie zaczęły do nich podjeżdżać pozostałe kobiety, o których oboje zapomnieli.

- Ho, ho. Zajęcia indywidualne? - odezwała się zjadliwie Renata.

- Nie. - Bartek posadził Beatę w jej wózku. - Tak mnie wkurzyła, że chciałem ją wrzucić do morza. Ty też chcesz?

Renata wzruszyła ramionami.

- Przecież nic nie mówię. Jedziemy? Pizga strasznie.

- Jedziemy. Przez port.

Droga prowadziła pod górę. Mimo wysiłku, jaki Beata musiała włożyć w pokonanie stromego wniesienia, w jej głowie kotłowały się myśli. *Bartek?*

Taki lekkoduch? Takie słowa? Analizowała je na wszystkie sposoby. Szukała fałszu albo terapeutycznej gadki. Nie znalazła. Chłopak zasiał w jej głowie nową nadzieję, nowe spojrzenie na własne możliwości. *A niech to cholera.*

Ma rację. Nie przeskoczę przez szlaban, a jak nie dam rady pod nim przejechać, to mogę przecież objechać dookoła.

- Dobra, laski. Ostatni rzut oka na morze i spadamy do ośrodka. I to w tempku, bo mnie Michał do spółki z szefową zabiją na śmierć.

Głos Bartka przerwał jej rozmyślenia. Spojrzała na wzburzoną toń Bałtyku. Fale rozbijały na falochronach swoje białe grzywy. Mewy i rybitwy pokrzykiwały i unosiły się na wietrze. Do portu wpływał jakiś statek. Beata zatrzymała się

gwałtownie. Znała tę sylwetkę. Doskonale znała.
Wymalowana na burcie białą farbą nazwa świeciła w
promieniach słońca.

„Siostra świtu”.

Jasna cholera... Tylko nie to! Tylko nie on!

Rozdział 21

Reszta dnia była do dupy. W głowie Beaty jedna myśl goniła drugą. Pomysły rodziły się jeden po drugim i każdy jeden był równie głupi. *Wyjadę. Powiem, że jakaś sytuacja rodzinna i po prostu muszę. Bez sensu. Przecież Kołobrzeg nie jest małą wsią, a Grzesiek na pewno nie będzie odwiedzał ośrodków rehabilitacyjnych. A zresztą pewnie zaraz odpłynie. Może już odpłynął?*

Machinalnie podnosiła do ust kanapkę z szynką.

- Ty to, widzę, niezła artystka jesteś. - Renata smarowała chleb serem topionym, a jej mina była wredna. - Najpierw szef serwisu, później Orłowski.

A na takie niewiniątko wyglądała, nie? - zwróciła się do pozostałych dziewczyn.

Jola, Agnieszka i Teresa zachichotały usłużnie.

- No i dobrze - sprzeciwiła się nieśmiało Mirka. - Jak na wózku, to już nie może facetów podrywać?

- Nie rozśmieszaj mnie! - Renata parsknęła lekceważąco i ponownie spojrzała na Beti. - Naprawdę myślisz, że coś ugrasz? Jeśli już, to zabawią się i kopną cię w dupę. Zapomnij, moja droga. Nie licz na to, że jakikolwiek zdrowy

facet potraktuje cię poważnie.

- Nie liczę - odpowiedziała automatycznie Beata. - Zresztą głupoty gadasz. Michał to mój przyjaciel, a Bartka ledwo znam. Zresztą nie twoja sprawa.

- Nie moja - zgodziła się Renata - ale nie życzę sobie, żebyś mieszała w głowach pozostałym.

- Możesz sobie nie życzyć, nie interesuje mnie to.

Nie słuchała już koleżanki. *Do domu. Chcę do domu!*

Po kolacji i nieprzyjemnej rozmowie przy stole pojechała prosto do swojego pokoju. Chwilę później pojawiła się również Jaga.

- Hej.

- Hej. - Kobieta podjechała bliżej. - Beti, płaczesz? Co się stało?

Jeszcze nie płakała. Łzy wisiały tuż pod powiekami, ale usłyszawszy troskę w głosie przyjaciółki, Beata rozplakała się jak dziecko. Pozwoliła sobie na chwilowe rozklejenie. Łkając, przerywanym głosem powtórzyła Jadze słowa Renaty.

- Nie myślałam o tym do tej pory - wykrztusiła przez łzy.
- Nie planowałam żadnej miłości ani związku, ale ta małpa otworzyła mi oczy.

Rzeczywiście. Kto na mnie spojrzy? Kogo mogę podniecać? Kto poczuje erotyczny dreszcz na myśl o kalece?

- Durna jesteś. Są różni dewianci.

Żart rudowłosej nie padł na podatny grunt, bo zamiast się roześmiać, Beata znów się rozbeczała.

- Oj, przestań. Żartowałam. Znam mnóstwo szczęśliwych małżeństw albo par mieszanych. Ona chodząca, on laweciarz

albo odwrotnie. Sama byłam w wielu poważnych związkach. No, niepoważnych też.

Beti wysmarkała się w chusteczkę.

- No, sama widzisz: byłaś.

- Przestań się czepiać. Moje chodzące koleżanki też czasami trafiają kulą w płot. Zanim znajdziesz tego jedyne, czasami musisz zadowolić się przeciętnikiem. I nie ma tu znaczenia, czy jesteś chodząca, czy nie. Zanim znajdziesz tę drugą połówkę jabłka czy tam pomarańczy, czasem natkniesz się na zwykłego banana w przebraniu. Aaa... przy okazji powiem ci, że te związki bynajmniej nie były platoniczne.

Tak? - zdziwiła się Beti w myślach. - *To znaczy, że ja też bym mogła ten teges... z Michałem?*

- A tak w ogóle to skąd takie myśli? - zastanawiała się na głos Jaga. - Zakochałaś się? W Michale?

Beti aż podskoczyła.

- Zwariowałaś? Dlaczego akurat w Michale?

- Nie? To dobrze.

Jaga nie miała zamiaru rozwijać tematu.

- No więc skąd?

- Nie wiem - skłamała dziewczyna. - *Sorry*, jakiś dołek mnie złapał.

- Beti? - Jaga nie dawała się zwieść.

Beata ostatni raz smarknęła i ze strachem spojrzała na Jagę.

- „Siostra świtu” przycumowała do portu.

- Ja pierdolę! Twój eks?

Milcząco skinęła głową.

- Widziałaś go?
 - Nie. Widziałam statek.
 - No to co panikujesz? Może wcale go tam nie ma.
 - Na pewno jest!
 - Skąd wiesz? Może ma urlop, może wyjechał, może zdechł i leży gdzieś w krzakach.
 - Jaga!
 - No co? - zaperzyła się kobieta. - Taki gnój nie zasługuje na miano człowieka.
 - Wielu takich byś znalazła.
 - Ale żaden z nich cię nie skrzywdził. A ten kutas tak.
- Beti przyznała jej rację. *Skrzywdził mnie, to prawda, ale nie chcę już o tym myśleć. Było, minęło, koniec. Przecież nie myślałam o nim już od miesięcy. Cholerny Bartek z jego wycieczką przywołał wspomnienia. No i ten statek...*
- Dobra. Idź się ogarnij - rozkazała Jaga. - Nie ma czasu na roztkliwianie się i inne pierdoły. Zaraz wykład doktorka i jak zobaczy cię taką zaryczaną, zacznie cię rozbierać na czynniki pierwsze i analizować szczegóły.

Ubrana w letnią sukienkę pani komendant pilnie obserwowała grupę. Upewniała się, czy wszyscy z odpowiednią uwagą słuchają wykładu jej męża. Doktor Bolesław Kozłowski skończył omawianie swoich osiągnięć i badań społecznych i przeszedł do charakterystyki poszczególnych etapów życia pacjentów po urazie rdzenia kręgowego.

- Pierwszy etap to faza szoku - odrzucenie choroby w

efekcie działania mechanizmu zaprzeczenia. Następną to żarliwe oczekiwanie poprawy stanu zdrowia mimo świadomości, że ta poprawa nie nastąpi. Przynajmniej nie w takim wymiarze, jakiego byśmy chcieli.

Beti słuchała z uwagą. *Boże, to wszystko prawda. Czuję się, jakby doktor siedział w mojej głowie i opowiadał właśnie o mnie.*

- Następny etap to faza lamentu. Jest to bardzo niebezpieczny moment.

Tak, wręcz całkiem do dupy. Przypomniała sobie swój powrót do domu. Swoje czarne myśli, załamanie, nieustanne huśtawki nastroju i nieudaną na szczęście próbę samobójczą.

- Kolejny moment zaważa o waszym życiu. To jest ten właśnie moment, w którym określicie własną przyszłość. Może nastąpić faza obronna, w której mówicie: idę do przodu, stawiacie nowe cele i realizujecie nowe postanowienia, albo neurotyczna faza obronna i wytworzenie w sobie osobowości homilopatycznej.

Na razie wytworzyłam chyba osobowość typowo psychiczną - zakpiła w myślach sama z siebie.

- Osobowość homilopatyczna to nieprawidłowy rozwój osobowości na skutek kalectwa - wyjaśniał doktor Kozłowski.

- Charakteryzuje ją niepewność, niewiara we własne możliwości, obniżona samoocena, często kompleks niższości, niski poziom samoakceptacji, nadwrażliwość, nieufność i tak dalej. Osoba taka często ma poczucie kontroli zewnętrznej, zmienność nastroju, słabość ego, nadmiernie koncentruje się na ja i przypisuje otoczeniu wrogie zamiary. W efekcie żyje

zawiścią. Nienawidzi zdrowych i coraz bardziej nienawidzi samego siebie.

Na sali konferencyjnej panowała cisza. Każdy zatopił się we własnych myślach, pytając się: czy to już? Czy już stali się takimi osobami? Czy już tak widzą ich bliscy? *Osobowość homilopatyczna - taka ładna nazwa, a takie cholerstwo -* pomyślała Beti. *- Chyba każdy z nas, nieważne, czy chodzący, czy nie, jest czasami takim homilopatą. Zazdrościmy tym, co mają lepiej, i jesteśmy przewrażliwieni na własnym punkcie. Tymczasem ci, którym zazdrościmy, być może zazdroszczą nam. Paranoja...* - przeprowadzała w głowie własną analizę psychologiczną.

Angelika Cap-Kozłowska z dumą popatrzyła na swojego męża.

- I ostatni etap. Faza przystosowania. Od tej pory może być już tylko lepiej. Pomożemy wam w tym z całych sił, korzystając z naszej wiedzy.

- Amen - dopowiedział Bartek, a cała sala zaczęła bić brawo.

- No, zobacz, a ja, durna, myślałam, że jestem taka oryginalna, taka niepowtarzalna. - Szykując się do spania, Beata wciąż przeżywała słowa Kozłowskiego. - Że nikt nie jest w stanie mnie zrozumieć. Że zostałam sama na tym bożym świecie ze swoimi myślami, problemami i kłopotami. A tu - proszę. Książki o takich napisali. Na małe kawałeczki rozgryźli moją duszę, przeżuli na tysiąc sposobów, przetrawili i wysrali. To znaczy opisali.

- No widzisz - zaśmiała się Jaga. - Wszyscy przez to przechodziliśmy lub przechodzimy. Każdy z nas myślał, że jest rozbitkiem wyrzuconym na mikroskopijnym skalistym zadupiu, a okazało się, że wszyscy płyniemy tym samym, wielkim okrętem.

Myśli Beaty momentalnie zmieniły kierunek i z sali konferencyjnej pomknęły do kołobrzeskiego portu.

- Zamknij się. Mogłaś użyć innego porównania.

- Ups, *sorry*. Zapomniałam.

- Zaznaczam. Przez najbliższy tydzień nie mam zamiaru ruszyć się na krok z ośrodka.

- Daj na luz. Jakiś dupek z przeszłości ma wciąż wpływać na twoje życie?

Ja na twoim miejscu wręcz przeciwnie, szukałabym spotkania. I pokazałabym mu, że jestem szczęśliwa. A teraz śpij, bo jutro znów będziesz jęczeć, że nie możesz wstać. Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie odgłosami szykujących się do nocy kobiet.

- Może i płyniemy wielokondygnacyjnym okrętem - mruknęła pod nosem Beti - ale dalej zmierzamy do skalistego zadupia.

- Może i tak - odmruknęła Jaga sennym głosem. - Dobranoc, homilopatko.

- Dobranoc. Psychopatko...

Rozdział 22

Brodacz Albus zaserwował im schody. Minęła już połowa obozu i Beata wiedziała, że ten straszny moment w końcu nadejdzie. Nienawidziła tego. Balans opanowała już do perfekcji, mogła godzinami stać na dwóch kołach i nie sprawiało jej to żadnego problemu. Położoną poziomo drabinę pokonywała śpiewająco. Przeskakiwała pomiędzy szczelami niczym wróbel - w końcu nazwisko do czegoś zobowiązuje, jak twierdził Albus - choć na początku rzecz wydawała się nie do wykonania. Co prawda raz zaryła nosem, gdy nierówno zeskoczyła ze szczelby, ale w porównaniu z chociażby Mirką szło jej doprawdy rewelacyjnie. Tylko te schody! Zjazd był jeszcze do opanowania, oczywiście pod warunkiem, że stopnie były odpowiednio szerokie i zaopatrzone w poręcz, ale wjazd to katorga. Gdyby nie zobaczyła na własne oczy, jak brodacz pokonuje je bez najmniejszego, wydawałoby się, wysiłku, nie uwierzyłaby, że czynność ta jest w ogóle możliwa. Zmaltretowana po treningu siedziała pod kwitnącym kasztanowcem i masowała obolałe przedramiona.

- Hej.

- Hej.

Z petem w ustach przysiadł się Bartek.

- Gaszę, gaszę... - Natychmiast zareagował na wymowne spojrzenie dziewczyny, zgasił papierosa i wyrzucił do kosza niedopałek. - Co słyszeć?

- Zryta jestem. Schody - odpowiedziała lakonicznie i westchnęła wymownie.

- Aaa, to współczuję. - Chłopak wyciągnął wygodnie nogi i wystawił twarz do słońca. - Znam Krzycha już kupę lat, ale gdy skacze jak mała ze schodów, wciąż mam odruch, żeby do niego podbiec, i wyciągam ręce, żeby go złapać, przekonany, że lada moment poleci na twarz - zaśmiał się Bartek.

- Niestety, nigdy nie poleciał - dodał z żalem.

- Ja natomiast czuję, że strzelę orła lada moment. - Beti mu zawtórowała.

- Służę. - Bartek nadstawił twarz.

- Hę?

- Nie krępuj się. Poświęcę się, skoro ma ci to sprawić przyjemność.

Orłowski w końcu jestem, nie? Strzelaj.

- No, skoro nalegasz... - Beti żartobliwie klepnęła nieogolony policzek. - No, od razu mi lepiej.

Chwilę siedzieli w przyjaznym milczeniu. Beata obserwowała, jak czarny gawron walczy ze znalezionym gdzieś orzechem włoskim. Bezskutecznie stukał mocno dziobem w łupinę, usiłując dostać się do pożywnego wnętrza.

Po chwili ptak zmienił taktykę. Złapał łup w dziób,

wzleciał do góry i zrzucił swój twardy skarb na asfaltową alejkę. Nieświadomy śledzącego wzroku Beaty powtórzył tę czynność kilka razy. W końcu twarda skorupka pękła i ptak mógł uraczyć się pysznym posiłkiem. Zaledwie kilka sekund zabrało mu wydziobanie wnętrza z takim trudem otwartego orzecha, po czym odleciał w poszukiwaniu nowego łupu.

- Tak to jest. - Bartek zgodził się z niewypowiedzianymi myślami dziewczyny. - Tyrasz godzinę, a efekt tyrki konsumujesz w sekundę.

- Ano, niestety. - Beata spojrzała na zegarek.

- Co masz teraz? - zainteresował się mężczyzna.

- Koszykówkę.

- O, to fajnie. Ja też. Mam cię brać do swojej drużyny czy raczej nie radzisz?

- Zdecydowanie nie radzę - zaśmiała się Beti i ruszyła w stronę ośrodka.

Bartek podniósł się z ławki i poczłapał obok niej. Coraz bardziej podobała mu się ta dziewczyna.

- Chyba zaryzykuję. Mam wrażenie, że stanowilibyśmy całkiem zgraną ekipę. - Uśmiechnął się.

Czy to było dwuznaczne, czy tylko tak mi się wydaje? - zastanowiła się w myślach. I nawet nie zauważyła, że na jej obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

- Iga, ogarnij się w końcu, do cholery! To jest mecz koszykówki, a nie trening wojskowy!

- Kurwa. - Tylko dlatego, że Beti była blisko gramolącej się z podłogi dziewczyny, usłyszała niecenzuralne słowo.

Właściwie wcale jej się nie dziwię - pomyślała ze współczuciem. Okazało się, że to właśnie serwis miał największe problemy z grą. Właściwie nie z samą grą, ale z utrzymaniem ciał na aktywnych wózkach. Przez pierwsze dziesięć minut chodziaki leciały z wózków jak muchy. Wystarczyło, że unosiły ręce, chcąc złapać nadlatującą piłkę, i momentalnie znajdowały się na podłodze, a mocno sfatygowane wózki treningowe leciały w stronę przeciwną. Po jakimś czasie zdołały złapać równowagę na wywrotnych lawetach i jedynie Iga co chwilę lądowała na plecach. Dziewczyna wsiadła na swój wózek, sygnalizując ręką, że wszystko w porządku.

- Okej - zadysponowała Jolanda pełniąc funkcję sędziego. - Dziesięć do sześciu. Zaczyna drużyna Bartka.

- Beti, wyrzucaj!

Z piłką na kolanach Beata ustawiła się w odpowiednim miejscu.

Rozejrzała się po swojej drużynie. Najbliżej była Mirka. Kiwnęła do niej głową, zamachnęła się i rzuciła do koleżanki. Dziewczyna złapała i popędziła do przodu, bo już zbliżał się do niej niebezpiecznie wychylony Michał. Po dwóch szybkich pociągnięciach ciągami Mirka odbiła piłkę z prawej strony, złapała ją i oddała Beacie. Beti szybko wypatrzyła lukę i pomknęła, omijając Michała z lewej. Dwa ruchy, kozioł z lewej, dwa ruchy, kozioł z prawej.

Prosto na nią ruszyła Renata. Beti skręciła gwałtownie i rzuciła piłkę do wyciągającego w górę ręce Bartka. Wzrokiem śledziła szybko oddalającego się chłopaka. *Dawaj,*

Bartek, dawaj! Bartek pruł jak strzała, zgrabnie wymijając przeciwników. *Cholera jasna!* – zaklęła w myślach, bo po nieudanym zakozłowaniu stracił piłkę, która znalazła się we władzy Michała. Rehabilitant popędził pod kosz. Dwa ruchy, kozioł, dwa ruchy, kozioł. Energicznie obrócił się w miejscu, uciekając przed żółtym gtm-em.

Zamach... Jęk zawodu wyrwał się z ust Beti.

- Dziesięć do ośmiu. – Jolanda była tuż obok Michała, świst sędziowskiego gwizdka wdarł się w uszy zawodników. Bartek miał piłkę.

Zamachnął się oburącz i wyrzucił do chłopaka na zielonym aviatorze. Beti pognąła na pole przeciwnika i zajęła odpowiednią pozycję. W kierunku aviatora pędziło czarne tornado. Łup! Iga znów leżała na plecach, ale właściwie nikt już nie zwracał na nią uwagi.

- Okej, okej, żyję – zasapała dziewczyna, pakując tyłek z powrotem.

Piłkę miała teraz Natalia i pięknym kozłem podała ją Bartkowi. Chłopak gnał w kierunku Beti, opędzając się z jednej strony od taranującego go prawie Michała, a z drugiej – od Renaty. Spojrzał na Beatę. Napięła mięśnie i przechyliła się, szykując do odebrania piłki. *Matko jedyna!* Poczwała, że jeszcze milimetr i razem z wózkiem przewróci się na bok. Piłka wpadła prosto w jej ręce. Beti opadła na wszystkie koła i popędziła pod kosz. Dwa obroty, kozioł, jeszcze jeden... Kątem oka ujrzała Renatę przygotowującą się do odebrania jej piłki. Odchyliła się do tyłu, wycelowała...

- Trzyście do ośmiu. – Gwizd był tym razem piękną

muzyką.

Bartek klepnął Beatę w łopatkę, Michał uśmiechnął się pod nosem, a Renata spojrzała ze złością. *Bosko!* Wszystkie te rzeczy uszczęśliwiły Beatę, dziewczyna poczuła, jak na plecach wyrastają jej skrzydła. Pozwoliła sobie na chwilę triumfu, ale mecz wciąż trwał, więc ponownie włączyła się do gry, gwałtownie skręcając w ostatniej chwili, aby ominąć bokiem padającą właśnie na glebę Igę.

Wygrali trzema punktami. Ostatnia dziesięciominutowa kwarta wykończyła ją do cna. Ktoś przygniótł wózkem palce jej lewej ręki, dwa razy wzorem Igi wyrznęła się i z hukiem poleciała na plecy, kilkakrotnie stuknęła się głowami z innymi zawodnikami - z tego raz tak mocno, że ujrzała wszystkie gwiazdki, a na czole wyrósł spory guz - ale wygrali! Po dwudziestu faulach technicznych i jednym dyskwalifikującym, gdy jeden z chodziaków kopnął piłkę nogą, po kilku wiadrach wylanego potu i gardłach zdartych niczym po pijackiej imprezie - wygrali!

- Beti, ja pierdziele! Gdzieś ty się nauczyła takie tiltingi robić? - Bartek znowu klepnął ją po plecach. - Rany, sam bym lepiej nie zrobił. - Zagwizdał z podziwem.

- Co proszę? - zdziwiła się dziewczyna.

Michał zaśmiał się głośno.

- To widocznie talent wrodzony. - Duszkiem wypił butelkę wody mineralnej. - Tilting to pozycja, w której zawodnik unosi równocześnie dwa koła po tej samej stronie. No, kochana, następnym razem jesteśmy w jednej drużynie.

Widzę przed nami świetlaną przyszłość.

- Mówisz? Hm... ja też widzę. - Beti pozwoliła sobie na kokieteryjne spojrzenie.

- Dobra, spadam. - Michał wstał z ławki, na której siedzieli. - Muszę ustalić serwis na basen z tetraplegikami. - Podał dłoń Bartkowi. - Mogę na ciebie liczyć?

- Jasne. Po obiedzie mam luz. Hm... to znaczy miałem - poprawił się.

- Też jadę. - Beti wypięła ostatni łyk wody i wyrzuciła do kosza pustą butelkę. - Zaraz mam zajęcia z Orłem. Wiecie, maruda taki...

Bartek zaśmiał się głośno.

- Idziesz też? - Odwróciła głowę w stronę mężczyzny.

- Za chwilę. - Wyciągnął z kieszeni paczkę fajek. - Wiem, wiem, umrę... - mruknął w odpowiedzi na spojrzenie Beaty i odpalił papierosa.

Po wieczornej pogadance na temat różnych dyscyplin sportowych, które z powodzeniem mogą uprawiać osoby na wózkach, umówili się na bilard w hotelowym pubie. Dobrze zaopatrzone barek kusił, ale musieli zadowolić się jedynie sokami, colą i piwem bezalkoholowym.

- To jest zdecydowanie najsłabszy punkt naszych obozów - stwierdził Bartek, uderzając kijem. Beata odprowadziła wzrokiem bilę, która po celnym trafieniu w czerwoną trójkę ustawiła się idealnie na wprost piątki. - Ta abstynencja - sprecyzował myśl, szykując się do następnego uderzenia.

- No taaa. Dzięki, że wyjaśniłeś nam, o co chodzi - zaśmiał się Michał, odstawiając na stolik pusty kufel po

piwopodobnym napoju.

Uderzona bila zatrzymała się tuż przed łużą. Bartek zaklął pod nosem i ustąpił miejsca Jadze.

- Ale tam to coś im za wesoło. - Rudowłosa wtarła nieco talku w końcówkę kija i ruchem głowy wskazała na stolik pod ścianą.

Wszystkie głowy mało dyskretnie obróciły się we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, przy pięcioosobowym stoliku, przy którym brylowała Renata, panował nieopisany gwar. Agnieszka i Jola rechotały jak szalone, Teresa waliła rękami w stół i tylko Mirka z dziwną miną sączyła swoją colę. Renata opowiadała coś głośno, energicznie gestykułując i co chwilę wybuchając śmiechem. Po chwili zauważyła, że ich zachowanie zwróciło uwagę grupki przy stole bilardowym. Podniosła rękę i zamachała radośnie w ich stronę.

- Hej, chłopaki! Chodźcie do nas. Zostawcie te nudziary, niech sobie grają same. Właściwie tylko takie kije pozostały im do zabawy.

Towarzyszki Renaty wybuchnęły takim śmiechem, jakby usłyszały żart stulecia.

- Rany boskie. - Michał się skrzywił. - Powtórka z rozrywki?

Odłożył swój kij i poszedł w kierunku rozchichotanych dziewcząt. Jaga ruszyła za nim.

- Co jest? - Beatę zaniepokoiły ton Michała i poważna mina przyjaciółki.

- Chyba się nie przejęli durnym gadaniem?

- Chyba się jednak przejęli. Tyle że nie gadaniem, a

raczej złamaniem regulaminu. Popatrz, przecież one są nawalone.

- Matko jedyna!

Przy stole Renaty zapadła cisza, a chwilę później zaczęła się awantura.

- Taki harcerzyk jak ty nie będzie mi mówił, co mi wolno, a co nie! - darła się Renata. - Jestem dorosła i już po zajęciach.

Beti nie usłyszała słów Michała, które jeszcze bardziej rozjuszyły dziewczynę.

- A w dupie to mam! Jedyne, co mi pozostało, to walnąć sobie lufę.

Odpieprz się!

Po wesołości sprzed kilku chwil nie zostało najmniejszego śladu. Agnieszka i Jola zaczęły płakać, a Renata straciła panowanie nad sobą i najgorszymi inwektywami zaczęła obrzucać zarówno Michała, jak i Jagę.

- Prawiczki cholerne. Myślicie, że ja nie wiem, co tu się dzieje?

Pierdolicie się po kątach jak króliki, sami chłacie, a udajecie wielkich ważniaków. Myślisz, że ja taka głupia jestem? - Renata darła się jak opętana. Jej twarz wykrzywił grymas gniewu i złości. - Wszystkich traktujecie jak obślizgłe gówno. Świat jest do dupy, ale nie dam się tak traktować, rozumiecie? Nie dam!

Ostentacyjnie podniosła swoją szklankę i duszkiem wypiła jej zawartość. Wszyscy goście wpatrywali się w darmowe przedstawienie. Każdy jednak odbierał je inaczej.

Dla jednych była to niezła komedia, dla Beti – zdecydowanie dramat. W całym pubie zaległa cisza i tylko Czesław Niemen śpiewał zachrypniętym głosem:

*Dziwny ten świat,
świat ludzkich spraw, czasem aż wstyd przyznać się.
A jednak często jest, że ktoś słowem złym
zabija tak, jak nożem.*

– Renata, chodź ze mną – odezwała się Jaga spokojnym głosem. – Nie rób z siebie widowiska.

– A niech patrzą! – Dziewczyna wyrwała się i zwróciła do tłumu: – Patrzcie sobie. Tylko tyle nam pozostało. Możemy co najwyżej najebać się i choć na chwilę zapomnieć. A tutaj nawet tego nam zabraniają. Pieprzyć to.

Komu? Komu lufę?

Beti poczuła żal. Poczowała współczucie dla tej biednej, złamanej dziewczyny. Zrozumiała, że agresywne czasem zachowanie, pewność siebie i wyniosła mina to tylko maska skrywająca nieszczęśliwą osobę. To tylko przebranie, które miało zasłonić jej lęk, strach i poczucie poniżenia.

– Matko jedyna – szepnęła sama do siebie.

– Daj spokój. – Bartek położył dłoń na jej ramieniu. – To bzdury.

Michałowi i Jadze w końcu udało się wyprowadzić krzyczącą i nabuzowaną alkoholem Renatę. Pozostałe dziewczyny wyjechały tuż za nią, z nisko opuszczonymi głowami i schowanymi zawstydzonymi twarzami. Przy

stolikach znów zaszumiały rozmowy, a Niemen kontynuował, jakby nic się nie stało:

*Lecz ludzi dobrej woli jest więcej
i mocno wierzę w to,
że ten świat
nie zginie nigdy dzięki nim.
Nie! Nie! Nie!
Nadszedł już czas,
najwyższy czas
nienawiść zniszczyć w sobie.*

- Gramy? - Bartek spojrzał na Beatę.

- Nie. Wiesz... jakoś straciłam chęć, jadę do pokoju.
Sorry.

- Spoko. - Mężczyzna również nie wyglądał na zainteresowanego dalszą grą. Odprowadził wzrokiem wyjeżdżającą dziewczynę i wyszedł z lokalu, wydając z kieszeni paczkę papierosów.

Rozdział 23

Gdyby nie to, że obok niej przy stole siedziała jedynie Mirka, Beata pomyślałaby, że wczorajsze wydarzenia były tylko nieprzyjemnym snem.

W jadalni panował zwykły harmider, kolejne osoby przejeżdżały obok niej z tacami zastawionymi parówkami i jajecznicą ze szczypiorkiem, a kadra jak co dzień siedziała przy swoich stołach. Beata szybko zerknęła na Mirkę i nie wiedząc, jak zagaić rozmowę, zaczęła smarować masłem połówkę grahamki.

Dłuższą chwilę jadły w niezręcznej ciszy.

- I co? Wyleci? - Ciszę przerwało w końcu pytanie Mirki.

- Nie wiem.

Beata naprawdę nie wiedziała. Wczoraj wieczorem długo czekała na Jagę, jednak rudowłosa nie pojawiła się przed dwunastą i w końcu Beti poddała się zmęczeniu. Rano tylko mignęła jej ognista grzywka i zanim zdążyła o cokolwiek spytać przyjaciółkę, Jaga wyjechała z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Na porannych zajęciach nie pojawiły się ani Renata, ani jej koleżanki, a krążące dookoła plotki i domysły nie były wiarygodnym źródłem informacji.

- Wyleci - odpowiedziała sama sobie Mirka.

Beti nie lubiła Renaty, a Jolka, Teresa i Aga były jej najzupełniej obojętne. Jedynie Mirka wzbudzała w niej sympatię i choćby przez wzgląd na nią nie chciała, aby nieprzyjemny incydent w pubie miał aż takie konsekwencje.

- Zapytam po śniadaniu Michała - obiecała.

Nie było takiej potrzeby. Gdy posiłek dobiegał końca, ze swojego krzesła wstała Koza i uderzając widelcem w filiżankę, zwróciła na siebie uwagę jedzących.

- Proszę o pozostanie na swoich miejscach. - W jej głosie pobrzmiwało jakieś niezdrowe podniecenie. - Wczoraj miała miejsce bardzo niemiła sytuacja - rozpoczęła przemowę.

Beti zerknęła na Michała. Spuścił głowę i widać było, że jest mu przykro.

Bartek znowu patrzył w okno, miętoląc w dłoniach serwetkę śniadaniową.

W oczach Mirki zabłyśły łzy.

- Na samym początku mówiliśmy wam, że alkohol jest zabroniony.

Niestety, kilka z waszych koleżanek złamało ten zakaz i zmuszeni jesteśmy natychmiastowo podziękować im za pobyt.

Po sali przeszedł głuchy pomruk.

- Bardzo proszę, wyciągnijcie wniosek z tego zdarzenia. - Władczym wzrokiem zmierzyła milczących uczestników obozu. Nikt nie stanął w obronie eksterminowanych. Nikt się nie odezwał. Nikt się nawet nie poruszył. - To wszystko. - Szefowa usiadła na swoim miejscu. - Możecie już ruszać do

swoich zajęć.

- Przykro mi. - Beti współczująco popatrzyła na zapłakaną Mirkę.

- Mówiłam jej. - Mirka wytarła oczy serwetką. - Ostrzegałam. Podobnie jak tym idiotkom, ale nie chciały mnie słuchać. Renata jest dość dominująca, a dla dziewczyn była jakimś cholernym guru. Najpierw obaliły flaszkę w pokoju, a później do klubu im się zachciało iść. Robiłam, co mogłam, żeby je powstrzymać, ale weź powstrzymaj furję. Wyśmiała mnie i tyle.

Pojechałam więc z nimi, żeby jakoś je pilnować, ale sama widzisz, jak to się skończyło. Podjechały do stojaka i odłożyły tace z pustymi talerzami.

- A skąd ona wzięła ten alkohol? - zastanawiała się Beti.

- A ja wiem? - Mirka wzruszyła ramionami. - Pewnie przywiozła ze sobą, bo nie widziałam, żeby w którymś ze sklepów kupowała. A zresztą czy to ważne?

Racja - pomyślała Beti. - *Co za różnica, najgorsze, że pociągnęła za sobą tamte trzy. Aż się wzdrygnęła na myśl, że również ona mogła wpaść w łapy Renaty. Gdyby nie Michał i Jaga, nie miałyby tu nikogo bliskiego, a pewna siebie brunetka od początku wiodła prym przy ich stoliku.*

Kątem oka zobaczyła wyjeżdżającą ze stołówki Jagę, szybko pożegnała się z Mirką i popędziła za przyjaciółką.

- Hej, poczekaj!

Dorwała rudowłosą tuż przy windzie.

- I co z Renatą?

Jaga przycisnęła guzik i winda ruszyła do góry.

- No co, wyleciała. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Tamte trzy mają szansę powtórzyć obóz w przyszłym sezonie. Może by im się nawet upiekło, ale jak na złość, gdy prowadziliśmy je z Michałem do pokoju, napatoczyła się Koza. W sumie dziwne by było, gdyby się nie napatoczyła, bo Renata awanturowała się całą drogę. Uprosilimy, Michał właściwie, bo ja nie mam cierpliwości do takich miągów, żeby nie wpisywała im dyscyplinarki w papiery. Renata to recydywa, więc drogę ma już zamkniętą na amen.

Poprzedniego obozu nie ukończyła z tego samego powodu, a niestety zasad trzeba przestrzegać. Pamiętasz, jak Iga oberwała od Jolandy za wyręczanie cię w pierwszym dniu?

- Co?! - Beatę zatkało. - Jak to: za wyręczanie mnie? Pierwsze słyszę.

- Uuups. - Jaga się zmieszała. - Zapomniałam, że miałam ci nie mówić.

- No ale jak już zaczęłaś, to skończ - zażądała Beti.
Jaga westchnęła.

- No, pamiętasz, w pierwszy dzień, gdy przyniosła ci sweter z drugiego końca stadionu.

Beti rozdziawiła usta i dobrą chwilę trwało, zanim zamknęła je z powrotem.

- Jasna cholera. Nie pomyślałam...

- No właśnie - skwitowała Jaga, otwierając drzwi do ich pokoju. - Ona też nie pomyślała. A zadaniem serwisu nie jest wyręczanie, tylko niezbędna pomoc w rzeczach, w jakich wózkowcy sobie nie poradzą. Na przykład otworzenie okna,

stromy wjazd czy asekuracja przy schodach. – Kobieta podjechała do drzwi balkonowych i z suszarki zdjęła zielony top. – Choć po to właśnie są obozy, żeby tych rzeczy było coraz mniej. – Szybko zmieniła bluzkę i pociągnęła błyszczkiem usta. – To nie jest szpital ani dom rodzinny, gdzie zazwyczaj mamusie albo żonki latają jak z pieprzem, aby dogodzić biednemu wózkowiczowi. Donoszą herbatki, szykują śniadanka i odgadują życzenia, sądząc błędnie, że w ten sposób im pomagają.

A naprawdę jest dokładnie odwrotnie, a przy okazji hodują sobie terrorystę.

– Jaga skończyła makijaż i uśmiechnęła się do wciąż przygnębionej Beaty. – Lecę. Mam technikę jazdy z grupą B, pa! – W drzwiach odwróciła się jeszcze na chwilę. – A ty już przestań się martwić. Zarówno Igą, jak i tymi pijaczkami. Niektórym po prostu nie da się pomóc.

– Pa – odpowiedziała dziewczyna do zatraskujących się drzwi. Zaczęła szykować się do własnych zajęć, rozważając w myślach brutalne słowa przyjaciółki. I choć bardzo niechętnie, a nawet z odrobiną wstydu, przyznała jej rację.

– Wiem, że to trochę poza planem zajęć, ale uwierzcie, tutaj też trzeba się wykazać niezłą kondycją.

Bartek wyglądał dzisiaj jak Wilhelm Tell. Albo Robin z Sherwood. Ubrany był w biały T-shirt i spodenki w kolorze khaki. Na lewym przedramieniu miał jakąś dziwną rękawicę bez palców, a prawą ręką trzymał najprawdziwszy łuk. Jego kucyk wystający spod nieśmiertelnej bejsbolówki

podskakiwał w takt wypowiedzanych słów. Obok Bartka z podobnymi łukami parkowali Albus i jakiś facet na granatowym gtm-ie.

- Łucznictwo to cichy, nieagresywny sposób na spędzenie wolnego czasu - mówił dalej Bartek. - Pod warunkiem oczywiście, że strzelamy do tarczy, a nie do zwierząt albo siebie nawzajem. - Szybko skorygował swą wypowiedź. - Jest to też doskonały sport, który z powodzeniem możecie trenować. Jakby specjalnie wymyślony właśnie dla osób po uszkodzeniu rdzenia. Niepotrzebne są tu nogi. Potrzebna jest precyzja, koordynacja i całkiem spora siła fizyczna. Łucznictwo jest jedyną dyscypliną olimpijską, która nie rozgranicza ludzi. Ramię w ramię walczą zarówno ludzie zdrowi, jak i niepełnosprawni. - Uścisnął dłoń nieznanemu mężczyźnie. - Jak ten oto mistrz, Paweł Urbaniak, zwycięzca wielu zawodów i trener łucznictwa w kołobrzesckim klubie „Amor”.

Rozległy się gromkie brawa, na które mistrz zareagował skromnym uśmiechem i lekkim skinieniem głowy. Betti słuchała Bartka z przyjemnością. Z przyjemnością też patrzyła. Z łukiem przewieszonym przez plecy, z ciepłym głosem i tym zawadiackim kucykiem wyglądał młodzieńczo, ale równocześnie pewnie. I romantycznie. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak napada na konny dyliżans, a później rozdaje biednym zrabowane skarby. *Tyle tylko, że mnie daleko do Marion* - przyznała z samokrytyką.

Bartek zdjął łuk z ramienia i zaprezentował go w całej okazałości.

- Jest to łuk refleksyjny, z którego strzela się na treningach. Waży dwa kilogramy, ale ciężka stawia opór około dziesięciu kilo. Zasada jest prosta: naciągnąć, wycelować, wypuścić strzałę.

Rozległy się pełne niedowierzania pomruki.

- Słusznie. - W odpowiedzi Bartek potrząsnął łukiem. - Tak naprawdę to jest ciężka robota. Kluczową sprawą jest tu umiejętność długiego wytrzymania w bezruchu przy równoczesnym silnym napięciu mięśni pleców, klatki piersiowej i rąk. A w momencie wypuszczenia strzały całkowitego rozluźnienia palców i mięśni ramion przy równoczesnej kontroli wydechu. - Odwrócił głowę w stronę towarzyszącego mu mężczyzny. - Pawle, proszę.

Wywołany wyjechał na wyznaczoną linię, podniósł łuk, wycelował i już sekundę później wibrująca strzała wbiła się w sam środek tarczy.

Pomruki zamieniły się w okrzyki uznania.

- Obok tenisa stołowego jest to ulubiony sport serwisu - dodał jeszcze Bartek - ponieważ w momencie strzału przestrzeń wokół tarczy musi być wolna, aby strzelający nie trafił przez przypadek, albo też celowo, któregoś z chodzących. Serwis trzyma się więc w bezpiecznej odległości, później natomiast z uśmiechem na ustach lata po stadionie i wydobywa strzały z drzew, płotów i wszelkich pozostałych elementów krajobrazu.

Na wspomnienie serwisu Beacie przypomniały się słowa Jagi. Poszukała wzrokiem Igi. Gdy tylko zaczęły się zajęcia, podjechała do dziewczyny.

- Iga, ja cię tak strasznie przepraszam...

- A co? - zaniepokoiła się dziewczyna. - Zamierzasz mi strzelić w tyłek?

- Boże uchron! - Beata wybuchła śmiechem rozbawiona wizją Igi ze strzałą wystającą z tylnej kieszeni dżinsów. - Za ten sweter, co mi kiedyś przyniosłaś. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że Jolanda cię za to ochrzaniła.

- Aaa, stare dzieje, daj luz. - Iga lekceważąco machnęła ręką. - Wszystkie wtedy świeżynki byłyśmy. Dzisiaj bym ci nie przyniosła - zaśmiała się dziewczyna.

- A ja bym nie poprosiła - zgodziła się Beti. - Ale przepraszam.

- Spoko - zbagatelizowała sprawę Iga. - Uuu, Orzeł tu idzie, spadam. - Odwróciła się i podeszła do reszty dziewczyn z serwisu, które już zaczynały biegać po stadionie w poszukiwaniu puszczonej do nieba strzał.

- Spróbujemy? - Bartek w roli Robin Hooda zdecydowanie przypadł Beti do gustu. Wzięła łuk, a mężczyzna ustawił się za nią. - Ściągnij łopatki, wyżej lewa ręka. Jeszcze wyżej, łokieć masz mieć na wysokości ucha. - Pochylił się, aby sprawdzić, czy celownik jest na odpowiednim poziomie.

Beti poczuła przyjemny zapach drzewa sandałowego. Spróbowała wycelować, lecz obecność Bartka jakoś ją dekoncentrowała.

- Tylko nie dmuchaj mi do ucha - zażartowała.

- No co ty - zaśmiał się mężczyzna. - To rola Marion. - Bezbłędnie odgadł jej filmowe skojarzenie, po czym

dmuchnął w tym samym momencie, w którym Beti zwolniła cięciwę. Strzała przeleciała kilka metrów i upadła na ziemię w połowie drogi do tarczy. Bynajmniej niespeszona dziewczyna opuściła łuk.

- Przynajmniej mam dobrą wymówkę, dlaczego tak cienko mi poszło.

- Nie ma sprawy - zgodził się Bartek - mogę ci dmuchać do ucha, kiedy tylko chcesz. Spróbuj jeszcze raz.

Za piątym razem trafiła w tarczę. Co prawda gdzieś na sam jej brzeg, ale brawa Bartka i Igi sprawiły jej prawdziwą przyjemność. Rozejrzała się dookoła. Panowie jeździli pomiędzy ćwiczącymi z zapalem dziewczynami.

Strzały leciały w przeróżne strony, a za nimi, zgodnie z prognozami Bartka, latał serwis. Pomimo porannego załamania Mirka chyba bawiła się świetnie, bo śmiała się głośno, przepychając się wózkami z Albusem. *Dopiero teraz, jak zabrakło u jej boku wiecznego cienia Renaty, widać, jaka to fajna i ładna dziewczyna* - ze zdziwieniem zdała sobie sprawę Beata. Iga wróciła spod tarczy z naręczem strzał.

- Beti, skoncentruj się - upomniał ją Bartek.

- Dobra, dobra...

Skupiła się i oddała kolejny strzał. Masując mięśnie przedramienia, odprowadziła wzrokiem szybującą w niebo strzałę.

- Jasna cholera.

- Szanowni państwo, po dzisiejszym treningu członków FAR-owskiego obozu z kołobrzeskiego nieba zniknęły wszystkie wróble... - Bartek ścisnął w pięść dłoń, przyłożył ją

do ust i parodiując telewizyjnego dziennikarza, naśmiewał się z jej wysiłków.

- Ej ty, Robin Hood, może zademonstrujesz własne umiejętności? - odgryzła się Beti.

- Wedle życzenia.

Bartek wziął łuk z rąk dziewczyny, założył strzałę, przyjął pozycję i naprężył cięciwę. Beti przyglądała mu się dyskretnie, gdy stał wyprostowany i dokładnie mierzył. Zniknął zabawny chłoptaş, a pojawił się pociągający mężczyzna. Nie był tak wysoki ani muskularny jak Michał, ale Beti dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaki jest przystojny. Mimo szczupłej sylwetki nie wydawał się drobny. Emanował siłą i spokojem i pewnie dzięki atrybutowi dzierzonemu w ręku skojarzył się Beacie z leśnym elfem. Silne nogi stały pewnie, umięśnione ramiona mocno trzymały łączysko łuku, a skupiony wzrok nie miał w sobie nic z tak specyficznej dla niego figlarności. Było to spojrzenie mogące zawrócić w głowie niejednej kobiecie.

Bartek zwolnił cięciwę i strzała trafiła idealnie w środek tarczy. Zniknął elf, a na jego miejscu ponownie zjawił się żartowniś.

- Ha! I co pani na to?

- Brawo, brawo, Legolasie. - Beti zaklaskała w dłonie, wciąż jeszcze pozostając pod wpływem dziwnego uczucia, jakie ogarnęło ją podczas obserwacji łucznika.

- Legolas? - zaśmiał się Bartek. - Och, to zbyt wiele. Wystarczy Robin Hood. - Zadowolony z siebie oddał łuk Beacie. - Twoja kolej, Marion.

Dziewczyna wciąż nie była sobą.

- Co jest, spuchłaś? - Bartek źle wytłumaczył sobie jej zamyslenie.

- Chciałbyś! - Otrząsnęła się z niespodziewanych emocji i nałożyła kolejną strzałę. - Jeszcze trochę i faktycznie będę niczym prawdziwa Marion. - Mrugnęła kilka razy i spróbowała skupić się na swoim zadaniu.

Już miała wypuścić strzałę, gdy ponownie zdekoncentrował ją głos Bartka: - No proszę! - Wykrzywił się. - I wywołaliśmy wilka z lasu. Oto nadchodzi szeryf Nottingham.

Beti odwróciła głowę i ujrzała zbliżającego się Michała. Momentalnie zaschło jej w gardle, a do serca napłynęła ciepła fala.

- Cześć.

- Cześć. Mam wolną chwilę i postanowiłem zobaczyć, jak ci idzie strzelanie.

- Średnio - przyznała się dziewczyna. - Podejrzewałam Bartka, że celowo dał mi jakiś skrzywiony łuk, ale przed chwilą zaprezentował własne umiejętności, nie mam więc nic na swoją obronę. Skubany, strzelił prościutko w dychę.

- Eee, bez przesady. - Bartek niespodziewanie się zaczerwienił. - Było gdzieś pomiędzy ósemką a dziewiątką.

- Stary! - zaśmiał się Michał. - Gdybym cię nie znał, tobym pomyślał, że się zawstydziłeś!

- No baa, powinna być dycha - zażartował nieco sztucznie były elf. - Strzelisz sobie?

- Nie, mam mało czasu. Wiesz, jutro wielki dzień -

zaśmiał się radośnie Michał. – No to dawaj, Beti – zwrócił się w stronę dziewczyny – pochwal się.

Szło jej całkiem sprawnie. Oczywiście nie tak sprawnie jak Bartkowi, ale nie miała już większych problemów z założeniem strzały, naciągnięciem cięciwy czy przyjęciem odpowiedniej pozycji. *Celność może nie jest jeszcze moim atutem* – doszła do słusznego wniosku – *ale jak na pierwszy raz nie jest chyba tak całkiem tragicznie*. Nabrała powietrza, przyłożyła rękę do policzka i mając nadzieję, że nie zbłąźni się kompletnie, rozluźniła palce.

Przez całkowity przypadek strzała trafiła w niebieskie pole.

– Brawo! – zawołali równocześnie obaj mężczyźni.

– Na moje oko to będzie zdrowa szóstka – zawyrokował Bartek, patrząc z dumą na swoją uczennicę.

Uczennica zaś cielecym wzrokiem wpatrywała się tylko w Michała. Przez chwilę, która Bartkowi wydawała się wiecznością, poczuł w sercu ostry cierń zazdrości. Jakby strzała wypuszczona przez Beatę nie tkwiła w tarczy, tylko w jego własnym, gorączkowo bijącym organie. Poczul nieodparte pragnienie przyłożenia Michałowi lewym sierpowym i poprawienia porządnym kopniakiem. Najlepiej w jaja. Otrząsnął się jednak szybko, zawstydzony własnymi myślami.

– Dobra. Kończymy – przerwał ciszę szorstkim głosem. – Beti, pomożesz mi z tymi strzałami?

Wydawało się, że do Beaty nie dotarłby nawet huk wystrzału armatniej kuli.

- Dobra, sam sobie poradzę - odpowiedział cicho sam sobie, patrząc na plecy oddalającej się dziewczyny, która szybko kręciła kołami, usiłując nadążyć za długimi krokami Michała.

Rozdział 24

Dzień śmignął niczym film puszczony na przyspieszonych obrotach. Na porannej rozgrzewce zamiast zwykłych kółek dookoła stadionu Jolanda zarządziła grę w zbijaka, Albus wywiózł ich do parku, gdzie musieli pokonywać różne nawierzchnie. Kostka brukowa była jeszcze do zniesienia, trawiaste pagórki dały Beacie w kość, ale sypki piasek, w który zapadały się koła, okazał się prawdziwym koszmarem.

- I po cholere to nam? - zasapała do Mirki. - Raczej nie wybieram się na plażę, a ty?

Mirka nie odpowiedziała, bo przednie kółka wózka tak głęboko zakopały się w piasku, że pomimo prób balansów i szarpania ciągami dziewczyna nie mogła ruszyć w żadną stronę.

- Albus zwariował - wydusiła, gdy z pomocą jednej z dziewczyn z serwisu w końcu udało jej się wyrwać z ruchomych piasków. - Pieprzyć plażę!

Na zajęciach z tenisa tylko trzy razy uciekła jej piłeczka, a na basenie przepłynęła nurkiem prawie dwadzieścia metrów. Co prawda odpoczywała po tym wyczynie równe dziesięć minut, ale satysfakcja z osiągnięcia celu, który

jeszcze kilka dni temu był niemożliwy do realizacji, napełniła ją prawdziwą euforią. Na treningu kondycyjnym jako pierwsza ukończyła rundę dookoła stadionu i w nagrodę miała wolne. Całą godzinę przegadała z Bartkiem, podczas gdy reszta grupy ćwiczyła pod nadzorem Natalii. Na początku chłopak wydawał się jakiś daleki i jakby o coś obrażony. Po kilku jej żartach wrócił mu na szczęście dobry humor, Beti nie pamiętała, kiedy śmiała się tak szczerze, jak z jego opowieści o wernisażach, pożał się Boże krytykach sztuki i kolegach artystach.

- Pyta się mnie jeden frajer, dlaczego podpisuję swoje obrazy na awersie.

- I co odpowiedziałeś?

- Żeby wiadomo było, gdzie dół, a gdzie góra.

- Czyli abstrakcjonista jesteś?

Bartek zaciągnął się papierosem i puścił kilka kółek z dymu.

- No wiesz, od razu po ASP malowałem portrety na starówce w Krakowie. Niby obciach, ale gotówka wpadała niezła. Jest taki dowcip.

Młody malarz pyta kolegę po fachu: „Sprzedałeś już coś?”. „A owszem”, odpowiada drugi. „Fortepian, zegarek po dziadku, garnitur...” Łapaliśmy, co się da, żeby zarobić parę groszy. Krakowianie, podobnie zresztą jak reszta Polaków, zanim wydadzą złotówkę, obracają ją na wszystkie strony. No, chyba że na przyjemności. Sztuka natomiast jest na ostatnim miejscu, jeśli chodzi o potrzeby przeciętnego Kowalskiego. Zapytaj pierwszego lepszego, ile wydał w tym

roku na piwo, a ile na bilety do teatru. - Bartek westchnął ciężko. Beata zastanawiała się, czy z powodu prymitywnego ludu, czy raczej nad ciężką dolą artystów. - Przypomniała mi się jedna akcja - zaśmiał się mężczyzna. - Przyszła babka i pyta, ile biorę za portret. Podałem jej zwyczajową kwotę, a ona na to: a jak przyniosę własne farby?

- Pomysłowa! - zawtórowała mu Beata. - Spuściłeś z ceny?

Nie odpowiedział, więc negocjacji chyba jednak nie było.

- Innym razem przyszła kobieta, która pozowała mi kilka dni wcześniej, z żądaniem, abym zmienił jej kolor oczu - kontynuował.

- I co? Przemalowałeś? - zaciekawiała się dziewczyna.

- Miałem taki zamiar, ale zapomniałem, w którym miejscu je namalowałem.

- Boże! - Beti wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

Ćwiczące pod wodzą Natalii dziewczyny przerwały na chwilę i z lekką zazdrością spojrzały na parkę pod kasztanowcem, która głośnym rechotem płoszyła wszystkie gołębie w okolicy.

- Przez chwilę malowałem akty - opowiadał dalej Bartek.

- Nie na starówce oczywiście, tylko gdy dorobiłem się małego atelier na poddaszu.

Któregoś wieczoru przyszła jakaś klientka. Starsza kobieta. „Czy mam panią namalować nago?”, zapytałem zdziwiony. „Ależ skąd”. Uśmiechnęła się łaskawie. „Proszę nie robić sobie kłopotu i malować w swoim zwykłym roboczym stroju”.

Znowu kilka przestraszonych hałasem gołębi poderwało się do lotu.

- Masz zdjęcia jakichś swoich obrazów? - zapytała Beata, ocierając dłonią załzawione ze śmiechu oczy. - Z wielką chęcią bym je zobaczyła, choć szczerze mówiąc, wcale się nie znam - dodała szczerze.

- Aktów?

- Niekoniecznie.

- Właściwie to nie mam. Ale mam stronę w necie, pokażę ci.

Chwilę pomajstrował na swoim smartfonie i podał komórkę dziewczynie. Choć niewielkie ikony nie oddawały w pełni wyrazu dzieł, Beata była zachwycona grą kolorów, tajemniczością linii i spokojem, jaki emanował z pokrytych farbą płócien. Szczególnie zachwyciła ją ławica eterycznych, jakby przezroczystych meduz unoszących się bezwładnie w pastelowej, rozświetlonej przestrzeni. Jedne miały w pełni otwarte swoje promieniste parasole, inne tylko częściowo. Wydawało się, że ich ramiona falują, dryfują z prądem, obejmują się wzajemnie w akcie pełnego oddania.

- Piękne - westchnęła autentycznie oczarowana i oddała telefon Bartkowi. - Obejrzę dokładniej w laptopie. A te meduzy są takie spokojne, takie refleksyjne, że chciałoby się patrzeć i patrzeć, i pływać pomiędzy nimi.

- No widzisz. - Mężczyzna udawał wyluzowanego, ale dopiero gdy ujrzał zachwyt w oczach Beaty, odetchnął głębiej. - A tak naprawdę meduza to jeden z najgroźniejszych drapieżników w swojej kategorii. To akwarela, którą

namalowałem na konkurs pod hasłem „Śmiertelny kamuflaż”.

- I jak poszło?

- No a jak? Wygrałem. - Stał dumnie w pozie Napoleona, chowając za plecami lewą rękę, drugą głaskając się po piersi.

Jedynym zgrzytem tego dnia był brak Michała. Jego sylwetka mignęła Beacie podczas śniadania, gdzieś z daleka usłyszała, jak woła coś do Kozy, i poczuła cytrusową woń perfum, jakimi zazwyczaj pachniał. Również Jaga była nieuchwytna. Dopiero po kolacji miały chwilę na pogaduchy.

- Słuchaj, byłam dziś z moją grupą w porcie - oznajmiła rudowłosa, z impetem wjeżdżając do pokoju.

- No i? - Beti odłożyła na stół czytana właśnie gazetę.

- Zero „Siostry świtu”. Przyglądałam się bardzo uważnie, prawie zeza dostałam. Wypatrzyłam „Burzowy grom”, „Złotowłosa”, „Neptuna”, kilka „Agnieszek” i „Monik” oraz jednego obłądnie przystojnego bosmana, ale żadnej „Siostry”. Ani świtu, ani zmierzchu.

- I dzięki Bogu! - odetchnęła z ulgą Beti.

- Więc możesz już, księżniczko, opuścić mury swego więzienia. Zły smok odleciał.

- I jeszcze raz dzięki Bogu. - Beti mało elokwentnie podsumowała wiadomość. - A póki co opuścimy tę jaskinię i ruszmy się na wykład. Zaraz ósma.

Jaga zerknęła na zegarek.

- Jasna cholera. Tylko umyję zęby. Poczekaj na mnie.

Trochę spóźnione wjechały do sali konferencyjnej. Prawie wszystkie miejsca były już zajęte, Beti z ledwością wepchała się wózkem pomiędzy Mirkę i jakiegoś chłopaka. Wzrokiem poszukała Michała. Siedział dwa miejsca dalej i z dziwną miną wpatrywał się w kobietę szykującą się do wykładu. Wyglądał jak zwykle świetnie. Beti westchnęła sobie głęboko i od serca.

Teraz, kiedy w pełni uświadomiła sobie i zaakceptowała uczucie do Michała, patrzenie na niego było czystą rozkoszą. *Przecież powiedział, że mnie lubi, nie? Że widzi naszą świetlaną przyszłość? No... żartem to było, ale nawet ta zdzira Renata powiedziała, że między nami iskrzy.*

Rehabilitant zauważył ją i uśmiechnął się ciepło. Odpowiedziała tym samym, czując rozlewającą się po ciele błogość. Kątem oka dostrzegła, że Jaga macha wesoło do pięknej dziewczyny na czarnym wózku, która odmachala jej energicznie. Przyjrzała się przybyłej. Około trzydziestki, blondynka o jasnoniebieskich oczach. Na stopach miała białe tenisówki, a spory brzuch okryła błękitną sukienką. Dziewczyna była ewidentnie w ciąży! Na oko jakiś piąty miesiąc. *Naprawdę? To jest możliwe?* - zdziwiła się Beti. Zerknęła na jej prawą dłoń. Obrączki nie było. Nie spodziewała się jej zresztą. Nie wiadomo dlaczego, od razu zapalała do obcej kobiety prawdziwą sympatią i choć ciąża nieznajomej budziła ciepłe uczucia, Beata równocześnie współczuła jej, wyobrażając sobie, z jakimi problemami musi i długo jeszcze będzie musiała samotnie się borykać.

- Dzień dobry. Mam na imię Lidka. Jestem seksuologiem

i poproszono mnie, abym opowiedziała wam trochę o seksualności osób z niedowładem kończyn dolnych - przywitała się kobieta miłym, aksamitnym głosem. - Kiedy pacjent po uszkodzeniu rdzenia budzi się ze śpiączki, jego pierwsze pytanie brzmi: „Czy będę chodzić?”, drugie: „Czy będę mógł uprawiać seks?”. Czasem nawet w odwrotnej kolejności. - Lidka rozpoczęła swój wykład. - Dotyczy to szczególnie mężczyzn, ale również kobietom to drugie pytanie bardzo szybko przychodzi do głowy. To normalne. Potrzeba seksualna jest napięciem psychofizycznym odczuwanym bez względu na sprawność bądź niesprawność.

Ogarnęła wzrokiem salę. Prawie od razu znalazła wspólny język z publicznością, Betti miała wrażenie, że dziewczyna mówi wprost do niej.

- W Polsce seks osób niepełnosprawnych to wciąż jest temat tabu, choć na szczęście pomału zaczyna się to zmieniać.

Boże, jestem zadowolona. Dla mnie to też tabu - zdała sobie sprawę lekko zażenowana Beata. Zerknęła na Michała i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Jej ukochany siedział dwa krzesła dalej i jak sroka w gnat wpatrywał się w seksowną, mimo widocznej ciąży, seksuolóżkę.

- W USA, ale także w Europie, na przykład w Holandii, Danii czy Szwajcarii, niepełnosprawni mogą liczyć na indywidualne doradztwo w kwestiach seksu. Jeśli trzeba, seksterapeutka lub seksterapeuta przejdzie od porad do masażu erotycznego, a od masażu do pełnego stosunku.

No nie... Nie mogę się w niego wgapić w takim momencie. Beata z trudem oderwała wzrok od Michała i skupiła się na Lidce. *Hm... może kiedyś zdarzą się inne momenty...*

- W niektórych przypadkach koszt usług pokrywa ubezpieczenie społeczne. Niestety, my nie możemy liczyć w tej sprawie na pomoc ZUS-u. - Lidka szeroko rozłożyła ręce, po czym opuściła je bezradnie. - Obawiam się, że w Polsce to nie do pomyślenia. Nie dorośliśmy jeszcze do takich rozwiązań. Dzieli nas mentalność i budżety państw. Temat seksu wypływa bardzo rzadko, a lekarze i terapeuci stosują technikę psychologii i omijają go szerokim łukiem. Gdy człowiek nie odpuszcza, odpowiadają: „Ciesz się, że żyjesz”. A przecież seks to część życia. Bardzo ważna część.

Kobieta zwilżyła gardło łykiem wody.

- Samotność to dla ludzi z urazami o wiele większy problem niż bariery architektoniczne i kłopoty ze znalezieniem pracy. - Krótka pauza doskonale podkreśliła ważność kwestii. - Urazy rdzenia kręgowego nie muszą być przeszkodą w uprawianiu seksu. Mamy takie same, a nierzadko nawet większe, potrzeby pod tym względem. Większe, bo niemożność ich zaspokojenia powoduje nagromadzenie się emocji i napiętności.

Skądś to znam - zgodziła się z Lidką Beata.

- Zdrowi się nie zastanawiają. Idą do łóżka i lepiej czy gorzej im wychodzi. A my musimy się uczyć, mieć większą wiedzę o swym ciele, kombinować, żeby było dobrze. Bo ciało reaguje inaczej niż wtedy, gdy jest się pełnosprawnym.

Trzeba szukać odpowiednich pozycji, zapomnieć o szybkich numerkach. Ale jak się chce, można wszystko.

W oczach słuchaczy pojawiła się nadzieja. Niepewna i nieco skrępowana, niedowierzająca. Lecz przykład siedzącej przed nimi dziewczyny działał na wyobraźnię jeszcze silniej niż jej słowa.

- Kłopoty niepełnosprawnych z życiem intymnym dzieli się na dwie płaszczyzny - kontynuowała Lidka. - Pierwsza z nich to problemy fizjologiczne, takie jak zaburzenia erekcji, anorgazmia, przedwczesny wytrysk, impotencja, które mogą wynikać z samej niepełnosprawności.

Druga, chyba ważniejsza kategoria, to psychologiczne bariery związane z odkryciem własnego ciała, problemy w relacjach, blokady przy wchodzeniu w uczuciowe związki. Najważniejsza jest akceptacja siebie. Nie jest to łatwe w społeczeństwie, które wielbi przecież zdrowych atletów i perfekcyjne modelki. Równie ważna jest akceptacja partnera. Jeśli ma ona miejsce, seks z pewnością będzie udany. Na pojęcie seksualności człowieka składa się przede wszystkim poczucie atrakcyjności seksualnej.

Całe szczęście, że rano pomalowałam paznokcie - przemknęło Beacie przez głowę. - Choć te dresowe gacie i stara koszulka z seksualnością niewiele mają wspólnego. Ponownie spojrzała na Michała. Ich spojrzenia się zetknęły, dziewczyna odniosła wrażenie, że rumieniec znów zdradza jej uczucia. Gdy to sobie uświadomiła, poczuła na policzkach żywy płomień.

Jasna cholera. Zagryzła wargi i postanowiła sobie

solennie, że ani razu nie odwróci już głowy w stronę rozpartego wygodnie na krześle rehabilitanta.

- Za największą wartość w przebiegu satysfakcjonującego życia intymnego uznawany jest penis. - Wykładowczyni podniosła głos. - Kto powiedział, że tylko nawilżony członek w stanie erekcji sprawi, że kobieta będzie odczuwała orgazm łechtaczkowo-sromowo-pochwowy?

Słowa „członek” i „orgazm” wywołały skrępowane chichoty słuchaczy. Fakt ten zaświadczył zdecydowanie, że jednak nie tylko dla Beaty jest to temat zakazany. Lidka uśmiechnęła się ze zrozumieniem i odczekała, aż słuchacze się uspokoją.

- W przypadku uszkodzenia rdzenia droga łańcuch bodźców seksualnych-mózg-penis zostaje zaburzona, ale należy pamiętać, że to mózg jest głównym motorem odczuwania doznań seksualnych, miejscem pochodzenia libido - podjęła wątek kobieta. - Libido odczuwa się właśnie dzięki mózgowi i doznawanie satysfakcji seksualnej uwarunkowane jest przyjemnością płynącą z umysłu. A mózg, umysł to źródło narządów zmysłów: wzroku, słuchu, dotyku, węchu, smaku. Seksualna satysfakcja polega na pobudzaniu i wykorzystywaniu wszystkich narządów zmysłu.

Beata wyobraziła sobie własną romantyczną randkę. W tle cicho grał Dżem. „Modlitwa”. Albo nie - „Sen o Victorii”. Białe świece migotliwym blaskiem oświetlały twarz Michała i wywoływały tajemnicze cienie na ścianach. Czuła fakturę adamaszkowego obrusu na stole. Pachniało spaghetti... nie, ostrygami. Ostrygi to podobno świetny afrodyzjak. Tylko,

cholera, jak one pachną? Rybą? Blee, to nie. Niech będzie spaghetti. Bez czosnku. Białe róże...

- Wielu ludzi nie ma pojęcia o tym, jak erogenne potrafią być części naszego ciała. Zdarza się, że po porażeniu nie reagują na stymulację strefy uznawane za erogenne, natomiast inne obszary stają się szalenie wrażliwe na bodźce dotykowe. Okolice pach, sutki, piersi, plecy, ramiona...

Czuła, jak Michał delikatnie muska jej ramię. Odchyliła głowę nieco w tył, aby miał łatwiejszy dostęp do szyi. Jego pocałunki były lekkie jak piórko, a dotyk warg miękki i ciepły. Róże tak subtelnie pachniały...

- Warto wiedzieć, że najwrażliwsze jest miejsce tuż na granicy czucia.

Często sama blizna po operacji. - Palce Michała delikatnie zatańczyły na jej łopatkach. - W życiu intymnym trzeba być kreatywnym seksualnie: szukać pomysłów, nie bać się nowych, alternatywnych technik i zabaw seksualnych.

Warto wykorzystywać technikę obrazu, węchu, smaku, dotyku, skupiać się na tych innych, nowych miejscach erogennych. Obalajmy mity!

Beti podskoczyła, bo Lidka prawie krzyknęła. Pokój randek zniknął, znów znalazła się w sali konferencyjnej, na pierwszym piętrze ośrodka rehabilitacyjnego.

- Seksualność odczuwa się całym ciałem i umysłem, a nie tylko jedną częścią ciała - penisem lub waginą. Nie wszystko jest takie samo dla nas jak dla nich, zdrowych, chodzących i czujących wszystko kochanków. Nie jest.

Ale świat innej erotyki, w której zamiast skomplikowanej Kamasutry jest sztuka dotyku, pocałunku, stymulacji, może okazać się i dla nich, pełnosprawnych, krainą czarów.

Lidka zakończyła swój wykład ekspresyjnie i z wielkim zaniem. Cała konferencyjna zagrzemiała burzą oklasków.

- Dziękuję wam, kochani, jeszcze raz. - Kobieta skinęła głową i zaczęła chować do teczki rozłożone na blacie biurka materiały. Michał wstał z krzesła i bił brawo jak szalony. - Pojutrze porozmawiamy o konkretnych metodach uzyskania wzrodu i ejakulacji - obiecała jeszcze Lidka. - O prokreacji i ciąży. Bo jak widzicie na moim własnym przykładzie, kobieta z przerwaniem rdzeniem śmiało może zostać matką.

Uśmiechnęła się szeroko wprost w stronę Michała, a na jej policzkach ukazały się dwa urocze dołeczki. Mężczyzna podbiegł do niej tak energicznie, że upadło krzesło, na którym przed chwilą siedział, i złapał w swe ramiona.

- Liduś, świetna mowa. Fenomenalna!

Pocałował ją. *Rany boskie, co on robi?* Beatę zamurowało. Dalej ją całował, a Lidka bynajmniej nie pozostawała bierna. *Matko jedyna!*

Z językiem?! Uczestnicy opuścili już salę wykładową, a wstrząśnięta Beata wciąż nie mogła oderwać oczu od swego przyszłego męża całującego namiętnie jakąś lafiryndę. Jej wzrok musiał chyba przypalać plecy mężczyzny, bo Michał przestał w końcu zachowywać się jak napalony świr i wciąż trzymając rękę na ramieniu seksuolożki, zwrócił się w stronę milczącej Beti: - Lidka dosłownie godzinę temu przyleciała z Amsterdamu - wyjaśnił. - Liduś, pozwól, że ci przedstawię

Beatę. Beti, to moja żona Lidka.

W głowie Beaty wybuchł wszechświat, a serce rozpadło się na milion kawałeczków.

Co? Ja pierdolę, kto??? ŻONA ???

Rozdział 25

- Rany, Lidka! - Jaga rzuciła się seksuolozce na szyję. - Sto lat cię nie widziałam! Cudnie wyglądasz. Jak dzidzius?

- Łobuziak. Jak kopnie, to czasami mam ochotę mu oddać
- zaśmiała się Lidka.

Beata patrzyła na to powitanie z mieszanymi uczuciami. Wczoraj wieczorem nie dała rady i nie bacząc na zdziwioną Jagę, rozryczała się żałośnie. Urywającymi słowami, łkając i połykając łzy, stwierdziła dobitnie, że jedzie do domu.

- Jak: do domu? Zwariowałaś?

- Jadę i już.

Nie potrafiła zwierzyć się przyjaciółce ze swojej miłości i zranionego serca. Z zawiedzionych nadziei i planów, które nie miały się spełnić. Ilekroć wyobrażała sobie, co w tym momencie może robić Michał, wyła niczym syrena alarmowa na tonącym statku. Jaga pozwoliła Beacie na chwilę rozpaczy, po czym mocno szarpnęła jej ramionami.

- Odbiło ci? O Lidkę chodzi?

Milczenie było najlepszą odpowiedzią.

- Czy ty, dziewczyno, w ogóle na psychologii się nie znasz?

- Co?

Niespodziewane pytanie chwilowo powstrzymało kaskadę łez.

- A co ma tu psychologia do gadania?! - wrzasnęła Beti. - Oszukał mnie, gad jeden. A tak mu ufałam. - Kolejne fontanny wytrysnęły z oczu.

- Beti, przysięgam, że zaraz ci walnę - zdenerwowała się Jaga. - W czym cię oszukał? Dawał ci jakieś znaki? Obiecywał biały domek i gromadkę dzieci? Patrzył z żarem w oczach?

Jasna cholera. Beti spojrzała na Michała. Siedział na ławce obok Lidki i nie odrywał wzroku od żony. *Dopiero teraz patrzy z żarem. Jego oczy płoną i choćby tu i teraz pierdykła jakaś bomba, on nawet tego nie zauważy.*

Spostrzeże natomiast każdy gest, każde spojrzenie i każdy grymas na twarzy Lidki. Czyha na najmniejszy powiew wiatru, który zburzyłby fryzurę kobiety i dał mu pretekst, aby dotknąć jej policzka. Aby odgarnąć i założyć za ucho niesforny kosmyk blond włosów. Z trudem odwróciła od niego głowę, udając, że zainteresował ją przestępujący z nogi na nogę gołąb. Na mnie nigdy tak nie patrzył. To, co wydawało mi się miłością, było zaledwie przyjaźnią. Boże, jaka ja jestem durna! Myślami znów wróciła do rozmowy z przyjaciółką.

- Myślisz, że się zakochałaś? Bzdura! Michał był pierwszym człowiekiem po wypadku, który dał ci szansę. Dał ci nadzieję. Pomógł ci. Rozumiał jak nikt inny i razem z tobą walczył o

każdy dzień. Ale zrozum, dziewczyno, to jest jego praca! – Jaga darła się tak, że pewnie słyhać ją było na całym piętrze. – Myślisz, że ty jedna wpadłaś w tę pułapkę? Gdyby Michał miał poślubić każdą zakochaną w nim pacjentkę, musiałby założyć harem, a chciałam ci przypomnieć, że w Polsce to jest nielegalne.

Pomimo wściekłości kącki ust Beaty podniosły się lekko, gdy wyobraziła sobie Michała w otoczeniu stada żon. Opadły z powrotem, gdy ujrzała siebie wśród tego tłumu.

– To zjawisko ma nawet swoją nazwę: przeniesienie uczuć.

Nieświadomie przelałaś na Michała swoje uczucia, których doświadczałaś przed wypadkiem. Grzesiek zawiódł na całej linii, więc w Michale wymyśliłaś sobie tego jedyne.

– Bzdura jakaś – zdenerwowała się Beti. – Sugerujesz idiotycznie, że wyobrażam sobie, że Michał to Grzegorz?

– Niedokładnie, ale coś w tym stylu. Uczucia pacjenta do terapeuty nie wynikają z jego zachowania czy jakiejś tajemniczej chemii, ale są starymi impulsami w nowym wydaniu.

– Co? Możesz po polsku?

Jaga opanowała się wreszcie i zamilkła na chwilę.

– Michał jest doskonałym fizjoterapeutą – zaczęła spokojnym tonem. – A to, że się w nim „zakochałaś”, świadczy o tym jeszcze dobitniej. Dobry fizjoterapeuta, oprócz posiadania wiedzy merytorycznej, powinien być cierpliwy, opanowany i empatyczny. Musi umieć wypracować

sobie metodę na każdego pacjenta i nie chodzi mi tutaj o jednostkę chorobową, ale o psychikę. Każdy ma swoją osobistą, intymną strefę. Rozpościera się ona dookoła ciała i ostro reagujemy, gdy ktoś tę przestrzeń naruszy. Podczas terapii ta przestrzeń naruszana jest cały czas. Rehabilitant dotyka cię tak, jak czasem nie dotyka kochanek. Nie ma dla niego tabu ani świętości.

Beti zapomniała o swoim nieszczęściu i uważnie słuchała Jagi.

- I właśnie sposób, w jaki to robi, świadczy o jego profesjonalizmie.

Rudowłosa spojrzała w okno i zamyśliła się na chwilę.

- Doskonale pamiętam pewną rehabilitację. - Wciąż patrzyła w dal niewidzącym spojrzeniem. - Trafiłam na dziwny oddział. Rehabilitantka, która się mną zajęła, wzbudziła moją antypatię od pierwszej sesji. Na identyfikatorze miała napis „magister fizjoterapii Teresa Król”. Pamiętam to tak dokładnie, bo gdy zwróciłam się do niej „pani Tereso”, oburzyła się strasznie i powiedziała, że dla mnie jest panią magister i życzy sobie, żebym tak właśnie się do niej zwracała.

- Żartujesz!

- Serio. Smarkula, ledwie po studiach, a ego jak u profesora ze stuletnim stażem. Tam w ogóle był jakiś chory układ. Na imieniny ordynatora magistrowie składali się oddzielnie, a pielęgniarki oddzielnie.

Były oddzielne pokoje socjalne dla magistrów i reszty personelu. Gdy magister wchodził na salę gimnastyczną,

wśród pacjentów zalegała taka cisza, że przelatującą muchę można było usłyszeć. Co tam muchę - nietoperza! Za biurkiem stało gorące krzesło, na którym tylko magister mógł posadzić swą magisterską dupę. Któregoś razu na własne uszy słyszałam, jak owa Król opierniczała jakąś pielęgniarkę, która tak się zniżyła, że przeszła na ty z salową. No mówię ci. To było chore!

- I co jej odpowiedziałaś?

- Że ja również jestem magistrem i w takim razie do mnie też proszę tak mówić.

- Buuu. Miałaś przerąbane?

- Wypisałam się na własne żądanie po tygodniu. Ale ja byłam już starym wózkowcem i w dupie miałam tę magisterkę, ale pomyśl: co by było, gdybym była świeżo po wypadku? Zestresowana, załamana, niepewna własnego jutra? A terapeuta na dzień dobry powiedziałaby mi, że jestem nikim?

Strzeliłabym sobie w łeb! Znowu się potwierdziło, że wykształcenie nie zawsze idzie w parze z inteligencją. Żadasz szacunku? Najpierw zasłuż!

I okaż go innym!

Beti przypomniała sobie własne początki. Bierne w wykonaniu Moniki i Joli, a później swój pierwszy występ na sali gimnastycznej. Ironiczne słowa Michała, które pchnęły ją do walki. Dał jej dobry powód do wstawania z łóżka i zaciskania zębów. Własna duma kazała jej przeć do przodu, aby rehabilitant nie miał okazji do docinków i kpin. Z biegiem czasu zmieniły się powody. Już nie ćwiczyła na złość

Michałowi, ale po to, aby był z niej dumny.

Starła się z całych sił, aby go nie zawieść.

- Michał lubi wszystkich pacjentów i ma do nich szacunek, choć czasem mogłoby się wydawać, że jest wręcz przeciwnie. Jest autentycznie zaangażowany, co jest niezbędnym czynnikiem do uzyskania więzi z pacjentem. A bez więzi i zaufania każda terapia może być co najwyżej średnia.

- A to psycholog cholerny - odezwała się Beti mimo woli z podziwem.

- Racja - potwierdziła ze śmiechem Jaga. - Każdy fizjoterapeuta powinien być równocześnie psychologiem, księdzem i kompanem od kielicha.

- Lidka!

W oparach papierosowego dymu pojawił się Bartek.

- Gaszę! Już gaszę!

Wyrzucił peta i podskoczył do dziewczyny.

- Matko! Śmierdzisz jak stara popielniczka! Rzuć to cholerstwo, bo nie pozwolę ci zbliżyć się do małego Kajtka. - Wbrew własnym słowom Lidka nadstawiła policzki do powitalnego całusa.

- Czyli chłopak?

- Tak jest! - Michał zasalutował z radością.

- Łeee. - Bartek się skrzywił. - A już wyobrażałem sobie, jak trzymam do chrztu małą Lideczkę. Z małym Michałkiem nie będzie tak zabawnie.

- A ja odwrotnie! - zaśmiała się Jaga. - Z przyjemnością

potrzymam małego Michałka.

- O nie, kochana. - Lidka żartobliwie pogroziła jej palcem. - Od trzymania małego Michała jestem tylko ja.

- No, stary. - Bartek współczująco poklepał Michała po ramieniu. - To ci pojechała. O moim narzędziu nikt nie powiedziałby, że jest małe. - Pochylił się nad wydętym brzuchem Lidki. - Hej, Kajtuś, to ja, wujek Bartek. Rośnij szybko, to nauczę cię prowadzić auto.

Na te słowa Michał skrzywił się niechętnie i z wyrzutem spojrzał na Lidkę.

- Co jest? - zaniepokoił się Bartek. - Mam go nie uczyć?
Zapadła nieco krępująca cisza.

- No, proszę - przerwał ją Michał i zwrócił się do żony: - Pochwal się.

- Oj, nie rób scen - zbagatelizowała sprawę Lidka.

- Wczoraj pod Kołobrzegiem Lidka potrafiła rowerzystę - poskarżył Michał grobowym głosem.

- Rany Julek! - Bartek zagwizdał. - Co z nim?

- Nic. Wstał, otrzepał się i poszedł dalej - uspokoiła wszystkich kobieta.

- Poszedł? - Jaga w mig wyłapała niedopowiedzenie. - A co z rowerem?

- Kupi sobie nowy - mruknął niechętnie Michał.

- Oj, kochanie... - Lidka pocałowała męża. - Wyjeżdżałam z parkingu przy markecie i jakoś tak napatoczył mi się pod koła. Wsiadłam oczywiście od razu, a on jak zobaczył mój brzuch i wózek, bez problemu poszedł na ugodę.

- Jakby mi ktoś dał tysiaka za stary rower, też bym

poszedł – zrzędził dalej Michał.

Lidka opowiadała z taką nonszalancją, a Michał był tak naburmuszony, że choć właściwie nie było z czego, całe towarzystwo ryczało ze śmiechu.

- To była zdecydowanie wina tego rowerzysty – stwierdził stanowczo Bartek.

- Oszalałeś? – Michał popukał się w czoło. – Przecież to Lidka włączała się do ruchu.

- No ale skoro widział na szybie nalepkę z wózkiem, to mógł spieprzać, nie?

Wszyscy poza Michałem znowu wybuchli śmiechem. Lidka odszukała dłoń Michała i splotła z nią swoje palce. Beata zerknęła na złączone ręce małżonków.

- Mimo wszystko mógł mi powiedzieć – dąsała się dalej Beti.

- A pytałaś? – Jaga była dzisiaj adwokatem diabła.

- No nie. Ale obrączki nie nosi. – Beata znalazła kolejny obciążający dowód winy.

- Na palcu nosił przez jakiś miesiąc. Dwa razy zostawił na zlewie, raz mało nie urwał palca, gdy zahaczył obrączką o wózek, i raz prawie zgubił, gdy tarzał się po materacu z jakimś dzieckiem. Więc powiesił na łańcuszku i nosi na sercu.

Beti stwierdziła, że nie warto pytać, dlaczego również Lidka nie nosi obrączki.

- Co jej się stało?

Jaga westchnęła.

- Najgłupsza rzecz pod słońcem. Jako małe, bodajże

czteroletnie dziecko bawiła się ze swoim wujkiem. Wujek był koniem i nosił małą Lideczkę na barana. Potknął się, przewrócił, Lideczka walnęła na plery i złamała kręgosłup.

- Matko jedyna! - przeraziła się Beti.

- Lidka nie pamięta, jak to jest być zdrowym, mimo to też śni o bieganiu.

Nie zna traumy, jaka była naszym udziałem, lecz też zdarzają jej się podłe dni. Jej ojciec jest jakimś politykiem i niedługo po wypadku wyjechali na placówkę do Holandii. Tam się wychowała i pewnie dlatego nie ma takich zahamowań jak my. Jest fajną dziewczyną, lubię ją.

Sama w to nie wierzę, ale ja też - uświadomiła sobie Beata. Umyła twarz i zęby. *No, jutro będę wyglądać przepięknie* - doszła do wniosku, oglądając w lustrze swe zaczerwienione i podpuchnięte oczy. Leżąc w łóżku, nagle poczuła dziwny spokój. Nic już nie zostało z rozpacz i żalu. Zdawało jej się, jakby ostatni puzzel wskoczył na swoje miejsce i układanka dopiero teraz została ukończona. Że dopiero teraz można z dumą odłożyć ją na półkę i zacząć nową. Uśmiechnęła się sama do siebie.

- Dobranoc, ruda.

- Dobranoc, Beti. I wiesz co? Ja też przez to przechodziłam.

Rozdział 26

- Dajesz, dajesz! - krzyczał Bartek, biegnąc tuż za Lidką. - Jeśli chciałaś poćwiczyć, to się wysił! Brzuch wielkości zeppelinu nie jest dla mnie żadną wymówką.

- Rany! On jest zawsze taki upierdliwy czy to tylko na moją cześć? - zasapała Lidka, zwracając głowę w stronę Beaty.

- Nie - zaśmiała się Beti. - Zazwyczaj jest jeszcze gorszy.

- Słyszałem! - krzyknął Bartek i został w tyle, aby pogonić maruderki z końca peletonu.

Jazda w balansie nie przedstawiała dla Beti żadnego problemu, mimo iż sadystyczny trener wszystkim kazał przyczepić do kostek nóg pięciokilowe ciężarki. W odróżnieniu od Lidki, która co chwilę opadała na przednie kółka.

- Szlag by to trafił. - Poddała się w końcu i opadła na wszystkie koła. - To przez ten brzuch. Cały czas mam wrażenie, że dźgam się kolanami w pępek.

Beti zerknęła na nią dyskretnie. Przez chwilę jechały w ciszy, którą zakłócał jedynie szmer kół szorujących o tartanową nawierzchnię.

- Michał dużo mi o tobie opowiadał - zagaiła znowu Lidka.

- Serio? - zdziwiła się Beti. - Patrz, a mnie nie powiedział o tobie nawet słówkiem - dodała nieco złośliwie. - Długo jesteście małżeństwem?

- Dwa lata.

Dojechały do mety. Beti również opadła na wszystkie koła i podjechała do skrzynki z butelkami wody mineralnej.

- Chcesz?

- Jasne.

Podawała Lidce butelkę i otworzyła swoją. Kilkoma łykami opróżniły ich zawartość.

- Lubi cię.

- Phi - prychnęła Beti ironicznie i zacytowała słowa Jagi:
- Michał lubi wszystkich swoich pacjentów.

- Ale nie o wszystkich mi opowiada.

Phi - prychnęła ponownie, tym razem w myślach. - Pewnie nabija się z kolejnej naiwniary, która się w nim zadurzyła - pomyślała niesprawiedliwie.

- Mówił, że dawno nie spotkał dziewczyny o takim harcie ducha.

- Akurat! - Beata jej nie uwierzyła.

- Porównał cię do Jagi.

- Bzdura. Jako jego pacjentka byłam załamana, nienawidziłam swojego życia i nie lubiłam ćwiczeń. Jego zresztą też nie lubiłam.

- No właśnie! - Lidka z zachwytem klasnęła w ręce. - Jak Jaga. Identyko.

Serio? Nie chciało jej się wierzyć. Porównywała w myślach przebojową, odważną i walącą prosto z mostu Jagę ze sobą i widziała wyłącznie przeciwieństwa.

- Długo znasz Jagę? - Beti postanowiła zmienić temat.

- Szmat czasu! - zaśmiała się Lidka. - Tyle samo, co Michała. Zaraz po studiach miałam kilka wykładów w dużych miastach, między innymi w Szczecinie. Jaga leżała wówczas na oddziale rehabilitacji u Matyldy i wyciągnęła Michała na mój wykład. Podobno zapierał się rękami i nogami, w końcu jednak stwierdził, że to będzie niezły bodziec dla Jagi, i przyszedł. Po wykładzie pojechaliśmy na kawę i zaiskrzyło. - W oczach Lidki również iskrzyło.

Mając w pamięci wyznanie Jagi, Beti pomyślała, że dla przyjaciółki to był mocny cios prosto w serce. Pewnie pluła sobie w brodę, że wyciągnęła swego platonicznego ukochanego z sali gimnastycznej i rzuciła wprost w ramiona innej kobiety.

- Jaga była świadkiem na naszym ślubie i ogromnie się cieszę, że będzie matką chrzestną Kajtka - dodała Lidka.

- A Bartek ojcem?

- Tak. I świadkiem. To jest najlepszy przyjaciel Michała, choć naprawdę dobrali się chyba na zasadzie całkowitych przeciwieństw. Bartek to wolny i szalony duch, w odróżnieniu od mocno stąpającego po ziemi Michała.

Obiekt ich rozmowy właśnie się zbliżał.

- Co tam, dziewczyny? Lidka, okej?

Lidka potaknęła.

- W takim razie koniec plotek. Ciężarki z nóg załóżcie na

nadgarstki i kręcimy ramionami.

Po kilku obrotach Lidka zbladła.

- Uff, mam dość.

Odpięła obciążniki i odłożyła je do przeznaczonego na ten cel pudła.

- Cięża ma jednak swoje prawa. Idę się położyć.

- Ale wszystko dobrze? - zaniepokoiła się Beti. - Słabo wyglądasz.

- Okej. Walnę się na wyro i za chwilę mi przejdzie.

Odwróciła się i skierowała w stronę ośrodka.

- Aha, Beti. - Odwróciła się na chwilę. - Wieczorem idziemy na molo.

Pójdiesz z nami?

- No co ty. - W oczach Beaty malowało się zaskoczenie. - Jaga mówiła, że nie widzieliście się od dwóch miesięcy. Nie chcesz pobyć sama ze swoim mężem?

Nazwanie sprawy po imieniu jeszcze odrobinę zakłuło.

- Skąd! Dwanaście godzin sam na sam w zupełności wystarczy. Misiek trzęsie się nade mną niczym ziemia w Japonii. - Ciepły ton głosu Lidki sugerował, że trzęsienia te nie mają jednak katastroficznego wymiaru. - Jaga jedzie. I Bartek. To nie będzie randka, tylko wspólny wypad przyjaciół.

- W takim razie zgoda - postanowiła Beti. - Z wielką przyjemnością.

Beata odprowadziła wzrokiem oddalającą się kobietę.

- Co jest? - Znienacka obok Beti zmaterializował się Bartek.

- Zmęczyła się. No wiesz, w końcu jest w ciąży. - Sama nie wiedziała, czemu uprzedza potencjalny atak mężczyzny. Nie rozumiała, dlaczego poczuwa się w obowiązku bronić Lidkę przed ewentualnymi pomówieniami.

Bartek nie zamierzał atakować.

- Iść za nią? - W jego głosie pobrzmiwały troska i odrobina strachu.

- Idź - zdecydowała Beti. - Ale nie za nią, tylko poszukaj Michała.

Obecność męża dobrze jej robi.

- Dobra. - Bartek natychmiast się poderwał. - Ogarniesz tu wszystko?

- Jasne. Leć.

Obserwowała oddalającą się parę. Bartek dobiegł do Lidki i coś do niej powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu. Lidka energicznie potrząsnęła głową. Chwilę postali, o czymś rozmawiając, po czym dziewczyna ruszyła w stronę wejścia, a Bartek skierował się na basen, gdzie, jak domyśliła się Beti, pewnie znajdował się Michał. Uśmiechnęła się. Poczowała w sercu wielki spokój. *Dziękuję Ci, Boże. Dziękuję, że postawiłeś na mojej drodze tych ludzi. Dziękuję, że pozwoliłeś mi ponownie ujrzeć miłość i odnaleźć przyjaźń.*

Że znów widzę sens...

Jaga niespodziewanie zmieniła plany. Postanowiła, że zostanie w ośrodku i pogłębi znajomość z tutejszym barmanem, pojechali więc we czworo.

W niedzielę zajęcia kończyły się już po obiedzie. Dzień

był słoneczny i prawie bezwietrzny, więc tłumy kuracjuszy i urlopowiczów wyległy na plażę. Starsze panie w słomkowych kapeluszach i pareach zarzuconych na ramiona spacerowały dystyngowanie, co rusz wymijane przez miłośników plażowego joggingu. Tatusiowie ze swoimi pociechami budowali twierdze z piasku, a mamy wystawiały twarze do słońca, moszcząc się wygodnie na kolorowych leżakach. Para nastolatków puszczała w niebo srebrny latawiec, który szybował wdzięcznie pomiędzy puszystymi kłębamii cumulusów. Dwa cocker spaniele baraszkowały wesoło. Zataczały koła, wbiegały do wody, aby już po chwili wybiec radośnie i wytrząsnąć słone krople wprost na swoich właścicieli. Panował leniwy nastrój weekendu i odpoczynku. Beti, Bartek i para Szymaniuków zajęli stolik niedaleko mołu. Sącząc sok pomarańczowy, obserwowali mijających ich ludzi i rozmawiali. Tematy same się nasuwały. Ani razu nie zdarzyła się chwila krępującej ciszy czy sztucznego ożywienia. Lidka i Bartek przerzucali się żartami, a Beti i Michał dokładali swoje pięć groszy.

- No, ale powiedz mi, Bartek - droczyła się Lidka - z czego szybciej zrezygnuje artysta. Z kobiet czy z wina?

Bartek udał, że się głęboko namyśla.

- Odpowiedź jest bardzo prosta. - Nachylił się do dziewczyny. - Wszystko zależy od rocznika.

Beti prychnęła w swój sok.

- Bartek, nie wdawaj się z Lidką w dyskusję na tematy damsko-męskie - śmiał się Michał. - Pamiętasz, jak miała wykład dla tetrusów w Spale? - Przechylił głowę w stronę

Beaty. - Tak zmotywowała jednego z kursantów, młodego chłopaczka, że pojechał do pokoju jednej z dziewczyn i walił całą noc.

- Łał! I co?

- Nic. Nie otworzyła drzwi.

Wybuch śmiechu uświadomił Beacie, że dała się zrobić w jakiś fizjoterapeutyczno-tetraplegiczny żart.

- Proszę cię, to dowcip z lamusa. - Lidka ze śmiechem trzepnęła Michała po ramieniu. - Bartek, opowiedz lepiej, nad czym teraz pracujesz.

- Aktualnie nad muskulaturą grupy świeżynek - odpowiedział mężczyzna i mrugnął do Beti. - A zawodowo... - Zamyślił się i spojrzał na statki kotwiczące w porcie. - Namalowałbym morze, ale, cholera, cały czas się rusza. - Wykrzywił się komicznie. - Mimo że wiatru prawie nie ma.

- No, to masz problem, chłopie. - Michał współczująco poklepał go po ramieniu. - Może kałużę rtęci w takim razie? Albo mogiłę?

- A wiesz, prawie trafiłeś. Mam cykl pod tytułem „Współzależności”.

Kołacze mi się po głowie jakieś skojarzenie ze śmiercią. Kochanek daje różę swojej lubej, później dojrzała pani domu smaży różaną konfiturę, obraz finałowy: grób i krzak białej róży ozdabiający mogiłę. Albo drzewo, deski na trumnę i proch rozrzucony pod starym dębem...

- Rany, trochę makabryczne - podsumowała Lidka.

- Śmierć się dobrze sprzedaje - wytłumaczył beznamiętnie artysta. - Profanacja religijna się znudziła,

nagość nikogo nie rusza, a śmierci boją się wszyscy. Kupują więc obrazy czy inne gadzety, udając sami przed sobą, że są twardzi. Że mając śmierć na ścianie, oswoją ją, wytresują i nagną do swojej woli. Pomijając fakt, że to teraz modne - podsumował nieco cynicznie.

- Mam wrażenie, że w dużym stopniu to ty decydujesz, co jest modne. - W głosie Lidki nie było fałszywego słodzenia. - Jesteś na topie.

- Eee. - Bartek lekceważąco machnął ręką. - Łaska krytyków na pstrym koniu jeździ. Dziś jestem ja, jutro ktoś inny.

- No właśnie - wtrąciła się Beti. - Jak to było z tym krytykiem? Jakieś plotki mnie doszły na samym początku obozu.

- A, wiem. - Bartek od razu załapał. - Mówisz o tej wystawie w Krakowie. Podobno oblałem własnym moczem Kaźmierczaka. - Prychnął śmiechem. - Niechcący stłukłem łokciem wazon z kwiatami i trochę wody poleciało na jego spodnie. On powiedział: „No ładnie, olałeś mnie pan”, trochę się pośmialiśmy, a plotka urosła do rangi skandalu. Bzdura kompletna.

- A ta łaska z fiołkowymi kudłami to też plotka? - zainteresowała się Lidka typowo po babsku.

- Liduś! Czytasz szmatławce? - Bartek aktorskim ruchem złapał się za serce. - Odkąd wybrałaś Michała zamiast mnie, nie spojrzałem na żadną kobietę.

- Aż dotąd. - Lidka uśmiechnęła się tajemniczo. Bartek nagle poczerwieniał i gwałtownie zamilkł.

Beti zatkało. Przez chwilę wędrowała wzrokiem od niebieskich Lidki do zielonych oczu Bartka. Zerknęła szybko na dyskretny uśmiezek Michała.

- Lidka! - oburzyła się, czując, że rumieniec wypełza również na jej policzki.

- Dobra, dobra. - Lidka lekkim tonem usiłowała rozładować nagłe napięcie. - Misiu, chodźmy do kibelka, czuję, że muszę siku. - Zrejtrowała, widząc, że zarówno Beti, jak i Bartek nadal uparcie milczą.

Odjechała od stołu. Beata obserwowała, jak się oddalają. Jedną ręką Lidka kręciła kołem wózka, a drugą w uścisku trzymał Michał. Wyglądało to całkowicie naturalnie. Podniosła wzrok na Bartka. Chłopak odzyskał rezon.

Przyglądał się jej, popijając swój sok.

- Hm... - Miała pustkę w głowie. - *Sorry*. - Sama nie wiedziała, za co go przeprosza. Za Lidkę? Za krępującą chwilę? Za własne zmieszanie i to niespodziewane uczucie radości?

- Cała Lidka - odpowiedział ciepło mężczyzna. - Mówi to, co myśli.

- Ale naprawdę nie wiem, co jej wpadło do głowy. - Beti wciąż czuła się winna.

Bartek odstawił szklanekę z sokiem i ujął jej dłoń.

- Lidka jest seksuologiem. Potrafi czytać z mowy ciała, gestów, spojrzeń, tonu głosu.

Palcami lekko gładził wierzch ręki Beaty. Zdziwiona kobieta nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Nie rozumiała zachowania Bartka. Jego pieszczącego dotyku, ciepłego

tembru głosu, błysku w oku...

- No, tym razem jej diagnoza okazała się błędna. - Nie poznawała swojego głosu.

- Diagnoza Lidki jeszcze nigdy nie okazała się błędna - sprzeciwił się Bartek cichym, choć stanowczym tonem.

Matko jedyna! W głowie Beti rozszalał się tabun dzikich koni. *Co on chce mi powiedzieć? Nie chce* - poprawiła się szybko - *tylko mówi prawie wprost! Bartek?* - Myśl spierała się z myślą. - *Ten lekkoduch, kpiarz, zwariowany artysta? Ten chłoptaş, który ze wszystkiego robi sobie jaja?*

Niedowierzająco spojrzała prosto w poważne oczy.

- Żartujesz, prawda?

Jego oczy powiedziały jej prawdę. Beti wstrzymała oddech. Jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki znów pojawił się podniecający elf.

Zamiast łuku jego palce trzymały łyżeczkę do lodów, zamiast kołczana pełnego strzał miał tylko skórzany plecak z nieodłącznym brulionem i kilkoma ołówkami, Beata odniosła jednak wrażenie, że mężczyzna wypełniony jest jakąś magiczną siłą. Że wystarczy, aby tylko pstryknął swoimi długimi palcami, i przeniosą się do jakiegoś zaczarowanego lasu, a on przedstawi ją królowi leśnych elfów. *Boże, dziewczyno... pogięło cię?*

- Ale, ale...

- Wiem. - Elf zaczął przeobrażać się z powrotem w mężczyznę z krwi i kości. - Wiem, co chcesz powiedzieć. - Bartek puścił jej dłoń i nerwowym ruchem przeczesał swoje włosy. - Że się przecież znamy raptem od dziesięciu dni, że

ty nic, że masz mnie za pajaca...

- Nieprawda. - Zaskoczył ją żar we własnym głosie. - Mam cię za fajnego faceta. No, trochę wariata, ale w pozytywnym znaczeniu. Wiem, że mnie rozumiesz, ufam ci, ale faktycznie, znamy się dziesięć dni. Za chwilę nasze drogi się rozejdą. Ja wrócę do Choszczna, a ty do Krakowa i własnego życia.

- Nie wracam do Krakowa. Przez jakiś czas planuję zostać w Szczecinie.

Bartek wstał ze swojego krzesła, podszedł do Beaty i usiadł tuż przy niej. Poczowała ciepło bijące od jego ciała. Blond grzywka załaskotała ją w czoło, gdy mężczyzna pochylił się nad jej twarzą.

- Chcesz tego?

- Czego?

- Chcesz, żeby nasze spotkanie było tylko miłym wspomnieniem?

Abyśmy rozstali się za cztery dni i nigdy więcej nie spotkali? Wolisz odwrócić się czy iść dalej?

- Boże, Bartek...

Nie wiedziała, czego chce. Co woli, a czego pragnie uniknąć. Nie potrafiła sprecyzować swoich pragnień, a co dopiero uczuć. Do tej chwili nawet przez sekundę nie myślała o Bartku w kategoriach damsko-męskich.

Do tego momentu nie czuła żaru w sercu ani motyli w brzuchu, gdy na niego patrzyła. Te uczucia były zarezerwowane dla Michała. To Michał miał być tym jednym jedynym. Wytęsknionym, wymarżonym, ukochanym... Los

chciał inaczej. Gdy na jaw wyszło istnienie Lidki i gdy z pomocą Jagi Beata uświadomiła sobie prawdę o własnych uczuciach, szybko pozbierała się po niespodziewanym ciosie i zaakceptowała fakty. Podejrzanie szybko. Nie bolał widok jego dłoni splecionej z inną niż jej własna. Nie cierpiała, patrząc na uśmiech skierowany do innej. Czy teraz ma zamiar zrobić to samo, bo ktoś okazał jej serce? Znowu przerzuca swoje uczucia? Na kolejnego mężczyznę? Znowu nadstawia tyłek do bolesnego kopniaka?

- Ja...

Ktoś stanął za jej krzesłem.

- Beata?

Na dźwięk głosu, którego nie spodziewała się usłyszeć już nigdy w życiu, poczuła, jak sztywnieją jej wszystkie mięśnie. Chłód ogarnął jej ciało, a w głowie zaczął narastać coraz większy szum. Z fotograficzną dokładnością przez głowę przeleciała jej cała przeszłość. Powróciły złe uczucia. Niewyobrażalny lęk, zawód i fizyczny wręcz ból. Beata czuła, jak panika narasta w każdej komórce jej ciała. *Nie. Nie! Przecież miało go nie być! Przecież statek odpłynął! Boże, znów mi to robisz?!*

Rozdział 27

Półmrok pokoju rozświetlała jedynie poświata zachodzącego słońca. Przez uchylone okno do środka wpadła ćma i zaczęła obijać się o szyby, usiłując wydostać się na zewnątrz. W ciszy panującej w pokoju szelest skrzydeł zamienił się w odgłos łopoczących żagli. Owad uparcie szukał drogi do wyjścia. Fruwał wśród framug, przesuwając się w górę i w dół. Już wydawało się, że ćma znajdzie szparę i uratuje życie, gdy instynkt znów zawodził i rozpoczynała swą walkę od początku. Beata podjechała do okna, otworzyła je na oścież i gazetą zwiniętą w pół pomogła ćmie odnaleźć drogę na wolność. Chwilę popatrzyła w dal. Wierzchołki drzew falowały delikatnie, gdzieś w oddali krzyczały mewy, a powietrze pachniało solą.

- Zamknij to okno. Komarów nam naleci - przerwała ciszę Jaga. - I co było dalej?

Beti wykonała polecenie przyjaciółki, odłożyła gazetę i podjechała do stołu.

- No właśnie nic. - Spojrzała na Jagę ze zdziwieniem. - Oczekiwałam wybuchu emocji. Myślałam, że zacznę ryczeć, krzyczeć, robić z siebie widowisko. Zbierałam się w sobie,

żeby zagrać zimną i obojętną, ale wcale nie musiałam. Naprawdę był mi obojętny. – Podjechała do włącznika.

Zmrużyła oczy, gdy fala światła zalała pokój. – Znaczył dla mnie dokładnie tyle samo, co facet, który godzinę wcześniej zapytał nas o drogę do pensjonatu „Jantar”. Nie czułam kompletnie nic. Był mi absolutnie obojętny.

– Niczym ta ćma lub komar.

– Nie. Ćmy było mi żal i chciałam ją uratować. Komary mnie wkurzają i nie usnę, póki wszystkich nie zatłukę. On był jak powietrze.

Beti zaśmiała się radośnie.

– Jaga, po prostu mam go głęboko w dupie!

Przyjaciółka przyjrzała jej się uważnie.

– A co na to Bartek?

– Hm... Bartek...

Kładąc się do łóżka, Beti jeszcze raz przeanalizowała minioną sytuację. Na dźwięk głosu Grzegorza mimowolnie spięła wszystkie mięśnie. Jej twarz musiała wyrażać panikę, bo Bartek momentalnie podniósł głowę w stronę potencjalnego zagrożenia i ponownie złapał jej rękę.

– Beti...

Miała wrażenie, że jej ciało porusza się w zwolnionym tempie. Odwróciła głowę i spojrzała prosto w oczy Grześka. Był w cywilnym ubraniu. Szara koszula miała kilka niedopiętych guzików. Jego włosy były nieco dłuższe, niż zapamiętała, ale oczy pozostały dokładnie takie same. Ciemne, okolone prostymi, długimi rzęsami. Wyraźnie

malowała się w nich niepewność, co niespodziewanie dodało Beacie sił.

- Grzegorz! Cóż za niespodzianka. - Uśmiechnęła się sztucznie. - Przysiądziesz się?

- Jeśli pozwolisz.

Patrzyła, jak odsuwa krzesło i siada naprzeciwko. Bartek puścił jej dłoń i ramieniem objął plecy Beaty.

- Bartku, pozwól, że ci przedstawię Grześka, mojego dawnego... znajomego.

Wiedziała, że nie musi go przedstawiać. Bartek doskonale zdawał sobie sprawę, z kim ma przyjemność. A raczej, sądząc po jego minie, nieprzyjemność.

- Orłowski. - Jego ręka nawet nie drgnęła w odpowiedzi na wyciągniętą dłoń Grzegorza.

- Co tu robisz? Nie widziałam statku. - Próbowała mówić lekkim tonem.

- „Siostra świtu” popłynęła do Szwecji, ja wziąłem kilka dni urlopu. - Grzegorz skinął na kelnerkę i zamówił kawę. - A ty?

- Przyjechaliśmy do Kołobrzegu na dwa tygodnie. - Bartek uprzedził jej odpowiedź. - Piękne miasto, nie sądzisz?

- Owszem - odpowiedział sucho Grzesiek.

- Tylko morze trochę mętne. Jakies służby porządkowe powinny wyczyścić je z szumowin.

Uuu, będzie walka? - zastanowiła się w myślach Beata, nieco rozbawiona zachowaniem Bartka. Grzegorz milczeniem pominął zaczepkę i zwrócił się do byłej dziewczyny: - Co u ciebie?

- W porządku. A u ciebie?

- Też.

Rozmowa szła jak po grudzie.

Bartek nawet na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Grzegorza, a jego ręka chyba już na zawsze przyrosła do ramion Beti. Objął ją jeszcze mocniej i jeszcze bliżej przysunął swoje krzesło.

- Fajnie cię znowu zobaczyć. - W głosie Grześka zabrzmiały dziwne tony.

- Też się cieszymy. - Bartek ponownie ją ubiegł. - Beti wspomniała o tobie przy okazji oglądania jakiegoś filmu przyrodniczego. O czym to było, kochanie? - Uśmiechnął się do dziewczyny. - O tchórzach i woniach, jakie za sobą pozostawiają?

Beata parsknęła wprost do swojego soku. Grzesiek poczerwieniał.

- Beti, możemy porozmawiać na osobności? Może spacer po molo?

- A twoja kawa? - zapytała niewinnie.

- Wezmę na wynos.

Bartek przyjrzał jej się uważnie. W jego wzroku wyczytała pytanie, w odpowiedzi nieznacznie zaprzeczyła głową. Nie widziała sensu w rozmowie. Nie miała ochoty na rozdrapywanie ran ani na nieudolne tłumaczenia. Co nowego mógł jej powiedzieć Grzesiek? Co zmieniłyby potencjalne słowa, zdania, tłumaczenia czy obietnice? Szczerze mówiąc, nie była zainteresowana w najmniejszym nawet stopniu. Kątem oka zauważyła zbliżających się Michała i Lidkę.

- Wiesz co, może kiedyś. Teraz nie mam czasu. Właśnie wracają nasi przyjaciele.

- Idziemy na balety - dodał Bartek.

Grzegorz spojrział na śmiejącą się wesoło Lidkę. Zmierzył wzrokiem wysokiego szatyna, trzymającego ją za rękę. W jego oczach błysnął żal.

- Przepraszam.

Beti przyglądała mu się milcząco.

- Obejdzie się - warknął Bartek. - Po prostu frajer z ciebie. A jeśli chcesz rozmowy na osobności, to ja służę. - Zacisnął szczęki. - Chciałeś spaceru. Co powiesz na małe solo na molo?

Grzesiek ponownie zignorował Bartka. Wykonał ruch, jakby chciał podejść do Beaty. Beti odruchowo przytuliła się do Bartka. Jej osobisty elf roztoczył dookoła nich obronną barierę, która odmawiała dostępu wszelkim niepożądanym osobnikom. Poczula się bezpiecznie, na właściwym miejscu i w odpowiednich ramionach. Ten obcy facet w rozpiętej koszuli nie wzbudzał w niej żadnych uczuć. Żadnych.

Mężczyzna zrezygnował ze swoich planów i stał bez ruchu, wpatrując się w swoją nie tak dawną narzeczoną. Narzeczoną, z której tak łatwo zrezygnował. Którą odrzucił i zdradził. Gdyby w jej oczach zauważył choćby najmniejsze uczucie, radość lub nienawiść, padłby na kolana, aby przeprosić i błagać o jeszcze jedną szansę. Gdy patrzył na Beti wtuloną w ramiona tego typu, wiedział, że nie ma sensu. Że Beata doskonale poradziła sobie bez niego. Z całą pewnością lepiej niż on sam. Czuł się jak ostatni kretyn. Ten

facet ma rację. Był frajerem.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Grzesiek wstał, zostawił nieruszoną kawę i odszedł, nie odwracając się za siebie. Oboje odprowadzali go wzrokiem.

- Trzymaj mnie, bo naprawdę mu przyleję. - W głosie Bartka brzmiała ledwie wstrzymywana wściekłość.

- Daj spokój. - Beti zmierzwiła mu czuprynę. - Po co kopać leżącego?

Jeszcze raz spojrzała za odchodzącym eks. Prawie mu współczuła.

Prawie.

Ostatnie cztery dni obozu minęły jak z bicza trzask. Cały wolny czas spędzała z Bartkiem. Gadali jak nakręceni, chcąc nadrobić zaległości. Opowiadali sobie o ulubionych książkach i filmach. Bartek bez większego powodzenia usiłował wprowadzić Beatę w świat malarstwa i sztuki. Beti była zachwycona jego dziełami, ale obrazy kolegów po fachu jakoś nie trafiły do jej serca. Dziewczyna opowiadała mu o Ance, Marioli i Aleksandrze i wspólnie rehotali z przeróżnych komicznych sytuacji, które wspominała.

Podobał jej się jego styl bycia. Jego poczucie humoru i dystans do siebie. Lubiała słuchać jego głosu, choć pewne słowa wciąż wprawiały ją w zakłopotanie. Bartek nie naciskał. Dawał jej czas na przetrwanie i zaakceptowanie jego uczuć i miał gorącą nadzieję, że kiedyś Beti poczuje to samo. Bardzo szybko rozwiązał jej wątpliwości co do perspektyw ich potencjalnego związku.

- Moje miejsce pracy może być wszędzie. Jedyne, czego potrzebuję, to sztalugi, płótno i farby. Mogę mieszkać w każdym miejscu na świecie, pod warunkiem, że gdzieś niedaleko będziesz ty. Może to być wieżowiec w Szczecinie czy szopa u twojej przyjaciółki Mariolki. Mogę nawet stacjonować w namiocie na trawniku pod twoim blokiem.

Beata śmiechem zbywała jego deklaracje.

- Jasne. Pod warunkiem, że ten namiot będzie miał ze trzy sypialnie, megaszynki Internet i w pełni wyposażoną kuchnię.

- Beti! - oburzał się Bartek. - Uważasz mnie za snoba?

- Ależ skąd. Po prostu rozmawiałam z Michałem o twoim domu pod Krakowem, a Lidka opowiadała, jak wyrzuciła gosposię, bo zupa była za słona.

- Głupoty. Gosposia sama odeszła, a dom to tylko dom.

- I jak się wściekłeś, gdy na śniadanie zabrakło kawioru - wymyślała ze śmiechem.

- Nienawidzę kawioru.

- Że nie wspomnę o jedwabnych garniturach za grube tysiące.

- Mam wrażliwą skórę.

- Gdzie znajdziesz dla nich miejsce w namiocie?

- Będę chodził na golasa.

Wzruszyła się, gdy przedostatniego wieczoru Bartek wręczył jej prezent. Z zapartym tchem i odrobiną strachu w sercu rozwiązała szary sznurek, którym przewiązany był rulon sztywnego papieru. Oniemiała, gdy ujrzała naszkicowany

ołówkiem obraz. W pierwszej chwili zachwycała się widokiem przerzuconego przez przepaść mostu, wyrazistością kreski i niezwykłym kontrastem pomiędzy obiema krawędziami mostu. Choć obraz był wykonany jednym tylko kolorem, poprzez światłocien, zróżnicowaną grubość linii i wieloplanowość kompozycji wydawało się, że krzyczy barwami. Wzajemne przenikanie się światła i cieni powodowało efekt trójwymiarowości. Beti nie potrafiła określić, czy obraz jest realistyczny, czy abstrakcyjny. Widziała most, krzywy, miejscami dziurawy i sprawiający wrażenie chwiejnego, w innych miejscach gładki i szeroki niczym autostrada. Postać na końcu niebezpiecznej drogi była całkiem wyraźna. Wszystko jednak wydawało się zawieszone w hipnotycznym śnie. Czy sen ten był koszmarem, czy wręcz przeciwnie, zależało chyba tylko od nastroju odbiorcy.

- Piękny... - Zabrakło jej słów, aby określić własne uczucia.

- Podoba ci się? - Głos Bartka był lekki, ale bladość policzków zdradzała jego emocje.

- Bardzo - potwierdziła entuzjastycznie Beata.

- Takie tam chiaroscuro - odpowiedział skromnie niezrozumiałym słowem. - Caravaggio i da Vinci rozplakaliby się z rozpaczy na ten widok, ale miałem nadzieję, że ty będziesz nieco łaskawsza.

- No będę - zaśmiała się Beti - bo gdybyś mi powiedział, że namalował to ten cały Caravaggio, uwierzyłabym bez zastrzeżeń.

- Właśnie na to liczyłem. - Mężczyzna zawtórował śmiechem.

Wieczorem jeszcze raz obejrzała obraz. Im dłużej wpatrywała się w dzieło Bartka, tym więcej widziała fascynujących szczegółów. W jednym miejscu most zamieniał się w spiralę. Wydawało się, że zapada się sam w siebie i postać z obrazu tylko jakimś cudem minęła tę spiralę. W innym falował nad wyraz realistycznie. Beata musiała odwrócić wzrok, bo miała wrażenie, że kręci się na monstrualnej karuzeli. Jeszcze inne fragmenty wydawały się pokryte grubym, ciepłym dywanem lub jedwabnym prześcieradłem. Przekaz dzieła był dla niej jasny. Każdy ma swój most do przejścia. Każdy ma jedno życie do przeżycia. Nie zawsze będzie usłane różami, ale też nie w każdym miejscu będą czyhać mordercze kolce. Nie zawsze będzie prosto, równo i gładko, ale każdy wir da się jakoś wcześniej lub później pokonać.

Rozdział 28

- Kochani, dziękuję wam za te wyczerpujące dwa tygodnie - zaczęła patetycznie Koza. - Mam nadzieję, że wiele się tu nauczyliście, że pokonaliście własne bariery i lęki. Że nawiązaliście prawdziwe przyjaźnie i zrozumieliście, że nie jesteście sami na świecie.

Podniosła wzrok znad kartki w oczekiwaniu na brawa. Po kilku niemrawych klaśnięciach, nieco zde gustowana brakiem entuzjazmu ze strony słuchających, kontynuowała swe pożegnalne przemówienie: - Z naszej strony to również było pouczające doświadczenie. My, lekarze i fizjoterapeuci, wciąż się uczymy. Wciąż poszukujemy lepszych metod kuracji i dotarcia do pacjenta. Staramy się, aby jakość waszego życia była coraz lepsza, abyście stali się aktywnymi jednostkami w życiu zarówno zawodowym, jak i społecznym.

- Ja tam czuję się jednostką wybitnie głodną - szepnęła Mirka do ucha Beaty. - Myślisz, że długo jeszcze będzie głędzić?

- No wiesz, za to jej pewnie płacą. Zresztą ona jest z tych, co to uwielbiają brzmienie własnego głosu, więc pewnie jeszcze trochę pogłędzi - odszepnęła Beti. - Mam

gumę, chcesz?

- Nie. Zgłodnieję jeszcze bardziej.

- Doskonale wykształceni i wyselekcjonowani spośród wielu chętnych instruktorzy dwoili się i troili, aby nauczyć was nowych technik samoobsługi i wzmocnić wasze mięśnie.

Beti spojrzała na stół kadry. Michał był poważny i udawał zasłuchanego. Lidka drzemała z otwartymi oczami, a Jaga ledwie powstrzymała ziewnięcie. Bartek nic nie udawał. Siedział maksymalnie znudzony i jak zwykle coś tam bazgrał w swoim notatniku. Telepatycznie chyba wyczuł wzrok Beti, bo podniósł oczy znad kartki i spojrzał na dziewczynę. Uśmiechnął się, przyłożył złożone dłonie do policzka i ostentacyjnie chrapanął. Beti z trudem powstrzymała chichot. Niezrażona Koza ciągnęła dalej, mimo że niektórym wymknęło się ciche parsknięcie: - Być może część z was rozważy pomysł zasilenia szeregow FAR-u i po kilku szkoleniach wróci do nas jako instruktor w którejś z dziedzin. Tymczasem życzę wam smacznego i szerokiej, bezpiecznej drogi do domu.

Wyjazdy uczestników zaczynamy zaraz po obiedzie.

Tym razem brawa były liczne i głośne.

- Nareszcie.

Mirka niczym najszybszy bolid wystartowała do stołów ze smakowicie pachnącym jedzeniem.

Naprawdę? To już? Ostatni obiad, ostatnie pogaduchy z Jagą i ostatnie zerknięcie na Michała? I co mam zrobić z Bartkiem? Tak bardzo go polubiłam. Jak po dwóch tygodniach takiej aktywności, a nawet nadaktywności, mam

wrócić do swojej beznadziejnej codzienności? Beti niespodziewanie poczuła, że zbiera jej się na płacz.

- Beti, idź sobie nakładaj, bo ci wszystko zeżrą!

Nie zauważyła nawet, że podjechała do niej Jaga.

- Po obiedzie będziemy mieć niezły młyn. Trzeba wszystkich powyprawiać, przelecieć pokoje, bo na pewno ktoś coś zostawi. No mówię ci, meksyk. Więc ty się kimnij albo jedź na spacer czy coś. Dobra? Aha, my wyjeżdżamy jutro rano.

- Jutro? - zdziwiła się dziewczyna.

- A co, nie mówiłam? - Jaga wzruszyła ramionami z typową dla siebie nonszalancją. - Kadra wyjeżdża dzień później, a w związku z tym, że jestem twoim szoferem, ty również. No, chyba że chcesz się z kimś zabrać? Ale nie radzę - zaśmiała się rudowłosa. - Gdy wszyscy wyjadą, dopiero zacznie się zabawa! A teraz leć po obiad, do zobaczenia później.

Matko, co znowu za zabawa? Uczucie żalu i płaczliwy nastrój uleciały, a ich miejsce zajął lekki niepokój pomieszany z ciekawością. Jeszcze ten jeden jedyny, ostatni wieczór...

- Ne wierzę! Nie wierzę, że dałam się namówić! - krzyknęła Beata, moszcząc się wygodniej obok Bartka. Jeszcze raz sprawdziła, czy jej nogi są odpowiednio ustawione.

- Hę?

- Nic, nic.

Dopięła swój kask.

- To nasze tradycyjne pożegnanie turnusu! - wrzasnął Bartek, aby przekrzyczeć huk odpalonych silników. - No, jeśli odbywa się w Kołobrzegu oczywiście. W Ciechocinku mamy konie, a w Spale... hm, może nie będę cię straszyć tym, co robimy w Spale. - Zaśmiał się wariacko. - Gotowa?

- Gotowa!

Bartek odpalił maszynę i huk trzydziestokonnego silnika zagłuszył szum morza i krzyk mew. Michał z Lidką i Jaga już ruszyli. Piach prysnął spod kół i Beti jeszcze mocniej zacisnęła palce na drzwiach pojazdu. Jaga krzyknęła radośnie i wyminęła ich, z każdą chwilą nabierając prędkości. Bartek również dodał gazu. Beata poczuła, jak siła przyspieszenia dociska jej ciało do oparcia fotela. Jeszcze trochę miała stracha, ale gdy zobaczyła, jak pewnie Bartek radzi sobie z prowadzeniem quada, zaczęła się rozluźniać.

Coraz bardziej podobała jej się ta zabawa. Kierowca do oporu dodał gazu. Silnik wkręcił się na najwyższe obroty, a automatyczna skrzynia wbiła najwyższy bieg. Wypruli do przodu niczym pocisk wyrzucony z katapulty.

Wiatr rozwiewał włosy dziewczyny i chłodził rozpaloną z emocji twarz. Pod wpływem adrenaliny serce w piersi waliło jak szalone. Myślała, że nigdy już nie zazna tego uczucia. Tego pędu, widoku uciekającej ziemi i wrażenia, że nic w świecie nie jest w stanie jej dogonić. Zaśmiała się radośnie. Lekko odchyliła się do tyłu i wzorem Jagi krzyknęła głośno. Na manifestację radości nie wybrała najlepszego momentu. Bartek akurat wszedł w ostry wiraż i co najmniej kilogram piasku wpadł do szeroko rozwartych ust dziewczyny. *Jasna*

cholera! Kilka soczystych splunień jedynie w niewielkim stopniu oczyściło jamę ustną. *Do wieczora będzie zgrzytać mi w zębach...*

Michał ręką wskazał kierunek. Bartek przyspieszył i przez chwilę gnali równo z Jagą.

- Zajebicie, nie? - zawołała Wiewióra, przekrzykując warkot silników i szum wiatru.

- Bosko!

Bartkowi włączył się chyba gen współzawodnictwa, bo minęli Jagę i niepokojąco szybko zblizali się do quada Michała. Beti ponownie krzyknęła, gdy podskoczyli na jakiejś wydmie. Szybciej, szybciej... Ją również opanowała jakaś niezwykła gorączka. Bartek wyprzedził przyjaciela. Kątem oka zauważyła roześmianą twarz Lidki. Kilka sekund pruli łeb w łeb, a świat za nimi zginął w olbrzymich tumanach piasku. Przez chwilę ze współczuciem pomyślała o Jadze. Dziewczyna nie była jednak taka głupia. Zjechała z wydm i gnała przed siebie samym brzegiem plaży. Krople wody tworzyły błyszczącą, mieniącą się kolorami tęczy kurtynę. Beata stuknęła Bartka w ramię.

- Co jest?

- Patrz na Jagę. Gońmy ją! - zawołała wprost do jego ucha.

Chłopak skinął głową, nieco zwolnił i ostro skręcił w lewo. Niczym niezdecydowany kierowca, który zgubił się na rondzie, zakręcił kilka kółek i pomknął w kierunku wody. Oboje zaśmiali się radośnie, gdy lodowata bryza zmoczyła ich ramiona. Beti z prawdziwą rozkoszą zlizwała z ust słone

krople. Mimo że jechali teraz zdecydowanie wolniej, poziom adrenaliny utrzymywał się w jej krwi na tym samym, wysokim poziomie. Daleko przed nimi majaczyła sylwetka pojazdu Jagi. Beata mocno się wychyliła i prawą dłonią zgarnęła nieco wody. Obróciła się i patrzyła, jak jej ręka załamuje powierzchnię fal. Choć szybko zaczynała czuć jej drętwienie, nie wyjmowała jej z lodowatej wody aż do momentu, w którym się zatrzymali. Jaga robiła dokładnie to samo. Na widok przyjaciółki energicznie wyciągnęła rękę i celowo ją ochlapała. Beti nie pozostała jej dłużna i dobrą chwilę chlustały się jak małe dziewczynki. Bartek postanowił je pogodzić. Wszedł z quada, napełnił kask wodą i wylał ją wprost na głowę Beti. Jaga nie rechotała zbyt długo, bo już sekundę później wyglądała identycznie jak przyjaciółka.

- To nie fair! - krzyknęła Beti, wypływając słoną wodę i wyciskając dłońmi mokre włosy.

- Zemszczę się! - obiecała Jaga, prychnąc i plując.

Nadjechał Michał i zaparkował obok nich. Lidka profilaktycznie przybrała bojową pozycję.

- Nawet nie próbuj! Przeziębisz Kajtka!

- To jest szantaż emocjonalny. - Bartek wylał wodę z kasku, podszedł do Lidki i pochylił się nad jej brzuchem. - Twoja mama to cykor! - oświecił przyszłego chrześniaka. Podszedł do quada, z plecaka wyciągnął ręcznik i podał go Beacie. - No, dziewczyno. Wyszusz się i zmiana miejsc.

Beti zatkało.

- Co?!

- Nico. Teraz ty przewieziesz mnie. Jakaś sprawiedliwość

musi być na tym świecie – wyjaśnił jej Bartek z niewzruszoną miną.

- Nie. Mowy nie ma. Nie umiem.

- Eee, przecież prawko masz. Zresztą nawet Kajtek by sobie poradził. - Mężczyzna zbagatelizował jej obawy wzruszeniem ramion. Panika w oczach Beti w ogóle go nie ruszyła. - Pomogę ci - obiecał. - No dalej, przesiadaj się.

Widząc, że chłopak nie żartuje, Beata poszukała ratunku u pozostałych. Nie znalazła. Jaga i Lidka kiwały głowami, a Michał miał na twarzy uśmieszek, który doskonale pamiętała z zajęć na sali gimnastycznej. Uśmieszek ten mówił: „Przecież i tak zrobisz to, co ci każę...”. Wszyscy patrzyli na nią z oczekiwaniem. Mimo strachu Beti poczuła podniecenie.

Zagryzła usta. Jeszcze chwilę biła się z myślami, ale ambicja i chęci wygrały z obawą. Przesunęła pośladki na fotel kierowcy. Prawą ręką złapała się pod kolanami i przełożyła nogi. Obie ręce położyła na kierownicy. *Boże, kiedy ostatni raz prowadziłam auto, nie skończyło się to dobrze* - przemknęło jej przez głowę. Drgnęła, gdy Bartek przeskoczył przez zamknięte drzwi i zajął miejsce, na którym przed chwilą siedziała. Zaklął pod nosem, gdy mokre siedzisko nieprzyjemnie plasnęło. Jaga zachichotała złośliwie.

- Pod kierownicą masz starter. - Bartek pochylił się nad deską rozdzielczą. - Silnik odpalasz tym przyciskiem.

Delikatnie, jakby guzik palił żywym ogniem, Beti położyła na niego rękę.

- Gazu dodajesz, przekręcając do góry, a hamulec, jak w

rowerze, wciskasz w dół. – Bartek dokładnie objaśniał jej instrukcję obsługi quada. – Te modele są w pełni zautomatyzowane, więc nogi są zupełnie niepotrzebne.

Śmiało. – Uśmiechem i przyjaznym klepnięciem w ramię dodał jej otuchy. – Odpalaj bestię!

Beata głośno przełknęła ślinę. Trudno jej było przemóc swój lęk. Na ułamek sekundy znów usłyszała syreny karetek. Znów poczuła uderzenie i jaskrawą błyskawicę, która przeszła jej mózg. Odepchnęła od siebie traumatyczne wspomnienia i przycisnęła guzik na starterze. Quad drgnął lekko w odpowiedzi na pomruk silnika. Dziewczyna jeszcze raz spojrzała na Michała. Nie uśmiechał się, w oczach miał powagę, a w zaciśniętych dłoniach chował kciuki. Bartek podążył za jej wzrokiem.

– Wolisz jechać z Michałem? – W jego głosie nie było złości, zazdrości czy urażonej dumy. – Jeśli tak, to nie ma problemu.

Przemknęła jej przez głowę taka myśl. Z Michałem byłoby bezpieczniej. Znał ją, jej ograniczenia i możliwości. Rozumiał ją. Czułaby się pewniej... Przypomniały jej się słowa Kasi: „W życiu powinny być zaskoczenia, niespodziewane wizyty i jeszcze bardziej niespodziewane emocje. Musisz czuć, że twoje serce bije raz szybciej, a raz wolniej. Musisz na coś czekać, czegoś pragnąć, do czegoś dążyć. Kogoś nienawidzić i kogoś kochać. Życ po prostu...”.

– Nie, skąd! Co to za pomysł w ogóle?

Podjęła decyzję. To nie Michał. To Bartek fundował jej te emocje. Nie zastanawiając się, co robi, mocno i prosto w usta

pocałowała siedzącego obok mężczyznę.

- Na co czekasz? Zakładaj kask.

Energicznym ruchem zapięła pas i dodała gazu. Na początku delikatnie i ostrożnie. Wypróbowała hamulce. Kilka razy skręciła w prawo i w lewo. Zatrzymała się, przełączyła na wsteczny bieg i wróciła do miejsca startu. Czuła euforię. Znowu prowadzi. Znowu siedzi za kierownicą. Znowu jest wolna.

- Hej, ludzie. Ścigamy się?

Nie czekała na odzew. Dodała gazu i ruszyła przed siebie. Czuła, jak quad reaguje na najmniejszy ruch kierownicą. Jak przyspiesza i zwalnia zgodnie z jej wolą. Strach uleciał bezpowrotnie, Beti z całą wyrazistością przypomniała sobie, jak bardzo lubiła prowadzić auto. Zerknęła na Bartka.

Wydawało jej się, że jest trochę spięty. Zrozumiała.

- Nie bój się. Nie ogarnie mnie brawura ani nie spanikuję. - Uspokajająco uśmiechnęła się do chłopaka. Nie czuła potrzeby przyciśnięcia gazu do dechy i nie miała zamiaru nikomu niczego udowodniać. Wystarczy, że udowodniła samej sobie. Mimo to nie pozwoliła, aby ją wyprzedzili.

Z drugiej strony ani Michałowi, ani Jadze na tym nie zależało. Jechali spokojnie brzegiem morza wprost w rubinową poświatę zachodzącego słońca. Quad w quad, ręka w rękę, myśl w myśl... I tylko serce Bartka radośnie trzepotało się w piersi, a oczy błyszczały na wspomnienie niespodziewanego pocałunku.

Miała ledwie godzinę, żeby ogarnąć się po przejeździe plażą i przygotować na wieczorną imprezę. Po szybkim prysznicu Beata otworzyła swój plecak w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego do ubrania. Nie miała zbyt wielkiego wyboru. Pakując się na obóz, nie przewidywała żadnej gali, a tym bardziej baletów. Mogła wybierać pomiędzy T-shirtami i sportowymi bluzami.

A może...? Wyciągnęła dzinsy i zanurkowała ręką na samo dno torby. Jest.

W ostatniej chwili, pod wpływem jakiegoś impulsu, wrzuciła do plecaka tę elegancką tunikę. Zadowolona z siebie włączyła żelazko i czekając, aż uzyska odpowiednią temperaturę, zajęła się makijażem.

Stołówka wyglądała całkiem inaczej. Zniknął szwedzki stół, pojawił się za to sprzęt nagłaśniający. Część stolików odstawiła pod ściany, a resztę złączono w kształt litery U. Sporo krzeseł było już zajętych. Albus i Jarek Piesek coś tam polewali sobie do szklanek, śmiejąc się przy tym podejrzanie wesoło. Patrycja w rozpuszczonych włosach, ubrana w piękną, dopasowaną sukienkę, w niczym nie przypominała tej dziewczyny w dresie, która darła się na nich przy stołach do tenisa. Wypatrzyła Bartka, który coś tam gmerał przy kolumnach, i ruszyła ku niemu.

- Hej. Wesele jakieś się szykuje? - zażartowała, uśmiechając się do chłopaka.

- Kochana, przy naszych bibach wesela wyglądają jak stypy - odpowiedział, nie przerywając pracy.

Nie wystroił się jakoś specjalnie. Te same co zawsze podarte džinsy i nieodłączna bejsbolówka były na swoich miejscach. Jedynie T-shirt został wymieniony na białą koszulę. Mimo tej nieznacznej zmiany codziennego wizerunku wyglądał jakoś inaczej. Poważniej?

- Co ty taki spięty jakiś jesteś?

Bartek wpiął do odtwarzacza ostatni kabel, przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok Beaty. Przez chwilę milczał i patrzył na nią w zamyśleniu.

- Pięknie wyglądasz.

- E tam. Ale dzięki. - Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Słuchaj, Beti...

Matko jedyna, co jest? Zaniepokoiło ją brzmienie jego głosu.

- ...musimy pogadać.

- Jasne.

- Nie teraz, nie tutaj, nie w tym gwarze i przy tylu ciekawskich uszach.

Matko jedyna i jej córko!

- To chodźmy gdzieś.

- Później. Obiecuj mi jednak, że znajdziesz dla mnie kilka chwil.

- Bartek, nie denerwuj ty mnie! Coś się stało? Coś zrobiłam nie tak?

Mam się bać?

Nie dotykał jej, nawet nie siedział zbyt blisko, czuła jednak żar bijący od mężczyzny. Jego oczy były dziwnie zmrużone, a twarz napięta. W palcach nerwowo obracał

zapalniczkę.

- Nie. Coś się stało, ale wszystko zrobiłaś tak, a boję się ja. - Zaśmiał się cicho. - Właściwie to nawet fajne uczucie, nie pamiętam, kiedy ostatnio, i czy w ogóle, tak bardzo brakowało mi języka w gębie.

No, faktycznie coś się stało - próbowała powiedzieć Beti, ale słowa utknęły gdzieś w krtani, a z gardła wyrwało się tylko głębokie westchnienie.

Jego nastrój zaczął ogarniać również ją. Była kobietą i intuicyjnie wyczuwała, jaki temat chce poruszyć w rozmowie Bartek. Sama chciała.

Widziała jego ukradkowe spojrzenia, z rosnącym zdziwieniem obserwowała, jak zmienia się jego twarz, gdy myślał, że nikt go nie widzi. Znikała zawadiacka mina, a pojawiała się zamyślenie. Nie mogła wyjechać bez wyjaśnienia pewnych spraw, tak naprawdę jednak nie wiedziała, co właściwie chce wyjaśniać.

Poczuła podniecenie. Te rozkoszne motyle w brzuchu, których nie miała zamiaru już nigdy odczuwać. Po odrzuceniu przez Grześka i kosmicznym nieporozumieniu z Michałem obiecała sobie dystans. Nie chciała znów czuć się upokorzona. Nie chciała żadnych miłosnych uniesień ani emocjonalnego niepokoju. Nie chciała, żeby jakikolwiek mężczyzna patrzył na nią tak, jak teraz patrzy Bartek. Jakby była jedyną kobietą w całym wszechświecie. Nie chciała? Największe kłamstwo świata!

- Na szczęście nie wszystko trzeba wypowiedzieć słowami. - To nie był

głos Bartka. To był szum morza lekko podkreślony warkotem odpalanego silnika quada. - Czasami wystarczy chwila ciszy. Westchnienie z głębi duszy i to coś w oku kobiety, co daje nadzieję mężczyźnie.

Beata poczuła, że robi jej się gorąco. Wiedziała, że jej twarz przypomina teraz dojrzałego pomidora.

- Później - obiecał. Z widocznym wysiłkiem, jakby wbrew sobie, wstał z krzesła i skierował się w stronę wyjścia. Rozdygotana dziewczyna odprowadziła go wzrokiem.

Matko jedyna, jej córko i cała maso wnuków! Co ja robię?!

Z racji czekających nazajutrz podróży impreza była tylko lekko zakrapiana, ale nastrój panował iście szampański. Widać było, że grono bawiących się wspólnie ludzi zna się jak łyse konie i lubi nawzajem. Z każdej strony stołu dobiegał śmiech, a przekrzykujące się głosy dowodziły gorących dyskusji. Na środku wirowały w tańcu przedziwne pary. Chodzący mieszały się z niechodzącymi, tu i ówdzie samotny wózkowicz wymachiwał ramionami niczym opętany wiatrak, tworząc dookoła siebie pustą przestrzeń, którą jednak bardzo szybko zapełniali roześmiani ludzie, w okamgnieniu unieszkodliwiający zapamiętałego w tańcu (w tańcu?) szaleńca.

- Beti, dawaj na parkiet! - Jaga, ślicznie wyglądająca, z lekko zaróżowionymi policzkami, szarpnęła Beatę za ramię.

- Za nic - sprzeciwiła się dziewczyna. - Dalej uważam, że do tańca potrzebne jest gibkie ciało i nogi.

- Jesteś tego pewna? - zaśmiała się rudowłosa. - To

spójrz!

Beti popatrzyła w kierunku wskazanym przez przyjaciółkę. Albus posadził sobie na kolana jedną z dziewczyn z serwisu i przy akompaniamencie pisku swojej partnerki kręcił piruety niczym zwariowany bąk. Kawałek dalej Michał wywijał z Jolandą, a szprychy jej wózka migają w przyćmionym świetle lamp. Obok nich Lidka klaskała w dłonie, zagrzewając ich do jeszcze większych akrobacji.

- Musiałabyś widzieć, jak tańczą Michał i Lidka, gdy jeszcze była zwinna, szczupła i nie w ciąży - zaśmiała się Jaga. - Pewnie cierpi teraz, bidula, siedząc jedynie i kiwając się do rytmu.

Nic nie wskórawszy u upartej koleżanki, wróciła na parkiet i chwilę później, wspólnie z barmanem Jaśkiem, dawali pokaz godny najlepszych tanecznych lokali.

- Nie tańczysz?

Drgnęła, gdy tuż obok niej na krzesło opadł Bartek. Mężczyzna zniknął zaraz po uroczystej kolacji i choć z wysiłku prawie dostała zezą, do tej pory nie mogła go wypatrzyć.

- Nie. Ale ciebie też nie widziałam jeszcze w akcji.

- Czekaaj, zaraz zobaczysz - zaśmiał się chłopak. - Tylko proszę cię, nie śmieć się za bardzo. To też część tradycji.

- Co?

- Zobaczysz. - Uśmiechnął się tajemniczo.

Nie musiała czekać długo. Gdy zabrzmiały pierwsze tony jakiejś latynoskiej melodii, na sali zawrzało. Wszyscy tańczący usunęli się pod ściany, rozległy się gwizdy i

zachęcające wołania.

- Do boju! Do boju! Do boju!

Zaciekawiona Beti wyjechała zza stołu, bo tłumy ludzi zasłaniały pole widzenia. Na środku stołówki w równym rzędzie i według wzrostu ustawili się panowie. Michał stał na początku, Bartek był przedostatni. Na jakiś tajemny sygnał wszyscy razem obrócili się dookoła osi i rozpoczęło się przedstawienie. Tłuszcza szalała, gdy oni skakali, wymachiwali nogami i rękami, kręcili zalotnie biodrami i strzelali minami zgodnie z jakąś doskonale im znaną, skomplikowaną choreografią. Świetnie im to wychodziło. Równo, z wdziękiem i humorem. Beata była zachwycona i razem z innymi entuzjastycznie dopingowała Bartka . *Bartka? Rany boskie!* Jej oczy śledziły tylko i wyłącznie jego sylwetkę. Zachwycała się grą mięśni pleców, doskonale rysujących się pod jedwabną koszulą, siłą przedramion, gdy jedna z figur wymagała stania na rękach, swobodą i nonszalancją, lecz również pewnością i siłą, jakimi emanowało całe jego ciało. Po występie zakończonym wybitnie erotyczną figurą klaskała jak szalona i nie wiedzieć czemu, czuła dumę, jakby to ona sama, osobiście była odpowiedzialna za całe show.

- Brawo, chłopcy!

Podskoczyła, gdy obok niej wydarła się Lidka.

- Z obozu na obóz są coraz lepsi. - W jej głosie również brzmiała duma. - Widziałas, jak Michał zrobił ten ostatni skok? Mój chippendales!

Michał? Jaki Michał? To on też tam był?

- Widziałam - skłamała Beti. - Był naprawdę świetny.
- No, teraz odpowiedź naszych! - podjarała się ciężarna.
- Czuję w kościach, że będzie striptiz.

Melodia zmieniła się na spokojniejszą, a miejsce tancerzy zajęli panowie na wózkach. Zaczęli spokojnie, od zalotnych min, w odpowiedzi na które cała sala rżała ze śmiechu, i powłóczyłych spojrzeń rzucających w stronę kobiecej części publiczności. Gdy wolnymi, wystudiowanymi ruchami ściągnęli koszulki, rozległy się pierwsze piski, a gdy zakręcili nimi w powietrzu i rzucili w tłum, kobieca część widowni zamieniła się w prawdziwy armagedon. *Nie* - zmieniła zdanie Beti. - *To była maleńka burza*. Armagedon zaczął się, gdy panowie zgrabnie zsiadli z wózków, pozbyli się pasków od spodni i zaczęli trzaskać nimi niczym biczami. *Rany boskie!* Już widziała, jak dostaje w twarz metalową klamrą, i w panice zaczęła szukać czegoś, czym mogłaby się osłonić. Na szczęście paski nie poleciały w ślad za koszulami, tylko zostały bezpiecznie odłożone na bok.

W tłum poleciały za to poduszki z wózków. Było to tak nieoczekiwane, że na ułamek sekundy zaległa cisza, a wybuch entuzjazmu, jaki nastąpił potem, z całą pewnością obudził pół Kołobrzegu. Nie mogła uwierzyć, gdy zobaczyła Albusa wypinającego koło ze swojego wózka. Pozostali mężczyźni poszli w jego ślady i już za chwilę tuzin kół toczył się w stronę wrzeszczących w zachwycie kobiet, podczas gdy półnadzy, doskonale umięśnieni siedzący na gołej podłodze herosi prężyli torsy i błyskali zębami w stronę widowni.

Striptizerzy zostali nagrodzeni jeszcze chyba większymi

owacjami niż chippendalesi występujący przed nimi. Trochę im zajęło, zanim dopasowali pomieszane dokumentnie i rozrzucone po całej sali elementy garderoby, jednak przy odczecznej pomocy chodzącej części publiki odzyskali poduszki i koła i po skompletowaniu wózków wmieszali się w rozbawiony tłum.

Gdy Beata wróciła na swoje miejsce przy stole, jej uwagę przykuł świstek położony na jej talerzu. Rozwinęła rulonik. *Za piętnaście minut na hali B.*

Piętnaście minut. Jeszcze tyle czasu jej zostało, by się zastanowić. *Boże, co powinnam zrobić? Co mu powiedzieć? Iść za głosem serca czy zdrowego rozsądku? Postuchać własnych pragnień czy trzymać się logicznych założeń?*

Wiedziała, że wróbel z obciętymi skrzydłami nigdy nie poleci, choćby w snach szybował pomiędzy szczytami. Orła nie da się oswoić. Czy będzie szczęśliwy, jeśli zamkną go w klatce, choćby nawet miała ona pręty ze złota?

Choćby na własne życzenie? Przez rok, dwa może wytrzyma, mając za towarzystwo jedynie okaleczonego wróbla, może nawet będzie mu się to podobało. Z całą pewnością przyjdzie jednak dzień, gdy orzeł znów zapragnie rozpostrzeć skrzydła i polecieć tam, gdzie wróbel, choć nie wiadomo jak bardzo by się starał, nie będzie mógł mu towarzyszyć.

Rozdział 29

To niesamowite, jak małe wydaje się moje własne mieszkanie – pomyślała Beata, leżąc w łóżku. *Ale za to jakie wyro wygodne.* – Uśmiechnęła się w duszy, uklepując pod głowę poduszkę świeżo obleczonej, pewnie przez mamę, poszewką w stokrotki.

Gdy wszyscy w końcu rozeszli się do swoich domów, przez chwilę nie wiedziała, czym zająć ręce i głowę. Odwykła od samotności i wolnego czasu.

Cisza, choć z jednej strony upragniona po rwetesie tworzonym przez tłumy ludzi, przytłaczała niczym jakiś ciężki, omszały gład. Żadne odgłosy nie dobiegały z korytarza, nikt nie hałasował w łazience, zamiast krzyczących mew za oknem krakały wrony. Zrezygnowała z kąpieli, bo nie była pewna, czy zdoła o własnych siłach wygrzebać się z wanny, umyła twarz i zęby, wskoczyła w przygotowaną, też pewnie przez mamę, pidżamę i zapatrzyła się w okno. Przez chwilę myśli kotłowały się bezładnie w głowie, krążyły dookoła minionego dnia, ostrożnie wyciągały macki, aby dotknąć jutra, a w końcu wróciły do ostatnich chwil w Kołobrzegu. Do Bartka. Do jego słów, delikatnego

dotyku na policzku i jeszcze delikatniejszego pocałunku na pożegnanie. Beti uśmiechnęła się smutno. *Wybiorę odwagę, obiecuję ci – przysięgła Bartkowi. – Choćby nie wiem ile kłód zważyło się na mojej drodze, objadę je dookoła. Nie będę próbowała ich przeskoczyć. Po prostu objadę je dookoła, choćby zajęło mi to pieprzony tydzień. Lecz nie mogłam zamknąć cię w klatce, mój wolny ptaku, choć tak bardzo bym chciała. Wiem, że czujesz się zraniony, ale uwierz, kochany, za rok, dwa podziękujesz mi za to.*

A jutro będę spać do południa!

- Dobra. Słuchaj, najważniejsze są dwie rzeczy. Nie. Trzy. Nie, właściwie to cztery.

Anka nie dała Beacie pospać dłużej. Już po dziewiątej obudziła ją waleniem do drzwi. Gdy zaspana Beti wpuściła ją do domu, policjantka bezceremonialnie wpakowała się do kuchni z dwiema reklamówkami pełnymi zarcia i zaczęła szykować śniadanie.

- Mam nadzieję, że lubisz jajka na supertwardo, bo znowu nie wyszły mi na miękko. Jak ta cholerna Olka je robi?

- Może nie trzyma ich we wrzątku przez godzinę?

- Hahaha, zabawne. Wyłaź z tego kibla, mamy mnóstwo do obgadania.

Cała Anka - Beata już wiedziała, że nie będzie się dzisiaj nudzić. Straciła też nadzieję na spokojne i płynne osvajanie się z poobozową codziennością oraz marzenia pod tytułem „co by mogło być, gdybym nie była kaleką”.

Odwiesiła ręcznik i wyjechała z łazienki. Zerknęła na

kanapki. Żółtka miały dookoła wyraźne, sine obwódki, ale sałata wyglądała na kruchą i chyba nawet opłukaną z większości piasku. Anka właśnie zalewała wrzątkiem dwie kawy. Sam zapach odgonił resztki snu. Beti z przyjemnością wgryzła się w świeżą bułkę, drugą ręką sięgając po kubek.

- Boże, Anno! Jakaś cudowna przemiana nastąpiła w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Codziennie będziesz przychodzi i raczyć mnie śniadankiem?

- Boże, Beato! Jakoś zdurniałaś do reszty przez te dwa tygodnie! To jednorazowy występ. Nie wiem, czy zbyt długo przeżyłabyś na tych przegotowanych jajach.

Zaśmiały się do siebie i skupiły uwagę na posiłku. Przez chwilę przeżuwały w spokoju. Anka siorbnęła kawy.

- Tak jak mówiłam, najważniejsze są cztery rzeczy. Po pierwsze: mieszkanie. To twoje jest własnościowe? Możesz je opchnąć?

- Jeśli przeznaczysz mi jakiś pokój u siebie, to mogę. - Beti kiwnęła głową. - Ale nie ten główniany, mały pod schodami - zastrzegła, udając powagę.

- Patrz, właśnie o nim myślałam. - Ania skrzywiła się komicznie. - Ale jak nie chcesz tego, to mam inny pomysł. Nie myśl sobie, że my tu przez dwa tygodnie siedzieliśmy wygodnie na tyłkach. Uwijaliśmy się jak pracowite mróweczki, wspinając się na wyżyny logistyki.

- Nie wątpię. - Beti poczuła wzruszenie.

- No więc jest babka, która chętnie zamieni się z tobą na mieszkania.

Parter, bez schodów i nawet malusi ogródeczek ogrodzony ohydnyimi plastikowymi panelami. Tyle że to kawalerka i to spółdzielcza, a twoje jest dwupokojowe, to nie byłam pewna, czy się zgodzisz bez dopłaty.

- Boże, Anka! Pewnie, że się zgodzę. Nawet ja dopłacę. - Gdyby mogła, zerwałaby się z wózka i rzuciła przyjaciółce na szyję.

- No właśnie, wiedziałam. - Ania się skrzywiła. - Zero żyłki do interesu.

- Skrzywiła się jeszcze bardziej, ale jej oczy patrzyły z rozbawieniem. - Powiedziałam, że porozmawiam z właścicielką, ale raczej jakąś dopłatę będzie musiała zrobić. Zaproponowałam niewielką, żeby jej nie spłoszyć.

Zgodziła się na pięćdziesiąt tysięcy.

- Anka! - Beatę zatkało.

- Ale to dopiero gdzieś za miesiąc, bo babka jakieś tam formalności musi dopełnić czy coś. Sprawdziłam. Mieszkanie bez długów, szafu nie ma, ale coś tam Piotrek zadziała. Twoja mama pozwoliła mi ją tutaj przyprowadzić, wszystko jej się podobało, więc jeśli klepniesz, to tę sprawę mamy załatwioną.

- Klepię! Obiema rękami! - Beti poczuła łyzy w oczach. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozwiązywał się jej największy problem.

Rozwiewała się czarna wizja siedzenia w czterech ścianach, proszenia o pomoc, czekania pod klatką z zakupami w zębach, aż znajdzie się ktoś, kto zgodzi się wtarabanić ją, zakupy i jej wózek na cholerne czwarte piętro.

- Anka... Aniu... - Głos uwiązł Beacie w gardle. Nie znajdowała słów, żeby powiedzieć, jak wiele znaczy dla niej ta niesamowita wiadomość.

- Dobra, przestań. To tylko dlatego, że nie chce mi się śniadaniek codziennie przynosić. - Głos Anki był szorstki, ale Beti doskonale wiedziała, że przyjaciółka jest równie wzruszona jak ona sama. - Druga sprawa. Musisz mieć z czego to mieszkanie opłacać. W budynku, w którym Piotrek ma biuro, jest wolna suterena. Wcześniej była tam hurtownia spożywcza, ale oczywiście padła. Od dłuższego czasu lokal stoi pusty, więc właściciel budynku wynajmie go z pocałowaniem rączki. Od tyłu jest nawet zrobiony betonowy wjazd dla wózków widłowych czy innych taczek, którymi transportowano towar, więc z dostaniem się do środka nie będziesz miała najmniejszych problemów. Piotrek robi remont po kosztach. Obliczył, że spoko te pięćdziesiąt patyków wystarczy. Powinno nawet coś zostać.

- Hurtownię mam założyć?

- Możesz. Ale wolałabym, żeby znów zaczął funkcjonować mój ulubiony gabinet kosmetyczny w Choszczynie. I nie tylko mój. Wiesz, ile osób zaczepia mnie przy byle okazji i pyta, kiedy w końcu wrócisz do roboty?

- Anka... - Łzy już się nie czały. Płynęły dwoma strumyczkami po zaszokowanej, ale uszczęśliwionej twarzy Beaty.

- No co? Ty mi tu nie Ankuj, tylko spójrz na moje paznokcie! Rozpacz i tragedia. Ja zrobiłam sobie lewą rękę, a Mariolka usiłowała prawą. No, tragedia to za mało

powiedziane. Armagedon, panie! Armagedon! *À propos* Mariolki, jesteśmy umówione do niej jutro na obiad. Dzisiaj pojechała do Poznania na przysięgę Dawida. Dasz wiarę? Nasz malutki Dawidek został żołnierzkiem.

- Pewnie pozazdrościł cioci munduru.

- I powiem ci, że całkiem nieźle w nim wygląda. Mari dumna jak pawica.

Choć oczywiście ja wyglądam lepiej - dokończyła „skromnie” policjantka.

- Oczywiście.

Zmiana tematu uspokoiła emocje. Beti wysmarkała nos i wypija resztkę kawy. Skrzywiła się, bo ta wystygła już całkowicie i smakowała gorzej niż bezalkoholowe browary w Kołobrzegu. Włożyła oba kubki do zlewu.

- Aż się boję, co dalej - zwróciła się ponownie do przyjaciółki z podnieceniem, ale i obawą.

Anka wygodniej rozparła się na krześle.

- Auto. Musisz kupić nowy samochód. Przez jakiś czas możemy porobić jako twoje prywatne taksówki, ale sama wiesz. Nie ma to jak samowystarczalność. A z tego nowego mieszkania do pracy będziesz miała niezły kawał. To mieszkanie jest na prawdziwym zadupiu, aż za mostem kolejowym, ale za to tuż pod blokiem masz pola rzepaków i las na horyzoncie, więc widok wiejsko-sielski. Oczywiście pod warunkiem, że wywalisz te panele. Możesz wziąć w leasing. Auto znaczy. Ajron wypatrzył nawet niezłego automata. Nic wielkiego, golfik, ale na początek wystarczy. - Spojrzała na Beatę. - No, oczywiście nie musisz go brać,

możesz poszukać czegoś innego, ale ten jest całkiem, całkiem. Już zrobiłam jazdę próbną.

Matko! Chciałam wcisnąć sprzęgło i jak przyrznęłam dyńką w kierownicę...

- Anka, przestań trajkotać. Przecież widzę, że z czymś się czaisz. Gadaj.

- No dobra. - Policjantka wzięła głęboki wdech. - W przyszły weekend w mieście odbędzie się plenerowy Dzień Dziecka. Policja jest jednym z organizatorów. Zapisalam cię na ochotnika do malowania twarzy.

- Co? - Beti wytrzeszczyła oczy. - Zwariowałaś?

- No *sorry*. Ja nie umiem, Olka odmówiła, Mariolka jest beztalenciem.

W końcu to twój zawód, nie?

- A czy tylko my cztery mieszkamy w Choszczynie? Nie ma innych kosmetyczek?

- Beti, weź ty mnie nie wkurzaj! - Anka przeszła do ataku. - Skoro ja mogę publicznie paradować przebrana za jakiegoś grubego, żółtego Stopka, który uczy dzieci, jak przechodzić przez ulicę, a do tego z niezrobionymi paznokciami, to ty możesz się poświęcić i porobić za Picassa. Wykaż trochę obywatelskiego zaangażowania.

- Ale za tydzień? Przecież ja dopiero przyjechałam z tego przeklętego Kołobrzegu! - Sama słyszała, że jej argument brzmi trochę bezsensownie.

- No i co? Przez tydzień będziesz się wypakowywać? Czy może musisz przejść jakąś kwarantannę? Zaraziłaś się czymś na tym kursie? - Anka od razu rozgryzła rozterki Beaty i

może właśnie dlatego była taka nieustępliwa i bezlitosna. -
Aaa. Ludzi się dalej boimy?

- Spadaj.

- Jak przyklepiesz.

- Dobra. - Beti wiedziała doskonale, że nie mogła odmówić. Wiedziała też, że Anka celowo zostawiła tę nowinę na koniec. Mimo woli uśmiechnęła się z niechętnym podziwem. - Zdajesz sobie sprawę, że wiem doskonale, iż zostałam właśnie ofiarą twojej makiawelicznej przebiegłości?

- Oczywiście. Kocham cię. - Anka wyduła usta i przesłała Beacie buziaka.

- Spadaj.

- Klepiesz?

- A mam inne wyjście?

- Nie masz.

- Klepię - poddała się Beti. - Ale wcale mi się to nie podoba.

- Daję słowo, że ci się spodoba. - Anka roześmiała się radośnie, a Beata poczuła zbliżającą się nieubłaganie panikę. Sądziła, że uporała się już ze strachem przed ludźmi. Przed ich spojrzeniami, współczuciem, a nade wszystko litością. Jasne, w gronie innych, takich samych jak ona dziwołagów na wózkach, a dodatkowo wśród obcych było dużo łatwiej. Tutaj musiała zmierzyć się ze spojrzeniami ludzi, których znała całe życie. Którzy znali ją.

- Dobra - powtórzyła, udając spokój. - Możemy jechać oblukać to mieszkanie?

- Jasne. - Anka odetchnęła z ulgą. - Spodziewałam się, że

będziesz bardziej oporna. Spijemy kawę i jedziemy.

Mieszkanie było niczym ze snu. Małe, nieustawne, z linoleum na podłodze i nieszczelnym oknem. Klatka schodowa nie miała za to ani jednego stopnia, w łazience była kabina prysznicowa, a kuchnia otwarta na niewielki pokój pozwalająca swobodnie manewrować wózkiem. I to wyjście na miniogródeczek! Porośnięty pokrzywami i trawą po pas, ale oczami wyobraźni Beti już widziała, jak ustawia na parapecie doniczki z białymi pelargoniami i obłądnie pachnącym heliotropem. Z łatwością zwizualizowała sobie kącik wypoczynkowy z małym stolikiem i leżakiem. Czowała zapach kawy spokojnie sączonej na świeżym powietrzu. I te rzepaki wiosną...

Lokatorka mieszkania, tleniona blondyna w wysokiej ciąży, była równie zadowolona z wcześniejszej inspekcji w mieszkaniu Beaty, wydawało się więc, że transakcja powinna odbyć się bez problemów. Czekwała tylko na powrót męża, który pracował obecnie na jakiejś budowie w Niemczech, zapewniała jednak, zarówno Ankę, jak i Beatę, że małżonek dawno już wspominał o zamianie mieszkania na większe lokum i podczas telefonicznej rozmowy w pełni poparł zamiary żony.

Czyli tylko czekać – pomyślała Beti, kładąc się do łóżka. – Boże, żeby ten czas zleciał jak najprędzej. Jeśli Barański jeszcze raz potknie się na schodach, trzymając mnie na rękach, to dostanę zawału!

- Nie wierzę! No nie wierzę, że mogłaś to zepsuć! - Jurek

darł się jak opętany.

Małżeństwo Mężyków nawet nie zauważyło ich wejścia. Zaperzona Mariolka stała z rękami bojowo opartymi na biodrach, a Jurek siedział przy stole i z wściekłą miną wpatrywał się w komputer.

- Prosiłam, żebyś sam to zrobił, to nie! Jak zwykle zwalasz wszystko na mnie, a później masz pretensje!

Jerzy z trzaskiem zamknął laptopa.

- Zdajesz sobie sprawę, że zepsułaś wspomnienia z najważniejszego dnia w życiu mojego syna? Cześć, dziewczyny. - Zerknął na wchodzące Ankę i Beatę i dalej darł się na Mariolę. - Gdybym wiedział, że jesteś aż takie beztalencie, to z pewnością zrobiłbym to sam!

- Uups - odezwała się Anka. - Czyżbyśmy trafiły na zły moment?

- Spoko. Ja wychodzę - oznajmił Jerzy, po czym zrealizował swoją groźbę, czy też obietnicę, i wyszedł z domu, głośno trzaskając drzwiami.

- Uups - powtórzyła Anka, tym razem zwracając się do Marioli. - Jureczek znowu zaczął fikać?

- Nie. - Mariola ciężko usiadła na sofie. - Ma rację. Schrzaniłam to.

- Ale co?

- Czekał, najpierw włączcie. Kawy? - Nieco zgnębiona poszła do kuchni, a Anka i Beti rozgościły się w salonie. Po chwili dobiegł je aromatyczny zapach. Mariola przyniosła dzbanek espresso, trzy filiżanki oraz talerz z kruchymi ciasteczkami.

- Co schrzaniłaś? - Anka nie bawiła się w ceregiele.

- No dobra - poddała się Mari. - Wczoraj byliśmy na przysiędze u Dawida. Mówiłam ci, że młody poszedł do wojska? - zwróciła się do Beaty.

- Anka coś wspominała - potaknęła Beti.

- No właśnie. Skończył studia, poskładał papiery w kilkunastu biurach i dupa błada. Jedyne, co mu proponują, to kasa w supermarkecie albo magazynier w El-Pomie. Niby takie zapotrzebowanie na młodych ludzi po ścisłych kierunkach, a tu patrzcie. - Gospodyni się zasepiła. - Ku mojej rozpaczy już zaczynał rozważać wyjazd za granicę, gdy Jurek podsunął mu pomysł z wojskiem. Dawidowi przypasowało, zdał testy, psychologów i tych innych mądralińskich i oto odsłużył już miesiąc.

- No co ty mówisz - zdziwiła się Anka. - A zdawało mi się, że ledwie wczoraj wyjechał. Jak ten cholerny czas leci. Stare baby już jesteśmy - stwierdziła, przyglądając się sobie w lustrze i naciągając palcami skórę wokół oczu, co upodobniło ją do mieszkanki kraju kwitnących wiśni. - No, oprócz Beaty, niestety. - Wykrzywiła się do przyjaciółki.

- Fakt - potwierdziła Beti. - Ja tam dosłownie kilka tygodni temu pampersy nosiłam.

- *Touché!* - Mariola zaklaskała w dłonie.

- No, niezła riposta - zaśmiała się Anka - zaskoczyłaś mnie.

Jeszcze dwa miesiące temu nie umiałabym zażartować z własnego kalectwa - przyznała w duchu Beti.

- Kontynuując, wczoraj rano odbyła się przysięga. -

Mariolka naląła kawy sobie i przyjaciółkom. – Podepchaliśmy się pod samą taśmę, aby mieć doskonały widok na naszego jedynaka. Tłumy ludzi, na niebie ani jednej chmurki i skwar niebotyczny.

Prawda – pomyślała Beti. Czerwiec był wybitnie gorący. Ludzie chodzili półnago, a jadąc wózkiem po ulicach, czuła, jak koła zagłębiają się w miękkim asfalcie.

– W końcu nadeszli. Cztery pułki elewów, poprzedzani orkiestrą i kompanią honorową. No to buch! kamera w ruch. Dawid służy w piątym pułku inżynieryjnym w Szczecinie – dodała wyjaśniająco. – Wyglądali pięknie. Przystojni, wyprostowani, maszerowali prężnym krokiem jak jeden mąż. I, kurna, wyglądali jak jeden mąż. Identycznie. Byłam pewna, że serce matki od razu odnajdzie swoje dziecię, ale gdzie tam. Wybałuszałam oczy jak pompowana ropucha, przeszukiwałam wzrokiem każdy rząd, ale wszyscy wyglądali jednakowo. W końcu Jurek go wypatrzył. Chwilę zajęło, zanim wytłumaczył mi porządnie, gdzie stoi Dawid, ale od tej chwili nie spuszczałam wzroku z mojego syna.

Beti uśmiechnęła się, usłyszawszy dumę w głosie przyjaciółki.

– Machałam do niego, wykonywałam różne porozumiewawcze ruchy, aż mnie Jurek opierdzielił, a młody nic. Jak skała. – Duma matki osiągnęła niewyobrażalne rozmiary. – Stałam w lekkiej bluzce i przewiewnej spódnicy i czułam, jak mi się włosy do łba kleją, a pot po karku leci. Dwie myśli miałam. Jedna to jak ci biedni żołnierze w tych galowych mundurach wytrzymują, a druga to po cholere

fryzurę sobie robiłam. – Westchnęła ciężko na wspomnienie wyrzuconej w salonie fryzjerskim stówy. – Jak zagrali hymn, to się popłakałam – zwierzyła się przyjaciółkom. Ani jednej, ani drugiej nie zadziwił ten jakże oczywisty fakt. Mariolka potrafiła ryczeć nawet podczas oglądania wieczornych wiadomości. – Gdy młodzi żołnierze zaczęli powtarzać słowa roty, zrobiłam przybliżenie na twarz Dawida. Pod słońce słabo było widać i nagrywałam tak trochę na oko. Odruchowo powtarzałam razem z nim.

Ja żołnierz Wojska Polskiego przysięgam służyć wiernie Rzeczypospolitej Polskiej, bronić jej niepodległości i granic.

Stać na straży Konstytucji, strzec honoru żołnierza polskiego, sztandaru wojskowego bronić.

Za sprawę mojej Ojczyzny w potrzebie krwi własnej ani życia nie szczędzić.

Tak mi dopomóż Bóg.

– Przy krwi własnej i życiu zalewałam się już łzami jak zawodowa płaczka. Jurek oczywiście musiał komentować: „Ciekawe, jakiej konstytucji, lewicowej czy prawicowej..., młodych do boju, a sami siedzą i w stołki pierdzą”, wiecie, jak to Jurek.

Beti nie bardzo wiedziała, bo nie знаła Jerzego z tej strony, ale Anka gorliwie potakiwała głową.

– Mogę sobie wyobrazić. Trzeba go było zdzielić.

– Nie miałam czasu – usprawiedliwiła się Mari. – Nagrywałam. Po jakiejś godzinie mogłam przytulić syna do

piersi i wróciliśmy do domu.

- A właśnie... - zainteresowała się Beata. - Gdzież to nasz młody bohater?

- Weź... - zniesmaczyła się Mariolka. - Z samego rana pognął do Wiatraków po Zuzannę i pojechali na biwak. Myślałam, że choć trochę w domu posiedzi.

- No proszę cię! - sprzeciwiła się Anka. - Bo każdy normalny mężczyzna wolałby spędzić kilka wolnych chwil z matką niż z dziewczyną. Dziwne by było, gdyby nie pognął - dobiła przyjaciółkę. Mari zamilkła na chwilę, a Ance zrobiło się trochę głupio. Beti z ciekawością obserwowała rozwój sytuacji.

- Widziałam dziś rano Dawida. Boże, jak on zmarniał! - Policjantka postanowiła podejść matkę psychologicznie.

- No! - zgodziła się Mariola, z powrotem zaaferowana. - Jak przebrał się w cywilki, to dzinsy ręką musiał biedaczek trzymać, bo z chudego dupska mu spadały.

- Ale przejdźmy może w końcu do puenty - zaproponowała Beti, obawiając się, że Mari kolejny raz się rozgada. - Co spieprzyłaś?

Mariolka znów się naburmuszyła.

- No... tuż przed waszym przyjściem Jerzy wgrał filmy do komputera.

I okazało się, że przez cały czas nagrywałam całkiem obcego faceta.

- Co?! - Anka wybuchnęła śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne! - wykrzyknęła oburzona Mari. - Mam ponad pół godziny filmu z jakimś baranem, a

mój własny syn załapał się tylko na jeden kadr. I to przez przypadek. Wariatki! – podsumowała, patrząc spod byka na rżące zgodnie przyjaciółki. Po chwili jednak dołączyła do nich i wszystkie trzy śmiały się jak szalone. Jeszcze bardziej rozbawił je Jurek.

- Naprawdę to takie śmieszne, że Mariolka na starość straciła wzrok? – Wszedł do domu i nieomylnie odgadł powód rozbawienia rechoczących kobiet. Nie uzyskawszy odpowiedzi, wzruszył tylko ramionami nad niezrozumiałym babskim zachowaniem i wyszedł.

- No, ale opowiadaj, Beti. Jak było? – zapytała Mariolka, gdy tylko przestały chichotać. – Schudłaś.

- Przy takim planie dnia nie dało się nie schudnąć. Zapierdziel od rana do wieczora i choć żarcie dobre, to człowiek myślał tylko o tym, żeby wziąć prysznic i iść spać.

- Kochana, znam doskonały sposób na apetyt – wtrąciła się Anka. – Przejdź na jakąś dietę, od razu zaczniesz myśleć tylko o żarciu. Znam to z autopsji. Po bliźniakach zostało mi cztery kilo i za cholere nie mogę zrzucić. A po każdej diecie mi przybywa zamiast ubywać – poskarżyła się żałośnie.

- Dobra, olał twoje wyimaginowane kilogramy. – Mariolka była bez serca. – Beti, poznałaś tam kogoś ciekawego?

- No jasne. Wielu fajnych ludzi.

- Blee, nie pytam o ludzi, tylko o człowieka. Jednego.

- Mari!

- Co: Mari? A zapomnieliście już, jak mnie na siłę z Ajronem swatałyście? A później koniecznie chciałyście

pogodzić z Jerzym? Tak to już jest, że najciekawsze są zawsze sprawy damsko-męskie.

Gdyby rozmówcą był ktoś inny, Betti być może poczułaby niesmak. Może wkurzyłaby się niestosownym pytaniem i trywialnością rozmowy. Wiedziała jednak, że przez Mariolę nie przemawiają wścibskość czy płytką ciekawość, ale prawdziwa troska. Troska o to, czy przyjaciółka się otrząsnęła po traumatycznych przejściach z Grzegorzem. Czy jej serce jest gotowe na nowe znajomości, nową bliskość, może nową miłość. Czy znów potrafi zaufać, otworzyć się, uwierzyć.

- Nie wiem - odpowiedziała ostrożnie. - Jest ktoś, o kim myślę z sympatią, i ten ktoś myśli o mnie, ale za wcześnie mówić tu o sprawach damsko-męskich.

Zresztą zerwałaś to, zanim miało szansę się rozwinąć, durna masochistko - dopowiedziała w myślach.

- Całkiem prawdopodobne jest również to, że on potraktował mnie jako miłą wakacyjną miłostkę.

Już mówiąc te słowa, Beata poczuła swoisty wyrzut sumienia. Wydało jej się nagle, że skrzywdziła Bartka swoimi słowami. Że zarzucając mu frywolność i swobodne szastanie poważnymi słowami, zachowała się wobec niego zdecydowanie nie fair.

- Może i schudłam, ale za to jakie mam bicepsy! - Postanowiła zażartować i nie dać się wciągnąć w poważną rozmowę. - Jeśli Ola potrzebuje kogoś do klepania kotletów, to jestem do dyspozycji.

Wieczorem sprawdziła skrzynkę mailową. Kilka niezobowiązujących do odpowiedzi pozdrowień od Mirki, Igi i Teresy, miły list od Lidki i Michała, kilkanaście reklam. Nic od Bartka. Ani jednego malutkiego pieprzonego słówka. Kolejny raz sprawdziła komórkę. Nic. To prawda, że zakazała mu kontaktu. Miał nie dzwonić, nie pisać, nie mailować, nie myśleć. Miał nabrać dystansu i poczekać, aż opadną emocje. Miał jej zaufać, uzbroić się w cierpliwość i poczekać na jej krok. Matko jedyna! To było idiotyczne, kretyńskie i kompletnie bez sensu, ale tak bardzo czekała...

Rozdział 30

Tydzień przeleciał jak burza. W poniedziałek wypisała się od swojego lekarza rodzinnego, bo doktor Jenda, który prowadził ją od prawie dziesięciu lat, miał gabinet, do którego nie mogła się dostać. Co z tego, że miejski ośrodek zdrowia był wyposażony w windę, skoro Jenda miał gabinet na półpiętrze, które owa winda omijała z wielkim hukiem. Musiała poszukać nowego lekarza, kierując się całkiem innymi kryteriami. Priorytetem nie był człowiek, lecz miejsce przyjmowania pacjentów. Boże! Długo nie mogła dojść do siebie po wizycie w choszczeńskim PCPR. Owszem, tam również była winda, ale po klucz do niej trzeba się było zgłosić do sekretariatu na pierwszym piętrze. Musiała wrócić na ulicę i czekać na zmiłowanie. Na szczęście bardzo szybko napatoczył się jakiś młody człowiek, który wszedł po schodach i po chwili wrócił z bardzo niezadowoloną panią sekretarką.

Pewnie zakłócił jej jakąś bardzo ważną czynność. Przerażliwie skrzypiącą windą wjechały na trzecie piętro i naburmuszona kobieta wskazała petentce odpowiednie drzwi. Za biurkiem siedziała kolejna, nienagannie ubrana,

urzędniczka, która przeczytała wniosek o dofinansowanie remontu mieszkania i odłożyła go na wierzch pokaźnej kupy papierów.

- Oczywiście, ma pani prawo do dofinansowania robót związanych z likwidacją barier. Czy jednak ma jakikolwiek sens składanie wniosku, skoro nawet nie ma pani jeszcze tego mieszkania? - Wyćwiczonym ruchem zdjęła okulary i odłożyła je na biurko. - Musi się pani liczyć również z faktem, że mamy bardzo wiele wydatków, a niewielkie środki. - Uśmiechnęła się zdawkowo. - O decyzji poinformujemy panią pocztą. Do widzenia.

W czwartek około godziny dziesiątej rano zadzwonił jakiś facet ze szczecińskiego NFZ-etu z miłą informacją, iż wniosek na parapodium ma wpisany nieprawidłowy kod, w związku z czym nie może zostać zrealizowany. Bluzgi, jakie posypały się na doktora Jendę, usłyszał na szczęście tylko pies sąsiadów. Zachciało jej się wycić razem z nieszczęśliwym pudlem Majewskich. Tyle zachodu. Musiała błagać obrażonego Jendę, żeby wypisał jej ten cholerny wniosek, mimo że rezygnuje z jego usług. Jurek wnosił ją na cholerne półpiętro, Mariolka specjalnie fatygowała się na pocztę, żeby cholerny wniosek wysłać priorytetem, a durny Jenda źle go wypełnił. *Srał pies to durne parapodium* - postanowiła. - *Po cholere mam stać w jakimś żelastwie, skoro i tak nie będę już chodzić?* Potrząsnęła głową, starając się nie słuchać złośliwie pojawiających się w podświadomości słów Michała o konieczności pionizacji, o pracy serca, nerek i innych mądrości, którymi faszerował ją w szpitalu. *Bujaj się, Feluś* -

wygnała rehabilitanta ze swoich myśli.

W piątek była już tak zmęczona kłodami, jakie padały pod koła jej wózka, że nawet nie za bardzo stresowała się festynem. Jednak gdy po śniadaniu wpadła Anka z wielkim pudłem pełnym przeróżnych gadżetów, nerwy odezwały się ze zdwojoną siłą.

- Słuchaj, na trzynastą będzie okej? Pogoda ma się utrzymać, więc na pewno ściągną tłumy. Fajnie, nie?

- Super. Zajebicie - mruknęła pod nosem Beti, mając nadzieję na coś zupełnie odwrotnego.

- W tym kartonie oprócz malowideł, pędzli, gąbek i innych dziwnych rzeczy masz też różne wzory. Olka wyszperała w necie. Jakies księżniczki, wróżki, misie. Takie tam. To się podszkol, żeby dzieciaki nie zaczęły ci robić awantur. - Ania szurnęła pod stół pudło. - A dzieciary to najbardziej wymagająca klientela, mówię ci. Przekonałam się o tym na własnej skórze.

Pamiętasz moje wystąpienie o narkotykach w szkole Hanki sprzed kilku lat?

- Wzdrygnęła się z przerażeniem. - Do dziś mam koszmary.

Beti pamiętała doskonale. Dzieciaki olały kompletnie temat wykładu i ośmieszyły policjantkę serią całkiem nieprawdopodobnych pytań. Ance rzadko zasyczało w ustach. Na jedno słowo rozmówcy odpowiadała dziesięcioma, jednak dwudziestoosobowa grupa siedmiolatek okazała się nie do przegadania.

- No proszę. A mnie wysyłasz na pożarcie, Brutusie ty

jeden!

- Oj tam, oj tam. Bo jak nie ty, to kto? - Anka sparafrazowała słowa znanego przeboju i przeszła do konkretów: - Masz przygotowane stanowisko obok stoiska z książkami dla dzieci. Fajne babki, jakby co, to ci pomogą.

Około dwunastej trzydzieści przyjedzie po ciebie Piotrek, bo ja już zaraz muszę tam lecieć, Ajron weźmie Jasia i Małgosię, a dziewczyny ogarną swoje stadka. To spotkamy się wszyscy na plaży. Pa!

- Czeka! Anka, czeka! - Beti miała jeszcze ze sto pytań, lecz huk zatrzaśniętych drzwi zasugerował jej, że na niezadane pytania odpowiedzi musi udzielić sobie sama.

No więc, pani kosmetyczko, malarko dziecięcych twarzyczek, jak zjedziesz po schodach prowadzących na plażę? Czy jak już starabanisz się na dół, wszyscy zaczną bić brawa? Co odpowiesz, jak będą cię pytali, kiedy wstaniesz na nogi? Czy zrobisz przedstawienie, gdy zaczną ci współczuć i mówić, jaka to ty biedna jesteś? O matko! A jak przyjdzie stara Marciniakowa i zacznie nawijać, że to kara za grzechy? Czują, że jeszcze chwila i znowu zaczną uważać się nad sobą. Odepchnęła więc kłębiące się w głowie pytania i zajęła się sprawami bardziej praktycznymi. Jak w ogóle wpakować ten cały majdan do plecaka?

Podjechała do pudła i zabrała się do przeglądania jego zawartości. No, dziewczyny rzeczywiście się postarały. Było tam wszystko, co potrzebne.

Kredki i cienie we wszystkich kolorach tęczy, szminki i błyszczki, aplikatory i pędzle różnej grubości. Gąbki do

podkładów, sztuczne piegi i muszki, cekinowe serduszka i gwiazdki. Słowem – skarby dla każdej kobiety, niezależnie od wieku. Beti postanowiła poukładać sobie to wszystko logicznie i skierowała wózek do łazienki, gdzie palnięte niedbale do szafki leżały jej kosmetyczki, segregatory, kuferki z przegródkami i reszta sprzętu, którego od tak dawna nie używała.

Na miejscu okazało się, że nie taki diabeł straszny, jak go sobie wyobrażała. Na wielkim plakacie przedstawiającym małą blondyneczkę z twarzą kota namalowana grubą linią strzała wskazywała stolik ustawiony na biegnącym wzdłuż płotu chodniku. Polbruk był nieco wyszczerbiony, ale Beti bez problemu dojechała na miejsce swojej kaźni. Piotrek położył na blacie kosmetyczne tobołki.

- Poradzisz sobie, nie? - W jego głosie brzmiał lekki wyrzut sumienia. - Olka jest tu gdzieś z dziewczynami i jak znam życie, już jest wściekła. Hanka chce w prawo, Miśka w lewo, jedna chce loda, druga na karuzelę... Wiesz, jak to jest.

Nie wiedziała na szczęście, ale znała obie młode panny Sikorówny i z łatwością mogła to sobie wyobrazić.

- Spoko. Dam radę.

- Super. Zobaczymy się później.

Z westchnieniem, które raczej nie sugerowało ulgi, Piotrek pognał na poszukiwanie swojej rodziny, a Beti z zainteresowaniem rozejrzała się dookoła. Po plaży snuły się tłumy ludzi. Jedni spacerowali spokojnie brzegiem jeziora, inni zaglądali z ciekawością do licznie rozstawionych

namiotów i zatrzymywali się przy stoiskach z wszelakim dobrem. Matki próbowały utrzymać wyrywające się dzieci, a tatusiowie już ustawiali się w kolejkach po piwo i szaszłyki. Na scenie produkował się jakiś zespół.

Długowłosi gitarzyści usiłowali za wszelką cenę zagłuszyć ogłupiającą melodyjkę grającą w wesołym miasteczku. Zza otwartych na oścież drzwi restauracji dobiegała muzyka z włączonego na full radia. Kakofonii dopełniały wesołe ryki grup nastolatków. Beti uśmiechnęła się do siebie.

Zapomniała już, kiedy była na podobnym spędzie.

- Dzień dobry. - Kiwnęła głową kobietom z księgarni Jednorożec, ustawiającym na swoim stole ekspozycję z bajecznie kolorowych książeczek, i zajęła się wypakowywaniem własnego sprzętu.

- Proszę pani, ja bym chciała być takim kotkiem jak na plakacie.

Beti podskoczyła. Zajęta pracą nie zauważyła, że już ma pierwszych klientów.

- A ja bym chciała wróżką!

- Spider-Manem!

- Kosmitą! Ale nie takim normalnym zielonym, tylko fioletowym!

- Dobrze. - Uśmiechnęła się do dzieci. - Pomaluję was, jak tylko chcecie, ale musicie ustawić się w kolejkę. - Zwróciła się do małego rudzielca: - Ty byłaś pierwsza, siadaj tutaj, na tym krzeselku.

Zabrała się do malowania. Reszta dzieci pognęła do

stoiska obok, ciągnąc za sobą matki, które pomimo względnie wczesnej pory już miały w oczach lekki obłęd.

- Mamo, mammo! Kup mi tę książeczkę, tę o ciężarówkach, proooszę!

Przez godzinę wymalowała piątkę maluchów. Piski zachwytu, wydawane przez ozdobione finezyjnie usteczka, sprawiały Beacie niekłamaną radość. Gratulacje od zadowolonych rodziców zwiększały jej wiarę we własne umiejętności. Poczula się jak ryba w wodzie. Malowała motylki i księżniczki, wampiry i zombie, trupie czaszki i piratów. W jednym tylko momencie poczuła konsternację.

- Ja bym chciał być terrorystą.

- Miłosz! - Matka kilkuletniego, na oko może sześćioletniego, chłopca poczerwieniała. - Pająka sobie narysuj albo pirata.

- Nie chcę jakiegoś głupiego pająka. Ja chcę być terrorystą!

- Miłosz! Matko jedyna, czy ty nie możesz być jak inne dzieci? Pająka, mówię!

- Sama sobie pająka narysuj! Terrorysta, terrorysta! - Dzieciak zaczął drzeć się wniebogłosy.

Rany boskie, on żadnego makijażu nie potrzebuje, już jest terrorystą! - przemknęło Beacie przez myśl. Choć chciało jej się śmiać, ze współczuciem popatrzyła na zażenowaną matkę.

- Dobrze, zrobimy terrorystę. Tak? - upewniła się, zwracając się nie do gówniarza, tylko do coraz bardziej czerwonej kobiety, która w odpowiedzi tylko bezradnie

potaknęła głową.

Matko! Jak mam zrobić terrorystę? Zanim zdążyła coś wymyślić, dostała od chłopca dokładne wytyczne: – Niech mi pani namaluje takie czarne kreski na oczach i pas szahida na czole. Turban sam sobie zrobię. Z ręcznika.

Matko jedyna! Jak wygląda pas szahida?

– Z pasem będzie ciężko, nie mam odpowiedniej kredki – zablefowała. – Bomba na policzku może być?

– No dobra – zgodził się niechętnie gówniarz.

Rany boskie! Zerknęła jeszcze raz na matkę, ale wobec braku sprzeciwu zabrała się do spełniania życzeń małego despoty. Gdy zadowolony terrorysta odbiegł, ciągnąc za sobą wymęczoną matkę, Beti odprowadziła ich wzrokiem. Zauważyła, że panie z księgarskiego stoiska robią to samo.

– Boże, co za czasy. – Pani Maria, szefowa choszczeńskiej księgarni, z dezaprobatą pokręciła głową. – Wszędzie trąbią o zamachach, śmierciach, wybuchach, to nic dziwnego, że i do dzieci dociera. Ale żeby przebierać się za terrorystę? Muszę iść się napić. Pani Beatko, przynieść coś pani?

W jednym ze stoisk widziałam bardzo zachęcająco wyglądającą lemoniadę własnej roboty. Czy może woli pani kawę?

– Och tak. Oddałabym ze dwa dni życia mojej byłej nauczycielki łaciny w zamian za filiżankę kawy. Pani Mario, z wielką przyjemnością.

– Z filiżanką może być problem – zaśmiała się kobieta. – Dzisiaj królują plastiki.

– Trudno, może być i plastik, oby tylko zawierał kofeinę.

Chyba wszystkie dzieci były już pomalowane, bo przy stoliku Beaty zrobiło się pusto. Czekając na panią Marię i upragnioną kawę, ponownie rozejrzała się po plaży. Zatrzymała wzrok na znajomych postaciach. *O, Jolka.*

Fajnie jej w tej nowej fryzurze. W odróżnieniu od Mańki. Boże, kto jej zrobił taką krzywdę? Sprzedawczyni z osiedlowego sklepiku. Już nie dla mnie dzięki trzem stopniom bez poręczy. Baśka z obuwniczego. Też magiczne trzy schodki. O rany, Marciniakowa! Ubrana w nieśmiertelną garsonkę i słomkowy kapelusz, burą plamą odcinała się na tle kolorowych tłumów.

Beata szybko odwróciła głowę, aby spojrzeniem nie przyciągnąć osiedlowej dewotki.

- Beti? Stara! Jak się cieszę!

Tuż obok stała Ela. Jej dawna pracownica wyglądała na szczerze uradowaną widokiem koleżanki.

- Wracasz do zawodu? - dodała z nadzieją, patrząc na malowidła porozkładane na stole.

- Och, to chałtura dla Anki.

- No i super. Podszkolisz się na bachorkach i łatwiej ci będzie robić wieczorowe makijaże dla bardziej wymagającej klienteli.

- Żartujesz? - Dziewczyna zaśmiała się szczerze. - Czy któraś z wymagających klientek zażyczyłaby sobie paszahida na czole?

Wieczorowe makijaże to pryszcz w porównaniu z wymaganiami tych dzieciaków.

- Może i tak. - Ela zawtórowała jej śmiechem. Po chwili

spoważniała. - Szkoda. Tęsknię za naszym gabinetem.

Nastał moment krępującej ciszy. Beti poczuła, że też tęskni. Tęskni za swoim fotelem z fioletowymi podłokietnikami. Za zapachem lakierów i odżywek do paznokci, za brzęczącym cicho w tle radiem, uśmiechami zadowolonych klientek i pogaduchami z Elą.

- Co teraz porabiasz?

- A, różnie. - Fryzjerka się skrzywiła. - Jakiś czas pracowałam z Kowalską, później z Maciejewską, wiesz, tam za dworcem. Teraz u Blanki.

- U tej wariatki?

- No. Wariatka to za mało powiedziane. Wiesz, jaki numer mi ostatnio odwaliła? Umówiła mi klientkę na pasemka na siódmą rano. Przychodzę, patrzę - nie ma kobiety. Czeka tylko pani Skura, ta z mięsnego. Mówię jej, że teraz niestety nie dam rady, bo mam umówione pasemka. Poburczała coś pod nosem o bajzlu i braku organizacji i poszła niezadowolona. Czekam, czekam, tamta nie przyszła. Dzwonię więc do Blanki i pytam, czy to na pewno na dzisiaj i czy na pewno dobre nazwisko, bo była klientka, ale o nazwisku Skura. „Oj!”, piszczy mi menda do słuchawki. „To właśnie ta była, tylko zapomniałam nazwiska. Kojarzyłam, że coś z błędem ortograficznym i z kurą. Ale wiele się nie pomyliłam, nie?” I odłożyła słuchawkę, bladź jedna. A wiesz, co było w zeszycie? Zamiast Barbara Skura - Barbara Rosuł, przez u zwykłe. I jak tu takiej bladzi nie zabić?

Mimo że historia nie była opowiadana jako anegdota, Beti wybuchnęła śmiechem.

- Nieźle. Co pani Rosołowa na to?

- No co. - Wbrew sobie Ela też zaczęła się śmiać. - Zadzwoiłam, przeprosiłam, dałam rabat i wciąż mam klientkę. Na wszelki wypadek nie tłumaczyłam jednak, skąd ta dezorganizacja. Może nie lubi rosołu?

Niezręczna chwila stała się daleką przeszłością i jakby puściły wszelkie tamy, dziewczyny na wyścigi zaczęły wspominać co zabawniejsze historie, zwariowane wpadki i nietypowe perypetie.

- Ciociu! Hej, ciociu! Cześć.

Głośne wołanie przerwało rozmowę, gdy Ela wspominała, jak podczas podgalania karku klientka kichnęła zamasyście, skutkiem czego zamiast klasycznego boba zyskała ekstrawagancką fryzurę z pasem startowym dla boeinga 737 w roli głównej.

Po skarpie wdrapywała się Michalina. Tuż obok biegła Hania z wielką, różową watą na patyku w ręku.

- Cześć, dziewczynki. A gdzie mama?

- Poszła kupić kawę dla siebie i ciebie, a my ciebie zobaczyłyśmy i pozwoliła nam tu przyjść. A ja mam zapytać, czy chcesz ze śmietanką, czy czarną. To jaką chcesz? - wysapała Hanka na jednym tchu.

- Biegnij i powiedz, że mam kawę, niech weźmie tylko dla siebie.

- Dobra. To za tę kasę, co nie wyda na ciebie, może kupi mi pepsi?

Zachwycona własnym pomysłem dziewczynka pognęła z powrotem.

- Ja też chcę pepsi za tę kasę! - Miśka się naburmuszyła. Już szykowała się do większej awantury, gdy jej wzrok padł na kolorowe cienie. - Ciociu, pomalujesz mnie pierwszą? Przed Hanką!

- Jasne.

Buźka Michalinki momentalnie się rozchmurzyła.

- Kotek - postanowiła bez cienia wahania.

Beti wzięła się do roboty bez zbędnych słów. Czarną konturówką naszkicowała owal kociej mordki. Górną połowę twarzy pokryła białym pudrem. Kilkoma ruchami pędzla namalowała zabawną grzywkę, poczerniła czubek noska i zamieniła oczy Misi w kocie ślepiea femme fatale. Dorysowała wąsy i różowy języczek wystający z kącika czerwonych usteczek.

- Gotowe, proszę pani. - Z uśmiechem podała dziewczynce lusterko. - Podoba się?

- Łał! Ciociu, jesteś super!

- Naprawdę, zrobiłaś to rewelacyjnie - potwierdziła Ela. - Ale czegoś temu kotkowi brakuje. Czekaście.

Z torebki wyciągnęła kilka spinek i mały grzebyk. Równie zgrabnie jak wcześniej Beti podzieliła włosy Misi na dwie połowy, splotła dwa warkocze, coś zamotała, zaplątała, podpięła i kotek zyskał dwa piękne uszka.

- Spójrz teraz.

Mała ponownie zerknęła w lustro.

- Łał! Ty też jesteś super! Ale najsuperowsza jestem ja - stwierdziła skromnie. - Mamo, mamo! - Superkocica podbiegła do Oli, która w jednej ręce ostrożnie niosła kawę,

a w drugiej papierową tackę z frytkami i apetycznie pachnącym szaszłykiem. - Spójrz, jaka jestem piękna! A Hanka nie!

- Cudna. Jesteś naprawdę cudna.

Ola odstawiła na stół wiktuały i ostrożnie, aby nie zniszczyć dzieła kosmetyczki, pocałowała córkę w czubek czarnego noska.

- A Hanka nie! Hehehe, Hanka nie!

Mała tańczyła wkoło starszej siostry i wygrywała na nosie jakąś złośliwą melodię. Starsza dziewczynka pozostała niewzruszona.

- A Hanka nie, hehehe, Hanka nie jest cudna!

- Phi! - obruszyła się Hania. - Ja jestem już za dorosła na takie głupoty.

Ciociu, pomalujesz mnie? - zwróciła się do Beti dziewczynka, ignorując Michalinę.

- Jasne. Za kogo? Wróżka? Zombie?

- Przecież mówiłam, że już jestem dorosła - zachnęła się dziewczynka. - Pomaluj mnie, żebym wyglądała jak ty.

Usłyszawszy ten komplement, Ela się uśmiechnęła, ale Beti, znając Hanke, wolała się upewnić: - To znaczy jak czarownica czy raczej masz na myśli zombie?

- Nie, no co ty, ciociu! Pomaluj mnie, żebym wyglądała tak staro jak ty.

Czyli jednak komplement. Beti zachichotała.

- Okej. Pod warunkiem, że mama pozwoli.

- Fajowo. A może pani Ela obetnie mi włosy, co? Mamo, mogę sobie obciąć grzywkę?

- Nie.
- Ale, mammo!
- Nie!
- Ale czemu?

Olka wywróciła oczami.

- Mówiłam ci ze sto razy. Kudły będą ci lecieć do oczu, bo jak tylko obetniesz grzywkę, to zaczniesz ją z powrotem zapuszczać. Dwa razy już tak było, zapomniałaś?

- Ale, mammo! Bo tamta baba mi źle obcięła!
- Nie. I nie wyrażaj się, proszę! Tamta pani.
- To baba była. Babsko!
- Hanka! Bo zaraz pójdziesz do ojca!

Zaniepokojona tą perspektywą Hania zrezygnowała z radykalnej zmiany fryzury, ale nie miała najmniejszego zamiaru sromotnie przegrać z wolą matki i poddać się bez dalszej walki.

- A może mnie chociaż uczesać? W koka?

Olka ponownie spojrzała w niebo, jakby oczekiwała, że aniołowie żywcem wezmą ją do nieba.

- I tak mam cały czas - poskarżyła się koleżankom. - Odkąd gówniara skończyła jedenaście lat, nie ma dnia bez jakiejś akcji. Wysmarowała mi fluid za sto dwadzieścia złotych, wypaćkała pomadkę za sześć dych, Ance połamała obcas w szpilkach za nie chcę nawet wiedzieć ile. Cudem jakimś nóg nie połamała. No mówię wam, normalnie panna na wydaniu!

Nie zwracając uwagi na znane już pewnie na pamięć marudzenie matki, jedenastolatka usiadła na krześle dla

klientów.

- To co? Najpierw malujemy czy czeszymy?

Rozbawione powagą dziewczynki, równocześnie jednak pełne podziwu dla jej stanowczości i charyzmy, obie panie wzięły się do roboty. Olka westchnęła.

- Ile wam zejdzie? Pójdę może z Mišką na karuzelę.

- Lek, lek - zasepleniła Ela, trzymając w ustach z tuzin wsuwek. - Za pół goiny będzie gotowa.

Fajnie im się razem pracowało. Jedna nie przeszkadzała drugiej, dostosowywały się wzajemnie i rozumiały bez słów. Gdy Ela czesała długie włosy Hani, Beti pudrowała zadarty podbródek. Gdy fryzjerka upinała włosy z lewej strony, kosmetyczka cieniowała prawy profil. Jedna podkreślała grzywkę, druga podkreślała rzęsy. Hanka siedziała wyjątkowo spokojnie i po pół godziny kobiety mogły zameldować wykonanie zadania lekko zasapanej Aleksandrze, która uboższa o pięćdziesiąt złotych wróciła z wesołego miasteczka, ciągnąc za sobą zielonkawą, mimo białego pudru na twarzy, Michalinę. Efekt był olśniewający. Jedenastolatka, według własnego życzenia, wyglądała o dobre dziesięć lat starzej.

- Booosko - rozmarzyło się dziecko na widok swego odbicia.

- O nie! - Matka dla odmiany była przerażona. - No, moja droga. Dajesz mi teraz rękę i nie odchodzisz na krok! Albo nie. Idziemy do cioci Ani po kajdanki i przykuwam cię do mojej dłoni. A spójrz mi tylko tymi niebieskimi oczami na jakiegoś chłopca, zamrugaj tymi wyfiokowanymi rzęsami, to

tak ci przyleję...

Dobre pięć minut musiało upłynąć, zanim sprawczyńie całego zamieszania przestały się śmiać.

- Piękna akcja - wydyszała Ela, trzymając się za brzuch.

- Aha. - Beti wciąż chichotała.

Kobiety przestały odprowadzać wzrokiem matkę i wyrrywającą się jej Hanię, spojrzały na siebie i w tym momencie Beata podjęła decyzję.

Ostateczną i niezachwianą. Oczywiście. Na sto, dwieście, milion procent.

Znowu pomyślała o Bartku i jego słowach. *Wszyscy mamy w sobie tyle samo odwagi, co strachu. Tylko od ciebie zależy, co zwycięży. Musisz być zdeterminowana. Zaprogramowana na to, żeby twoje jutro było lepsze niż dziś.* Wyciągnęła rękę do koleżanki.

- Słuchaj, Elka. Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

Rozdział 31

- No jasne, że pasuje! - Beata mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha. - Będiesz moim pierwszym gościem na nowym mieszkaniu. No, nie licząc oczywiście Anki, Olki i Marioli.

- To jesteśmy umówione. Przywiozę jakiegoś koniaczka. Pa!

- Do piątku. Pa.

Odkładając telefon, uśmiechnęła się do matki.

- W piątek wieczorem przyjedzie Jaga. Mimo że mieszkam tu już ponad tydzień, wciąż nie mogę uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że mogę wyjść, kiedy chcę, ugościć przyjaciółkę i nie martwić się, jak do mnie dotrze. - Zaśmiała się głośno. - Chociaż znając Jagę, dziesiąte piętro bez windy też nie byłoby dla niej przeszkodą.

Pani Aniela z trudem powstrzymała łzę wzruszenia, która podstępnie zakręciła się w oku na widok szczęścia na twarzy córki. Nieprawda, że już się nie martwiła. Że nie płakała nocami, nie przeżywała wciąż od nowa tego strasznego momentu, gdy zawiadomili ją o wypadku. I tego jeszcze strasniejszego, gdy zrozumiała, że jej Beatka już nigdy nie będzie chodzić. Ze wszystkich sił starała się jednak robić

dobrą minę i nie psuć córce nastroju.

- Świetnie. To może ja ci w czymś pomogę, co?

- Mamuś, ty mi już tyle napomagałaś, że więcej nie można. Usiądź sobie wygodnie, połóż nogi na pufie, a ja uszykuję nam kawki, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź matki, Beata zakręciła w miejscu i pojechała do kuchni. Był to właściwie jedynie aneks kuchenny, ale tak zmyślnie rozplanowany przez Mirellę, projektantkę wnętrz ze Szczecina, że z łatwością mieściły się tu wszystkie niezbędne gadzety. Swoją drogą Anka musi mieć chyba na nią jakiegoś haka, bo za swoje usługi projektantka zaśpiewała śmieszna wręcz kwotę. No cóż. Beti nie zamierzała się targować.

Szafki o jasnych frontach były ustawione w literę U. Kosze cargo umieszczone w narożnych szufladach pozwalały na swobodny dostęp do każdego sprzętu czy artykułu spożywczego. Szerokość blatów była idealnie dopasowana do długości ramienia Beaty, a liczne gniazda elektryczne ułatwiały wykonywanie każdej czynności wymagającej użycia miksera, sokowirówki czy maszynki do mięsa. Lodówko-zamrażarka nie była wysoka, ale dzięki dwuskrzydłowym drzwiom wyjątkowo pojemna. Pod oknem usytuowany był jednokomorowy zlew z baterią wyposażoną w elastyczną wylewkę. Umożliwiała ona nie tylko szybkie opłukiwanie naczyń, ale również wygodne napełnianie wodą garnków stojących wprost na palniku kuchenki tuż obok zlewu. Beti była zachwycona tym jakże prostym, a tak praktycznym rozwiązaniem. Gdy usiłowała ugotować coś w swojej starej

kuchni, kolejną czynnością po przewiezieniu na kolanach gara pełnego wody było wycieranie zalanej podłogi.

Dziewczyna podjechała do wypasionego ekspresu, wspólnego prezentu na nowe mieszkanie od Ani, Oli i Mariolki. Znając jej zamiłowanie do aromatycznego espresso i niebiańskiej latte, przyjaciółki nie mogły trafić lepiej. Zaprogramowała urządzenie, przygotowała filiżanki i zapatrzyła się przez okno. Wiotkie brzozy posadzone wzdłuż ulicy kołysały gałązkami, dojrzałe rzepaki czekały na zbiory, sąsiadka z klatki obok spacerowała z małym maltańczykiem. Ulicą przejechała rodzinka na rowerach. Z przodu mama, za nią dziewczynka w różowym kasku, peleton zamykał tata wiozący w foteliku na kierownicy dwu-, może trzyletniego bąbla, który miał na główce zabawny kask w żółwie ninja. Na sąsiednim ogródeczku w sierpniowym słońku wygrzewał się czarny kocur. *W zeszłym roku o tej porze szykowałam się do ślubu - pomyślała. - Wybierałam kwiaty do dekoracji kościoła i smak weselnego tortu. Faktura zaproszeń i ilość balonów były dla mnie największym problemem. Jakże zależny jest punkt widzenia od punktu siedzenia. Dosłownie! Czy gdybym nie miała wypadku, byłabym szczęśliwa z Grzegorzem? Czy może za rok, dwa przy jakimś problemie też skuliłby głowę i zwiął jak szczur do kanału?*

Zabrzączał ekspres. Myśli dziewczyny poszybowały w inną stronę.

Ciekawe: co robi teraz Bartek? Znalazł mieszkanie w Szczecinie? Maluje? Myśli o mnie czasem? Beata ustawiła filiżanki na tacy, dołączyła talerz owsianych ciastek,

umieściła tacę na kolanach i starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów kołami, wróciła do matki.

- Może wypijemy na zewnątrz, co?

Mieszkanie było wspaniałe. Ale dziesiątym cudem świata była ta przestrzeń trzy na cztery metry, którą Beti nazywała swoim ogrodem. Wciąż okalały ją plastikowe panele, pod którymi rosły metrowe pokrzywy, jednak pod balkonowymi drzwiami Piotrek rzucił sporą płytę paździerzową, która została po jakimś remoncie, i na tej prowizorycznej podłodze Beata urządziła tymczasowy kącik wypoczynkowy. Nie mogła się doczekać, kiedy zamiast kawałka płyty grunt pokryją deski. Początkowo planowała terakotę, naczytała się jednak wystarczająco wiele o wypadkach wózkowiczów na śliskich kaflach, aby zmienić zdanie. Tak, podłoga to będzie kolejny punkt do zrealizowania, umieszczony na długiej liście rzeczy do zrobienia, gdy tylko wygra w totolotka. Pani Aniela usiadła na plastikowym, obdrapanym krześle przy równie obdrapanym stoliku. Beti zaparkowała obok niej i głęboko wciągnęła powietrze.

- Czuję się prawie jak na wsi. Pachnie naturą, czujesz, mam?

- Czuję, czuję. - Kobieta się zaśmiała. - Choć na wsi to raczej inne zapachy dominują.

- Dlatego też powiedziałam „prawie”.

Dłuższą chwilę siedziały w ciszy i napawały się spokojną atmosferą. W powietrzu unosił się silny, słodki zapach krwawnika porastającego pobocza rzepakowych pól. Poćwierkiwały wesoło młode wróble, gdzieś z dachu

dochodziło gruchanie gołębia, a kawa była przepyszna.

- Wiesz co, mamó? Nigdy nie podziękowałam ci za to, co zrobiłaś dla mnie po wypadku - odezwała się Beti.

- Daj spokój...

- Nie przerywaj mi, proszę.

Beata odstawiła na stół swoją filiżankę i chwyciła w rękę dłoń matki. Chwilę milczała, wpatrując się w spracowaną, pomarszczoną dłoń, która tak niedawno głaskała ją po włosach, gdy płakała z bólu i strachu. Dotknięciem policzka dawała otuchę i wsparcie. Myła ją, prała, sprzątała, gotowała, tachała po schodach ciężkie siatki z ulubionymi wiktuałami, aby choć trochę poprawić humor stale niezadowolonej córce. Ze łzami w oczach spojrzała na starszą kobietę.

- Przepraszam cię, mamuś. Za to, że zamiast ty we mnie, ja szukałam oparcia w tobie. Że zamiast siedzieć w wygodnym fotelu, musiałaś znowu zmieniać mi pieluchy. Za wszystkie twoje łzy wylane z mojego powodu...

- Przestań. - Matka przerwała córce w pół słowa. - Wypadek to wypadek. Nigdy nie wiadomo, komu co jest pisane. Ani kiedy zdarzy się jakieś nieszczęście. Zdarzyło się tobie, mojej jedynej córce, więc gdzie miałam być, jak nie przy tobie?

- Ale byłam taka podła. Niewdzięczna.

- Córku, ja to wszystko rozumiałam. Byłaś zrozpaczona i wystraszona.

Na kim miałaś wyładować swoje lęki i frustracje, jak nie na najbliższej ci osobie? Kto miałby cię wysłuchać i

pocieszyć, jak nie matka? Choćbyś miała sto lat, dla mnie zawsze będziesz moją małą Beatką z obgryzionymi paznokciami. Choćbyś miała włosy bielutkie jak śnieg, zgarbione plecy i sztuczną szczękę, zawsze będziesz moją malutką córeczką. I tak jak niegdyś broniłam cię przed złymi snami i potworami schowanymi w szafie, dziś będę robić to samo. I jutro, i za rok, bo na tym właśnie polega rola matki.

Strumyki łez żłobiły policzki. Zarówno te pomarszczone, o pergaminowej, cienkiej skórze, jak i te gładkie, lekko pociągnięte brzoskwiniowym różem. To były dobre łzy. Przynosiły ulgę i oczyszczenie. Wybaczenie i rozgrzeszenie. I tak jak deszcz cierpliwie obmywa zakurzone ulice, tak łzy spłukały żal, samotność i lęk, pozostawiając spokój i nadzieję.

Mieszkanie jest boskie, ale niech ten cholerny mechanik pośpieszy się z robotą przy samochodzie, bo zacznę tęsknić za moim więzieniem na czwartym piętrze! Największym problemem był kawałek tuż przed kolejowym mostem. Nie dość, że stromo, to jeszcze dziurawa nawierzchnia chodnika zmuszała Beatę do jazdy slalodem. Dziewczyna zagryzła wargi i z całych sił kręciła kołami wózka. Z wysiłku robiło jej się ciemno przed oczami, pot zalewał czoło, a w ustach czuła słony smak krwi. Jeszcze trzy metry, dwa, już! Teraz tylko nie odpuścić! Nie pozwolić, żeby wózek stoczył się z powrotem! Po kolejnych trzech silnych ruchach przedramionami minęła krytyczny punkt i zatrzymała się z westchnieniem ulgi. Chwilę masowała zdrętwiałe ramiona.

Po kilku głębokich oddechach poczuła satysfakcję, że znów się udało, że dała radę! I choć serce wciąż biło w przyspieszonym rytmie, wiedziała, że teraz otrzyma nagrodę. Do samego centrum droga prowadziła łagodnym łukiem w dół. Nie na tyle stromym, by musiała hamować albo stresować się drogą powrotną, lecz delikatny spadek terenu czynił jazdę prawie przyjemnością. Przed zjazdem do swego przyszłego salonu musiała nadłożyć drogi, aby ominąć krótkie, acz konkretne schody, i po czterdziestu pięciu minutach drogi była na miejscu.

Wjechała przez szerokie wejście.

- Cześć, chłopaki!

- Cześć, szefowa!

Dwóch rosyjskich robotników kończyło malować ściany. Trzeci stawiał ściankę działową pomiędzy gabinetem fryzjerskim a poczekalnią. Łazienki i poczekalnia były już odpicowane, podobnie jak stanowisko do manicure'u.

Dzięki pomocy i - była pewna - protekcji Jagi Beata otrzymała sporą, nieoprocentowaną pożyczkę z fundacji „Nowy Start”, pomagającej osobom z uszkodzeniem rdzenia kręgowego w powrocie do pracy zawodowej. Po wchłonięciu sporego zastrzyku pieniędzy salon nabierał coraz wyraźniejszego kształtu. Coraz szybciej zbliżał się ten upragniony dzień, w którym Beti miała ponownie zacząć pracę. Podjechała do lodówki i wypila duszkiem butelkę wody mineralnej.

- Chłopcy, potrzebujecie czegoś?

- Spokojna twoja rozczochrana. - Zenek zaśmiał się

rubasznie. – SzeF był tu już kilka razy, zostawił materiały i instrukcje, więc spokojnie zajmij się swoimi rzeczami. Beti uśmiechnęła się do majstrów i zaczęła wypakowywać kolejne pudła. Nieoceniona wprost była pomoc Piotrka i reszty jego wspaniałej rodziny.

Anka, gdy tylko mogła, robiła za jej szofera, Ola namalowała szyld i obiecała artystyczną pomoc przy wykańczaniu wnętrza, Mariola co rusz wpadała z jakimś pomysłem lub chociaż koszykiem pełnym pysznej wałówki.

Dziewczyna czuła ogromną wdzięczność dla ludzi, którzy tak bardzo jej pomagali. Wdzięczność bywa jednak niczym za małe ubranie. Po pewnym czasie obciera skórę, a noszona zbyt długo zaczyna śmierdzieć, więc Beata z całych sił pragnęła usamodzielnienia się i pełnej niezależności. Na pracy minął jej cały ranek i pół popołudnia. Układała, przekładała, ustawiała, myła...

– Cześć pracy!

Zaaferowana robotą nie zauważyła wejścia Eli.

– No, kochana! Fiu, fiu, fiu! – Fryzjerka zagwizdała z podziwem. – Widzę, że pracujesz tu jak mróweczka. Przerwa na lunch, kupiłam pączki. Rób kawę dla całej ekipy, a ja poszukam talerzyków. Hm... mamy jakieś?

– Mamy. W tej szafce przy lodówce.

To był wspaniały pomysł, zaproponować Elce spółkę. Patrząc na krzątającą się koleżankę, Beti po raz kolejny doszła do tego samego wniosku. Na pomysł wpadła spontanicznie, lecz im dłużej zastanawiała się nad nim, tym więcej korzyści widziała. Nie chciała, aby Ela znów straciła

pracę, gdyby jej przełożonej ponownie coś się zdarzyło. Rozdzielenie obowiązków usprawniało pracę. Wspólne ponoszenie kosztów, a także poczucie, że robi się coś dla siebie, nie tylko dla kogoś, było również wiele warte. Obie dziewczyny bez reszty zaangażowały się w ten projekt i dzięki temu robota szła jak burza. Beti wzięła na siebie rozliczenia, faktury i ogólnie pojętą księgowość, Ela zajęła się reklamą i marketingiem.

Rozdawała ulotki, powiadamiała stare klientki i szukała nowych, odnawiała kontakty z zaprzyjaźnionymi aprowizatorami i rozglądała się za atrakcyjnymi ofertami sklepów i hurtowni kosmetycznych.

- Słuchaj, to co robimy z tą kabiną do natryskowego opalania? Musimy szybko podjąć decyzję, bo to ostatnia sztuka w tej cenie. Aha, i zamówiłam ten basen z piłeczkami do dziecięcego kącika, dwa stoliki i cztery krzesła.

Rozmawiałam z panią Marysią i obiecała zasponsorować trochę książeczek do malowania, kredki i takie tam. Fajowo, nie?

- Dobra. Spróbuj jeszcze trochę utargować. Mówiłaś, że na dwa pistolety?

- Na dwa. Fajny ten namiot, dwa kolory do wyboru. Beżowy i różowy.

Różowy to chyba nie, co? Z funkcją suszenia i podgrzewania powietrza, z regulowaną siłą natrysku.

- To chociaż niech jakieś gratisy dadzą. Trochę płynów, bielizny jednorazowej, kłapek...

- Dobra. Zadzwoń i spróbuję wysepić.

Beata wyciągnęła komórkę i włączyła kalkulator. Po kilkunastu symulacjach z dużą dozą optymizmu wyszło jej, że kabina zwróci się po sześćdziesięciu użyciach. W ponad dwudziestotysięcznym Choszcznie znajdzie się chyba sześćdziesiąt kobiet lub panów, chcących skorzystać z tej formy bezpiecznego opalania? Tym bardziej, że żaden inny salon w mieście nie oferował takiej usługi, przynajmniej dzisiaj, a czas skwary-solary na szczęście już chyba minął. *Jak tylko zobaczą, że inwestycja przynosi zyski, zaraz zmałpują pomysł* – pomyślała mało życzliwie o konkurencji. No cóż.

Ryzyk-fizyk.

- Dobra, bierzemy. Dzwon.

- To dzwonię, żebyś się nie rozmyśliła – ucieszyła się Ela, wyciągając telefon. - Zaznaczam, że ja pierwsza się opalam!

- Oby nie ty pierwsza i ostatnia...

Beatę już dopadały wątpliwości. *Kilka tysięcy mieć, a nie mieć...? Raczej nie mieć...* Aby nie dopuścić do siebie złych myśli, ponownie zaczęła pucować lśniące parapety.

- Hej, Beti! - Tubalny głos Piotrka wbił jej myśli na bardziej optymistyczny tor. - Zostaw już ten parapet, bo lakier zedrzesz! Zabieram cię do nas na obiad. Co ty na to?

- Oj, przepraszam cię, ale mam tyle papierów do ogarnięcia, że nie mam czasu na siku, a co dopiero mówić o obiedzie.

- Nie przemęczaj się, to niezdrowo.

- Ha, ha! I kto to mówi!

Rzeczywiście. W całym budynku pozostali już tylko oni i

Ela, coś tam jeszcze szykująca na swoim stanowisku. Na parkingu stały jedynie van Piotrka i kilka rupieci na sprzedaż z nalepionymi na szybach kartkami, tkwiących tu już od dawna i czekających na jeleni.

- Też się będę ewakuować. Podwieźć cię?

- Nie, dzięki. - Beti spojrzała na zegarek. *Już minęła szesnasta?*

Niemożliwe! Propozycja Piotra była kusząca, ale dziewczyna czuła, że już i tak zbyt wiele zawdzięcza przyjaciołom. Nie chciała wykorzystywać ich jeszcze bardziej. - Z przyjemnością się przejadę - skłamała. - Pogoda taka piękna.

- Okej. Widzimy się jutro?

Jasne. Kolejny facet, który nie jest w stanie zrozumieć, że „nie” w ustach kobiety całkiem często znaczy „tak, błagam!” - westchnęła w myślach dziewczyna.

- Jasne - odezwała się na głos. - Pa.

Robotnicy dawno już się zebrali. Ucichły stukania i pukania. Umilkły głośne rozmowy i nawoływania. Jedynie w tle cicho szumiało radio.

- Fajnie będzie. Zobaczysz. - Ela położyła dłoń na ramieniu Beaty. - Już jest fajnie. A jak ruszymy z robotą, nie będzie czasu na złe myśli i wątpliwości. Czuję w kościach, że to będzie najbardziej oblegany salon w mieście.

- Obyś miała rację.

- A największe branie będzie miała opalarka, mówię ci!

- Opalarka?! - Kosmetyczka udała oburzenie. - Opalarką to moja mama kurom pióra opalała!

- Oj tam, nie czepiaj się. - Ela cmoknęła koleżankę w czoło. - Też lecę.

Nie siedź za długo. Pa.

Pamiętając, że Jaga pije tradycyjnie zaparzaną kawę, Beata wstawiła wodę w czajniku, artystycznie ułożyła ciastka i owoce na paterze i czujnym wzrokiem objęła mieszkanie. Domknęła szufladę dębowej komody, przestawiła wazon ze słonecznikami, strzepnęła pyłek z firanki wiszącej w kuchennym oknie i zajrzała do piekarnika, w którym zapiekanka z makaronu i bakłażanów czekała na swój moment. Szybkim ruchem wrzuciła do szafy zapomniany stanik wciśnięty pomiędzy poduchy kanapy.

Jaga miała się zjawić lada chwila. Choć regularnie rozmawiały przez telefon i często wymieniały maile, tęskniła za przyjaciółką. Była składową tej części jej życia, w której nie mogły uczestniczyć pozostałe dziewczyny. Syty nie rozumie głodnego, bogaty biednego, a chodzący - osoby jeżdżącej na wózku. Anka i reszta dziewczyn, choćby nie wiadomo jak się starały, jak wyteęzały swoją empatię i wyobraźnię, po prostu organicznie nie mogły tego pojąć. Poza tym z Jagą mogła porozmawiać o rzeczach i sprawach, o których nie umiała opowiedzieć innym. O ograniczeniach wymuszanych przez uraz kręgosłupa, o lęku i ciągłej walce z własnym ciałem. O tym, że musi iść, gdy tak bardzo chce pobiec. Że musi szeptać, podczas gdy w gardle rodzi się krzyk. Że musi wspinać się na same końcówki palców, aby sięgnąć to, po co zdrowym nie opłaca się nawet schylić.

Ostry dźwięk dzwonka sprawił, że podskoczyła. Obróciła się w miejscu, podjechała do drzwi i przekręciła klucz tkwiący w zamku.

- Jaguś! W końcu! Tak się cieszę!

Jaga wyglądała tak samo, jak kiedy się poznały. Prawie. Zamiast nieśmiertelnej koszuli w kratę włożyła koszulkę moro na ramiączkach, ale znoszone jeansy miała z pewnością te same, co wtedy, Beti dokładnie zapamiętała tę dziurę tuż pod lewym kolanem. Jednak niedbałość stroju, zamiast drażnić jak niegdyś, dziś rozczuliła ją niemal do łez.

- Cześć, mała. Ja też się cieszę.

Jaga wtoczyła się do środka. Swą żółtą karetą podjechała do kuchni, postawiła na blacie wypchaną reklamówkę i rozejrzała się dookoła.

- No, no, no. Zajebicie. Naprawdę zajebicie. - Obie szeroko uśmiechnęły się do siebie. - Zaopiekuj się zakupami, uważaj na flaszkę, a ja muszę na kibel. Tutaj? - Ruda bezbłędnie skierowała się w stronę toalety.

No, w sumie trudno byłoby nie trafić - przeszło przez myśl gospodyni. - I rób kawę! - krzyknęła Jaga, znikając za drzwiami.

Piętnaście minut później niedbale rzucona na pożyczone od Marioli polowe łóżko torba Jagi ukazywała swą zawartość, a obie dziewczyny delectowały się aromatem świeżo zaparzonej kawy i plotkami o wspólnych znajomych.

- Za tydzień mają cesarkę. Lidka jest już taka gruba, że nie mieści się w wózku. Leży tylko w łóżku i zrzędzi. - Jaga zaśmiała się nieco złośliwie, podnosząc do ust kubek. - I

dobrze. My kobiety mamy w tym wypadku przesrane, nawet mimo zaplanowanej cesarki, więc jak chłopcy trochę nam pousługują, to korona z głów im nie spadnie. W końcu palcem sobie Kajtusia nie zrobiła, nie? – zadała retoryczne pytanie i mówiła dalej: – Mięczak Bartek nie mógł już tego znieść i wyprowadził się do podrzędnego motelu.

Podrzednego, jak na jego wymagania oczywiście, bo jak dla mnie to całkiem niezły Hilton. Bartunio marudzi jednak, że nie ma w nim twórczej atmosfery, i chyba rzeczywiście nie ma, bo jego ostatnie obrazy to same smęty. Nie to, żebym się znała, ale on się zna i jeden po drugim drze i wyrzuca.

A upierdliwy! A kapryśny! Artysta, job jego mać! – Zgryźliwe słowa były wypowiedziane życzliwym tonem. Nawet jakby nuta prawdziwej troski wkradła się gdzieś mimochodem. – Jak tam w ogóle jest między wami? – spytała Jaga, nie owijając w bawełnę, i spojrzała uważnie na Beatę. – To przez ciebie?

Dziewczyna poczerwieniała. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czekała na wieści o Bartku. Z jaką uwagą spijała słowa z ust przyjaciółki. Czuła, jak jej usta rozciągają się w głupkowskim uśmiechu, a serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem.

– Nijak jest między nami – odpowiedziała w końcu.

– Jak to: nijak. Czyli jak?

– Umówiliśmy się z Bartkiem, że to ja zrobię pierwszy krok. Zadzwoń, zmailuję czy coś.

Jaga uniosła brew.

– No i?

- No i... jeszcze nie zadzwoniłam.

Rudowłosa zmrużyła oczy, co nigdy nie wróżyło zbyt dobrze.

- Nie zadzwoniłam i nie wiem, czy kiedykolwiek to zrobię. Dla jego dobra - uprzedziła atak rudej furii. - Minęły dopiero cztery miesiące. Niby dużo, ale co to jest w perspektywie całego życia?

Oczy Jagi były już tylko wąskimi szparkami.

- To nie jest tchórzostwo! To bohaterstwo! - Beata wiedziała doskonale, co chce powiedzieć przyjaciółka. - Sądysz, że o nim nie myślę? Że nie zastanawiam się, co by było gdyby? Że nie marzę nocami, nie wyobrażam sobie ani nie układam w myślach wyznań? Marzę i układam, ale nie chcę za jakiś czas zobaczyć niechęci w jego oczach. Wyrzutu, że zmarnowałam mu życie. Chcę, żeby był szczęśliwy!

Zapomniała o przyjaciółce i wróciła myślami do Kołobrzegu.

Gdy wjechała na salę gimnastyczną, Bartek już na nią czekał. Siedział na grubym materacu pod stojakiem do skoków wzwyż. Beti zatrzymała się niepewnie w drzwiach, na widok mężczyzny wszystkie rozważania uleciały z jej głowy. Wciąż nie wiedziała, jak powinna się zachować. Nie chciała myśleć. Chciała rzucić się w jego ramiona i żyć chwilą. Bez konsekwencji, bez wyrzutów, bez planów.

- I co, świeżynko? - Jego głos był zachrypnięty. - Czas na twój wielki skok. Spróbujesz?

Od razu wiedziała, że nie da rady. Wiedziała też, że musi

podjąć to wyzwanie. Że w jakiś sposób jest to dla Bartka bardzo ważne. Jego oczy były tak pełne nadziei, tak wyczekujące, że nie mogła go zawieść. Zaciśnęła zęby i rozpędziła wózek. Z całych sił kręciła kołami i starała się nie myśleć o materacu zbliżającym się do niej z ogromną szybkością. Zwalczyła odruch kładący jej natychmiast zwolnić, zamknęła oczy i w pełnym pędzie walnęła w przeszkodę. Poczowała, jak bezwładnie turla się do przodu. Jak jej nogi głucho klepią w obicie materaca. Przewrócony do góry nogami wózek w ramach protestu kręcił szaleńczo przednimi kółkami. Przez chwilę nie mogła złapać tchu. Leżała na materacu twarzą w dół i zastanawiała się, czy żyje. Silne ręce odwróciły ją na plecy.

- I co? - Z rozpaczą spojrzała w zielone oczy. - Porażka, nie?

W oczach Bartka malowała się duma.

- Porażka? Czyś ty zwariowała, dziewczyno? - Jego głos drżał ze wzruszenia. - Wiesz, ile osób zdecydowałoby się na taki karkołomny skok?

Może jedna na sto, a może i nie. Skok, który zaprezentowałem ci podczas naszego pierwszego spotkania, jest niemożliwy do wykonania z niesprawnymi nogami. Nie da się stać na rękach, nie czując stóp, kolan ani miednicy.

Beatę ogarnęła wściekłość.

- To po cholere to było? Chciałeś się zabawić? Pośmiać z durnej kaleki, która myśli, że może się równać ze zdrowymi? - W oczach poczuła łyzy upokorzenia. - I co? Fajnie było? Musiałam wyglądać zajebiście śmiesznie z tymi majtającymi

się nogami. Musiałam...

- Przestań! - Bartek mocno potrząsnął jej ramionami. - To w najmniejszym stopniu nie było śmieszne. To było wspaniałe. Nie rozumiesz, że właśnie wykonałaś najważniejszą rzecz w swoim życiu?

Wygrałaś, dziewczyno! Pokonałaś swój strach! Nie pozwoliłaś, aby twoja niesprawność w czymś cię ograniczyła. Udowodniłaś sama sobie, że nieważne jest ciało, ważny jest duch. Że możesz wszystko!

Szczerłość i moc jego słów zadziałała jak narkotyk. Jak lek. Jak balsam na zranioną duszę. Beti uwierzyła w słowa Bartka i poczuła, że żadne wyzwanie nie będzie za trudne, jeśli tylko ktoś w nią uwierzy tak, jak wierzy ten mężczyzna, mocno trzymający ją w ramionach. Jeśli tylko ktoś będzie patrzył na nią tak jak on. Z dumą i miłością.

- Skoczyłaś?

Jaga spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Na swoim pierwszym obozie. Skoczyłaś?

- Nie - przyznała się rudowłosa. - Zesrałam się. - Zaśmiała się niewesoło. - Myślałam, że Michał będzie wściekły, ale on tylko poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że nie ma sprawy i że spróbujemy następnym razem. Skoczyłam po drugim obozie. Odjazd, nie? A ty?

- Skoczyłam.

- Brawo, mała! Nic mi nie powiedzieli, nie wiedziałam... A to dranie! - Uśmiechnęła się do Beti. - Nie każdego wózkowicza wyzywają. Tylko tych rokujących na życie. Tych

z ikrą i niezłomną wolą. Tych z błyskiem niepokory w oku. Szacun, kobieto, jestem pod wrażeniem, że to zrobiłaś!

- Zrobiłam to dla Bartka - stwierdziła Beti. - I to, co robię teraz, też robię dla niego. - Usiłowała mówić pewnym głosem. - Po tym cholernym skoku długo rozmawialiśmy. Pamiętasz? Wróciłam prawie nad ranem.

Gadaliśmy o wszystkim. O mnie, o Grześku, o życiu. Najwięcej jednak mówił Bartek. O marzeniach i planach. O swoich pasjach.

Z całych sił usiłowała powstrzymać płacz.

- Z całego serca życzę mu, żeby tańczył, spacerował w blasku księżyca, trzymając ukochaną za rękę, zdobywał szczyty i doliny. Życzę mu, żeby zwiedzał niezliczone galerie świata i opowiadał kobiecie swego życia o perwersjach słynnych malarzy, pokazując jej ich obrazy wiszące na ścianach. Luwr, Watykan, Galeria Uffizi we Florencji, Muzeum Egipskie w Kairze. Widzisz, jak zwiedzam razem z nim piramidy? Pragnę, aby spełnił swoje marzenie o ponownym odwiedzeniu Wenecji, ojczyzny jego ukochanego Canaletta. Widzisz mnie, jak płynę z nim gondolą? Jak niezgrabnie tarabanię się po wąskich kładkach i mostkach? Jakie to romantyczne: ja, on i mój cholerny wózek. Widzisz mnie u jego boku, gdy wdrapuje się na Machu Picchu albo jakiś inny pieprzony, niedostępny dla mnie zakątek świata? Bo ja nie widzę. Obie wiemy, że już nigdy nie będę pełnowartościową kobietą. Chciałabym być romantyczna, niestety pozostaje mi jedynie ta rozważna, nudna siostra.

- Jednym słowem traktujesz Bartka tak samo jak

Grzeška. Zwracam pierścioneł, masz, bracie, luz, patrzcie wszyscy, jaka jestem wspaniałomyślna! – podsumowała Jaga z niesmakiem.

– Bzdura! – oburzyła się Beata. – Jak w ogóle możesz ich porównywać?

Grzesiek jest zwykłym tchórzem, a Bartek wręcz odwrotnie. Bartek usiłuje wziąć na swoje barki ciężar większy, niż jest w stanie udźwignąć.

– A kim ty jesteś, żebyś decydowała za niego?

W oczach rudowłosej pojawiła się furia. Błada ze złości pochyliła się nad roztrzęsioną Beatą.

– Bohaterka cholerna! – Jaga z obrzydzeniem wypluła inwektywę. – Matka Teresa z Kalkuty! Bohaterką byś była, jakbyś dziecko z pożaru wyniosła albo chociaż kociaka z kłów jakiegoś wilczura wyrwała.

O bohaterstwie możesz mówić, gdy poświęcasz coś, nie kogoś. Pokonujesz własne słabości i strach. Bohater nie myśli o sobie, myśli o innych.

Nazywasz bohaterstwem to, co zrobiłaś Bartkowi? To jest tchórzostwo w najgorszym wydaniu!

– Głupia jesteś! – Beti strząsnęła z ramion dłonie przyjaciółki. – Przecież ci tłumaczę, że myślę o Bartku, nie o sobie. Nie chcę być kamieniem u jego szyi. Nie mogę pozwolić, żeby przez głupie zauroczenie zmarnował sobie życie. Nie zniosę jego rozczarowania!

– Co ty pieprzysz? – Głos Jagi chłostał. – Nie chcesz zobaczyć niechęci w jego czy w swoich oczach? Sądzisz, że on się rozczaruje, czy może raczej trzęsiesz tyłkiem o własne

ego? Boisz się wyrzutów jego czy swoich? Masz mu za złe, że się zakochał? Że nie widzi w tobie kaleki, tylko kobietę?

- Na razie. - Beata nie mogła już powstrzymać łez. - Grzesiek też widział we mnie kobietę. Do wypadku.

Oczy Jagi również podejrzenie zabłyszczały. W słowach swojej młodej przyjaciółki usłyszała echo własnych słów. W jej emocjach nietrudno było dopatrzeć się własnych przeżyć i rozterek sprzed kilku lat. Mocno odetchnęła i chwyciła Beatę za dłonie.

- Beti, posłuchaj mnie i postaraj się uwierzyć. Nie masz racji.

Beata z rozpaczą spojrzała w zmartwione oczy Jagi. Tak bardzo chciała jej uwierzyć.

- Nie masz - powtórzyła z całą mocą. - Nie wiadomo, czy wam wyjdzie.

Nie wiadomo, czy za kilka lat nie będziesz żałować albo czy on nie wrzuci do walizki swoich farb i płócien i nie pójdzie w pizdu. Ale nigdy nie masz tej pewności i fakt, że jeździsz na wózku, nie ma tu najmniejszego znaczenia.

Ile znasz zdrowych par, którym się nie udało? Z iloma facetami ty sama planowałaś biały domek i gromadkę dzieci? Nie wyszło, to nie wyszło, trudno, ale czy to znaczy, że nie należy próbować dalej? Chcesz zamknąć się w jakiejś cholernej skorupie i patrzeć z zazdrością na tych, którzy się nie poddali? Po kryjomu wysuwać macki i smakować czyjeś szczęście, a później ryczeć w poduszkę? Taki masz plan?

- Nie mam żadnego planu - wychrypiała Beti.

- To posłuchaj starszej, mądrzejszej i ładniejszej.

- Phi!

- No taaa. Ten argument jest nie do przebicia. - Ruda się zaśmiała. Po chwili Beti poszła w jej ślady.

- Od argumentów i elokwencji u nas jest Anka. - Beata zaśmiała się głośniej, wyobrażając sobie starcie tych dwóch silnych kobiet. - Daję głowę, że nawet ty byś jej nie przegadała.

- Chętnie stanę w szranki, jakby co - odpowiedziała Jaga ucieszona, że nastrój Beaty wyraźnie się poprawia. - A teraz idź się ogarnij i dawaj to coś, co tak bosko waniajet w piekarniku.

Rozdział 32

Dziewczyny rozmawiały do późnych godzin nocnych, a sobota minęła zdecydowanie zbyt szybko, mimo że wstały kilka minut po siódmej. *Jak dobrze być zmotoryzowanym* – pomyślała Beti, gdy jadąc do miasta, minęły znienawidzony zakręt przed mostem. *Co mówił ten mechanik? Jeszcze tydzień?* Zjadły pizzę w ulubionej pizzerii Beaty, popiły gorącą czekoladą w przytulnej kawiarence i dopchnęły się smażonymi na miejscu pączkami nadziewanymi pistacjowym musem.

Zgodnie ponarzekały na nieprzystosowane publiczne toalety, z których musiały skorzystać. Choszczno zaskoczyło jednak Jagę pod względem prawie kompletnego braku architektonicznych barier.

- To pewnie w dużym stopniu ze względu na miejscowy oddział

rehabilitacji, jest całkiem spory – wytłumaczyła jej Beti. – I ogólnie infrastruktura miasta wynika z jego turystycznego charakteru. Przemysłu brak, wielkich, a nawet dużych zakładów pracy brak, za to jezioro w środku miasta, kilka ścieżek rowerowych, deptak.

Oczywiście odwiedziły jej powstający gabinet kosmetyczny. Jaga dała się nawet namówić na manicure, co Beti uznała za swoje wielkie zwycięstwo i dobrą wróżbę na przyszłość.

- No, kochana, skoro taki niedbaluch jak ty dał się namówić na kosmetyczny seans, to jestem pełna nadziei na zawodowy sukces - śmiała się Beti, zadowolona z efektu. A nie był on łatwy do osiągnięcia, bo paznokcie Jagi były mniej niż krótkie i bardziej niż zaniedbane.

- No wiesz. - Jaga z lekkim oszołomieniem oglądała swoje własne eleganckie, pomarańczowe pazury. - Jeśli każdego będziesz kasować tak jak mnie, to nie wróżę ci wielkiej fortuny. A nawet pewne bankructwo.

- Oj tam. Liczę na to, że mnie zareklamujesz i szczecinianki będą do mnie walić drzwiami i oknami.

Gdy przyszła pora wyjazdu, obie dziewczyny nie mogły się rozstać.

- Rany! Tylu rzeczy nie zdążyłyśmy zrobić! Miałam ci pokazać tę starą lipę, pod którą podobno odpoczywał sam Czarniecki, nie odwiedziłyśmy Anki, nie poznałaś pozostałych dziewczyn...

- Mam za to zajebiste paznokcie, które będą mi haczyły o szprychy wózka, a za każdym razem, jak przeklnę, to cię wspomnę. - Jaga żartobliwie pogroziła Beacie pięścią. - Spokojnie, przecież nie mieszkam na końcu świata. Gdy tylko będziesz miała auto, to dawaj do mnie. Pokażę ci, jak się żyje w dużym mieście nocą.

- Aż się boję! - Beti się zaśmiała. - Słuchaj, na pewno nie

możesz zostać? Anka serdecznie zaprasza nas obie na jutro. Obiecała jakąś niespodziankę.

- Wiesz przecież, że gdybym mogła, to z przyjemnością pobyczyłabym się jeszcze u ciebie choćby z tydzień, ale niestety - obowiązki koordynatora.

Na dziesiątą jestem umówiona z jakąś świeżynką po wypadku, a ona mieszka gdzieś pod Białogardem, więc sama rozumiesz...

- No wiem, wiem...

- I proszę cię, błagam, skontaktuj się w końcu z Bartkiem, podejmij decyzję. Albo taką, albo siaką, ale podejmij. Obiecaj mi to. Nie możesz go trzymać w takim zawieszeniu, sfiksuje chłopak na maksa. Zresztą dziwię się.

Naprawdę się dziwię, że poszedł z tobą na taki idiotyczny układ. Już sam ten fakt świadczy o tym, że zdurniał kompletnie na twoim punkcie. - Na potwierdzenie własnych słów Jaga popukała się w czoło. - Bartek, jakiego znam, nigdy nie pozwalał żadnej babie wchodzić na głowę ani nie zgodziłby się na ubezwłasnowolnienie, na jakie go skazałaś.

Beti kiwnęła głową. Bez przekonania.

- Zadzwoń. Obiecuję.

- No!

Beata z lekką zazdrością patrzyła, jak sprytnie Jaga ładuje się do swojego samochodu. W pięć minut zapakowała torbę, wózek i siebie, na pożegnanie machnęła rudą grzywką, zatrąbiła klaksonem i zniknęła za zakrętem.

Tyle rzeczy miałam ci jeszcze pokazać - pomyślała żałośnie, stojąc przed klatką schodową i patrząc na pustą

ulicę. - *O tak wiele chciałam cię jeszcze zapytać. Odwróciła się i powoli wróciła do mieszkania. Czy włosy Bartka dalej elektryzują się tak śmiesznie, gdy ściąga z głowy swoją nieśmiertelną bejsbolówkę? Czy jego dłonie wciąż są takie ciepłe? Czy w jego policzku dalej powstaje ten uroczy dołeczek? Na samym początku uśmiechu, gdy jeszcze nie widać go na twarzy, ale wiadomo, że zaraz będzie. Jego oczy robią się wtedy takie ciepłe, lewy kącik ust zaczyna się podnosić, a broda - drżeć. Wtedy. Wtedy pojawia się ten dołeczek. Malutki. Prawie niezauważalny. Po sekundzie znika, a cała jego twarz zamienia się w jeden wielki uśmiech. Jest tak rozpromieniona, jego rechot tak zaraźliwy, że każdy, absolutnie każdy ryczy razem z nim, choć nie ma najmniejszego pojęcia, z jakiego powodu.*

Zdejmując poszwę z poduszki, mimo woli spojrzała w lustro i zdziwiła się, gdy zobaczyła własną rozmarzoną twarz. *Boże, chyba mi odwała.*

Z czego ja się cieszę? Próbowała opanować własną mimikę, wykrzywiła się pogardliwie sama do siebie, zrobiła zeza. Jej mięśnie twarzy postanowiły jednak, że tym razem będzie zadowolona. Kąciki ust, wbrew woli, same się unosiły. Zwariowałam! Jak głupia do sera! Wkładając pościel do pralki, śmiała się w głos. Jak głupia do sera. I wcale jej to nie przeszkadzało.

Gdy po trzynastej przyjechał Arek, Beti była już gotowa. Z lekką konsternacją zatrzymała się przed jeepem. Nie wierzyła, że bez pomocy pokona wysokie nadwozie

terenowego samochodu, ale też, o dziwo, nie czuła się tym jakoś specjalnie skrępowana. Arek również nie widział żadnego problemu. Z łatwością złapał dziewczynę wpół i posadził na fotelu pasażera, podniósł klapę bagażnika, wrzucił wózek i kilka sekund później z głośnym rykiem silnika wystartowali spod bloku.

- Szkoda, że ta twoja kumpela musiała jechać - zagadnął Arek, wrzucając czwarty bieg. - Ania mówiła, że jest w porządku.

- Bardzo w porządku. - Beata pomyślała o tych wszystkich momentach, gdy miała ochotę ją zabić. - Cóż, niektórzy pracują również w niedziele.

Zresztą sam doskonale o tym wiesz, prawda? - Uśmiechnęła się do towarzysza.

- Ty też. - Mężczyzna odpowiedział ciepłym uśmiechem.

To prawda. Kiedyś bardzo często poświęcała zwierzętom swe wolne chwile. Ileż nocy razem przepracowali w choszczeńskim schronisku. Ile wyrobili nadgodzin, o ile można w ogóle mówić o nadgodzinach w przypadku wolontariatu. Dziesiątki, jak nie setki razy telefon ze schroniska wyrywał ją ze snu lub odrywał od jakiejś niecierpiącej zwłoki roboty. Jednak wszystkie zajęcia były mniej ważne niż pomoc cierpiącemu psu czy kotu. Brakowało jej tego. Choć praca w schronisku nie była lekka, szczególnie emocjonalnie, dawała ogromną satysfakcję. Każde radosne machnięcie ogonem, wesołe szczeknięcie, entuzjastyczne podskoki na jej widok sprawiały, że widziała sens swojej egzystencji. I te niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju

momenty, gdy zgnębiony, oszukany i nierzadko bardzo skrzywdzony przez człowieka pies zyskiwał nowy dom. Gdy widziała, jak któryś z jej podopiecznych odchodzi u boku nowego właściciela, niezmiennie ryczała ze szczęścia. Nie ona jedna zresztą. Brakowało jej również kolegów z wolontariatu. Choć niektórzy byli oschli i zamknięci w sobie, przy zwierzętach zmieniali się w innych ludzi. Pełnych czułości, cierpliwości i empatii.

- Może to jest ten czas, żebyś wróciła do przytuliska? - Weterynarz czytał w jej myślach. - Wiesz doskonale, że roboty nie brakuje.

- A co ja mogę teraz zrobić na tym wózku? - zasmuciła się dziewczyna. - Boksu nie posprzątam, na spacer nie pójdę...

- Beti, przestań gadać głupoty. Do sprzątnięcia boksów i bud zawsze ktoś się znajdzie, zresztą nasprzątałaś się dość. Sama wiesz, ile jest papierkowej roboty. Szukanie sponsorów, telefonowanie do różnych firm, załatwianie papierów adopcyjnych, prowadzenie książeczek szczepień...

- Magda już tego nie robi?

- Robi, ale oprócz tego ma setkę innych spraw na głowie. A do pracy wcale nie garnie się aż tak wiele osób. Szczególnie że pracuje się za darmo.

- Wiesz co? - Pomysł Arka coraz bardziej zaczynał jej się podobać. - Pomyślę o tym. Serio. Ale najpierw muszę skończyć remont i otworzyć gabinet. Praca za kasę też się przyda.

- Prawda. Kiedy wielkie otwarcie?

- Myślę, że przy dobrych wiatrach za jakieś trzy tygodnie.

- Rany, już? To wspaniale! - Z euforią klepnął dziewczynę w udo. - Nawet nie wiesz, z jaką ulgą to słyszę!

Szczera radość w głosie Arka nieco ją rozśmieszyła.

- A co? Na wizytę chcesz się umówić?

Mężczyzna zerknął w lusterko, włączył kierunkowskaz i skręcił w ulicę Niedziałkowskiego.

- Ja nie, ale Ankę zapisz na pierwszy termin. Nie uwierzysz, ale ona każe mi sobie malować paznokcie!

- Co? - Beti wybuchła niepowstrzymanym śmiechem.

- No, nie moje, tylko jej - sprecyzował mężczyzna z uśmiechem. - Twierdzi, że jest wybitnie praworęczna. Z lewą ręką jakoś sobie poradzi, ale prawa jej nie wychodzi i ja mam ją ratować przed kompromitacją. Przynosi te swoje śmierdzące flaszki i zmusza mnie do zabawy w manicurzystę.

- I malujesz? Piłujesz też? - Dziewczyna w żywe oczy kpiła z przyjaciela.

- Boże uchron! - Arek puścił kierownicę i przeżegnał się pobożnie. - Maluję tylko. Staram się przynajmniej, bo ją kocham. Usiłuję trzymać ten cholerny pędzelek tak, jak mi każe, nie zachodzić na... te, no... skórki, zapamiętać kolejność użycia tych diabelskich eliksirów, ale przecież ja jestem tylko prostym weterynarzem! Zęba wyrwać wściekłemu lwu, odebrać poród wieloryba, obciąć jaja narowistemu ogierowi - proszę bardzo. Ale malowanie paznokci? To zdecydowanie przekracza moje kompetencje.

Śmiali się tak głośno, że zagłuszyli Pink Floydów

śpiewających coś o murach.

- No niestety, głową muru nie przebijesz - spuentowała opowieść Arka.

- Nawet tak twardą jak twoja. Szczególnie gdy tą głową kręci Anka.

- Fakt.

Arek ostro skręcił kierownicą i zaparkował przy pizzerii.

- Mam nadzieję, że masz ochotę na pizzę? W ten weekend Anka gotuje, mamy więc pewnie do wyboru chińszczyznę z mikrofalą lub pierogi z mrożonki.

Mężczyzna był pełen wiary w kulinarne umiejętności swojej ukochanej.

- Jasne, choć w dobrym towarzystwie i mrożonki mogą smakować jak delicje.

Według Beaty przy wszystkich zaletach, jakie posiadała Anna, nieumiejętność gotowania w niczym nie umniejszała jej wartości. Zresztą wszyscy już się do tego przyzwyczaili, a sama policjantka mówiła głośno, że kuchnia to ostatnie miejsce, w którym najchętniej przebywa.

- To jakie bierzemy?

- Zdaję się na ciebie. W końcu Ania mówiła o jakiejś niespodziance, więc niech będzie niespodzianka.

- O nie. - Arek uśmiechnął się tajemniczo. - Niespodzianka czeka w domu. Spodoba ci się.

Wychodząc z auta, spojrzał jakoś dziwnie.

- Hm... właściwie kilka niespodzianek.

Matko jedyna, jak ja nie lubię niespodzianek. Beti zaczęła się denerwować, gdy weterynarz wszedł do lokalu.

Zmieszana mina i niepewny ton głosu mężczyzny zdecydowanie jej się nie spodobały.

- Anka, jak coś kombinujesz, to cię ukatrupię! - obiecała na głos przyjaciółce, choć wątpliwe, że policjantka usłyszała tę groźbę.

Anka bywała niezrównowazona - to prawda. Miewała pomysły, przy których nie wiadomo było, czy się śmiać, czy raczej zawodzić baranim głosem. I choć dwójka dzieci stępiła znacznie jej ognisty temperament, obawy Beaty były jak najbardziej na miejscu.

- I daję słowo, że jak mnie wkurzysz, to do końca życia Arek będzie ci pazury malował - dodała mściwie kosmetyczka.

Pierwszą niespodzianką był fakt, że nie przywitał ich Sułtan - wielki, długowłosey wilczur pilnujący posesji, który za każdym razem leciał jak wariat, aby z radością wylizać wszystkich gości, włącznie z potencjalnymi włamywaczami i mordercami.

- Hm, co z psem?

- A nic, nic - wymruczał niewyraźnie Arek, wypakowując jej wózek.

Pomógł jej pokonać trzy schodki prowadzące do domu. Podając gospodarzowi kurtkę, rozejrzała się po przedpokoju. Tak dawno, tak strasznie dawno tu nie była. Jeszcze przed wypadkiem. Wiele się zmieniło.

Na wycieracze stały dwie pary małych, kolorowych kaloszków, na wieszakach wisiały dziecięce kurteczki, pod nogami walało się kilka misek i poobijana plastikowa

filizanka. Nie do wiary, że bliźniaki Arka i Ani same już biegają po podwórku. Doskonale pamiętała dzień, gdy dzieci pojawiły się na świecie.

- Tak, tak. - Arek podążył wzrokiem za spojrzeniem Beti.
- Jaś i Gonia zaraz skończą dwa latka, a broją, jakby mieli z pięć.

- Właśnie wspominałam sobie ich narodziny. Z jednej strony wydaje mi się, że było to dosłownie wczoraj, a z drugiej, że wieki temu. Zobacz, jak może zmienić się czyjeś, czytaj: moje, życie przez raptem rok. Jedni przestają chodzić, drudzy zaczynają.

- *Panta rhei* - stwierdził filozoficznie mężczyzna.

- A my wciąż piękne i młode! - Ania wyszła z pokoju i serdecznie ucałowała Beatę. - W końcu jesteście. Beti, co byś wciągnęła? Mam ruskie albo pyzy z mięsem, już wstawiłam wodę. Co wolisz? I z czego rzycie? - dodała, gdy oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Wyłącz tę wodę. - Arek podszedł do lekko skonfundowanej kucharki, pocałował ją w policzek i wręczył trzy pudła z pizzerii. - Pyzy zjemy jutro, dziś mamy do wyboru: margherita, wiejska albo hawajska. A w lodówce czeka na panie piwko imbirowe. *Bon appétit, my ladies.*

Pamiętał, że uwielbiam piwo imbirowe. Beti się wzruszyła i aby nie ośmieszać się łezką, która błysnęła w oku, szybko wjechała do salonu. Widok tam też był lekko zaskakujący. W kominku paliły się trzy świece, pachniało pieczonymi jabłkami i cynamonem, w ogromnym telewizorze leciały „Teletubisie”, w które zapatrzone były maluchy

siedzące na grubym, puchatym dywanie. Pleckami oparte były o sofę, na których wygodnie rozwalone leżały dwa ogromne psiska. Na widok Beti pierwsza zerwała się Małgonia. Na krótkich, grubiotkich nóżkach podbiegła do kobiety, na krótką chwilę przytuliła się do jej nóg, po czym złapała za rękę i zaczęła ciągnąć w kierunku sof.

- Moja Sionia - poinformowała Beatę, wskazując paluszkiem na włochatego potwora.

- Moja Sionia! - oburzył się Jasiu, robiąc płaczącą minę.

Gonia podniosła z podłogi pustą butelkę po wodzie mineralnej i walnęła braciszka w głowę.

- Moja Siuta - zmienił zdanie chłopczyk i z powrotem usiadł pod sofą, na której leżał Sułtan.

Beata z wielkim trudem stłumiła chichot.

- Weź, nic nie mów - odezwała się Anka, wchodząc do pokoju z talerzami i butelkami zimnego piwa. - Ja naprawdę nie wiem, co z niej wyrośnie.

- Jak to: co? - Arek się zaśmiał, wnosząc pizzę. - Kolejny Pinochet. Ja się bardziej martwię, co wyrośnie z mojego syna.

- Chyba nie musicie się martwić o żadne z nich. - Beti śmiała się już w głos. - Najważniejsze, że znają swoje miejsce w stadzie. A tak w ogóle...

Co to za bydlę?

Arek położył pizzę na stole, pochylił się nad psem i z czułością pogłaskał wielki łeb.

- Niniejszym przedstawiam ci Sonię, najnowszego

mieszkańca we Wiatrakach. Na moje oko mieszanka kaukaza z wilczurem, jakieś cztery, pięć lat. Do niedawna najniezszczęśliwszy i najbardziej pechowy pies świata.

A przynajmniej okolic Choszczna.

Jego głos posmutniał.

- Choć jej wygląd budzi szacunek, to najłagodniejszy pies, jakiego widziałem. I chociaż wydawałoby się to niemożliwe, większa nawet sierota niż Sułtan. Miała jednak pecha do ludzi. Najpierw oddali ją do schronu, bo za bardzo urosła. Adoptował ją jakiś rolnik z Gościmina, ale po pół roku oddał, gdyż była za mało agresywna. Za jakiś czas znowu znalazła dom, bo spójrz, jest przepiękna, lecz po kolejnym roku wróciła do schroniska, bo rozpieszczony bachor, dla którego była prezentem, jej nie polubił. Następna adopcja i znów dramat. Nowi państwo wyjechali za granicę, a zabranie ze sobą psa było zbyt kłopotliwe. Boże, jak ona płakała! Jej skowyt rozdzierał moje serce. Rzuciła się na kraty boksu, raniła się, nie jadła, nie szukała kontaktu z pozostałymi psami. Gdy pracownicy schroniska wychodzili do domów, kuliała się w najciemniejszym kącie klatki, a gdy wracali z rana, siedziała wciąż w tym samym miejscu. Z dnia na dzień coraz smutniejsza, coraz cichsza, gasła w oczach. Jej wzrok pełen beznadziei wzbudzał we mnie takie wyrzuty sumienia, tak bardzo było mi wstyd za ludzi, że po prostu któregoś pięknego dnia zapakowałem ją w samochód i przywiozłem do domu.

Beata znów poczuła w oczach łzy, a w gardle zimną gulę. Rozumiała Arka doskonale. Ona także nie raz i nie dwa

wstydziała się za ludzkość.

Podjechała do psa i położyła dłoń na kudłatym karku. Jakże miękką miała sierść. Suka podniosła głowę i spojrzała w oczy nieznajomej. Wielkie, brązowe ślepie psa wydawały się pełne łez. Nie, one były pełne łez. Jedna z wielkich kropli potoczyła się po policzku i spadła na potężną łapę. Tego było już za wiele. Beti rozryczała się jak dziecko.

- Arek... - wydusiła ze szlochem. - Aniu, to najpiękniejsza niespodzianka, jaką mogliście mi zrobić.

- Tobie? - Anka się zaśmiała. - To największa, dosłownie, niespodzianka, jaką Ajron zrobił mnie. Myślisz, że zapytał wcześniej o zdanie? A skąd! Po prostu pewnego dnia przytachał to bydłę ze sobą i powiedział, że od dziś do końca swoich dni mieszka z nami. Bo wiesz, za mało mamy zwierząt.

W stajni konie i trzy koty, Sułtan, że o tej szatańskiej dwójce prosiąt, która siedzi u naszych stóp, nie wspomnę.

- Może i nie potrzebowaliśmy kolejnego psa - wtrącił się Arek. - Z całą jednak pewnością ten pies potrzebował nas.

- Oprócz tego trzeba zadbać o kury u sąsiada, bo ten wyjechał w pizdu i zostawił je same sobie - narzeką dalej Anka. - Z kur przynajmniej pożytek, bo jajka mamy. Taa, marzyłam o kolejnym zwierzu!

Przecząc własnym słowom, ze swojego kawałka pizzy zdjęła plaster szynki i z czułością wręczyła Soni. Pies kłapnął szczęką i z nadzieją na kolejne porcje zazezował na stół. Sułtan podniósł łeb i spojrzał z wyrzutem.

- Masz, masz. - Do paszczy wilczura trafił cały kawałek. -

Przez Sońkę musiałam też wpuścić do domu Sułtana - wyjaśniła Beacie. - Stał z nosem przyklejonym do tarasowych drzwi i nijak nie można go było odgonić. Myślę, że to chyba miłość od pierwszego wejrzenia. - Zaśmiała się perliście. - A przecież miłości nie można stawiać na drodze, prawda? I nie wzruszaj się tak bardzo, to nie łzy - dodała rzeczowo. - Sonia ma zapalenie spojówek i Ajron wkropił jej dicortineff. Na mnie zastosował ten sam trik, łobuz jeden.

- Z uczuciem zmierzwiła włosy partnera. - Jak zobaczyłam te łzy, od razu zmięklam.

Pieszczotliwie szarpnęła kudłate ucho psa.

- I tylko dlatego przesiadujesz sobie w domu na sofach, mój wielkoludzie. Gdy tylko wyzdrowiejesz, fora ze dwora, do budy Sułtana.

- Nieprawda, to wcale nie było zaplanowane - bronił się ze śmiechem weterynarz. - Lecz skoro podziałało na was obie, to może powinniśmy stosować ten trik, żeby zwiększyć liczbę adopcji, co? Jak myślisz, Beti?

- Beti! Wracasz do schroniska? - ucieszyła się Anka.

- Wracam - podjęła decyzję Beata. - Najszybciej, jak się da.

Pizza przyjemnie ciążyła w brzuchu. Popijając piwo i notując w kalendarzu nazwiska przyszłych klientek, dyktowane przez Ankę z szybkością wystrzałów z karabinu maszynowego, zerknęła na Arka bawiącego się z dziećmi.

- I pamiętaj. Jak tylko będziesz miała sprzęt, to na początek grudnia zapisuj mnie na opalanie - trajkotała Anka.

- I to jest chyba dobry czas na ogłoszenie naszej

niespodzianki. Kotku, chodź no - zawołała Arka.

Mężczyzna wstał z podłogi i mimo głośnego protestu Goni podszedł do kobiet, usiadł obok Ani i objął ją ramieniem.

- Podjęliśmy decyzję, że się pobieramy - oświadczyła uroczyście Ania.

- Nie może być! - zawołała Beti. - W końcu!

- No wiesz, znudziło mi się już stare nazwisko. Anna Medinopolus brzmi zdecydowanie bardziej tajemniczo niż Anna Sikora, nie? - zażartowała policjantka.

- Pięknie brzmi. Naprawdę! Gratuluję i cieszę się z całego serca. - Beti gorąco ucałowała Arka i nieco wzruszoną Anię. - Kiedy to wiekopomne wydarzenie?

- Szóstego grudnia, w dzień drugich urodzin bliźniaków. Czuj się uroczyście zaproszona. Nie planujemy wielkiej pompy. Bibka dla najbliższych znajomych i rodziny, więc się nie stresuj i nie próbuj wymawiać - ostrzegła Anka.

- I nie chcemy żadnych prezentów - dodał Arek. - A zamiast kwiatów prosimy o karmę dla psów.

- Boże! Jesteście niesamowici!

- Dobra. - Przyjaciółka ucięła zachwyty w zarodku. - Teraz się ubieramy i idziemy na dwór. To jeszcze nie koniec niespodzianek.

- Matko! Chcecie, żebym dostała zawału od nadmiaru wzruszeń?! - krzyknęła Beti z udawanym przerażeniem.

- Nie martw się. Jakby co, mamy na miejscu lekarza.

Pocałunek, którym Anna obdarzyła przyszłego męża, był bardziej niż czuły.

Jak na koniec września, pogoda była rewelacyjna. Bluszcz porastający południową ścianę stajni nabrał niesamowitych barw. Wielkie klony rosnące za płotem pyszniły się płaszczem żółto-czerwonych liści. Drobne listki brzoź i topól wirowały w powietrzu. Dzieci pognały w stronę stajni, skąd po chwili dobiegło przyjazne rzenie któregoś z koni.

- Uwaga, uwaga, tamdaradam! - Anna zrobiła zapraszający gest i szerzej otworzyła drzwi. - Niespodzianka numer trzy.

- Matko jedyna! Jakie чудо!

Przy Primie stał kilkudniowy źrebak. Czarny jak noc, z białą gwiazdką na czole, wyglądał jak z najpiękniejszej bajki dla dzieci. Zachwycona Beti patrzyła, jak Arek wchodzi do boksu i dokładnie ogląda malca. Nieco zaniepokojona Prima nie spuszczała wzroku z mężczyzny, gotowa w razie potrzeby walczyć o dziecko na śmierć i życie. Zadowolony z oględzin weterynarz uspokajająco położył dłoń na chrapach klaczy.

- Spokojnie, mała, nie panikuj.

- To chłopczyk. Boski, nie? - Niczym mała dziewczynka Anka podskakiwała z ekscytacji. - Na imię ma Pentagram, w skrócie Penny. Przez tę gwiazdę na czole nie mógł nazywać się inaczej, nie?

Arek wyszedł z boksu i uśmiechnął się do Beti.

- I od razu niespodzianka numer cztery. - Pokazał na coś ręką.

W pierwszej chwili Beti kompletnie nie wiedziała, co miał na myśli.

Spojrzała we wskazanym kierunku, ale widziała jedynie uprząże, derki i kilka siodeł.

- Hm... Nowa derka? - próbowała zgadywać.

- Nowe siodło.

Z dumą ściągnął z kołka coś dziwnego.

- Kulbaka. Za bezcen prawie kupiłem od Majeckiego. To siodło kawaleryjskie. Jest bardzo wygodne, ma wysoki tylny łęk i co najważniejsze, jeździ się w nim bez anglezowania.

- O nie! O, na pewno nie. Z całą świadomością, zdecydowane nie!

Nie była mistrzem jazdy konnej, ale kilka razy siedziała w siodle. Kilka razy byli nawet w terenie, a wspomnienie galopu przez kwitnącą makami i chabrami łąkę było jednym z jej ulubionych. Jednak teraz? Jak? Z tymi martwymi nogami?

- Arek, wiesz doskonale, że to niemożliwe. Nie muszę ci przecież tłumaczyć, że koniem kieruje się nogami i dosiadem. Jak to sobie wyobrażasz, skoro ja nie czuję ani nóg, ani tyłka? Jakim cudem mogę trzymać się kolanami, skoro moje czucie kończy się na poziomie pępka?

Samozadowolenie nie opuściło mężczyzny w najmniejszym nawet stopniu.

- I tu się mylisz, moja droga. Przy kulbace wszystko wygląda inaczej.

Ławkowa budowa powoduje, że nacisk jeźdźca na koński grzbiet jest rozproszony na większej powierzchni, więc dosiad nie ma większego znaczenia. Szeroko rozstawione przytuły poprawiają stabilność i przyleganie kulbaki.

Wysokie łąki zapewniają głęboki dosiad, więc z pewnością nie wylecisz z siodła przy galopie, a nawet niewielkich przeszkodach.

- Ale...

- Nie ma ale. - W głosie Arka pojawił się żelazny ton. - Czy to nie ty żaliłaś się, że już nigdy nie wejdiesz do lasu? Nie wespiesz się na wzniesienie, aby z góry popatrzeć na świat? Że nie poczujesz wiatru we włosach, nie zerwiesz z gałęzi kwiatu czeremchy, że nie pobiegiesz?

Beata milczała. Arek przykucnął i wziął w dłonie jej zimne ręce.

- Odrzucisz to? Ot tak, dla zasady albo ze strachu przed wyzwaniem?

Pozwolisz się ograniczyć? Ty? Jedna z najsilniejszych kobiet, które znam? Spojrzała na Ankę. Przyjaciółka udawała, że nie słucha, ale napięcie i powaga malujące się na jej twarzy mówiły coś innego. Beata popatrzyła w wyczekujące oczy Arka. *Czy mogę odmówić? Czy tego chcę? Czy chcę sprawić im przykrość swoim tchórzostwem i niezdecydowaniem? A sama dla siebie? Czy chcę iść dalej? Pokonywać przeszkody, zdobywać niezdobyte, osiągać to, co jeszcze wczoraj zdawało się nieosiągalne? Dobra, Beti - czas na kolejny skok.*

Głośno przełknęła ślinę.

- To kiedy jedziemy?

Ulgą na twarzy obojga gospodarzy prawie ją rozśmieszyła.

- No. To rozumiem. - Arek spodziewał się chyba

trudniejszej walki. Tak szybka kapitulacja Beaty zdziwiła, ale i ucieszyła mężczyznę. – Najszybciej, jak się da. Myślę, że za jakiś tydzień Prima przestanie już tak bardzo przejmować się Pennym i weźmiemy ją na padok. Małemu też trzeba już pokazywać świat.

Wstał z kolan.

– Cieszę się, Beti. Cieszę się jak cholera.

Wierzyła mu. Tak jak Bartkowi. Jakże wspaniali ludzie ją otaczali. Uszczęśliwieni, jakby wygrali szóstkę w totka, wytarabanili się ze stajni. Dzieci radośnie pobiegły w stronę psów, obwąchujących pień wielkiej sosny.

– Sułtan oprowadza Sońkę po gospodarstwie. – Ania się zaśmiała. – Już wyobrażam sobie ich rozmowy: tu, pod tą sosną, niby jest kibel, ale jak pańcia nie widzi, to sraj sobie wszędzie.

– Ciesz się, że kury pozostają za płotem. – Arek zawtórował Ance śmiechem. – Te dopiero srają tam, gdzie stoją. Idę robić kawę. Pijemy w domu czy na dworze?

– Tutaj – zdecydowały zgodnie obie dziewczyny.

– O co właściwie chodzi z tymi kurami? – zainteresowała się Beti.

Anka wywróciła oczami.

– Pamiętasz tego typa z domu obok?

– Tego, który okazał się tym drańskim kłusownikiem?

– Dokładnie. W sądzie wykpił się grzywną, ale tutejsi ludzie żyć mu nie dawali. Cóż, przyznam nieskromnie, że sama miałam w tym swój udział. Cóż poradzę, że na jego widok bluzgi same cisnęły mi się na usta?

Beti nie spodziewała się po Ani niczego innego.

- I w końcu zabrał rodzinę i wyjechał do jakiegoś miasta. Gorzowa, zdaje mnie się. Krzyżyk na drogę, nikt tu po nim nie płacze. Dom wystawił na wynajem lub sprzedaż, kurami jednak nie przejął się wcale, po prostu je zostawił. Stara Marianowa miała je wziąć, ale póki co nie bierze, a przecież muszą coś zjeść i tak dalej. A że my mieszkamy najbliżej, to obowiązek spadł na nas.

- Anka! - rozległo się wołanie z domu. - Które ciastka miałem wziąć? Te w srebrnej puszcze?

Policjantka wstała z krzesła i westchnęła ciężko.

- Muszę iść, bo nas psią karmą nakarmi. Zerkniesz na dzieci?

- Jasne.

Maluchy bawiły się grzecznie w piaskownicy. Psy kręciły ósemki dookoła drzew. W stajni posapywała Prima, a kury zza płotu spacerowały po podwórzu, co jakiś czas rozgrzebując piasek w poszukiwaniu pełzających smakołyków. Beti odetchnęła głęboko. Wizyta Jagi, szczerą rozmowa i dzisiejszy dzień dodały jej sił i wiary w dobro. Wiedziała, że sobie poradzi.

Że cokolwiek się zdarzy, nie podda się. Skoczy wbrew niesprzyjającym warunkom. Wciąż siedziała na wózku, mimo to czuła, że w końcu wstała na nogi. Odbiła się od dna i tylko od niej samej zależy, co zobaczy, gdy wynurzy się na powierzchnię. W niedalekiej perspektywie czekał ją powrót do dawnego życia. Była gotowa. Do życia, pracy, pasji, hobby. Do codziennych kontaktów z ludźmi. Do przyjaźni.

Miłości?

Uległszy impulsowi, wyciągnęła telefon. *Nie będę myśleć. Nie będę rozważać argumentów za i przeciw. Dzielić włos na cztery i przewidywać, co by było gdyby. Nie chcę zastanawiać się, czy robię dobrze, czy źle.* Lekko drżącą ręką wystukała doskonale znany numer i przyłożyła słuchawkę do ucha. *Czy już jest za późno? Czy próbując nie zepsuć jego przyszłości, nieodwracalnie zniszczyłam naszą?* Ciepły, przyjazny, tak długo niesłyszany głos odezwał się już po kilku sygnałach. Beti wzięła głęboki oddech.

- Cześć, Bartek. Stoję właśnie obok domu do wynajęcia. Świetna okolica, raj dla artysty. Jesteś zainteresowany?

Koniec

Od autorki

Według statystyk każdego dnia trzy osoby w Polsce doznają uszkodzenia rdzenia kręgowego. W skali świata jest to przerażająca liczba ponad tysiąca osób dziennie. Osób, które jeszcze wczoraj były takie jak ja. Takie jak Ty, drogi Czytelniku.

Gdy Bóg zmruży oczy, może stać się wszystko. Kataklizm, wojna, wypadek, choroba. Koniec świata, którego być może nie zauważy nikt za wyjątkiem Ciebie i Twoich bliskich. W ciągu ułamka sekundy może zmienić się całe nasze życie. Zdrowy może zachorować, słyszający stracić słuch, widzący - wzrok, chodzący - nogi. I choć wszystkim Wam życzę, aby wszelkie ochronne moce nigdy nie mrużyły oczu, los bywa ślepy. W ciągu wielu lat zawodowej pracy poznałam rzesze osób, które nie miały takiego szczęścia. Wczoraj zdrowych i beztróskich, dziś zmagających się z własnym ciałem. Tak jak Beata zmuszonych zaciskać zęby i walczyć wbrew wszystkiemu. Wbrew chorobie. Własnym ograniczeniom - tym prawdziwym i tym wyimaginowanym. Nie wszyscy wygrali.

Powieść dedykuję wszystkim moim pacjentom i

znajomym z urazem rdzenia kręgowego. To Wy pokazaliście mi, co jest ważne w życiu.

Nauczyliście, że walka i odwaga mają różne wymiary. Że czasami trzeba komuś zaufać, zamknąć oczy i po prostu skoczyć. Uświadomiliście, że najłatwiejsze bywa wielkim wyzwaniem, a to, co wydawało się trudne i ważne, czasami w ogóle traci sens.

Joanna Kupniewska

Gdy Bóg zmrużył oczy

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8147-074-2

© Joanna Kupniewska i Wydawnictwo Novae Res 2018

eWszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Paulina Zyszczyk

KOREKTA: Emilia Kapłan

OKŁADKA: Artur Rostocki

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.